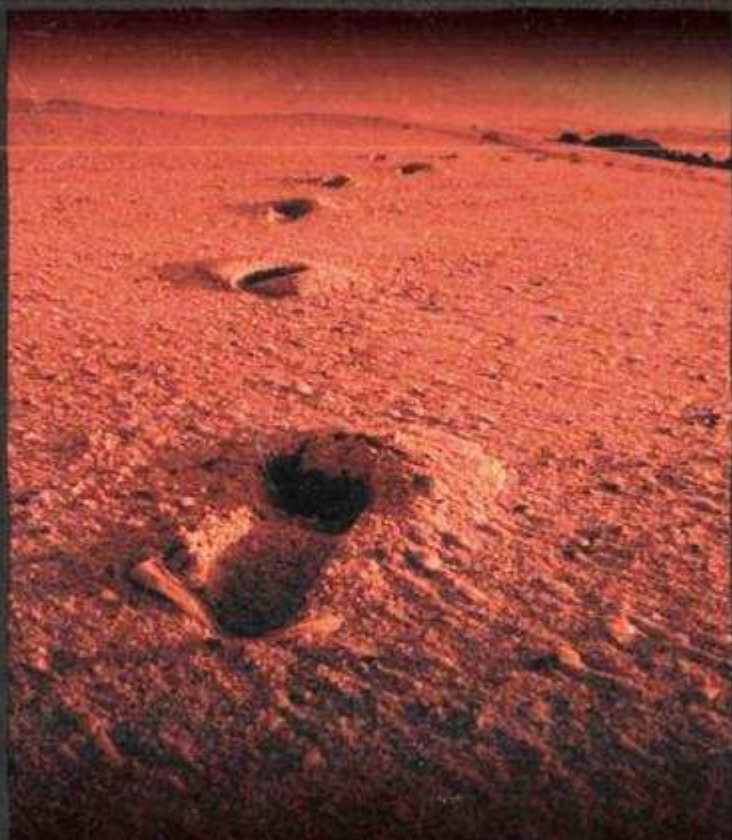


KRYMINAŁ Z KLASĄ



MARTWI ZA ŻYCIA

DEON MEYER

Wielki mistrz kryminału wydawany i nagradzany
od Kanady przez RPA po Japonię

Detektyw i zabójca. Więźniowie przeszłości. Martwi za życia...

Mat Joubert stracił wszystko: żonę, nadzieję, przyszłość.

Zalany osuwa się coraz szybciej na dno butelki.

Coraz częściej myśli o samobójstwie.

Nagle Kapsztadem wstrząsa seria brutalnych morderstw.

Rozwiązanie ich zagadki to ostatnia szansa kapitana Jouberta.

Śledztwo jest trudne. Ofiar nic nie łączy. Wspólne jest tylko narzędzie zbrodni – zabytkowy pistolet. Zabójca usmierca ludzi ze znanej jedynie sobie listy, a Mat Joubert odkrywa, że nie tylko on usiłuje zacząć wszystko od nowa. Morderca też pragnie, by duchy przeszłości znalazły wreszcie odpoczynek...

Prawdziwe zło jest uniwersalne, dlatego powieści Meyera są czytane na wszystkich kontynentach. „Mail & Guardian”

Misterna intryga kryminalna, napięcie, akcja, jedyne w swoim rodzaju zestawienie humoru z dramatem, wielowymiarowe, niejednoznaczne postacie bohaterów – ludzie naznaczonych tragedią, zmagających się ze swoimi słabościami – i nieprzewidywalny finał zdecydowały o światowym sukcesie sugestywnych kryminalów południowoafrykańskiego pisarza.

Powieści Deona Meyera są tłumaczone na 19 języków i wydawane przez największe wydawnictwa. Zdobywają prestiżowe nagrody literackie w Afryce Południowej, USA i Europie, takie jak: południowoafrykańska ATKV Prose Prize, Deutsche Krimi Preis, Le Prix Mystère de la Critique, oraz liczne nominacje, m.in. do szwedzkiej nagrody Martina Becka i do International IMPAC Dublin Literary Award.

Najnowszy kryminal autora znajdował się w pierwszej dziesiątce bestsellerów niemieckiego magazynu „Die Welt” przez trzy miesiące.

Powieść *Martwi za życia*, uhonorowana francuską Grand Prix de Littérature Policière, zostanie zekranizowana.



Cena det. zł 34,80

www.wydawnictwoamber.pl



MARTWI ZA ŻYCIA

DEON MEYER

Przekład
MARIA REI



Redakcja stylistyczna

Elżbieta Novak

Korekta

Jolanta Kucharska

Katarzyna Pietruszka

Projekt graficzny serii

Małgorzata Foniok

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Foniok

Zdjęcie na okładce

Anita Meyer

Skład

Wydawnictwo Amber

Monika E. Zjawińska

Druk

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA,

Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału Dead Before Dying

Copyright © 1999 by Deon Meyer.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2008 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 978-83-241-3324-6

Warszawa 2009.

Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z o.o.

00-060 Warszawa,

ul. Królewska 27

tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

*Tutta la Vita è morte.
Całe życie jest śmiercią.*

Giuseppe Verdi

Rozdział 1

W POPOŁUDNIOWEJ CISZY OSTATNIEGO DNIA ROKU Mat Joubert rozmyślał o śmierci. Jego ręce mechanicznie czyściły służbowy Z88. Siedział w fotelu w salonie, pochylony nad stolikiem do kawy, na którym między szmatkami, szczotkami i puszką nafty leżały części rozłożonego pistoletu. Oparty o popielniczkę papieros słał pod sufit długą, wąską smuzkę dymu. O szybę okna nad głową Mata uderzała z jednostajną regularnością pszczoła, w denerwującej próbie wydostania się na dwór w letnie popołudnie ożywiane lekkimi podmuchami południowo-wschodniego wiatru.

Nie słyszał jej. Myślami błędził wśród wspomnień z minionych tygodni, po kartach kronik śmierci, jego codziennej lektury. Na podłodze w kuchni leży na plecach biała kobieta, z łopatką w prawej dłoni, na patelni przypalony omelet, plamy krwi dodają koloru przyjemnie urządzonemu wnętrzu. W salonie zapłakany dziewiętnastolatek z pistoletem w kieszeni skórzanej kurtki powtarza w kółko imię matki.

Mniej drastyczne wspomnienie: mężczyzna wśród kwiatów. Śmierć niepozabawiona godności. Przed oczami stanął mu otwarty przemysłowy teren, otoczony szarymi fabrycznymi budynkami, postaci detektywów i policjantów. Stali kołem, po kolana w polnych kwiatkach wyciągających w górę żółte, białe i pomarańczowe główki. W środku tego kręgu sprawiedliwych leżał na brzuchu niezbyt postawny mężczyzna w średnim wieku, z policzkiem przy ziemi. W ręce trzymał pustą flaszkę po denaturacie.

Oczy miał zamknięte. Drugą dłonią kurczowo ścisnął kilka przywiewdłych już teraz kwiatów.

To właśnie ręce najbardziej zapadały mu w pamięć.

Plaża Macassar. W powietrzu wisi wciąż smród palonej gumy i zwęglonego ciała, po nawietrznej stoi grupa funkcjonariuszy i dziennikarzy, patrzą na zwłoki trzech mężczyzn, ofiar koszmarnego morderstwa naszyjnikowego.

Dłonie. Szpony. Wyciągnięte w przerażeniu ku niebu, w błaganiu o zbawienie.

Mat Joubert miał dosyć życia. Ale tak umierać by nie chciał.

Posługując się kciukiem i palcem wskazującym, umieścił kolejno w magazynku piętnaście krótkich nabożów kaliber 9 milimetrów. Ostatni zaślnił krótkim blaskiem w popołudniowym słońcu. Podniósł nabój na wysokość oczu i zapatrzył się w rdzawo zabarwioną kulę.

Jak by to było? Przycisnąć delikatnie do warg ciemny wylot lufy Z88 i ostrożnie, powoli, z szacunkiem pociągnąć za spust. Czy poczułby dotyk ołowiu? Ból? Czy w zachowanych strzępach mózgu nadal mknęłyby myśli? Oskarżając go o tchórzostwo, nim zapadłby w noc? Czy też wszystko przebiegłoby tak szybko, że mózg nie zdążyłby zarejestrować odgłosu strzału?

Zamyślił się. Co czuła Lara?

Zgasła nagle, nieświadoma, że ręka już naciska wyłącznik? A jeśli wiedziała, i w tej krótkiej chwili między życiem a śmiercią wszystko rozumiała? Może poczuła skruchę albo ostatni raz roześmiała się kpiarsko?

Postanowił o tym nie myśleć.

Jutro zaczyna się nowy rok. Ludzie za oknami wyglądają go z entuzjazmem i nadzieją, pełni postanowień, marzeń i planów. A on siedzi tutaj.

W pracy od jutra wszystko będzie inaczej. Przychodzi nowy szef, z politycznego nadania. Wszyscy mówili tylko o tym. Joubert właściwie miał to gdzieś. Był zmęczony. I śmiercią, i życiem. Ta zmiana to tylko nowy element w grze o przetrwanie, kolejna sytuacja, którą trzeba uwzględnić, i jeszcze jedna sprawa wysysająca energię, przywabiająca bliżej Wielkiego Drapieznika.

Plaśnięciem lewej dłoni umieścił magazynek w kolbie pistoletu, jakby agresja mogła zmienić tor jego myśli. Wepchnął broń do skórzanego kabury. Nafta i szmaty powędrowały z powrotem do starego pudełka po butach. Zaciągnął się papierosem, wydmuchując dym w stronę

okna. Wtedy zauważył pszczołę i dosłyszał wyczerpanie w cichnym brzęczeniu skrzydełek.

Wstał, odsunął koronkową firankę i otworzył okno. Owad poczuł ciepły podmuch wiatru, ale uparcie próbował się wydostać przez szybę obok. Joubert obrócił się, podniósł zatłuszczoną szmatkę i ostrożnie trzepnął nią o szybę. Pszczoła zawisała na krótko w otwartym oknie i wyleciała. Zamknął okno i opuścił firankę.

Też mógłby uciec, pomyślał. Gdyby tylko chciał.

Celowo pozwolił tej myśli się rozplątać. Ale wystarczyła, żeby podjął impulsywną decyzję. Wieczorem pójdzie do sąsiadów na grilla. Tylko na chwilę. Na resztę starego roku.

Rozdział 2

PIERWSZY KROK KU ODRODZENIU MATA JOUBERTA był jak najbardziej fizyczny.

Tuż po siódmej wieczorem ruszył wysadzaną drzewami ulicą dzielnicy klasy średniej Monte Vista do domu Stoppberga. Jerry'ego Stoppberga, właściciela Stoppberg & Mordt, przedsiębiorstwa pogrzebowego z Bellville. „Działamy w tym samym biznesie, Mat - lubił mawiać. - Tylko w trochę innej branży”.

Drzwi się otworzyły. Stoppberg poprowadził gościa do domu. Przywitali się, wymieniając rytualne pytania.

- Biznes idzie świetnie, Mat. Końcówka roku to najlepsza pora. Zupełnie jakby zwlekali z tym do po świętach - powiedział, wkładając do lodówki przyniesione przez Jouberta piwo. Miał na sobie fartuch z napisem „Najmarniejszy kucharz na świecie”.

Joubert tylko skinął głową, bo nieraz już to słyszał, i odkapslował pierwszą tego wieczoru butelkę castle.

Kuchnia była ciepła i przytulna, pełna śmiechu i głosów rozgadanych kobiet, zajętych obrzędowymi przygotowaniami. Dzieci i mężczyźni prześlizgiwali się między nimi niemal niezauważenie. Mat Joubert wymknął się na dwór.

Jego świadomość zwrócona była do wewnątrz, zmysły cofnięte jak czułki owada. Ciepło i domowy nastrój nie robiły na nim większego wrażenia.

Na dworze, między plamami światła i ciemności, niczym cienie przemykały dzieci, podzielone na stosowne do wieku grupki, ale zjednoczone beztróskim, radosnym podnieceniem.

Nastolatkwowie okupowali werandę, niełatwą i niepewną ziemię niczyją między dzieciństwem a wiekiem dojrzałym. Przyciągnęli na chwilę uwagę Jouberta, niezdarnie manifestując luz. Przedobrzyli. Interesował się nimi do czasu, póki nie odkrył, co próbowali ukryć: szklanki na stole werandy wypełniała zakazana zawartość. Dwa, trzy lata temu uśmiechnąłby się, przypominając sobie własną burzliwą młodość. Ale teraz tylko znów cofnął czułki.

Dołączył do kręgu otaczających ognisko mężczyzn. Za wejściówkę służyła szklaneczka w ręce. Wpatrywali się w jagnię, nago i bez godności obracające się na rożnie Stoppberga.

- Jezu, Mat, ale z ciebie chłopisko - powiedział fotoreporter Wesels, gdy Joubert przystanął obok niego.

- Nie wiesz, że Mat to tajna broń wydziału morderstw i kradzieży? - zapytał Myburgh, szef drogowki Bellville. Jego bujne wąsy podrygiwały przy każdym słowie.

Twarz Jouberta stężała, wyszczerzył zęby w sztucznym uśmiechu.

- Tak... ich ruchoma blokada drogowa - dorzucił biznesmen Storrige. Roześmiali się z szacunkiem.

Przerzucali się nad skwierczącym jagnięciem dowcipami i przycinami - świadomi i ostrożni wobec straty, jaką poniósł przed dwoma laty - w braterskiej, przyjaznej i bezowocnej próbie rozruszania jego przygaszonego ducha.

Rozmowa potoczyła się cicho dalej. Stoppberg przekręcił rożen i niczym lekarz robiący pacjentowi zastrzyk wstrzyknął w rumieniące się mięso jakiś sos. Dyskutowali o sporcie, rzucali doprawione seksem żarty i dzielili się zawodowymi problemami. Joubert wyciągnął z kieszeni koszuli paczkę winstonów. Poczęstował towarzyszy. Rozbłysnął płomień zapalniczki.

Mężczyźni wokół ognia przychodzili i odchodzili. Stoppberg znów przekręcił rożen i sprawdził, jak mięso się piecze. Joubert wziął sobie kolejne piwo, a za jakiś czas następne. Kobiety w kuchni skończyły pracę i przeniosły się do sąsiedniego pokoju telewizyjnego.

Rozmowa na dworze skupiła się na jagnięciu.

- Stopp, wystarczy tych zastrzyków. To bez sensu, już i tak nie żyje.

- Poczęstujesz nas czymś przed świtem, Stopp? Rano muszę otworzyć sklep.

- Nic z tego. Jagnię dojdzie w lutym.

- Wtedy to już będzie baran w jagnięcej skórze.

Oczy Jouberta podążały za rozmową od twarzy do twarzy, ale nie brał w niej udziału. Jego milczenie nie dziwiło tych, którzy go znali. Nawet przed śmiercią Lary nie był zbyt rozmowny.

Stopniowo głosy dzieci cichły, za to mężczyzn się rozkręcały. Stoppberg posłał kogoś po gości. Przyjęcie nabrało tempa. Kobiety zwołały dzieci i wyszły na dwór, niosąc talerze z przystawkami, na które Stoppberg zaczął wykladać pokrojone mięso.

Joubert popijał castle, czekając na swoją porcję. Alkohol przytłumił jego zmysły. Nie był głodny, ale usiadł przy ogrodowym stole i zjadł z innymi, jak nakazywały tradycja i uprzejmość.

W domu rozbrzmiała muzyka, młodzież zawirowała. Joubert poczęstował gości papierosami. Kobiety wyciągały mężczyzn do tańca. Muzyka powoli zmieniała charakter, puszczano teraz starsze utwory, ale nic a nic nie ciszej. Joubert wstał, nie chciał siedzieć na dworze same-mu i idąc do salonu, wziął kolejne piwo.

Stoppberg wymienił zwykłe klosze na kolorowe. Wijące się w tańcu ciała obmywała przygaszona poświata czerwieni, błękitu i żółci. Joubert usiadł w jadalni, skąd mógł patrzeć na tańczących. Niewysoka postać Wesselsa podrygiwała spazmatycznie na wzór Elvisa. Młodzież poruszała się nieco bardziej subtelnie. Czerwone światło omiotło sylwetkę ładnej szczupłej żony Storridge'a. Odwrócił wzrok. Pod obcisłym podkoszulkiem Yvonne Stoppberg, córki gospodarzy, podrygiwał młodzieńczy biust. Joubert zapalił kolejnego papierosa.

Rozległ się tradycyjny walc i gruba żona Myburgha poprosiła go do tańca. Przyjął zaproszenie. Umiejętnie poprowadziła go między tańczącymi parami. Gdy muzyka się zmieniła, uśmiechnęła się współczująco i pozwoliła mu odejść. Przyniósł sobie następne piwo. Muzyka zwolniła tempo. Tancerze przytulili się do siebie, wieczór wkraczał w kolejną fazę.

Joubert wyszedł na dwór za potrzebą. Światła ogrodowe były wyłączone. Mrok rozświetlały węgle, jarzące się wciąż ciepłą czerwienią pod resztkami jagnięcia. W zakątku ogrodu wysikał się i wrócił. Niebo nad ciemnym dachem domu Stoppberga przeszły spadająca gwiazda. Joubert zatrzymał się i popatrzył w górę, ale dojrzał tylko ciemność.

- Cześć, Mat.

Pojawiła się obok niego znienacka, niczym wyłaniająca się z mroku nocna nimfa.

- Mogę się tak do ciebie zwracać, prawda? Skończyłam już szkołę.
- Jej sylwetka rysowała się w świetle padającym przez drzwi na tyłach domu, dopasowane spodnie i bawełniana koszulka podkreślały młode krągłe kształty.

- Jasne - odpowiedział niepewnie, zaskoczony.

Podeszła bliżej, naruszając ochronną strefę jego samotności.

- Nie zatańczyłeś ze mną ani razu, Mat.

Stał jak wryty, niepewny, otępiony siedmioma piwami i wieloma miesiącami spalającej duszę introspekcji. Splótł w obronnym geście ręce.

Położyła dłoń na jego ramieniu. Na łokciu poczuł lekki dotyk jej lewej piersi.

- Byłeś tu dziś jedynym mężczyzną, Mat.

Dobry Boże, pomyślał, to córka mojego sąsiada. Przypomnił sobie zawartość szklanek na werandzie.

- Yvonne...

- Wszyscy mówią mi Bonnie.

Spojrzał na nią. Jej oczy wpatrywały się w niego, błyszczące, namiętne i wymowne. Lekko otwarte usta były jak dojrzały owoc. Nie była już dzieckiem.

Joubert poczuł wzbierający w nim strach przed upokorzeniem.

A potem łagodnie przemówiło do niego ciało, zardzewiałe odczucie, które pojawiło się i zniknęło, przypominając jego kroczu dawne rozkoszne uniesienia. Ale za bardzo się bał, że te aspekty życia już w nim umarły. Minęły ponad dwa lata... Zamierzał ją powstrzymać. Rozplótł ramiona, by ją odsunąć.

Odczytała jego gest inaczej, przyciągnęła go, przycisnęła wilgotne usta do jego warg. Na siłę rozwarła je językiem. Mocno przytuliła się do niego, poczuł ciepłe koniuszki jej piersi.

Ktoś w kuchni zaczął wołać dziecko i spłoszony Mat Joubert poczuł, że podcięto falę, na której wznosił się ku życiu. Odsunął Yvonne i ruszył w stronę kuchni.

- Przepraszam - rzucił przez ramię, nie wiedząc za co.

- Nie jestem już dzieckiem, Mat... - W jej głosie nie było wyrzutu.

Poszedł do kryjówki, do domu, skupiając myśli na tym, co przed nim, nie na tym, co minęło. Wokół rozbrzmiały okrzyki witające Nowy Rok. I fajerwerki, a nawet trąbka.

Dom. Miął drzewa, krzewy i kwietniki, wszystko zasadzone ręką Lary, walczył przez chwilę z zamkiem, po czym podążył korytarzem do sypialni. Stało w niej łóżko, w którym z nią sypiał. Jej szafa, teraz pusta. Na ścianie wisiał obraz, kupiony przez nią na pchlim targu na Grempoincie. Strażnicy jego niewoli, dozorczy jego celi.

Rozebrał się, wciągnął czarne spodenki, zrzucił koce i się położył.

Starał się o tym nie myśleć.

Ale jego łokieć wciąż czuł tę niewiarygodną miękkość, jej język nadal wdzierał się w jego usta.

Dwa lata i trzy miesiące od śmierci Lary. Dwa lata i trzy miesiące.

Niedawno, jakoś tak późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem, stał na Voortrekker Road i patrzył na ulicę. Zobaczył parkometry, co kawałek, z kilometr albo i dalej, tak daleko jak sięgał wzrokiem wzdłuż prostej jak strzała drogi. Parkometry dumnie i bez sensu służące za dnia, po godzinach pracy wydawały się osamotnione. Zrozumiał, że Lara sprawiła, że stał się podobny do nich - irytujący za dnia, nieprzydatny wieczorem.

Ciało mu nie uwierzyło.

Zaskrzybiało i zakasłało jak zapuszczony silnik, próbując rozruszać zardzewiałe biegi. Podświadomość zachowała pamięć o czekającym w głowie oleju, chemicznym przekaźniku żądz napędzającym krew i śluz. Maszyneria westchnęła, zaiskrzyła lekko na stykach, biegi się zazębiły.

Otworzył oczy i wpatrzył się w sufit.

Do jego krwi przeniknął wirus. Poczul pierwsze niejasne objawy. Jeszcze nie żyjący własnym życiem organ, rosnący i napierający na materiał. Z początku jedynie płynącą powoli przez ciało falę ciepła, która wymywała z krwiobiegu alkohol i odpędzała sen.

Poderwał się, żeby otworzyć okno. Pot na jego tułowiu zalśnił matowo w świetle ulicznych lamp. Położył się z powrotem, leżał na plecach, szukając lekarstwa na tęsknotę i upokorzenie.

Pożądanie w głowie doskwierało nie mniej niż to w dole brzucha.

Myśli wirowały jak wciągnięte w zmiatającą przeszkody trąbę powietrzną.

Płatanina uczuć, żądz i wspomnień. Lara. Tęsknił za nią i jej nie nawidził. To przez ten ból. Jezu, ależ ona była piękna. Gibka, szybka jak trzask bicia, porywca, kpiarska. Zdradziecka.

Miękkość dotykających łokieć piersi. Córka sąsiada.

Lara zmieniła go w parkometr. Lara, która nie żyła.

Lara nie żyła.

Postawiony przed tym faktem umysł rzucił się do ucieczki w rozpaczliwe bezpieczeństwo szarej depresji, w której nauczył się szukać ratunku w minionych miesiącach.

Ale pierwszy raz od dwóch lat i trzech miesięcy Mat Joubert odepchnął to koło ratunkowe. Wielki wał napędowy obrócił się w zardzewiałym łożysku, w cylindrach drgnęły zawory. Maszynieria sprzymierzyła się z Yvonne Stoppberg. Wspólnie walczyły z nadciągającą szarością.

Znów poczuł na wargach ruchliwy język Yvonne.

Lara nie żyła. Zapadał w sen. Pojedynek pozostał nierozstrzygnięty, nowe doświadczenie.

Będąc na granicy snu, zdał sobie sprawę, że życie pragnie powrotu. Przekroczył ją w obawie, że pokona go strach.

Rozdział 3

SIERŻANT BENNY GRIESSEL ZWYKŁ NAZYWAĆ BUDYNEK wydziału morderstw i kradzieży przy Kasselsvlei Road w Bellville South „Kremlem”.

Benny Griessel miał sarkastyczne poczucie humoru, wykute w ogniu dziewięciu lat zmagania z przestępstwami. Codziennego porannego apelu w sali apelowej Kremla Benny Griessel nie nazywał inaczej jak „cyrkiem”.

Ale tamte cyniczne uwagi pochodziły z czasów ascetycznego pułkownika „Willy'ego Theala, o którym gruby sierżant Tony O'Grady powiedział niedawno: „Dzięki Bogu, odchodzi ten, któremu tak wiele zawdzięczamy”. Przy czym roześmiał się głośno, choć nie przyznał, że dowcipną uwagę ukradł Churchillowi. I tak nikt na to nie wpadnie.

Ten poranek był inny. Dowódca wydziału, Theal, przeszedł z końcem grudnia na wcześniejszą emeryturę, by na małej farmie w Philippi oddać się uprawie warzyw.

Na jego miejsce przychodził pułkownik Bart de Wit. Mianowany przez ministra ładu i porządku publicznego. Nowego, czarnego ministra ładu i porządku publicznego. Od pierwszego stycznia wydział morderstw i kradzieży oficjalnie doszlusowywał do Nowej Afryki Południowej. Gdyż Bart de Wit należał do Afrykańskiego Kongresu Narodowego, choć zrezygnował z członkostwa przed przyjęciem urzędu. Bo gliniarz musi być bezstronny.

Gdy pierwszego dnia roku o siódmej siedem Joubert wszedł do sali apelowej, na niebieskopopielatych krzesłach ustawionych wzdłuż ścian w duży prostokąt siedziało już czterdziestu detektywów. W przytłumionym

brzęczeniu głosów dosłyszeć można było spekulacje na temat nowego szefa, tego całego Barta de Wita.

Przywitał się z nim tylko Benny Griessel. I kapitan Gerbrand Vos. Resztę kolegów pochłaniały domysły. Joubert ruszył do krzesła w kącie.

Punkt kwadrans po siódmej do sali wkroczył nienagannie umundurowany brygadier. A za nim pułkownik Bart de Wit.

Sledziło ich czterdzieści jeden par oczu. Brygadier stanął na przodzie, tuż obok telewizora. De Wit usiadł na jednym z dwóch pustych krzeseł. Brygadier powitał ich i życzył wszystkim szczęśliwego nowego roku. Po czym rozpoczął przemowę, ale detektywi słuchali go bez większej uwagi. Przyglądali się dowódcy, starając się wykorzystać swoją znajomość ludzkiej natury i umiejętność jej oceny. Od tego człowieka zależała ich zawodowa przyszłość.

Bart de Wit był niewysoki i szczupły. Czarne włosy na czole i czubku głowy mocno mu się przeredziły. Nos miał haczykowany, okraszony okazałym znamieniem w miejscu, gdzie stykał się z policzkiem. Wygląd dowódcy nie wywierał specjalnie imponującego wrażenia.

Przemowa brygadiera o zmianach w sytuacji i roli policji dobiegła końca. Przedstawił de Wita. Dowódca wstał, odchrząknął i wskazującym palcem potarł zamię.

- Koledzy, to wielki przywilej - powiedział głosem nosowym i tnącym jak elektryczna piła. Ręce złożył na plecach, cofnął ramiona i wyprostował się sztywno, jakby połknął kij. - Brygadier jest bardzo zapracowany i prosi o wybaczenie. - Uśmiechnął się do brygadiera, który ruszył do drzwi.

I tak zostali sami, nowy dowódca i jego żołnierze. Przyglądali się sobie badawczo, taksująco.

- Dobrze, koledzy, czas się zapoznać. Ja was już znam, bo skorzystałem z przywileju i przejrzałem wasze akta, ale wy nie znacie mnie. A dobrze wiem, że plotki o szefach rozchodzą się błyskawicą. Dlatego pozwolę sobie krótko się przedstawić. To prawda, że nie mam doświadczenia w pracy policji. Ale zawdzięczam to rasistowskiemu reżimowi. Studia policyjne rozpocząłem na uniwersytecie Unisa, przekonania polityczne uniemożliwiły mi jednak dalszy pobyt w ojczyźnie...

De Wit uśmiechnął się blado. Zęby miał lekko żółtawe, lecz równe. Każde jego słowo było krągłe i doskonałe.

- Na emigracji, na której znalazłem się z grupą męźnych patriotów, dostałem przywileju kontynuowania studiów. W 1992 znalazłem się w kontyngencji AKN, który przyjął ofertę szkoleniową Brytyjczyków. Ponad rok byłem w Scotland Yardzie.

De Wit rozejrzął się po sali, jakby czekał na oklaski. Ponownie potarł palcem znamię.

- A w ubiegłym roku prowadziłem tam badania na potrzeby doktoratu. Tak więc jestem niezłe obeznany ze stosowanymi obecnie na świecie najnowszymi metodami zwalczania przestępczości. I wy...

Palec oderwał się od brodawki i szybko zatoczył w powietrzu kwadrat obejmujący wszystkich obecnych.

- ...też skorzystacie z tych doświadczeń.

Kolejna okazja do oklasków. Cisza w sali aż dźwięczała.

Gerbrand Vos spojrzął na Jouberta. Jego usta bezgłośnie uformowały słowo „mężni patrioci”, oczy wzniosły się do nieba. Joubert pośpnie wpatrywał się w podłogę.

- To tyle, jeżeli chodzi o moje referencje. Koledzy, wszyscy boimy się zmian. Toffler pisał, że nie sposób przecenić ich wpływu na ludzką psychikę. Ale zmianą można zarządzać. Czego pierwszym przejawem niech będzie przedstawienie wam moich oczekiwań. Przygotowani na zmiany łatwiej się z nimi oswoicie...

Benny Griessel plasnął się dłonią w głowę nad uchem, jakby nie dowierzał temu, co słyszy. De Wit nie zauważył tego gestu.

- Koledzy, oczekuję od was tylko jednego. Sukcesu. Minister mianował mnie, kierując się określonymi wymaganiami. A ja chcę przyczynić się do tego, żeby te oczekiwania zaspokoić. - Dźgnął powietrze palcem wskazującym. - Spróbuję stworzyć klimat sprzyjający odnoszeniu sukcesów, za pomocą zdrowszych metod współczesnego zarządzania i szkoleń z zakresu najnowszych metod zwalczania przestępczości. A czego oczekuję od was? Co chciałbym otrzymać w zamian? Trzy sprawy...

Palec wskazujący zyskał dwóch wyciągniętych dramatycznie towarzyszy.

- Pierwsza to lojalność. W stosunku do służby i jej celów, wydziału i kolegów oraz do mnie. Druga to poświęcenie. Oczekuję wysokiej jakości i efektywności. Nie dziewięćdziesięciu procent, tylko całych stu. Tak, koledzy, my też musimy postawić sobie za cel zero defektów.

Detektywi powoli się odprężali. Nowy szef gadał po nowemu, ale przesłanie było stare jak świat. Oczekiwał tego samego, co poprzednicy. Więcej pracy za niezmiennie marną płacę. Co sprawdza się tak długo, jak długo tyłek chroni góra. A ten awans był ubezpieczony. Już do tego przywykli. Da się wytrzymać. Nawet, jeśli należał do AKN.

Joubert wyjął z kieszeni czerwoną paczkę winstonów i zapalił. Paru kolegów zrobiło to samo.

- Trzecia to zdrowie fizyczne i psychiczne. Koledzy, jestem głęboko przekonany, że zdrowe ciało to zdrowy duch. Zdam sobie sprawę, że na krótką metę ten pogląd nie przysporzy mi popularności, ale jestem gotów zaryzykować.

De Wit splótł ręce na plecach i wyprostował ramiona, jakby spodziewał się ataku.

- Każdy z was będzie musiał dwa razy w roku przejść badanie medyczne. Wyniki badań będą poufne. Jeśli jednak lekarz znajdzie jakieś... niedostatki, to oczekuję, że je poprawicie.

Rozplótł ręce. Dłonie wyciągnął przed siebie, jakby przygotowywał się do odparcia napaści.

- Wiem, wiem. Przeszedłem przez to w Yardzie. Zdam sobie sprawę, że niełatwo utrzymać dobrą kondycję. Zdam sobie też sprawę, że to stresująca praca i że pracujecie wiele godzin. Ale koledzy, im w lepszej będziecie formie, tym łatwiej będzie wam pokonywać przeszkody. Nie chcę czynić osobistych uwag, ale paru z was ma nadwagę. Są tacy, którzy palą i piją...

Joubert wpatrywał się w swojego papierosa.

- Ale razem stawimy temu czoło. Wspólnym wysiłkiem zmienimy styl życia, pomożemy wam pozbyć się złych nawyków. Pamiętajcie koledzy, że jesteście śmietanką służby, kreujecie jej wizerunek zarówno w policji, jak i na zewnątrz, jako jej ambasadorzy i wizytówki. I, co najważniejsze, utrzymywanie ciała i umysłu w dobrej kondycji to wasz obowiązek wobec siebie.

Kolejny moment lekkiego zawahania, przerwa na brawa. Joubert zgasił papierosa. Zauważył, że Vos chowa głowę w dłoniach. Vos nie palił, ale za to miał piwne brzuszysko.

- Dobrze - powiedział pułkownik Bart de Wit - załatwmy dzisiejsze przydziały. - Wyjął z kieszeni marynarki mały notes.

- Kapitan Marcus Joubert... Gdzie jest kapitan Joubert?

Joubert podniósł rękę.

- Trochę później spotkamy się formalnie, kapitanie. Marcus? Koledzy mówią na pana?...
 - Mat - odparł Joubert.
 - Jak?
 - Mat jak mata, inaczej dywanik - odpowiedział ktoś i kilku detektywów zaśmiało się cicho.
 - Mówią mi Mat - powtórzył głośniejszym głosem Joubert.
- De Wit go nie dosłyszał.
- Dziękuję, kapitanie. Bardzo dobrze, zespół wsparcia poprowadzi w nadchodzącym tygodniu kapitan Max Joubert. Dołączą do niego porucznik Leon Petersen, adiutanci Louw i Griessel, sierżant O'Grady, posterunkowi Turner, Maponya i Snyman. Powoli poznam was wszystkich, koledzy. W okresie świątecznym zespół prowadził kapitan Gerbrand Vos. Ma pan jakieś pytania, kapitanie?

ŻYCIE ZAWODOWE DETEKTYWA WYDZIAŁU MORDERSTW I KRADZIEŻY pozostawiało niewiele czasu na uzalanie się nad kolegą, który wpadł w kłopoty. Przyjmowano to ze zrozumieniem, jako coś, co może przydarzyć się każdemu. Z wdzięcznością, że przydarzyło się komuś innemu. I ze współczuciem, które trwało miesiąc albo dwa, a potem nieszczęśnika zaczynało postrzegać jak uwięzany do szyi kamień młyński, przeszkadzający w wypełnianiu obowiązków.

Ale dwóch detektywów z wydziału morderstw i kradzieży zachowało współczucie dla Mata Jouberta aż do tej pory - każdy z innego powodu.

Dla Gerbranda Vosa powodem tym była nostalgia. Bo obaj razem zaczęli pracę w wydziale, obaj w stopniu sierżanta. Dwie nowe świecące gwiazdy. Willie Theal pozwalał im rywalizować, dążyć do nowych zaszczytów, ale awansował ich zawsze razem: na adiutanta, a potem porucznika. W służbie stali się ogólnokrajową legendą. Gdy razem awansowali na kapitana, wychodząca na Przylądku afrykanerska gazeta „Die Burger” poświęciła im rozkładówkę, a w niej godny przytoczenia fragment. Zawsze razem. Młoda dziennikarka była wyraźnie pod ich wrażeniem. „Kapitan Vos to ekstrawertyk, olbrzym o twarzy anioła, z dołeczkami w policzkach i niebieskimi jak u lalki oczami. A małowymny kapitan Mat Joubert jest jeszcze potężniejszy, jego barki ledwie mieszczą się w drzwiach, a brązowe jastrzębie oczy przewiercają człowieka na wskroś”, napisała dramatycznie.

A potem zmarła Lara i Vos pogodził się z tym, że przyjaciel nie chce już rywalizować. Czekał, aż Joubert dopełni żałoby. Gerbrand Vos nadal czekał.

Joubert ślezczał właśnie nad pierwszą teczką akt tego poranka. Siedemnaście kolejnych leżało w trzech stertach na jego biurku - żółto-szare, wyznaczające rytm jego życia te czki. Dosłyszał kroki Vosa na szarych płytkach podłogowych korytarza. Nie zatrzymały się przy sąsiednich drzwiach. Po chwili przyjaciel stał już w jego pokoju i mówił ściszym głosem, jakby obawiał się, że w pobliżu czai się de Wit.

- Wpadliśmy po uszy w głębokie szambo - powiedział. Gerbrand Vos posługiwał się językiem jak tęnym narzędziem.

Joubert skinął głową. Vos usiadł na jednym z niebieskoszarych krzesel.

- Mężni patrioci. Mężni patrioci! Jezu, aż mnie mdli. I ten Scotland Yard. Co oni tam w Scotland Yardzie wiedzą o Afryce, Mat? I ci „koledzy” przez cały czas. Co to za szef, co zwraca się do ludzi per „koledzy”?

- Jest nowy, Gerry. Dotrze się.

- Chce się z nami widzieć. Zatrzymał mnie w barze i oświadczył, że chce się z nami spotkać. Mam być u niego... - Vos spojrział na zegarek... - właściwie już. A ty zaraz po mnie. Musimy trzymać się razem, Mat. Jesteśmy najstarsi rangą. Nie ma co czekać, trzeba się z miejsca rozprawić z tym dupkiem. Słyszałeś tę gadkę o sprawności fizycznej? Już widzę, jak się co rano gimnastykujemy na parkingu.

Joubert uśmiechnął się lekko. Vos wstał.

- Zadzwoń do ciebie, jak od niego wyjdę. Tylko pamiętaj: jesteśmy braćmi. Nawet jeśli nie jesteśmy pieprzonymi męznymi patriotami.

Trzydzieści pięć minut później Vos ponownie wszedł do jego pokoju.

- Wszystko w porządku, Mat, nie było tak źle - stwierdził. - Czekam na ciebie. W gruncie rzeczy to całkiem przyjazny i miły facet.

Joubert westchnął, włożył marynarkę i ruszył korytarzem.

Gdy zapukał i poproszono go do środka, zauważył, że pułkownik Bart de Wit urządził przejety po Thealu gabinet po swojemu.

Ze ścian zniknęły grupowe zdjęcia detektywów, z podłogi brudny zielony dywan, a z kąta rachityczna doniczkowa roślina. Na świeżo pomalowanych białych ścianach wisiały teraz trzy dyplomy. Podłogę pokrywał niebieski policyjny dywan, w kącie stał niski stolik, a na nim niewielka tabliczka z napisem „Dziękuję za niepalenie”. Na biurku stała składana ramka z czterema zdjęciami: uśmiechniętej kobiety w

okularach z grubymi oprawkami, kilkunastoletniego chłopca o nosie ojca i nastolatki w okularach jak matka. Czwarte zdjęcie przedstawiało de Wita oraz ministra ładu i porządku publicznego.

- Proszę siadać, kapitanie. - De Wit wskazał niebieskoszare krzesło. Sam też usiadł. Nie przestawał się uśmiechać.

Otworzył leżącą przed nim grubą personalną teczkę.

- Jak pan powiedział? Że mówią do pana Max?

- Mat.

- Mat?

- Od moich iniejałów, pułkownika. Na chrzcie dano mi Marcus Andreas Tobias. M.A.T. Mój ojciec tak do mnie mówił - wyjaśnił cierpliwie cichym głosem.

- Ach tak. Pański ojciec. Widzę, że też pracował w policji.

- Tak, pułkownika.

- Nie awansował na oficera?

- Nie, pułkownika.

- Uhm.

Na chwilę zapadła krępująca cisza, po czym de Wit uniósł teczkę.

- Nie mam zwyczaju ukrywać tego, co myślę, kapitanie. Nie miałem kiedyś, gdy chodziło o moje poglądy polityczne, i nie mam teraz, w pracy. Więc będę z panem szczerzy do bólu. Nie najlepiej pan sobie radzi. Odkąd umarła pańska żona.

Uśmiech na twarzy de Wita nie przystawał do powagi jego głosu. Wprawiało to Mata w zakłopotanie.

- Też służyła w policji, prawda?

Joubert skinął głową. I zaczął się zastanawiać, co jeszcze wie ten facet za biurkiem. Napiął w obronnym odruchu mięśnie brzucha i na wszelki wypadek jeszcze bardziej zamknął się w sobie.

- Zginęła na służbie?

Joubert znowu skinął głową, czując, jak serce bije mu szybciej.

- Cóż za tragedia. Ale z całym szacunkiem, kapitanie, od tamtej pory niezbyt dobrze panu się wiedzie... - Znów spojrzął w papiery. - Mamy tu poważną naganę i dwie petycje siedmiu podoficerów. Spadek rozwiązywalności przestępstw...

Joubert gapił się na zdjęcie de Wita z ministrem, o pół metra wyższym. Obydwaj uśmiechali się szeroko. Zdjęcie było ostre. Widać było nawet znamię.

- Chce pan coś powiedzieć, kapitanie? - Uśmiech na twarzy de Wita wytrącał Jouberta z równowagi.

- Wszystko jest w aktach, pułkowniku.
- Sankcja dyscyplinarna - przeczytał de Wit. - Sprawa Wassermana. Odmówił pan złożenia oświadczenia... - Czekał na reakcję Jouberta. Cisza stawała się coraz bardziej ciężka.

- Wszystko jest w aktach, pułkowniku. Nie złożyłem oświadczenia, bo oświadczenie adiutanta Potgietera dostatecznie wszystko wyjaśniało.

- Zatem przyznał się pan do niewłaściwego zachowania.
- Zgodnie z definicją, tak, pułkowniku.
- A te dwie petycje siedmiu podoficerów, którzy prosili, żeby ich nie przydzielać do pańskiego oddziału wsparcia?

- Nie mam im tego za złe, pułkowniku.

De Wit rozparł się w fotelu jak panisko.

- Podoba mi się pańska szczerłość, kapitanie.

Joubert nie mógł się nadziwić, jakim cudem ten człowiek może jednocześnie uśmiechać się i mówić.

- Ale nie wiem, czy to wystarczy, żeby pana uratować. Widzi pan, kapitanie, mamy Nową Afrykę Południową. Wszyscy musimy się przyłożyć. Podciągnąć się albo wymustrować. Na awans czeka mnóstwo ludzi z pokrzywdzonych warstw społecznych. W służbie policyjnej też. Nie możemy, kierując się sentymentem, przetrzymywać w kajutach oficerskich balastu. Rozumiemy się?

Joubert skinął głową.

- I jeszcze kwestia mojego mianowania. Znajduję się pod ogromną presją. Nie tylko ja, cały nowy rząd. Wszyscy tylko czekają na nasze błędy. Białym w smak będą błędy czarnego rządu, będą mogli powiedzieć: „A nie mówiliśmy”. - De Wit się pochylił. Uśmiechnął się szerzej.
- Ale żadnych błędów nie będzie. Rozumiemy się?

- Tak, pułkowniku.

- Podciągnąć się albo wymustrować.

- Tak, pułkowniku.

- Niech pan sobie zada pytanie, kapitanie: jestem zwycięzcą? Jeśli pan jest, zawsze będzie pan tu mile widziany.

- Tak, pułkowniku.

De Wit westchnął głęboko, nie przestając się uśmiechać.

- Pańskie pierwsze badanie lekarskie odbędzie się jutro o czternastej. I jeszcze jedno: policja podpisała umowę z dwoma psychologami, są ludzie, którzy potrzebują pomocy. Dałem im znać o panu. Odezwią się. Może jutro. Miłego dnia, kapitanie.

Rozdział 4

BANK PREMIER ROZPOCZĄŁ DZIAŁALNOŚĆ siedemdziesiąt pięć lat temu jako kasa budowlana, ale usługi tego rodzaju wyszły już z mody.

Tak więc, śladem innych instytucji finansowych, rozszerzył nieco swój profil. Teraz jego klienci mogli tonąć nie tylko w kredytach mieszkaniowych, ale również w debetach na kontach, ratach i wszelkich innych możliwych do pomyślenia instrumentach, służących wyciskaniu odsetek ze współczesnego człowieka.

Na przeciętnego klienta czekał w nim Plan Rubinowy, z książeczką czekową w barwach wrzosu i szarości, na której widniał czerwony kamień szlachetny. Klienci o wyższych dochodach i długach kwalifikowali się do Planu Szmaragdowego - i kamienia zielonego. Ale bank nade wszystko pragnął, żeby wszyscy dążyli do Planu Diamentowego.

Gdy Susan Ploos van Amstel ujrzała zmierzającego w stronę jej kasjerskiego okienka atrakcyjnego blondyna w okularach o złotych oprawkach, pięknie opalonego i ubranego w stalowoszary garnitur, od razu rozpoznała klienta Planu Diamentowego.

Susan była pulchna, miała trzydzieści cztery lata, trójkę dzieci spędzających popołudnia w szkolnej świetlicy i męża spędzającego wieczory w garażu, gdzie majsterkował przy starym fordzie. Blondyn uśmiechnął się i od razu poczuła się młodsza. Jego zęby zaśniły nieskazitelną bielą. Rysy miał drobne, ale mocne. Wyglądał jak filmowy gwiazdor. Czterdziestoletni filmowy gwiazdor.

- Dzień dobry panu. W czym mogę pomóc? - Wyczarowała swój najpiękniejszy uśmiech.

- Dzień dobry - odparł głosem głębokim i silnym. - Powiedziano mi, że w tym oddziale pracują najładniejsze kasjerki na całym Przylądku. Widzę, że to prawda.

Susan zaczerwieniła się i spuściła wzrok. Chłoneła każdą chwilę.

- Złotko, oddasz mi wielką przysługę?

Spojrzała na niego. Chyba nie ma na myśli nic nieprzyzwoitego?

- Oczywiście, proszę pana. Z przyjemnością.

- Och, co za nieostrożne słowa, kochanie, doprawdy nierozważne.

- Jego głos był pełen wieloznaczności.

Susan zachichotała i spurpurowiała jeszcze bardziej.

- Ale odłóżmy to na inną okazję. A na razie, może zechciałybyś wyciągnąć jeden z tych dużych worków bankowych i nappełnić go banknotami, powiedzmy od pięćdziesiątek w górę? Pod marynarką mam duży stary pistolet... - rozchylił ją nieznacznie i Susan dojrzała kolbę broni - ...a wolałbym z niego nie korzystać. A ty wyglądasz na ładną i rozsądną dziewczynę. Pomóż mi szybko, a zniknę, nim wydarzy się coś okropnego. - Wciąż mówił spokojnie, gawędziarskim tonem.

Susan czekała na uśmiech, obracający słowa w żart. Ale się nie doczekała.

- Pan nie żartuje.

- Oczywiście, że nie, złotko.

- Dobry Boże.

- Tak, złotko, ładne duże banknoty.

Susan zaczęły trząść się ręce. Przypomniała sobie szkolenie: nadepnij przycisk alarmu znajdujący się na podłodze. Nogi miała jak z galarety. Machinalnie wyjęła płócienny worek. Otworzyła szufladę z pieniędzmi, zaczęła pakować banknoty. Nadepnij.

- Rozkoszne perfumy. Jak się nazywają? - zapytał swoim pięknym głosem.

- Królewska Tajemnica - odparła i znów się zarumieniła, mimo okoliczności. Więcej pięćdziesiątek nie miała. Podała mu worek. Nadepnij.

- Jesteś wspaniała. Dziękuję. Powiedz mężowi, żeby cię dobrze pilnował. Bo jeszcze ktoś mu cię skradnie. - Uśmiechnął się szeroko, wziął worek i wyszedł.

Gdy znalazł się za szklanymi drzwiami, Susan Ploos van Amstel nacisnęła palcem nogi guzik alarmu.

- **T**O MOGŁA BYĆ PERUKA, ale sporządzimy portret pamięciowy - powiedział Mat trójce reporterów.

Sam zajął się dochodzeniem w sprawie kradzieży w Premier, bo jego ludzie rozjechali się, jedni na północ miasta, gdzie zamroczony skażonym spirytusem bezdomny spalił kumpla; inni do Brackenfell, gdzie z bronią w rękę obrabowano sklep rybny, jeszcze inni do Mitchells Plain, gdzie czternastoosobowy gang zgwałcił trzynastolatkę.

- Tylko siedem tysięcy randów. To jakiś amator - oceniła reporterka z „Cape Argus” i zaczęła ssać długopis.

Joubert nie odpowiedział. To najlepszy sposób na media. Zerknął przez szklane drzwi do biura kierownika, gdzie Susan Ploos van Amstel opowiadała swoją historię rosnącemu gronu klientów.

- Złodziej Złotko. Może wyjść z tego całkiem przyjemna opowiadka. Myśli pan, że spróbuje ponownie, kapitanie? - zapytał facet z „Die Burger”.

Joubert wzruszył ramionami.

Reporterzy więcej pytań nie mieli. Pożegnali się i sobie poszli. Joubert usiadł. Za chwilę powinni się zjawić ludzie od portretów.

WRACAŁ DO DOMU SŁUŻBOWĄ NIEBIESKĄ SIERRA, bo tej nocy miał być na wezwanie. Po drodze zatrzymał się przy antykwariacie na ulicy Koeberg. W drzwiach stał Billy Wolfaardt.

- Czołem, kapitanie. Co tam w przestępstwach?

- Wciąż to samo, Billy

- Przyszły dwie nowe książki Bena Bovasa. Ale zdaje mi się, że już je masz.

Joubert podszedł do regałów z fantastyką naukową.

- I nowy William Gibson.

Joubert przebiegł palcem wzdłuż grzbietów książek. Billy Wolfaardt odwrócił się i podszedł do kasy przy drzwiach. Wiedział, że z kapitanem nie utnie dłuższej pogawędki.

Joubert zerknął na książki Bovasa, odłożył je na półkę, wziął Gibsona i zapłacił. Pożegnał się i odjechał, w drodze do domu kupił kurczaka kentucky.

Pod drzwiami znalazł wciśniętą kopertę. Zaniósł ją do kuchni razem z książką i kurczakiem.

Kopertę zdobył pastelowy rysunek kwiatów. Joubert położył resztę rzeczy, wyjął z szuflady nóż i ją rozciął. W środku był złożony na pół

arkusik z tym samym kwiatowym motywem. Liścik pachniał słodko i znajomo. Perfumami. Rozłożył kartkę: charakter pisma kobiecy, z imponującą liczbą zawijasów. Przeczytał:

„Gorący uścisk mojego pragnienia
Rozpali w Tobie najgorętszy płomień
Skosztuj mnie, dotknij, weź, przyszpil jak motyla
Piękny mój kochanku, czy nie widzisz, że z miłości umieram”.

Liścik był niepodpisany. Podpis stanowiły perfumy. Rozpoznał zapach.

Usiadł przy kuchennym stole. Czemu się nim zabawiała? Nie potrzebował kolejnej takiej nocy jak ostatnia.

Przeczytał list ponownie. Krzywe linijki przywołały wizję - Yvonne Stoppberg, leży pod nim młode nagie ciało, na pełnych krągłych piersiach błyszczą kropelki potu...

Wrzucił wiersz i kopertę do pojemnika na śmieci i mrużąc coś pod nosem, poszedł do pokoju. Nie chciał kolejnej takiej nocy. Nie dałby rady. Rzucił krawat na łóżko, wrócił po książkę i usiadł w salonie.

Nie mógł się skoncentrować. Po siedmiu nerwowych stronach wyciągnął liścik z kosza i przeczytał jeszcze raz, zły na siebie, że uległ.

Może zadzwonić do niej? Wypadałoby podziękować.

Nie.

Może odebrać jej ojciec, a on nie chciał niczego rozpętać.

Ale tylko podziękować.

A myślał, że pragnienie wygasło. Nie dalej jak wczoraj o tej samej porze był o tym święcie przekonany.

Zadzwonił telefon. Joubert poderwał się i poszedł do sypialni.

- Joubert.
- Kontrola radiowa, kapitanie. Doszło do wymiany ognia pod hotelem Holiday Inn w Newlands. Zginął biały mężczyzna.
- Już jadę.

Rozdział 5

DRUGIM KOLEGĄ, KTÓRY NIE MACHNAŁ RĘKĄ NA MATA JOUBERTA, był sierżant Benny Griessel.

Bo Griessel, choć taki niby-cynik, pił jak szewc. I doskonale rozumiał wycofanie się przyjaciela. Wiedział, że to cena, jaką płaci za pracę detektywa od morderstw i kradzieży, dla którego śmierć jest nieodłączną towarzyszką i źródłem utrzymania.

Przez rok z okładem obserwował, jak Joubert zapada się coraz głębiej w ruchome piaski depresji i użalania się nad sobą - i nie bardzo umie wyciągnąć się za włosy. Ale powiedział sobie: lepsze to niż flaszka. Bo Benny Griessel dobrze wiedział, co to flaszka. Pozwalała mu zapomnieć o nieodstępującej ich śmierci, ale spowodowała, że żona i dwójka dzieci zwiali gdzie pieprz rośnie, byle jak najdalej od ordynarnego, posuwającego się do rękoczynów pijaka, który w sobotnie wieczory robił z ich życia piekło. A później też w większość pozostałych wieczorów w tygodniu.

Nie, już lepiej mieć depresję.

Griessel pierwszy dotarł na miejsce zbrodni. Był mężczyzną średniego wzrostu, o słowiańskiej twarzy, ze złamanym nosem, którą okalały czarne, zwykle przydługie włosy. Miał na sobie wymięty niebieski garnitur.

Joubert przepchnął się przez tłum gapiów, przeszedł schylony pod żółtą taśmą, bo mundurowi odgradzili miejsce zbrodni, i podszedł do Griessela; sierżant nieco na uboczu rozmawiał z młodym jasnowłosym chłopakiem. Mundurowi okryli ciało kocem. Nieforemny tłumok leżał w cieniu stalowobłękitnego bmw.

- Kapitanie - powitał go Griessel. - To właśnie pan Merryck znalazł ofiarę i zadzwonił na posterunek. Z hotelowej recepcji.

Joubert wyczuł w oddechu Griessela zapach alkoholu. Spojrzał na Merrycka, zobaczył złote oprawki okularów i rzadkie wąsy. Do jego brody przylepiła się odrobina wymiocin. Zwłoki nie wyglądają chyba najlepiej.

- Pan Merryck jest gościem hotelu. Zaparkował tam i właśnie miał zamiar wejść, gdy zobaczył ciało.

- Straszny widok. Odrażający - poskarżył się Merryck. - Ale musiałem spełnić swój obowiązek.

Griessel poklepał go po ramieniu. - Może pan już iść. Jeśli będziemy pana potrzebować, wiemy, gdzie pana szukać - powiedział bezbłędną angielszczyzną. Podeszli z Joubertem do ciała. - Fotograf jest w drodze. Poprosiłem też, żeby przyjechali tu patolog, spec od medycyny sądowej i ludzie od odcisków. Pozostali czekają w pogotowiu. To biały - wyjaśnił Griessel i odchylił koc.

Między wytrzeszczonymi oczami zobaczyli małe, wypełnione krwią jeziorko. Nienagannie symetryczne i ziejące szyderstwem.

- Spójrz na to - sapnął Griessel i bardziej odchylił koc.

Joubert zobaczył kolejną ranę, krwawiącą czarnoczerwoną dziurę w klatce piersiowej, pod przestrelonym eleganckim garniturem, koszulą i krawatem.

- Jezu - wydusił Mat Joubert, rozumiejąc, dlaczego Merryck zwymiotował. - Niezły kaliber.

- A jakże - odparł Griessel. - Armata.

- Sprawdź kieszenie - polecił Joubert.

- To nie kradzież - odezwali się niemal jednocześnie, dostrzegając na nadgarstku złoty zegarek. Obaj wiedzieli, że to strasznie komplikuje sprawę.

Dłoń Jouberta przesunęła się szybko nad martwymi oczami, zamykając powieki. Zmarły leżał w bezbronnej, charakterystycznej dla wszystkich zwłok pozycji, z rękoma i ramionami złożonymi na wieczność, które już nigdy nie miały osłonić twarzy, tego zwierciadła życia, przed ciosem. Zmusił się do skupienia na pracy.

Za nimi rozległy się głosy. Przyjechali koledzy z wydziału i ze wszystkimi się witali. Joubert wstał. Podeszli zobaczyć ciało. Griessel odsunął ich, bo zasłaniali blade światło ulicznych latarni.

- Bierzcie się do roboty. Przeszukajcie cały teren. Centymetr po centymetrze.

Marudzili, jak zwykle, ale posłusznie zabrali się do pracy, wiedząc, jak ważne jest pierwsze przeszukanie. Griessel szperał ostrożnie w kieszeniach zmarłego. Wyłowił książeczkę czekową i kluczyki do samochodu. Podniósł się i rzucił kluczyki adiutantowi Basiemu Louwowi.

- Są od bmw. Sprawdźcie to stojące tutaj.

Otworzył książeczkę czekową, w szarej skórzanej okładce.

- Mamy nazwisko - powiedział. - J. Wallace. I adres. W Constantii, Oksford Street 96.

- Kluczyki pasują - oznajmił Louw i wyjął je ostrożnie z zamka, żeby nie zostawić odcisków.

- Bogaty gnojek- zmartwił się Griessel. - Znów trafimy na pierwsze strony gazet.

Młody policjant Gerrit Snyman znalazł pod stojącym obok samochodem łuskę.

- Kapitanie! - zawołał podekscytowany, jak to żółtodziób. Joubert i Griessel podeszli do niego. Snyman oświetlił łuskę latarką. Joubert zgarnął ją i podniósł do światła. Griessel nachylił się i odczytał numery.

- Siedem, przecinek, sześćdziesiąt trzy.

- Niemożliwe. To krótki nabój. Pistoletowy.

- Tutaj. Sam zobacz. Siedem, przecinek, sześć... trzy. Chyba tak.

Niezbyt dobrze wybito.

- Pewnie sześć dwa.

Benny Griessel spojrział na Jouberta.

- Aha. A to oznacza tylko jedno.

- Tetetka - westchnął Joubert.

- Brawo - mruknął Benny. - Pieprzona polityka.

Joubert ruszył w stronę służbowego wozu.

- Dzwonię po pułkownika.

- De Wita? Przecież wyrzyga sobie pieprzony żołądek. - W świetle latarni zabłysł srebrzyście jego uśmiech.

Joubert zapomniał na chwilę, że Willie Theal już nie pojawi się na miejscu zbrodni. Poczul, jak narasta w nim przygnębienie niczym wpełzająca na ścianę plama wilgoci.

DOM PRZY OXFORD STREET BYŁ DUŻY, jednopiętrowy i stał na olbrzymiej działce. Ogród, bujny i zadbany, robił imponujące wrażenie nawet po ciemku.

Dzwonek zabrzmiał krótko gdzieś w głębi domu, przebijając się przez odgłosy płynące z telewizora. Mijały sekundy. Kończy się beztrocki czas domowników, pomyślał Joubert. U drzwi stali aniołowie śmierci. Z wiadomością, która niczym pasożyt wyssie z ich życia radość i spokój.

Drzwi otworzyła kobieta, rozdrażniona, z drobną zmarszczką między nachmurzonymi brwiami. Długie, gęste, kasztanowe włosy, odgarnięte na jedno ramię, zakrywały ramiączko fartuszek w żółte wzory, przyciągając ich wzrok. Nie patrzyli jej w oczy. Głos miała melodyjny i poirytowany.

- W czym mogę panom pomóc?

- Pani Wallace? - zapytał. Wtedy zauważył, jak niezwykle ma oczy. I Griessel też. Były różnokolorowe, jedno jasnoniebieskie, a drugie brązowe, ni to ciemne, ni to jasne. Joubert starał się na nie nie gapić.

- Tak - powiedziała, wiedząc już, że to nie domokrażcy. Strach przemknął cieniem przez jej twarz. - Chodzi o Jamesa, prawda?

Za nią pojawił się dziesięcioletni chłopiec.

- Co się dzieje, mamusiu?

Obejrzała się zmartwiona.

- Jeremy, idź, proszę, do swojego pokoju. - Jej głos był cichy, ale stanowczy. Chłopiec się odwrócił. Spojrzała na detektywów.

- Jesteśmy z policji - wyjaśnił Joubert.

- Może lepiej, żeby panowie weszli - odparła i zdejmując fartuch, otworzyła szeroko drzwi.

Pani Margaret Wallace płakała pokonana bezsilną rozpaczą, z rękoma na kolanach i lekko pochylonymi ramionami. Łzy spadały na żółtą wełnę letniego sweterka i zalśniły w jaskrawym świetle z żyrandola w salonie.

Joubert i Griessel wpatrywali się w dywan. Joubert w końcu odebrał od niego spojrzenie i przeniósł je na rzeźbioną nogę stolika. Marzył, żeby już znaleźć się we własnym fotelu, z książką na kolanach i piwem w ręce.

Korytarzem nadszedł chłopiec, a za nim dziewczynka, gdzieś osmioletnia, dziesięcioletnia.

- Mama? - głos chłopca był cichy i wystraszony.

Margaret Wallace wyprostowała się i otarła dłonią twarz. Wstała z godnością.

- Przepraszam.

Wzięła dzieci za ręce i poprowadziła je korytarzem. Zamknęły się za nimi drzwi. Zapadła ogłuszająca cisza. Potem usłyszeli płacz. I znów zaległa cisza.

Nie patrzyli na siebie, bo byłoby to jak przyznanie się.

W końcu wróciła. Mężnie wyprostowała ramiona, jakby ciałem chciała zapanować nad emocjami. Ale wiedzieli swoje.

- Muszę zadzwonić do matki. Mieszka w Tokai. Pomoże mi przy dzieciach. Pewnie mają panowie dużo pytań. - Jej głos był wyprany z uczuć jak głos lunatyka.

Joubert chciał jej powiedzieć, że przyjadą później, że zostawiają samą z jej bólem. Ale nie dał rady. Po kilku minutach oznajmiła:

- Moja matka już jedzie. To silna kobieta. Mój tata... Poprosiłam gosposię, żeby zrobiła nam herbatę. Napijcie się, panowie, herbaty?

- Dziękujemy, ale... - zachrypiął Joubert. Odchrząknął.

- Jeśli panowie pozwolą, do czasu przyjazdu matki zostanę z dziećmi. - Nie czekając na odpowiedź, zniknęła w korytarzu.

Odezwało się kieszonkowe radio Jouberta. Spojrzał na wiadomość na ekranie: „Zadzwoń do ad. Louwa”. Dołączono do niej numer telefonu.

Louwa i trzech innych detektywów wysłał do hotelu, bo pokoje wychodziły na parking. Już po tym, jak patolog wymamrotał nad ciałem swoje zaklęcia. A przed tym nim pojawił się Bart de Wit i zwołał konferencję dla mediów w sprawie morderstwa, o którym nic nie wiedzieli. Kiedy tylko się rozpoczęła, umknął z Bennym na Oxford Street.

- Ten facet to pajac - stwierdził Benny w drodze. - Nie utrzyma się długo.

Joubert zastanawiał się, czy podoficerów też wzywał pojedynczo na rozmowę. I czy wiedział o alkoholizmie Griessela.

- Basie mnie szuka - powiedział, przerywając przygnębiającą ciszę i wstał. Poszedł do pokoju, z którego wcześniej dzwoniła Margaret Wallace. Usłyszał, jak gosposia w kuchni pobrzękuje porcelaną.

Pokój wyglądał na gabinet. Pośrodku biurko z komputerem i telefonem. Przy ścianie naprzeciwko drzwi biblioteczka, na niej teczki z papieryskami, kilka książek o biznesie i kilka roczników „Reader's Digest” w pretensjonalnej twardej oprawie ze sztucznej skóry. Ścianę

przy drzwiach pokrywały zdjęcia i dyplomy. Wisiał też na niej duży rysunek podpisany przez miejscowego karykaturzystę. Przedstawiał Jamesa Wallace'a - gęste, czarne włosy, bujne wąsy, lekko wydeptę policzki; eleganckie ubranie. W jednej ręce trzymał teczkę z logo Wallace Quickmail. W drugiej ścisnął kij do krykieta, z napisem „Krykiet ZP”.

Joubert wybrał numer. Odezwął się hotel. Poprosił o przywołanie Basiego i czekał.

- Kapitanie?
- Tak, Basie.
- Znaleźliśmy kogoś, kapitanie. Kobieta, blondynka. Twierdzi, że Wallace był u niej w pokoju. Ale jej nie przesłuchaliśmy. Czekamy na pana.
- Możesz z nią zostać? Tutaj się nam jeszcze trochę zejdzie.
- Nie ma problemu, kapitanie. - odparł ochoczo Louw. - I znaleźliśmy drugą łuskę. Pod ciałem.

Wychodząc z gabinetu, Joubert znów rzucił okiem na rysunek na ścianie. Pomyślał, że błahość życia jest nie mniej smutna od ostateczności śmierci.

- Założył własną firmę - powiedziała Margaret Wallace. Przysiadła na podłokietniku dużego, wygodnego fotela, z rękoma na kolanach; głos miała równy, wyważony, kontrolowany. - Zdobył kontrakt na doręczanie rachunków miejskich. Z początku było ciężko. Musiał sprowadzić ze Stanów maszynę do adresowania i komputer, ale w tamtych czasach listy do kopert wkładało się ręcznie, i tak też się je zaklejało. Pomagałam mu. Pracowaliśmy nocami. Często. Dwa lata temu siedemdziesiąt procent udziałów sprzedał Promail International, ale zostawili oryginalną nazwę firmy. Jest w zarządzie firmy, doradza im.

Joubert zauważył, że wciąż mówi o mężu w czasie terażniejszym. Wiedział, że jutro, po nocy, to się zmieni.

- Pani mąż angażował się w politykę?
- Politykę? - powtórzyła Margaret Wallace, nie rozumiejąc pytania.
- Czy pan Wallace należał do jakiejś partii politycznej? - zapytał Griessel.
- Nie, on... - jej głos się załamał. Czekali. - Był... apolityczny. Nawet nie głosował. Mówił, że wszyscy politycy są tacy sami. Chodzi im tylko o władzę. Nie w głowie im troska o ludzi. - Zmarszczka między jej brwiami się pogłębiła.

- Udzielał się w społecznościach miejskich? Pomocy socjalnej?
- Nie.
- A jego firma?
- Nie.

Joubert zmienił temat.

- Czy wiadomo pani o jakichś napięciach w pracy?
- Pokręciła lekko głową i kasztanowe włosy zafalowały.
- Nie.

Różnobarwne oczy zamrugały. Usiłuje nie stracie panowania nad sobą, pomyślał Joubert. Pomógł jej:

- Jesteśmy przekonani, że musi istnieć logiczne wyjaśnienie tego strasznego zdarzenia, pani Wallace.
- Kto mógł coś takiego zrobić? Mało mieliśmy w tym kraju śmierci i zniszczenia? James nie był doskonały, ale...

- To mógł być wypadek, pani Wallace. Albo napad rabunkowy. Zwykle motywem są pieniądze - powiedział Griessel.

Albo seks, pomyślał Joubert. Ale ten temat musiał poczekać.

- Może wie pani o kimś, kto winien był pani mężowi pieniądze? Albo o innych jego przedsięwzięciach, umowach...

Znów pokręciła głową.

- James był taki odpowiedzialny w sprawach finansowych. Nawet hazardu nie uprawiał. W zeszłym roku pojechaliśmy z ludźmi z Promail do Sun City. Zabrał ze sobą pięć tysięcy randów i powiedział, że jak to przegra, to ani grosza więcej. I dotrzymał słowa. Dom nie jest obciążony hipoteką, dzięki Ci, dobry Boże...

Griessel odchrząknął.

- Byliście państwo szczęśliwym małżeństwem - stwierdził.

Margaret Wallace spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

- Tak, tak myślę. Dochodziło do zwykłych małych sprzeczek. James uwielbia krykiet. I nieraz wraca do domu trochę podchmielony po nocy z kolegami. I czasem mnie to złości. Przypuszczam, że bywam marudna. Ale nasze małżeństwo układa się, na swój dziwny sposób. Dzieci... teraz nasze życie obraca się wokół dzieci. - Spojrzała w stronę sypialni, gdzie funkcję pocieszycielki spełniała teraz jej matka.

Zapadła niezręczna cisza. Przerwał ją Joubert. Pomyślał, że jego głos brzmi sztucznie i zanadto ocieka współczuciem.

- Pani Wallace, zgodnie z prawem musi pani dokonać identyfikacji zwłok męża w kostnicy...

- Nie dam rady - wyszeptła i jej oczy nabrzmiały łzami.
 - Jest ktoś, kto by panią zastąpił?
 - Może ktoś z pracy. Walter Schutte. Dyrektor naczelny. - Podalała im numer telefonu.
 - Zadzwoń do niego.
- Wstali. Ona też, niechętnie, świadoma, że czeka ją długa noc.
- Jeśli cokolwiek możemy zrobić... - powiedział Griessel i zabrzmiało to szczerze.
 - Poradzimy sobie - odparła Margaret Wallace i znów zaczęła gorzko płakać.

BŁONDYNKA SIEDZIAŁA NA JEDNYM Z FOTELI W hotelowej sypialni. Nazywała się Elizabeth Daphne van der Merwe.

Na drugim fotelu siedział Joubert. Griessel, Louw i O'Grady przypnęli na krawędzi dużego podwójnego łóżka; z założonymi ramionami wyglądali jak ława sędziowska.

Była farbowaną blondynką o słomkowym odcieniu. Twarz miała pociągłą, oczy duże, brązowe, długie rzęsy, nos mały i delikatny. Łzy nakreśliły tuszem do rzęs smugi na jej policzkach. Ale Lizzie van der Merwe nie mogła uchodzić za piękność z powodu nieładnych ust, umieszczonych zbyt nisko i o za małej dolnej wardze. No i te wystające zęby. Była wysoka i smukła, pod białą bluzką rysowały się małe, sterzące piersi. Szczupłe biodra opasywała czarna minispódniczka, szczerze odsłaniająca nogi w kremowych pończochach i eleganckich butach na obcasach.

- Gdzie poznała pani zmarłego? - Głos Jouberta był wyprany z choćby odrobiny współczucia, a słowa starannie dobrane.

- Poznałam go dzisiejszego popołudnia... - Zawahała się i spojrzała na nich. Wpatrywali się w nią wszyscy, ich twarze niczego nie wyrażały. Zatrzepotała długimi rzęsami. Nikt nie zareagował.

- Pracuję dla Zeus Computers. W Johannesburgu. Zadzwoń mi w zeszłym tygodniu. Mamy nową ofertę... James... hm... Pan Wallace... Skierowali mnie do niego. Jest doradcą firmy od spraw komputerowych. Przyleciałam dziś rano. O jedenastej byłam umówiona na spotkanie. Potem zabrał mnie na lunch... - Popatrzyła na nich, szukając współczucia.

Czekali w milczeniu. Znów zatrzepotała rzęsami. Jej dolna warga zadrżała i odsłoniła dwa przednie zęby, które dotychczas starała się ukrywać. Joubertowi zrobiło się jej żal.

- A potem? - zapytał łagodnie. Uczepiła się z nadzieją tonu jego głosu i utkwiała w nim duże oczy.

- On... Piliśmy wino. Dużo wina. I rozmawialiśmy. Powiedział, że jest bardzo nieszczęśliwy w małżeństwie... Żona go nie rozumie. Coś między nami zaiskrzyło. Tak dobrze się rozumieliśmy. To Baran. Ja jestem Panna.

Joubert zmarszczył brwi.

- Mówię o znakach zodiaku...

Zmarszczka zniknęła.

- Potem przyszedliśmy tu. Zarezerwowałam pokój, bo przyjechałam na kilka dni. Jutro mam kolejne spotkanie. Z kimś z innej firmy. Wyszedł po szóstej. Nie wiem, o której dokładnie. Wtedy widziałam go ostatni raz.

Rzęsy znów zadrżały i nakreślona tuszem linia pociemniała. Basie Louw odchrząknęła.

- Do czego doszło tutaj? W tym pokoju?

Rozszlochała się.

Czekali.

Wstała i poszła do łazienki. Słyszeli, jak wydmuchuje nos. I wodę płynącą z kranu. Cisza. Potem znów wydmuchiwany nos. Wróciła i usiadła. Ślady tuszu do rzęs zniknęły.

- Wiecie, co się tutaj zdarzyło. Tu...

Patrzyli na nią wyczekująco.

- Kochaliśmy się. - Znów się rozpląkała. - Był taki delikatny...

- Zna pani kogoś w Kapsztadzie? - zapytał Joubert.

Wyjęła chusteczkę z rękawa białej bluzki i ponownie wydmuchała nos.

- Mam tu przyjaciół. Ale dawno ich nie widziałam.

- Czy jest wśród nich ktoś, kto mógłby być... zły, że sypia pani z innymi?

Obruszyła się.

- Nie sypiam z innymi...

Brwi trzech detektywów na łóżku uniosły się z wojskową precyzją.

- Nie rozumiecie? To były wibracje. My... byliśmy... To było piękne.

Joubert zapytał jeszcze raz:

- Panno van der Merwe, chcemy wiedzieć, czy jest ktoś, komu mogłoby się nie spodobać, że ze sobą spaliście.

- Och, chodzi panu o... Nie. Nie, na pewno. Nawet nie jestem z nim trwale związana.

- Należy pani do jakiejś partii albo stronnictwa politycznego, panno van der Merwe?

- Tak.

- Do której?

- Do Partii Demokratycznej. Ale co ma...

Griessel nie pozwolił jej skończyć.

- Czy kiedykolwiek miała pani jakikolwiek związek z Kongresem Panafrykańskim?

Pokręciła głową.

- A więc?

- Nie, ja...

- Zna pani kogoś, kto jest członkiem tej grupy?

- Nie.

- Co zmarły powiedział przed wyjściem? Był umówiony na inne spotkanie? - zapytał Griessel.

- Powiedział, że musi iść do domu, do dzieci. Jest... był dobry... - Spuściła głowę. - Czułam takie wibracje. Było tak pięknie.

Mat Joubert westchnął i wstał.

Rozdział 6

PRZYŚNIŁA MU SIĘ YVONNE STOPPBERG.

Byli w górach. Biegła przed nim, jej białe pośladki podrygiwały w świetle księżyca, brązowe włosy unosiły i się opadały falami. Śmiała się, przeskakiwała przez kamieniste osuwiska i spienione strumienie. On też się śmiał, dźgając erekcją wieczorny wietrzyk. Nagle krzyknęła, zaskoczona. Ręce pofrunęły, by zakryć jej piersi. Przed nimi na górskiej ścieżce stał Bart de Wit. Między jego oczami tkwiło trzecie, gapiąca się szkarłatna dziura. Ale mógł jeszcze mówić:

- Zastanów się, kapitanie. Jesteś zwycięzcą? - Powtarzał to w kółko swoim wysokim nosowym głosem, jak zacięta płyta.

Mat rozejrzył się: gdzie jest Yvonne? Zniknęła. Po chwili de Wit też zniknął. Mata ogarnęła ciemność. Poczul, że umiera. Zamknął oczy. Po jego twarzy przesunęły się długie kasztanowe włosy. Leżał w ramionach Margaret Wallace.

- Już dobrze - powiedziała.
Rozplakał się.

STOJĄC NA ŚWIATŁACH, Joubert jak co ranka wpatrywał się nieprzytomnym wzrokiem w tablicę świetlną „Die Burger”. Nagle litery nabrały znaczenia, zaskoczony przeczytał: „Za brutalnym zabójstwem fana krykieta stoi chińska mafia?”

Światła zmieniły się na zielone i nie mógł się zatrzymać przy kiosku z prasą. Podjechał do kawiarni Plattekleof, kupił gazetę i wracając do samochodu, szukał wiadomości na pierwszej stronie. Znalazł.

„KAPSZTAD. Za brutalnym morderstwem bogatego biznesmena z Przylądka, który wczoraj został zastrzelony z tetetki przed hotelem w Newlands, najprawdopodobniej stoi mordercze ramię chińskiej mafii.

Według słów płk. Barta de Wita...”

Joubert oparł się o samochód i popatrzył na Góry Stołowe. Westchnął, nie dostrzegając, jak wyraźnie rysowały się tego ranka ani jakim lśnieniem kładło się na wodach zatoki poranne słońce. Potem złożył gazetę, wsiadł do samochodu i odjechał.

- NIE MIEŚCI MI SIĘ W GŁOWIE, jak mógł się zadawać na boku z tą blondyną o końskiej twarzy, gdy w domu miał gwiazdę filmową - powiedział Griessel.

Joubert nie słuchał.

- Widziałeś gazetę?

- Nie.

W tym momencie wkroczył de Wit, prosty jak kij i niezwykle z siebie zadowolony. Detektywi zamilkli.

- Dzień dobry, koledzy. Piękny poranek, prawda? W takie dni człowiek cieszy się samym faktem, że żyje. Ale cóż, musimy zabierać się do pracy. Zanim omówimy wczorajszą sprawę... Spotkałem się już osobiście z wszystkimi oficerami i odbyliśmy owocne rozmowy. Dziś zaczynam spotkania z podoficerami. Chcę was wszystkich jak najszybciej poznać. Mavis dostała listę. Niech wszyscy adiutanci sprawdzą godzinę spotkania. Dobrze, a teraz przejdźmy do wczorajszych wydarzeń. Kapitan Mat Joubert wezwał mnie na pomoc w związku z morderstwem w Newlands... - Spojrzał na Mata i obdarował go przyjaznym uśmiechem. - Dziękuję za zaufanie, kapitanie. Zechce nam pan przedstawić raport o stanie śledztwa?

Jouberta zatkało. Wezwał de Wita, gdyż taka była standardowa procedura w przypadku wszystkich morderstw o silnym potencjale medialnym. A teraz ten facet coś sobie ubzdurał.

- Och... niewiele tego, pułkowniku. Denat na pewno utrzymywał stosunki pozamałżeńskie. Dziś sprawdzimy, czy nie chodzi jakiegos zazdrosnego męża. Może ktoś z jego firmy...

- Opuście sobie ten wątek - przerwał mu de Wit. - Jak powiedziałem wczoraj prasie, to robota chińskiego gangu narkotykowego... W porannym „Die Burger” jest artykuł na ten temat. Jeśli pokopiecie

głębiej w powiązaniach ofiary, to doszukacie się związku. Myślę, kapitanie, że dla dobra śledztwa powinniście włączyć w nie też biuro do spraw narkotyków. Niech pan porzuci te teorie o zazdrosnym mężu. Ciekawe, ubiegłego roku w Scotland Yardzie mieliśmy dwa podobne morderstwa...

De Wit nie patrzył już na Jouberta i ten przestał go słuchać. Odczuwał przykre sensacje w żołądku, jakby jakiś owad drażnił mu wnętrzności.

Po porannym apelu niechętnie zadzwonił do oficera kierującego Sanab - południowoafrykańskim biurem do spraw narkotyków.

- Kogo tym razem przyjęliście, Joubert? - zapytał głos na drugim końcu. - Kłowna? Cloete z public relations właśnie zadzwonił do mnie z pytaniem, czy de Wit ze mną rozmawiał. Cloete jest wściekły jak cholera, że wasz nowy szef sam gada z prasą. Pyta, czy ma już przejść na emeryturę i łowić na pełnym etacie ryby. I co to za pierdoły o chińskiej mafii?

- Oparte na wcześniejszych doświadczeniach mojego dowódcy, pułkownika. Na tym etapie musimy rozważyć wszystkie możliwości.

- Daruj sobie to oficjalne ściemnianie, Joubert. Kryjesz de Wita i tyle.

- Pułkownik, byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan i pański personel zechcieli dostarczyć wydziałowi morderstw wszelkich informacji, które mogłyby rzucić więcej światła na tę opcję.

- Ach, teraz rozumiem. Dostałeś polecenie. W porządku, wyrazy współczucia, Joubert. Jeśli tylko w najbliższym stuleciu wykryjemy jakiś chiński gang przemytników, pierwszy się o tym dowiesz.

OFICER PROWADZĄCY ŚLEDZTWO musiał być obecny podczas sekcji zwłok. Taka była zasada, tradycja - bez względu na stan zwłok.

Joubert nigdy tego nie lubił, nawet w dawnych dobrych czasach. Ale umiał odciąć się od wstrząsającego procesu, który raz za razem powtarzał się na marmurowej płycie w wyłożonej białymi kafelkami sali w Salt River, na której zmarłych odzierano z ostatnich resztek godności.

Nie dlatego, że profesor Pagel bez szacunku wdzierał się w tkanki skalpelem, zaciskami, piłami i kleszczami. Wręcz przeciwnie, patolog i jego personel podchodzili do swojej pracy z całą powagą i profesjonalizmem, na jakie zasługiwała.

To śmierć Lary zniszczyła barierę, którą się odgradzał, bo wiedział, że ona też tam leżała. Obrazy przywołane z doświadczeń przeszłości

pomogły mu odtworzyć tę scenę. Leżące na plecach drobne, gibkie ciało, nagie, czyste i sterylne, wystawione światu darmo na pokaz. Bezkrwista twarz i ta ranka po kuli, jak gwiazda, między linią włosów a brwiami. I patolog, który wyjaśnił detektywowi, że to cecha rozpoznawcza strzału kontaktowego, zabójstwa z bardzo bliskiej odległości. Bo wtedy sprężony gaz z lufy dostaje się pod skórę i rozprężając się nagle, jak w przekłutym balonie, wypala Gwiazdę Śmierci, tak często spotykaną w przypadku samobójstwa... Ale Lara nie popełniła samobójstwa. Ktoś inny odznaczył ją tą gwiazdą.

Widział tę scenę za każdym razem, gdy szedł chłodnym, wyłożonym kafelkami korytarzem kostnicy w Salt River, przewijała się makabryczną powtórką, której nie umiał skasować.

Pagel czekał w swoim małym gabinecie razem z Walterem Schutte, dyrektorem naczelnym Quickmail. Joubert się przedstawił. Schutte był średniego wzrostu, miał niski głos i włosy sterczące ze wszystkich możliwych miejsc - spod kołnierzyka koszuli, spod mankietów, z uszu.

Podeszli do stołu, na którym pod zielonym prześcieradłem leżał James Wallace.

Pagel zdjął okrycie.

- Jezu - jęknął Walter Schutte i odwrócił twarz.
- Czy to James Wallace? - zapytał Joubert.
- Tak - odparł Schutte. Pobladł, na jego skórze rysował się wyraźny ślad po goleniu. Joubert był zdumiony owłosieniem tego faceta. Ujął go za ramię i zaprowadził z powrotem do klitki Pagela, gdzie Schutte podpisał formularz.

- Chcielibyśmy zadać panu później kilka pytań w pańskim biurze.
- Na jaki temat? - Schutte powoli dochodził do siebie.
- Rutynowe.
- Oczywiście. Kiedy tylko zechcecie.

Gdy Schutte wyszedł, Pagel włączył jaskrawe światło, wepchnął krótkie, mocne palce w rękawiczki z przezroczystego plastiku, zdjął prześcieradło okrywające zmarłego Jamesa, przyciągnął bliżej ramię dużego szkła powiększającego i ujął niewielki skalpel.

Patolog rozpoczął swoją systematyczną procedurę. Joubert znał na pamięć wszystkie mruknięcia tego człowieka, jego niewyraźne mamrotania za każdym razem, gdy uznał jakieś spostrzeżenie za ważne. Ale Pagel dzielił się nimi tylko wtedy, gdy był absolutnie pewny swoich wniosków. Więc Joubert czekał, gapiąc się na sterylną metalową

umywalkę pod ścianą, w której miskę co czternaście sekund uderzała kropla wody.

- Śmierć mogła nastąpić wskutek strzału w głowę. Kula weszła przez zatokę czołową, wyszła dwa centymetry nad ciemiąckiem. Wylot rany bardzo duży. Pocisk z płaskim wierzchołkiem? Możliwe... możliwe. Trzeba zbadać trajektorię. - Spojrzał na Jouberta. - Trudno rozpoznać kaliber, wlot w niedobrym miejscu.

Joubert skinął głową, jakby to wyjaśnienie było dla niego absolutnie zrozumiałe.

- Strzał w głowę z dość bliskiej odległości. Dwa, trzy metry. Strzał w klatkę też najprawdopodobniej bliski. On również mógł spowodować śmierć. Rana typowa. Okoliczności dodatkowe mniej oczywiste. Po pierwsze: ubranie. Widać osmalenia. Cząsteczki prochu. Dym. Przeszedł przez mostek. Brak krwawienia. - Uniósł głowę. - Pańska ofiara nie żyła już po pierwszym strzale, kapitanie. Zginął, nim zdążył upaść na ziemię. Drugi strzał był zbędny.

Woda na młyn manii de Wita, pomyślał Joubert. Ale nic nie powiedział.

- Obejrzymy resztę. - Pagel wziął do ręki większy skalpel.

GDY SEKRETARKA WPROWADZIŁA JOUBERTA I GRIESELĘ, Walter Schutte nie wstał na ich powitanie.

- Siadajcie, panowie. - Wskazał ręką obite skórą i wykończone chromowaną stalą nowomodne fotele naprzeciw dużego biurka ze szklanym blatem. - Herbata czy kawa? Zamierzam się czegoś napić, więc, proszę, dołączcie się. - Błada niepewność z kostnicy zniknęła.

Wybrali herbatę i usiedli. Sekretarka zamknęła za sobą drzwi. Mimo wczesnej godziny policzki dyrektora już ocieniał zarost. Uśmiechnął się promiennie, błyskając białą zębów.

- No dobrze, w czym mogę panom pomóc? - Uśmiech zniknął jak za pstryknięciem wyłącznika.

- Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o panu Jamesie Wallasie, panie Schutte. Pan zapewne dobrze go znał? - zapytał Joubert.

- Poznałem Jamesa dwa lata temu, kiedy Promail mianował mnie na to stanowisko. Był wspaniałym człowiekiem - stwierdził z szacunkiem.

- Tak pan się do niego zwracał? James?

- Prawie wszyscy mówiliśmy mu Jimmy, ale teraz to brzmi jakoś...
- Schutte zrobił nieokreślony gest i znów się uśmiechnął.

- Jakie stosunki łączyły go z pracownikami?
- Wszyscy go lubiliśmy. Och, dajcie panowie spokój, widzę, do czego zmierzacie. Nie, kapitanie, tu nie znajdziecie jego mordercy. - Schutte zamachał rękami, jakby odpędzał złego ducha. - Zawsze mówię, że jesteśmy jak duża rodzina. A James był jej członkiem, bardzo kochanym. Nie, kapitanie, niech pan szuka swojego mordercy gdzieś indziej.
- Orientuje się pan, czy zmarły miał jakiś inne układy biznesowe?
- Nie... Nie sądzę. Jim... James powiedział mi, że wszystkie pieniądze inwestuje w fundusze powiernicze, bo nie chce sobie zaprzętać tym głowy. Z tego, co wiem, zajmował się tylko Quickmail, krykietem i rodziną.
- Czy pańska firma prowadzi jakieś interesy z firmami chińskimi? Schutte zmarszczył brwi.
- Nie. Co to ma...

Griessel przerwał mu.

- Widział pan dzisiejszy „Die Burger”?
- Nie. - Schutte był wytrącony z równowagi.
- Sposób, w jaki zamordowano pana Wallace'a, panie Schutte, przypomina sposób działania chińskich handlarzy narkotyków. Miał jakieś kontakty z Tajwańczykami?
- Nie.
- A ze społecznością chińską?
- O niczym takim mi nie wiadomo.
- Z firmami farmaceutycznymi?
- Lekarzom jednej takiej firmy wysyłamy broszury marketingowe, ale Jimmy nigdy się tym nie zajmował.
- Zążywał narkotyki?
- Nigdy. To absurdalny pomysł. Jimmy nie był tego rodzaju człowiekiem.
- A polityka? Miał jakieś zdecydowane poglądy?
- Jimmy?...
- Prowadziliście interesy z jakąś formacją polityczną?
- Nigdy.
- Czy wiadomo coś panu o jego relacjach z żoną?

Schutte wyprostował się jeszcze bardziej w swoim wysokim fotelu.

- Tam też niczego się pan nie doszuka, kapitanie. - W jego głosie dźwięczał wyrzut. - James i Margaret byli doskonałą parą. Zakochaną,

z udanymi dziećmi... mały Jeremy fantastycznie gra w krykieta. Nie, kapitanie, niczego pan tam nie znajdzie.

Joubert uznał, że nadszedł stosowny moment, żeby zwolnić dyrektora z tej czułości i obrony zmarłego.

Sekretarka przyniosła tacę z trzema filiżankami i postawiła ją na biurku. Nalała herbatę. Podziękowali. Gdy ucichło już podzwanianie łyżeczek, Joubert zapytał:

- Wie pan, po co zmarły pojechał wczoraj do hotelu w Newlands? Schutte wzruszył ramionami, jakby pytanie było oczywiste.
- James często chodził tam na piwo z kumplami od krykieta.
- Panie Schutte, jak zmarłemu układały się stosunki z pracownikami?
- Doskonale. Ze wszystkimi był w dobrych stosunkach.

W dawnych dobrych czasach, gdy Mat Joubert swoje codzienne obowiązki wykonywał jeszcze z gorliwością nowicjusza, wypracował sobie metodę postępowania z opornymi świadkami - jak Walter Schutte - tak zwanego przez kolegów byka. Pochylał swoje potężne ciało, prostował barki, wciskał między nie głowę jak taran, zniżał głos o oktawę i wwiercał się swoimi orlimi oczami w delikwenta. Po czym zaczynał mówić, nie bawiąc się w żadne subtelności, nieco protekcyjnym i groźnym tonem. Przedstawienie było melodramatyczne i przejawiskrawione. Ale działało.

Tyle że, jak któregoś dnia, rok czy dwa lata temu, powiedział Tony O'Grady, Joubert zgubił „rytm w batucie”. A w tym i motywację, by używać byka.

Czy to za sprawą migotliwego płomienia seksualnego głodu zapalnego przez Yvonne Stoppberg, czy to postawionego resztkom jego ego wyzwania pułkownika Barta de Wita, Joubert nigdy się nie dowie. Przybrał postawę byka, najpewniej nie tyle w akcie świadomej woli, ile czysto odruchowo.

Nad ramionami, głową i oczami zapanował szybko, z początku jednak miał kłopoty z głosem i doborem słów.

- Wczoraj po południu Jimmy Wallace ostatnie godziny swojego życia spędził... na blondynce. Jestem przekonany, że to nie była jego pierwsza... eskapada. I... Wiem, że ktoś w firmie musiał o nich wiedzieć, bo ktoś go chronił, gdy szukała go pani Wallace. Ma pan wybór, panie Schutte. Może pan dalej produkować bajeczki o Jimmym i o tym, jaki był z niego przykładowy i cudowny człowiek. Niestety ja wtedy

będę zmuszony wezwać detektywów, a oni na długie godziny odciągną ludzi od pracy. Albo pan nam pomoże i zabierzemy się stąd najszybciej, jak się da.

Joubert zastygł w agresywnej pozie. Schutte otworzył usta, po czym je zamknął, jakby nie umiał znaleźć słów.

- Jimmy... Jimmy miał swoje małe skoki w bok. - Teraz już nie gestykulował.

Joubert odchylił się w krzesło - byk był już zbędny.

- Panie Schutte, widział pan, jak teraz wygląda James Wallace. Próbujemy znaleźć osobę, która miała powód, żeby go tak urządzić. Niech pan nam pomoże.

- On... lubił kobiety. - Schutte rzucił szybkie spojrzenie na drzwi, jakby spodziewał się, że James Wallace pod nimi podsłuchuje. - Ale miał dwie zasady. Żadnych głupot w firmie. I żadnych długich romanсів. Z każdą tylko raz. Do łóżka i do widzenia. - Zamachał szybko rękami. - Powinniście wiedzieć, że Jimmy... - Pokazał gestem, że szuka właściwych słów. - Przyciągał ludzi jak magnes. Wszystkich. Szalał za ludźmi. Byliśmy w restauracji w Johannesburgu i on założył się z nami, że w ciągu dwudziestu minut przekona siedzącą w rogu brunetkę, żeby poszła z nim do damskiej toalety. Przyjeliśmy zakład. Mieliśmy na nich nie patrzeć, ale on miał przedstawić dowód. Osiemnaście minut później brunetka ucałowała go na pożegnanie przed restauracją. A kiedy wrócił do nas, wyciągnął z kieszeni jej majtki. Czerwone z czar... - Schutte poczerwieniał.

- Niech pan się dobrze zastanowi, panie Schutte. Czy z któregoś z tych związków mogły wynikać konflikt albo nieszczęście?

- Nie, mówiłem już, nie było żadnych związków. Na swój sposób był bardzo czuły dla Margaret. No dobrze, czasem łamał swoje zasady. Pracowała tu jedna sekretarka, młoda ładna sztuka z dużym... Ale to trwało tylko tydzień. Jak słowo daję, nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego ktoś miałby chcieć go zamordować.

Joubert spojrział na Griessela. Ten nieznacznie pokręcił głową. Wstali.

- Panie Schutte, jesteśmy niemal pewni, że jakiemuś zazdrośnemu mężowi nie spodobały się zasady pana Wallace'a. Proszę do nas zadzwonić, jeśli wpadnie pan na coś, co by nam pomogło.

- Oczywiście - powiedział Schutte barytonem i też wstał. Uścisnęli sobie dłonie.

- Dawno nie widziałem byka, kapitanie - oświadczył Griessel, gdy jechali windą na dół.

Joubert popatrzył na niego pytająco.

- Gdy tak się pochylasz do przodu.

Joubert uśmiechnął się do niego krzywo, z zażenowaniem.

- Wszyscy próbowaliśmy podrabiać tę sztuczkę - wyznał z jawną tęsknotą Benny Griessel. - Stare dobre czasy.

Po czym zdał sobie sprawę, że może Mat Joubert nie chce, żeby mu je przypominać, i się przyzmknął.

Rozdział 7

LEKARZ ZSUNĄŁ OKULARY NA CZUBEK NOSA. Spodnad oprawek wpatrywał się w Jouberta poważnie i złowieszczo.

- Gdybym był mechanikiem, to teraz powinienem zagwizdać i pokręcić głową, kapitanie.

Joubert milczał.

- Sprawy nie wyglądają najlepiej. Pali pan. W płucach świsty. Przyznał pan, że za dużo pije. Piętnaście kilo nadwagi. W historii rodziny choroby układu krążenia. Stresująca praca. - Lekarz złączył palce.

Ten facet powinien zostać oskarżycielem publicznym, pomyślał Joubert, wpatrując się w plastikowy model serca i płuc na biurku. Reklamował jakieś lekarstwo.

- Wyślę próbkę krwi do laboratorium. Musimy sprawdzić poziom cholesterolu. A tymczasem zajmijmy się pańskim paleniem.

Joubert westchnął.

- Myślał pan o rzuceniu?

- Nie.

- Wie pan, jakie to szkodliwe?

- Doktorze...

- Chodzi nie tylko o to, że sam się pan prosi o chorobę. Też o sposób, w jaki pan umrze, kapitanie. Widział pan człowieka z rozedmą płuc? Powinien pan się przejść ze mną po szpitalu. Leżą w namiotach tlenowych, wolno duszą się własnym śluzem i chwytają powietrze jak ryby na piasku.

Na biurku stała podkładka na długopisy w kształcie tabletki. Też reklama jakiegoś leku. Joubert założył ręce i wpatrywał się w nią.

- A ci z rakiem płuc? - ciągnął lekarz, - widział pan, co robi z nich chemioterapia, kapitanie: od raka człowiek chudnie i jest bez przerwy zmęczony, wskutek terapii wypadają włosy. Żywe trupy. Boją się spojrzeć w lustro. Nie panują nad nerwami. Dorośli faceci, a płaczą, gdy dzieci siadają na ich szpitalnym łóżku.

- Nie mam dzieci - powiedział łagodnie Joubert.

Lekarz zdjął okulary. Zdawał się pokonany.

- Nie, kapitanie, nie ma pan dzieci. Ale zdrowe życie prowadzi się przede wszystkim dla siebie. Dla własnego psychicznego i fizycznego zdrowia. I dla pracodawcy. Jest pan winny pracodawcy dobrą kondycję. Człowiek w dobrej kondycji jest bystrzejszy i bardziej wydajny...

Okulary wróciły na swoje miejsce.

- Nie będę nic przepisywał, póki nie zobaczę wyników badania krwi. Ale namawiam, by przemyślał pan kwestię palenia. I ćwiczeń. A pańskie nawyki żywieniowe i to picie...

Joubert westchnął.

- Wiem, że to trudne, kapitanie. Nadwaga to delikatna sprawa, im dłużej się nic nie robi, tym trudniej jej się pozbyć.

Joubert skinął głową, unikając patrzenia lekarzowi w oczy.

- Mam obowiązek wysłać pracodawcy raport z badania. - I z niejasnych przyczyn dodał: - Przykro mi.

SZKOŁA POLICYJNA Z PRETORII zabierała każdy rocznik posterunkowych na wycieczkę do muzeum służby, zajmującego dawny budynek Compol przy ulicy Pretorius. Zwykle wizyty te nie były szczególnie udane. Studenci, jak to młodzi ludzie, psuli je żartami i wybrykami.

Dlatego też Mat Joubert pokochał to muzeum dopiero wtedy, gdy wiele lat po studenckich czasach musiał złożyć w Pretorii zeznania w sprawie o morderstwo. Zaprowadziła go tam nuda, gdy pięć dni musiał czekać na powołanie go na świadka.

Z rozpaloną wyobraźnią chodził od gabloty do gabloty. Bo wtedy miał już doświadczenie i świadomość, że każde zardzewiałe narzędzie zbrodni, każdy poślizgnięty świstek papieru kosztował jakiegoś dawno już zapomnianego detektywa wiele godzin potu i pracy. Czasami zakończonej sukcesem.

Następnego dnia poszedł tam znowu. Zauważył go adiutant Blackie Swart. Blackie Swart, z pooraną zmarszczkami twarzą i głosem zartwardziałego palacza, przypominającym skrzywienie butów na żwirze,

pracował w muzeum jako złota rączka - stanowisko to zdobył dzięki długotrwałemu nękanii szefostwa nieustannymi prośbami.

Pracę w policji zaczął w wieku piętnastu lat, powiedział Joubertowi w zaciszu swojej pakamery w piwnicy.

- Jeździliśmy na patrole konne między Parys a Potchefstroom. - Niejedną godzinę częstował Jouberta anegdotami i policyjną kawą, lurą zdatną do picia dopiero po wzmocnieniu małym zastrzykiem brandy.

Życie Blackiego Swarta też było przedmiotem muzealnej ekspozycji, zwłaszcza w gablotce „Historia dochodzenia”.

- Byłem częścią tego wszystkiego, Matty, to się działo na moich oczach. Pierwszy raz przyszedłem do muzeum, gdy przyjechałem do centrali odebrać z rąk dowódcy nagrodę jubileuszową za dwadzieścia pięć lat pracy. Od razu wiedziałem, że kiedyś będę chciał tutaj wrócić. A potem w wieku sześćdziesięciu lat, po czterdziestu pięciu latach służby, przeszedłem na emeryturę, pojechałem do Margate i przez trzy miesiące patrzyłem, jak mój samochód zżera rdza. Wtedy zadzwoniłem do dowódcy. I teraz jestem tu codziennie.

Joubert przegadał i przepalił ze staruszką cały dzień. Nie były to ojcowskie stosunki, bardziej przyjacielskie, może dlatego, że Blackie Swart zupełnie nie przypominał jego ojca.

Po tamtym tygodniu w Pretorii spotykali się sporadycznie. Obaj nie należeli do telefonicznych gadułów, ale Joubert dzwonił od czasu do czasu, zwłaszcza gdy potrzebował rady w jakiejś sprawie. Jak teraz.

- Lekarz mówi, że powinienem rzucić palenie, wuju Blackie - powiedział w słuchawkę, zwracając się do niego pełnym szacunku afrykanerskim zwrotem, przeznaczonym dla starszych ludzi.

Na drugim końcu usłyszał zachrypnięty trąkot śmiechu.

- Mnie to już mówią od pięćdziesięciu lat, Matty. I wciąż się trzymam tego padołu. W grudniu stuknie mi sześćdziesiąt osiem lat.

- Prowadzę zabawną sprawę, wujku Blackie. Mój szef twierdzi, że to robota chińskiej mafii.

- A więc tobie się ona dostała? „Beeld” zacytował dziś rano de Wita, nie bardzo wiem, jak na to wpadł, ale... - zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Słyszałem, że jego czarnoskórzy kumple z AKN nazywali go Mpumlombini. De Wita, znaczy się. Za londyńskich czasów.

- Co to znaczy, wuju?

- W języku xhosa to Dwunosy. Cóż, trudno to nazwać pieprzykiem. - Blackie Swart zachichotał.

Joubert usłyszał odgłos zapalanego na drugim końcu linii papierosa, po czym Blackie zaniósł się kaszlem. Kasłał i kasłał.

- Może ja też powinienem rzucić, Matty.

Joubert opowiedział mu o Jamesie Wallasie.

- De Wit ma rację co do sposobu ich działania, Matty. Chińczycy zmajstrowali coś bardzo podobnego w zeszłym roku w Londynie. Mają też inne metody. Na przykład strzelają z kuszy. Straszne urządzenie. Są bardziej finezyjni niż mafia amerykańska. Jedyne, w co się nie mieszają, to narkotyki. Ale weź choćby tę aferę z kartami kredytowymi. Siedzą w tym po uszy. W handlu fałszywymi dokumentami. Paszporty, prawa jazdy. Wallace prowadził firmę pocztową. Wysyłali karty kredytowe? Mógł im dostarczać numery kart.

- Jego pracownicy twierdzą, że nie robił interesów ze Wschodem.

- Wypytaj żonę. Może złożyli mu wizytę w domu.

- Facet lubił spódniczki, wuju Blackie.

- Możliwe, Matty. Wiesz, co zawsze mówię. Są dwa rodzaje morderstwa. Albo ktoś nagle dostaje szału, chwytą, co ma pod ręką i bije, dźga lub strzela. Albo planuje. Postrzał w głowę na parkingu wygląda mi raczej na to drugie. A skoro facet lubił skoki w bok...

Joubert westchnął.

- Cóż, Matty. Trzeba drażnić. Drażnić i jeszcze raz drażnić.

JECHAŁ DO MARGARET WALLACE. Zastanawiał się, dokąd dotarła na drodze swojej żaloby I wtedy, między Bellville a południowymi przedmieściami, przypomniał sobie swój sen z minionej nocy.

Uświadomił sobie nagle, że przez dwa ostatnie lata tonął. Walczył na granicy świadomości, zbyt przerażony, by zanurzyć się w ciemną otchłań. Przypomniał sobie sny, powracające w bezpiecznym świetle dnia, które spychał głęboko pod wodę, samemu dryfując na powierzchni. Ale tym razem mógł zanurzyć głowę i przyjrzeć się temu marzeniu sennemu z szeroko otwartymi oczami, bo to nie Lara brała w nim udział. Tylko Yvonne Stoppberg. Tak wyraźnie widział jej ciało.

Byłby do tego zdolny?

Gdyby sen stał się rzeczywistością, gdyby stanęła przed nim, zaprosiła go. Zrobiłby to? A narzędzie miłości zadziałałoby?

W dole brzucha poczuł gniotący ciężar niepewności. Osiemnastoletnia córka sąsiada. A może siedemnastoletnia? Pomyślał o pozostałych postaciach ze snu. Co robił w nim Bart de Wit, z dziurą w głowie?

A Margaret Wallace? Zadumał się nad sekretami swojej podświadomości. I nad tym, dlaczego nie przyszła mu się Lara. Zastanawiał się, czy przyjdzie tej nocy. Jego myślami znów zawładnęły znajome bestie. Westchnął. I wynurzył się na bezpieczną powierzchnię.

KOBIETA, KTÓRA OTWORZYŁA MU DRZWI, musiała być siostrą Margaret Wallace. Włosy miała krótkie i bardziej rude, skórę usianą piegami, bladoniebieskie oczy, ale podobieństwo było niewątpliwe.

Joubert poprosił, żeby zawołała Margaret.

- To niezbyt odpowiednia chwila.

- Wiem - przyznał i czekał, czując się nieswojo w roli intruza.

Kobieta westchnęła z irytacją i zaprosiła go do środka.

Gdy stanął w przedpokoju, goście w salonie przerwali cichą rozmowę. Wpatrywali się w niego, po ubraniu i sposobie bycia rozpoznając przedstawiciela prawa. Margaret Wallace siedziała do niego plecami, odwróciła się, podążając za spojrzzeniami innych. Wstała. Zobaczył, że daleko zaszała na drodze rozpaczy. Zapadnięte i podpuchnięte oczy. Wokół ust zmarszczki.

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się skrępowany panującą w pokoju ciszą i pełnymi wyrzutu spojrzzeniami.

- Chodźmy do ogrodu... - zaproponowała cicho i otworzyła drzwi.

Wiatr z południowego wschodu kołysał czubkami wysokich drzew, ale przy ziemi powietrze było prawie nieruchome. Margaret Wallace szła zgarbiona, z ramionami ciasno splecionymi na piersi. Dobrze znał tę mowę ciała, rozpoznawalny stygmat wdowy.

- Proszę nie mieć wyrzutów sumienia. Wiem, że musi pan robić swoje - powiedziała, siląc się na uśmiech.

- Widziała pani gazety?

Pokręciła głową.

- Chowają je przede mną.

- Mój przełożony... Mamy teorię... - Jego umysł szukał rozpaczliwie eufemizmów, mniej bolesnych synonimów śmierci. Żałował, że nie zabrał ze sobą Benny'ego Griessela.

- Grupy przestępcze z Tajwanu posługują się podobnymi metodami... w swoim... działaniu. Muszę rozważyć tę możliwość.

Popatrzyła na niego, wiatr zdmuchnął jej włosy na twarz. Odgarnęła je ręką i znów skrzyżowała ramiona.

Czekała.

- Pani mąż mógł prowadzić z nimi interesy, może niebezpośrednio... Z Chińczykami. Wiedziałyby pani?

- Nie

- Pani Wallace, wiem, że to trudne. Ale może istnieje jakieś wyjaśnienie.

- Nie znaleźliście niczego? - zapytała, bez wyrzutu, jakby z góry znała odpowiedź. Włosy znów spłynęły jej na twarz, ale tym razem ich nie odgarnęła.

- Niczego - potwierdził i zastanawiał się, czy ona kiedyś dowie się o Lizzie van der Merwe i innych kobietach, z którymi James spędził noc albo dwie.

- To była pomyłka - oświadczyła. - Wypadek. - Rozprostowała ramiona, dłoń poklepała go po ramieniu. - Zobaczycie. Na pewno. - Po czym znów splotła ramiona.

Poszedł za nią do domu i się pożegnał. Kiedy jechał z powrotem, zauważył po drodze, że zadrzewienie dzielnic podmiejskich pozostaje w ścisłej zależności od dochodu statystycznego żywiciela zamieszkujących je rodzin.

Było już po siódmej, ale słońce nadal nieruchomo wisiało wysoko nad horyzontem. Wzdłuż jezdni w strumieniach spalin pocili się biegacze. Zapalił papierosa i zaczął się zastanawiać, co zrobić ze swoim zdrowiem. Może powinien poćwiczyć. Jogging odpada. Nie cierpiał biegania. Za duży był na jogging. Może by tak popływać. Miło byłoby znów pływać. Nie wyczynowo. Dla przyjemności. Powróciły dawno zapomniane wspomnienia. Zapach przebieralni, brodzików dezynfekowanych dettolem, znużenie po godzinach wysiłku, smak chloru w ustach, skok adrenaliny na sygnał startu.

W domu czekał kolejny wsunięty pod drzwi list.

„Dlaczego nie odpowiadasz?”

Znów poczuł ciężar w żołądku. Ale tym razem rozpoznał to uczucie. W Goodwood, na tyłach kina przy ulicy Voortrekker, była ulica. Podobno urządzali sobie na niej wyścigi motocykliści. Miał osiem albo dziewięć lat. W każdą sobotnią noc wgapiał się w jej ciemny wylot z ciekawością, która niemal go zżerała. Biegnij, podpowiadał mu umysł. No pędź, przebiegnij nią choć raz. Ale strach, niepewność własnej odwagi kładły mu się ciężarem w żołądku. Nigdy nie zaryzykował biegu uliczką. W Blouberg kupił kurczaka kentucky i zjadł w samochodzie,

wpatrując się w zmatowiałe od wiatru morze. Potem pojechał do domu poczytać książkę.

Późno wieczorem zadzwonił telefon. Odłożył Williama Gibsona na stolik obok fotela i podniósł słuchawkę. Dzwonił Cloete z public relations.

- Nadal zajmujecie się żółtą zarazą czy jutro mogę rzucić gazetom na pożarcie coś nowego?

Rozdział 8

„KAPSZTAD: JAK DO TEJ PORY POLICJI NIE UDAŁO SIĘ potwierdzić związku między zabójstwem z tetetki a chińskimi gangami narkotykowymi”.

De Wit przeczytał notatkę po cichu, z bladym uśmiechem na twarzy. Odłożył gazetę i spojrział na Jouberta.

- Czy różnicę zdań w tym śledztwie musimy upubliczniać, kapitanie?

- Nie, pułkowniku - odparł Joubert i zauważył, że tabliczka z prośbą o niepalenie przewędrowała ze stolika w kącie na biurko de Wita i stanęła obok rodzinnych zdjęć.

- Te informacje pochodzą od pana? - ton de Wita był gawędziarski, prawie wesoły.

- Pułkowniku - odparł Joubert znużonym głosem - jako prowadzący śledztwo odpowiedziałem na pytania kolegi z public relations. W zgodzie z procedurami i przepisami służby. Podąłem mu informacje w świetle aktualnie posiadanych danych na temat tego morderstwa. To mój obowiązek.

- Rozumiem. - De Wit znów nieznacznie się uśmiechnął. Podniósł gazetę i prześliznął się wzrokiem po tekście notatki. - Nie zrobił pan celowo dumnia ze swojego szefa?

- Nie, pułkowniku.

- Tego nigdy naprawdę się nie dowiemy, kapitanie Joubert. Ale w dłuższej perspektywie to pewnie bez znaczenia. Dziękuję, że pan wpadł.

Joubert zrozumiał, że jest wolny. Wstał niepewny, zaintrygowany spokojem tego faceta, świadomy, że ten spokój coś oznacza, coś zapowiada.

- Dziękuję, pułkowniku - rzucił w drzwiach.

MIAŁ ZALEGŁOŚCI W PAPIERKOWEJ ROBOCIE. Wziął teczki adiutantów, ale nie mógł się skoncentrować. Zapalił winstona i zaciągnął się głęboko. Zastanawiał się, czy rozmyślnie zrobił z szefa durnia.

Pomyślał o tym, jak przebiegła bywa podświadomość, i zrozumiał, że nie całkiem jest bez winy, Wysoki Sądzie.

Na korytarzu rozległy się posuwiste kroki. Przeczłapał Griessel z opuszczoną głową. Coś w jego sylwetce zaniepokoiło Jouberta.

- Benny? - Kroki wróciły. Błada twarz Griessela pojawiła się w drzwiach.

- Wszystko w porządku, Benny?

- Tak, kapitanie - głos miał zgaszony.

- Co się dzieje, Benny?

- Wszystko dobrze, kapitanie. - Nieco raźniej dodał: - Musiałem coś zjeść.

Albo wypić, pomyślał Joubert, ale nic nie powiedział.

Twarcz Griessela zniknęła. Joubert zapalił kolejnego papierosa. Z wysiłkiem skupił się na leżących przed nim papierach. Akta śmierci. Starsza para z Durbanville. Niezidentyfikowane zwłoki Murzyna niedaleko torów kolejowych w Kuilsriver. W Belhar kobieta zamordowana śrubokrętem przez pijanego męża.

Nagle usłyszał czyjeś chrząknięcie. Przed jego biurkiem stał Bart de Wit. Joubert zastanawiał się, jakim cudem przeszedł jak kot po wykładanej kafelkami podłodze. Zauważył, że de Wit się nie uśmiecha.

- Mam dla pana wiadomość, kapitanie. Dobrą wiadomość.

JOUBERT WRZUCIŁ NISKI BIEG i przedzierał się zrywami w popołudniowych korkach. Chciałby móc zmanifestować zdziwienie i oburzenie, które uciskały go jak zbyt opięte ubranie.

De Wit oznajmił mu, że musi zobaczyć się z psychologiem.

- Pańskie akta zostały przekazane.

Strona bierna. Nie stać go było na odwagę, żeby powiedzieć: przekazałem pańskie akta, kapitanie, bo jest pan przegrany. A ja, Bart de Wit, nie potrzebuję przegranych. Chcę się pana pozbyć. Jeśli nie za pomocą badań medycznych, to w taki oto sposób. Pogrzebiemy w pańskiej głowie, kapitanie. Wepchniemy w ten bigos łyżkę i trochę pomieszamy. Trzymajcie się z dala, ludzie, on może być niebezpieczny. Facet przed wami jest lekko... stuknięty. Psychicznie niezrównoważony. Ma źle poukładane klepki. Z pozoru wygląda normalnie. Wprawdzie ma

lekką nadwagę i jest nieco niechlujny, ale ujdzie. Co innego głowa, panie i panowie. W tej czaszce nie wszystkie obwody stykają.

- Pańskie akta zostały przekazane. Wolne terminy wizyty... - Zerknął do zielonej teczki. - Dziś po południu o szesnastej trzydzieści, jutro o dziewiątej, czternastej...

- Dziś po południu - odparł szybko Mat Joubert.

De Wit podniósł znad teczki zaskoczony, taksujący wzrok.

- Załatwione.

A więc teraz był w drodze. Bo gdzieś w szarym gabinecie z kozetką dla pacjentów psycholog w okularach zyskał dostęp do jego danych. Zaczął już tasować karty Freuda albo Junga, albo kogoś tam. Co my tu mamy? Śmierć żony? Minus dwadzieścia. Dyscyplinarka? Minus dwadzieścia. Gwałtowny spadek jakości pracy? Minus czterdzieści. Może da się coś z tym zrobić. Suma summarum minus osiemdziesiąt. Dawać go tu.

- Będziemy monitorować sytuację, kapitanie. Zobaczymy, czy terapia pomaga. - Zawołowana ukryta groźba. I oczywiście karta przetargowa de Wita.

Może i dobrze się stało. Bóg wie, że z jego głową nie wszystko w porządku. Naprawdę? Czy można ocenić stan czyjegoś umysłu? Na ile normalny był na plaży Macassar, gdy patrzył na spalonych ludzi i w uszach słyszał ich głosy? Wysokie, przenikliwe pierwotne wycie, wydawane przez niechętną opuszczeniu ciała duszę, spotęgowane skowitem umierającego w płomieniach ciała, którego receptory bólowe zalewa piekielny żar.

Czy to było normalne?

Czy normalne było, że zastanawiał się wtedy, już któryś z kolei raz, czy nie lepiej zadać sobie trud i dołączyć do zmarłych? Mieć kontrolę nad tym kiedy i jak? Czy to takie dziwne, że obawiał się tego niespodziewanego momentu, gdy przerażony umysł zda sobie sprawę, że została mu na tym świecie nanosekunda!

A teraz de Wit wzniosł nad jego zabałaganioną głową miecz. Albo psycholog połączy obwody, albo...

Zatrzymał się przed wieżowcem przy Foreshore. Szesnaste piętro. Doktor H. Nortier. Tyle o nim wiedział. Nacisnął przycisk windy.

Ucieszył się, że jest sam w poczekalni.

Wyglądała zupełnie inaczej, niż się spodziewał. Stały w niej kanapa i dwa fotele, wygodne i przyjemne, obite różowo-niebieską kwiecistą

tkaniną. Pośrodku na niskim stoliku leżało sześć czasopism, najnowsze wydania „De Kat”, „Time”, „Car”, „Cosmopolitan”, „Sarie” i „ADA”. Obok pomalowanych na biało drzwi, które pewnie prowadziły do gabinetu, wisiała elegancka tabliczka; przeczytał: „Doktor Nortier wkrótce się Państwem zajmie. Rozgośćcie się i poczęstujcie kawą. Dziękuję”.

Ten sam tekst powtarzał się po afrykanersku. Na ścianach wisiały akwarele - jedna przedstawiała kosmos, a druga rybackie chaty na Paternoster. W kącie stał stół, na nim ekspres do kawy. Obok niego znajdowały się porcelanowe filiżanki i spodeczki, łyżeczki, słoik mleka w proszku i cukierniczka.

Nalał sobie filiżankę; parzona przez filtr kawa smakowicie pachniała. Ten facet był psychiatrą? Psycholodzy byli „panami”, nie „doktorami”. Był tak szurnięty, że potrzebował psychiatrię?

Usiadł na kanapie, postawił filiżankę na stoliku i wyjął winstony. Rozejrzał się. Gdzie popielniczka? Nie znalazł. Wkurzył się. Jak psycholog może nie mieć w poczekalni popielniczki? Włożył papierosy do kieszeni.

Popatrzył na okładkę „De Kat”. Był na niej facet w makijażu. Pod zdjęciem napis: „Nataniel - mężczyzna za Maską”.

Chciało mu się palić. Przerzucił magazyn. Nic go nie zainteresowało. Kobieta na okładce „Cosmopolitan” miała wielkie cycki i duże usta. Podniósł czasopismo i przekartkował. W oczy rzucił mu się nagłówek: „O czym on myśli w pracy”. Wyglądził stronę, ale uświadomił sobie, że w każdej chwili lekarz może otworzyć drzwi. Zamknął magazyn.

Miał diabelną ochotę na dymek. Na co jak na co, ale na mózg papierosy nie szkodzą.

Wyjął paczkę i włożył papierosa do ust. Wyciągnął zapalniczkę i wstał. Gdzieś musi być coś, co nada się na popielniczkę.

Białe drzwi się otworzyły. Joubert podniósł wzrok. Do poczekalni weszła drobna kobieta. Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń.

- Kapitan Joubert?

Wyciągnął dłoń. Z zapalniczką. Cofnął rękę i przełożył zapalniczkę do lewej dłoni. Tak, zgadza się, chciał powiedzieć, ale w jego ustach tkwił papieros. Zaczerwienił się, wyjął papierosa z ust i zamknął go w lewej dłoni. Znów wyciągnął prawą rękę i uściśnął jej dłoń.

- Nie znalazłem popielniczki - wymamrotał, zmieszany; jej dłoń była mała, ciepła i sucha.

Doktor Nortier wciąż się uśmiechała.

- To pewnie sprawka sprzątaczk. Proszę wejść i zapalić tutaj - powiedziała i puszczając jego dłoń, przytrzymała przed nim białe drzwi.

- Nie, proszę. - Pokazał jej gestem, żeby poszła przodem, onieśmielony i speszony swoją uwagą na temat popielniczki.

- Dziękuję.

Weszła; zamknął za nimi drzwi, oceniając jej strój: długa brązowa spódnica, biała, zapięta pod szyją bluzka, ozdobiona brązową broszką, drewnianym słoniem przypiętym szpilką nad jedną z małych piersi. Poczł w nozdrzach słaby kobiecy zapach, perfum albo jej własny, zauważył jej wdzięk, kruchość i dziwne piękno, które nie wiedział jeszcze, z czego się brało.

- Proszę usiąść - zaprosiła go i wsunęła się za białe biurko. Stał na nim wysoki, smukły wazon z trzema różowymi goździkami. I biały telefon, notatnik formatu A4, mała podkładka, w której tkwiło parę czerwonych i czarnych ołówek, duża szklana popielniczka oraz zielona teczka. Zastanawiał się, czy to jego akta. Za biurkiem stała biała biblioteczka szeroka prawie na całą ścianę. Była pełna książek - w miękkiej oprawie i sztywnych okładkach, schludna, kolorowa i rozwelelająca kolekcja wiedzy i przyjemności.

W ścianie za biblioteczką były drugie drzwi. To tamtędy wyszedł poprzedni pacjent?

Usiadł na jednym z dwóch telewizyjnych foteli z regulowanym oparciem, obitych czarną skórą. A może powinien poczekać, aż usiądzie pierwsza? Uśmiechnęła się, opierając wygodnie przed sobą dłonie na biurku.

- Jeszcze nigdy podczas konsultacji nie zwracałam się do nikogo „kapitanie” - powiedziała.

Mówiła cicho, jakby zdradzała największe sekrety, ale melodyjnie. Zastanawiał się, czy psychiatrów uczą mówić w ten sposób.

- Mówią do mnie Mat.

- Od pańskich inicjałów?

- Tak - odparł z ulgą.

- Na imię mi Hanna, byłoby mi miło, gdyby się pan tak do mnie zwracał.

- Jest pani psychiatrą? - zapytał nerwowo i impulsywnie.

Pokręciła głową. Włosy w odcieniu stonowanego brązu splecione miała na plecach w warkocz.

- Zwykłym psychologiem.

- Ale ma pani tytuł doktora?

Przechyliła lekko głowę, jakby nieco speszona.

- Zrobiłam doktorat z psychologii.

Trawił tę informację.

- Mogę zapalić?

- Oczywiście.

Przypalił papierosa. Wygiął się od kurczowego trzymania w dłoni i zwiślał smętnie między jego palcami. Zaciągnął się, bez potrzeby strząsnął popiół do popielniczki i wbił wzrok w papierosa i popielniczkę.

- Dopiero drugi tydzień pracuję dla policji - wyjaśniła. - Było już kilka osób. Niektóre niezadowolone, że musiały przyjść. Rozumiem to. Żadna przyjemność być do czegoś zmuszanym.

Czekała na jego reakcję, nie doczekała się żadnej.

- Konsultacja u psychologa nie oznacza, że coś z człowiekiem jest nie w porządku. Tylko tyle, że potrzebuje z kimś porozmawiać. Z kimś nie w pracy i nie w domu.

Znow czekała. Joubert omijał ją wzrokiem. Dlaczego brzmiało to, jakby się przed nim usprawiedliwiała? Dlaczego to musi być kobieta? Nie był na to przygotowany.

- Pana zawód wiąże się z ogromnym stresem. Każdy policjant powinien regularnie rozmawiać z psychologiem.

- Skierowano mnie tu, bo wszystko ze mną w porządku?

- Nie.

- Kto postanowił, że muszę przyjść?

- Ja.

Spojrzał na nią. Jej ramiona były nieruchome, jedynie drobne gesty dłoni od czasu do czasu stawiały przy słowach znaki interpunkcyjne. Jej głos. Zerknął na jej twarz. Zauważył linię żuchwy, prostą i delikatną, kruchą. Odwrócił oczy. Nie sprawiała wrażenia przygniecionej poczuciem winy. Była spokojna i cierpliwa.

- A mój dowódca?

- Dowódca?

- Mój szef.

- Codziennie dostaję stosy akt od przełożonych, którzy uznają, że ich ludzie powinni ze mną porozmawiać. Ale to ja zalecam, kto powinien przyjść.

To jednak de Wit zaczął to wszystko. Wypełnił formularze. Napisał uzasadnienie.

Uświadomił sobie, że wpatruje się w niego intensywnie. Zgasił papierosa. Założył ręce i popatrzył na nią. Jej twarz była poważna. Jeszcze ciszej niż uprzednio powiedziała:

- W pańskim niezadowoleniu nie ma nic dziwnego.
- Dlaczego wybrała pani mnie?
- A jak pan sądzi?

Jest mądra, pomyślał. Za mądra, jak dla mnie.

Wiedział, że nie jest szalony. Lecz czyż nie to powtarzali wszyscy wariaci? Znalazł się tu, bo miał lekkiego bzika. Bo ścigał go Wielki Drapieżnik. A to czasami sprawiało...

- Z powodu moich akt - odparł z rezygnacją.

Popatrzyła na niego z pełnym współczucia półuśmiechem. Usta miała drobne. Nieumalowane, zauważył. Dolna warga była pełna, naturalnie bladoróżowa.

Ponieważ milczała, dodał:

- To pewnie konieczność.
- Dlaczego pan sądzi, że to konieczność? - prawie wyszeptala.

Gdyby nie melodyjny głos, nic by nie usłyszał.

Na tym polegała jej praca? Wchodziło się, siadało, przecinało wrzody, uwalniając ropę pod okiem dobrego lekarza, który zdezynfekuje i zabandażuje ranę? Od czego zacząć? Chciała poznać jego dzieciństwo? Myśli, że nie słyszał o Freudzie? Czy może powinien zacząć od Lary? Albo skończyć na Larze? Albo na śmierci? A Yvonne Stoppberg? Opowiedzieć pani historyjkę o detektywie i córce sąsiada, pani doktor? Niesłuchanie zabawną... bo detektyw chce, ale nie wie, czy może.

- Bo cierpi na tym moja praca. - Tchórzliwa odpowiedź. Wiedział. I wiedział, że ona też wie.

Przez dłuższą chwilę się nie odzywała. W końcu szepnęła:

- Pański akcent wciąż obco brzmi w moich uszach. Jestem z Gauteng. Wychował się pan tutaj?

Spuścił wzrok na brązowe buty, którym przydałoby się pastowanie. Skinął głową.

- W Goodwood.
- Ma pan rodzeństwo?

Czyżby tego nie było w aktach?

- Starszą siostrę.
- Nadal mieszka w Prowincji Przylądkowej?
- Nie. W Secunda.

Teraz, gdy mówił, patrzył na nią. Widział szerokie czoło, duże, brązowe, szeroko rozstawione oczy, grube brwi.

- Jesteście do siebie podobni?

- Nie... - Wiedział, że musi powiedzieć coś więcej. Wiedział, że jego odpowiedzi są za krótkie. - Ona... jest podobna do ojca.

- A pan?

- Do matki. - Czuł się onieśmielony, speszony. To, co chciał powiedzieć, brzmiało tak trywialnie. Spróbował jednak: - Tak naprawdę jestem podobny do rodziny mojej matki. Jej ojciec, mój dziadek, też był taki potężny. - Zaczerpnął głęboko powietrza: - I niezdarny. - Był zły, że dodał dwa ostatnie słowa. Jak przestępca rozmyślnie zostawiający ślady.

- Czuje się pan niezdarny? - Powtórzyła to automatycznie, odruchowo, i w dziwny sposób go to uspokoiło. Świadczyło o tym, że nie kontrolowała siebie perfekcyjnie.

- Jestem niezdarny.

- Dlaczego pan tak uważa? - spytała już wolniej, z namysłem.

- Zawsze byłem. - Jego roztargnione spojrzenie omiotło półki z książkami. - Odkąd pamiętam. - Wspomnienia napierały na tamę. Przepuścił kilka kropel. - W podstawówce... Na bieżni zawsze byłem ostatni... - Nie zdawał sobie sprawy z własnego kpiącego uśmiechu. - Martwiło mnie to. Ale w liceum już nie.

- Dlaczego to pana martwiło?

- Ojciec... Chciałem być taki jak on. - Zaczął się wycofywać. Powstrzymał wyciek.

Zawahała się.

- Pańscy rodzice żyją?

- Nie.

Czekała.

- Ojciec zmarł przed trzema laty. Na atak serca. Matka rok później. Miał sześćdziesiąt jeden lat. Ona pięćdziesiąt dziewięć.

Nie chciał tego wspominać.

- Czym się zajmował pański ojciec?

- Był policjantem. Przez siedemnaście lat dowodził posterunkiem w Goodwood. - Joubert niemal słyszał obracające się w jej głowie zębatki. Ojciec był policjantem. Policjantem. To musi mieć znaczenie. Ale pani psycholog się pomyli.

- Nie dlatego zostałem gliniarzem, że był nim mój ojciec.

- Tak?

Spryciara. Przyłapała go. Lecz więcej się nie da. Nic nie powiedział. Wbił dłoń w kieszeń marynarki, szukając papierosów. Nie, jeszcze za wcześnie. Wyciągnął dłoń i znów założył ręce na piersiach.

- Był dobrym policjantem?

Skąd ta obsesja na punkcie ojca?

- Nie wiem. Tak. Był z innej epoki. Jego ludzie, mundurowi, biali i czarni, bardzo go lubili.

Nawet z Larą nie rozmawiał o ojcu.

- Ale myślę, że się go bali.

Z Blackiem Swartem też nie rozmawiał o ojcu. Ani z matką czy siostrą. Czy w ogóle z kimś o nim rozmawiał?

- Miał rasistowski stosunek do wszystkich kolorowych, każdej rasowej kategorii w tym szalonym kraju. Malajczycy nie należeli w jego pojęciu do kolorowych. Nazywał ich brudaskami. Prosto w twarz. Swoimi brudaskami. „Chodź, mój brudasku”. A Xhosa i Zulusi nie byli „czarnymi”, lecz kafirami. Nigdy „jego kafirami”. Zawsze „pieprzonymi kafirami”. Za jego czasów nie było czarnoskórych posterunkowych, tylko czarnoskórzy przestępcy. Coraz więcej przestępców, w miarę jak napływali ze wschodu w poszukiwaniu pracy na Przylądku. Nienawidził ich.

Ujrzał się w czarnym fotelu, duży facet z założonymi ramionami, pochyloną głową, o potarganych, za długich włosach, w brązowej marynarce i spodniach, niewypastowanych brązowych butach i krawacie. Słyszał sam siebie. Jakby stanął poza swoim ciałem. Mów, Macie Jobert, mów. Tego od ciebie oczekuje. Powyciągaj wstydlive tajemnice. Niech z pomocą swej wiedzy usunie chore tkanki. Wykrwaw brud.

- Ja też ich z początku nienawidziłem, tak jak on. Zanim zacząłem czytać i zanim poznałem przyjaciół, których rodzice mieli inne poglądy. A potem, po prostu... zacząłem gardzić ojcem, jego ograniczonym, prostackim światopoglądem, czczą nienawiścią. To był... proces.

Na chwilę w bunkrach jego umysłu zapanował spokój.

Ból przygniatał mu ramiona. Stał nad grobem ojca, świadomy, że nienawidził tego człowieka. Nikt o tym nie wiedział. Ale ojciec to podejrzewał.

- Nienawidziłem go... pani doktor. - Rozmyślnie dodał tytuł, stwarzając dystans. Chciała wiedzieć. Chciała poznać widma snujące się po jego głowie. Powie jej. Do cholery, powie. Zanim sama to z niego wycisnie swoimi sztuczkami i tym głosem... - Nienawidziłem go, bo był

kimś, kim ja nigdy nie będę. Bo gardził mną i rzucał mi tę pogardę w twarz. Był taki silny i taki... szybki. W piątkowe wieczory, na ulicy za komendą, ustawiał swoich brązowych posterunkowych w szeregu. „No dalej, moje brudaski, jak któryś dobiegnie do słupa latarni szybciej ode mnie, dostanie cały weekend wolny na pieprzenie”. Miał na karku pięćdziesiątkę i zawsze ich pokonywał. A ja byłem powolny. Mówił, że to z lenistwa. Że powinienem grać w rugby, że to zrobiłoby ze mnie mężczyznę. Zacząłem pływać. Pływałem, jakby od tego zależało moje życie. W wodzie nie byłem duży, niezdarny i brzydki. Powiedział, że pływanie jest dla dziewczyn. „Pływają dziewczyny. Mężczyźni grają w rugby. Chcesz mieć jaja, graj w rugby”. Nie palił. Twierdził, że od palenia dostaje się wiatrów. Więc ja zacząłem palić. Nie czytał, bo uważał, że jedyną książką wartą przeczytania jest życie. Czytanie było dla dziewczyn. Zacząłem czytać. Wyzywał. Matkę, siostrę. Ja byłem dla nich grzeczny. Mówił do ludzi „brudas”, „kafir” i „kulis”. Ja do wszystkich zwracałem się per „pan”. A potem wziął i umarł.

Uczucia wypływały z niego, napierały na klatkę piersiową. Ciało dygotało niezbornie, łokcie opadły na kolana, głowę ukrył między rękami. Zastanawiał się, jak ona, kiedy...

Nagle zapragnął powiedzieć jej o śmierci. I to pragnienie opowiedzenia rozlało się po nim jak gorączka. Niemal czuł już smak ulgi. Opowiedz jej o śmierci, Macie Joubert, i będziesz wolny...

Wyprostował się i włożył dłoń do kieszeni. Wyjął papierosy. Ręce mu drżały. Zapalił. Wiedział, że ona powie coś, żeby przerwać ciszę. To jej praca.

- Dlaczego wybrał pan ten sam zawód?
- W Goodwood detektywi pracowali w innym miejscu niż mundurowi. Był wśród nich porucznik Coombes. Nosił kapelusz, czarny kapelusz. I dobrze traktował ludzi, wszystkich. Palił. Papierosy z metalowej puszki. Zawsze miał na sobie kamizelkę i jeździł fordem fairlane. Wszyscy go znali. Parę razy napisali o nim w gazetach, o sprawach morderstw, które rozwiązał. Mieszkaliśmy niedaleko posterunku. Siedziałem na werandzie i czytałem, a on wyszedł z biura detektywów na ulicy Voortrekker, pewnie spieszył na spotkanie z moim ojcem. Zatrzymał się przy naszej furcie i popatrzył na mnie. Ni z tego, ni z owego powiedział: «Powinieneś zostać detektywem». Zapytałem go, dlaczego. „Potrzebujemy w służbie zdolnych ludzi”. I odszedł. Nigdy więcej z nim nie rozmawiałem. Nawet nie wiem, co się z nim dalej działo.

Zgasił na wpół dopalonego papierosa.

- Ojciec oświadczył, że jego dzieci nie będą służyć w policji. Coombes kazał mi zostać detektywem. Był wszystkim tym, kim chciałem, żeby był mój ojciec.

Powiedz jej, że szuka w złym miejscu. Ten ślad prowadzi donikąd. To nie ojciec zamieszał mu w głowie. Tylko śmierć. Śmierć Lary Jobert.

- Lubi pan swoją pracę?

Ciepłej, ciepłej pani doktor.

- Praca to praca. Czasem lubię, czasem nie.

- Kiedy pan lubi?

Gdy śmierć nie jest odarta z godności, pani doktor. A najlepiej, gdy w ogóle jej nie ma.

- Sukces jest przyjemny.

- A kiedy pan jej nie lubi?

Ding! Właśnie zdobyła pani główną nagrodę, pani doktor. Ale nie dostanie jej pani dzisiaj.

- Gdy uchodzi im na sucho.

Czy zdaje sobie sprawę, że się wykręca? Że zataja, że zbyt jest przestraszony, żeby otworzyć śluzę, bo zapomniał, ile wody się za nimi zgromadziło?

- Jak pan odpoczywa?

- Czytam.

Czekała.

- Przeważnie fantastykę naukową.

- To wszystko?

- Tak.

- Mieszka pan sam?

- Tak.

- Jestem tu od niedawna - powiedziała, a on zauważył jej nos, długi i lekko spiczasty. Wydawało się, że poszczególne elementy jej twarzy nie pasują do siebie, ale tworzyły razem piękną całość, która zaczynała go fascynować. I jej kruchość chyba też. Lubił na nią patrzeć. I czuł zadowolenie, że mu się podoba. Bo o tym nie wiedziała. To była jego przewaga. - I jeszcze wiele rzeczy muszę zrobić. Ale jedno, co już nabiera kształtu, to grupa społeczna, jeśli można to tak nazwać. Parę osób, które konsultowałam...

- Nie, dziękuję, pani doktor.

- Dlaczego?

Chyba to nie taka sztuka zdobyć doktorat z psychologii. Wszystko, co trzeba opanować, to zamianę wszelkich uwag w pytania. Zwłaszcza w pytania zaczynające się od „dlaczego”.

- Mam dość zbzikowanych policjantów w pracy.

- Oni nie są... - Nagle uśmiechnęła się, powoli. - Nie mają bzika, nie wszyscy są facetami i nie wszyscy są z policji.

Nie zareagował. Bo zauważył wyraz jej twarzy, zanim się uśmiechnęła. Pani, pani doktor, jest człowiekiem jak my wszyscy.

- Dam panu znać o naszych planach. Wtedy pan zdecyduje. Ale proszę przyjść tylko wtedy, gdy będzie pan tego chciał.

Zapytał ją, czy należy do tej „grupy społecznej”. Gdzieś w zakamarkach umysłu zdumiewał się, że się nią tak zainteresował. Przez ponad dwa lata seksualne pragnienie objawiało się tylko w mgliście zapamiętywanych snach, a w nich dochodziło do krępujących stosunków z anonimowymi kobietami. A rzeczywiste, żywe kobiety, pojawiające się na jego drodze traktował co najwyżej jako źródła informacji, która pomagała mu wykonać pracę, wrócić do domu i znaleźć schronienie na stronach książki.

A teraz... zainteresował się doktor Hanną. No, no, no, Macie Jobert. Drobną, kruchą kobietą o nieuchwytniej urodzie obudziła w tobie mężczyznę, pragnienie osłaniania jej, pragnienie posiadania.

- Przemyśle to.

Rozdział 9

PO DRODZE DO DOMU MIJAŁ MIEJSKI BASEN KĄPIELOWY. Pieczę nad nim sprawował Murzyn.

- Może pan przychodzić popływać rano. Z klubem biznesowym. Latem jestem tu od wpół do szóstej.

- Klubem biznesowym?

- Biznesmenami. W zeszłym roku zapytali radę, czy nie mogliby pływać z samego rana, przed pracą. Potem mają za dużo zajęć. Rada wyraziła zgodę i tak ochrzciła ranne ptaszki: klub biznesowy. Od wpół do szóstej w tygodniu, od wpół do siódmej w soboty, a w dzień siódmy odpoczynek. Dziewięćdziesiąt randów za sezon od września do maja. Może pan zapłacić w kasie. Szafka płatna dodatkowych dwadzieścia randów.

Poszedł do samochodu po książeczkę czekową i zapłacił. Potem stanął nad basenem. Wpatrywał się w niebieską wodę, obojętny na krzyki i chlapaninę bandy dzieciaków. Wciągał w nozdrza zapach i wspominał. Potem się odwrócił. Pod drzwiami wrzucił czerwoną paczkę winstonów do kosza na śmieci.

Zatrzymał się przy kawiarni. Właściciel go znał i wziął z półki paczkę winstonów.

- Nie - powiedział Joubert. - Benson & hedges. Special mild.

W domu nie czekała wciśnięta pod drzwi koperta. Usmażył sobie trzy jajka. Żółtka się rozlały. Zjadł je na grzance. Potem usiadł w salonie z Williamem Gibsonem i doczytał go do końca.

Nim poszedł spać, wyciągnął z szafy kąpielówki. Zawinął je w ręcznik i położył na krześle przy drzwiach.

W CIĄGU OSTATNICH LAT ZNIENAWIDZIŁ WEEKENDY.

Soboty nie były jeszcze takie złe, bo w soboty przychodziła pani Emily Nofomela, jego pomoc domowa z Xhosa, i martwą ciszę domu wypełniały dźwięki pracującej pralki, odkurzacza i brzęczenie talerzy.

Dobrze było też, gdy pracował, bo praca oddalała nudę i bezcelowość weekendu.

Gdy kwadrans po szóstej zadzwonił budzik, poderwał się, nieświadomy, że oto dokonuje się przełom.

Jako jedyny członek klubu biznesowego wykorzystywał ten sobotni ranek. Przebiegłość była pusta i tak cicha, że słyszał nawet dużą pompę pracującą na zewnątrz. Naciągnął kąpielówki i zdał sobie sprawę, że zrobiły się za ciasne. Musi kupić nowe. Wszedł na basen przez brodzik, zapachy i dźwięki uwolniły wspomnienia, migawki z młodości, i ucieszył się, że się tu znalazł.

Przed nim rozciągała się gładka tafla wody. Zanurkował i zaczął płynąć stylem dowolnym. Dokładnie po trzydziestu metrach poczuł się wykończony.

STARSZY, BARDZIEJ DOŚWIADCZONY POLICJANT odprawiłby Herculesa Jantjiesa jeszcze przed drzwiami posterunku, dokładając najpewniej solidnego kopniaka w tyłek.

Bo problem polegał na tym, że niemal w każdy sobotni ranek, po pijackim piątkowym wieczorze, przyłaziły różne włóczęgi podzielić się radościami i smutkami swoimi i towarzyszy niedoli. Gdy więc wystarczająco długo pracowało się w biurze w Newlands, w końcu dochodziło się do wniosku, że najlepsze wyjście to pozbyć się na starcie odrażającego smrodu i katującego uszy pijackiego bełkotu.

Ale mundur białego posterunkowego był nowy i świeżo wyprasowany, a jego zapach wciąż jeszcze podsycany słowami wykładowcy, że w Afryce Południowej policja powinna służyć wszystkim.

Z wysiłkiem powstrzymał się, by nie odsunąć się instynktownie bo czuł odór niemytego ciała i metabolizowanego bimbru. Spojrzał Herculesowi w twarz - w jego małe, brązowe, myszkujące dookoła oczy, na fioletowoniebieską skórę, poznaczoną przez życie milionami maleńkich zadrapań, bezzębne usta, kilkudniowy zarost.

- W czym mogę panu pomóc?

Hercules Jantjies wyciągnął rękę spod przetartej, wyświechtanej marynarki. Trzymał w niej kawałek gazety. Położył go na stole

i wygładził brudną dłonią. Posterunkowy ujrzał pierwszą stronę „Cape Timesa” sprzed kilku dni. Nagłówek pytał dużymi literami: „Mafijne zabójstwo?” Hercules Jantjies wskazał palcem litery.

- Panie władzo, ja w tej sprawie.

Posterunkowy nie załapał.

- Tak?

- Chcę złożyć zeznania, panie władzo.

- Mianowicie?

- Byłem tam.

- W czasie morderstwa?

- Właśnie, panie władzo, dokładnie wtedy. Zeznania naocznego świadka. Ale żądam policyjnej ochrony.

PRZYWARŁ DO KRAWĘDZI BASENU. Oddychał z trudem i piekły go płuca. W kończynach czuł głębokie znużenie, a w klatce piersiowej niespokojne bicie pędzącego serca. Przepłynął dwie długości. Usłyszał czyjś głos i podniósł głowę, z wciąż otwartymi ustami, żeby szybciej nailykać się powietrza.

- Pański pager straszliwie piszczy. - Sprawujący pieczę nad basenem Murzyn pochylił się nad nim zatroskany

- Już idę. - Joubert oparł się dłońmi o krawędź, żeby podciągnąć się i wyjść z wody. Zawisł, na w pół zanurzony w wodzie, zbyt zmęczony, by się ruszyć.

- Dobrze się pan czuje?

- Sam nie wiem - odparł Joubert, zaskoczony swoją degrengoladą.
- Doprawdy nie wiem.

W BIURZE ADIUTANTA RADIEGO DONALDSONA, komendanta posterunku Newlands, trzech starszych oficerów skupiło uwagę na Herculesie Jantjiesie. Joubert i Donaldson siedzieli na starych brązowych drewnianych krzesłach ustawionych pod ścianą. Benny Griessel stał i się o nią opierał. Byle dalej od śmierzącego Herculesa, siedzącego pod przeciwległą ścianą.

Donaldson pochodził jeszcze ze starej szkoły zwalczania przestępstw, która kazała mu traktować bez rękawiczek wszystkich potencjalnych rzezimieszków, niezależnie od rasy, koloru czy politycznych przekonań. Wycelował więc w Herculesa ostrzegawczy palec i powiedział:

- Jeśli wciskasz nam kit, to już po tobie. - A potem, bardziej podejrzliwie: - Jesteś nabzdryngolony?

- Panie władzo, panie władzo - zaciął się nerwowo Jantjies, jakby przytłoczony wagą chwili.

- Ci panowie są z wydziału morderstw i kradzieży. Jaja ci obetną, jeśli naopowiadasz głupot. Jasne?

- Tak, panie władzo.

Jego brązowe oczy prześliznęły się po twarzach trzech oficerów; skinął im nieznacznie głową.

- Wszystko widziałem, panie władzo. Ale domagam się policyjnej ochrony.

- Lepiej uważaj, bo zaraz zarobisz policyjny łomot - odparł Donaldson.

- Leżałem w krzakach, panie władzo, między parkingiem a główną drogą.

- Urżnięty?

- Nie, tylko zmęczony, panie władzo.

- No i?

- Potem zobaczyłem ją, panie władzo.

„Ją?

- Tak, z bronią, panie władzo.

- A dalej?

- Czekała w ukryciu, a potem nadszedł ten facet, niech spoczywa w pokoju, zobaczył ją, przestraszył się i wyciągnął rękę, panie władzo. A chwilę później upadł jak kłoda.

- A potem?

- A potem już było po wszystkim, panie władzo.

- No a gdzie ten morderca?

- No zniknęła.

- Zniknęła? Chcesz powiedzieć, że zastrzeliła go ta kobieta?

- Nie taka zwyczajna kobieta, panie władzo.

- Co masz na myśli?

- To był anioł śmierci, panie władzo.

W biurze zapadła cisza.

- Dlatego chcę policyjnej ochrony, panie władzo. Bo teraz pewnie przyjdzie po mnie.

- Jak wyglądała? - zapytał Joubert głosem zdradzającym rozczarowanie.

- Miała długą, czarną pelerynę, jak Batman. Czarne buty i czarne włosy. Anioł śmierci. Przyszła do mnie zeszłej nocy, wołała mnie, kiwała na mnie palcem, o tak. Panie władzo, znam swoje prawa w nowej Afryce Południowej. I domagam się policyjnej ochrony.

Policjanci nieraz słyszeli o wizjach wywoływanych przez Niebieski Pociąg, jeśli nie osobiście, to z opowieści niezliczonych świadków i oskarżonych. Jednak aż do tej pory łudzili się, mimo iż wszystko wskazywało na to, że Herculesowi nie można zaufać.

- Łajdak! - rozzłościł się Donaldson i ruszył w stronę Jantjiesa.

Joubert powstrzymał komendanta posterunku w ostatniej chwili.

WCZESNYM RANKIEM W NIEDZIELĘ zadzwonił porucznik Leon Petersen. - Chyba dorwałem tych skurwieli, którzy zgwałcili dziewczynę, kapitanie. W Mitchells Plain. Tylko że to gang. Jest ich czterestu. I nie chcą gadać.

Joubert pojechał pomóc mu w przesłuchaniu, porównać alibi. Godzinami wysłuchiwali kłamstw, zmagali się z nastoletnią brawurą i bezczelną prowokacją. W końcu, o siedemnastej dwadzieścia, cierpliwość Petersena ostatecznie się wyczerpała. W pokoju przesłuchań numer 2 na posterunku w Mitchells Plain stracił nad sobą panowanie i uderzył najmłodszego członka gangu zaciśniętą pięścią w nos i oko. Na stół połała się krew.

Brązowy dzieciak zaczął chlipać.

- Mama mnie zabije, mama mnie zabije - beczał i zaczął składać zeznania, z których powoli zaczęła wyłaniać się prawda niczym para z buzującego na ogniu garnka.

Siedzący w kącie posterunkowy Gerrit Snyman bazgrał w swoim notatniku tak szybko, jak tylko mógł.

Rozdział 10

DWADZIEŚCIA TRZY PIEPRZONE KILOGRAMY, MAT. Ten facet jest stuknięty. Wiesz, co mi powiedział? Dał mi sześć miesięcy na każde pięć kilo. Nie, on oszalał, do cholery. - Kapitan Gerbrand Vos poczerwieniał z oburzenia. Joubert tylko pokręcił współczująco głową. Wciąż czekała go jego własna sesja zdrowotna z de Witem.

- Jezu, Mat, zawsze byłem ciężki. Taka już moja uroda. Co to za gliniarz z chudzielca? Umiesz to sobie wyobrazić? Zresztą, pieprzę go. Nie może tego wygzekwować.

Joubert się uśmiechnął.

- Może, Geny.
- Nie ma jak.
- Przepisy policyjne. Obowiązkiem dowódcy jest dopilnować, żeby jego ludzie cały czas byli w formie i gotowi do akcji. Czarno na białym. Sam sprawdź.

Vos zamilkł na chwilę.

- Jesteśmy z wydziału morderstw i kradzieży, Mat, a nie posterunkowymi z jednostki bezpośredniego reagowania. Jak bardzo mamy być wysportowani? Nie dam rady przebiec maratonu Comrades, ale do diabła...

Joubert miał żywo w pamięci swoje osiągnięcia pływackie sprzed paru godzin. Nie było lepiej niż w sobotę: klucie w boku po pięćdziesięciu metrach wleczenia się stylem dowolnym, ogień w płucach oblepionych papierosową smołą. Po stu metrach przywarł do krawędzi basenu, ledwie zipiąc.

Nie odezwał się.

- Dwadzieścia trzy pieprzone kilogramy. Chyba zaszyję sobie gębę.

PRZECZŁAPAŁ PRZEZ DRZWI ODDZIAŁU BANKU PREMIER przy Heerengracht. Kroki stawiał powoli i z rozmysłem, w lewej dłoni ścisnął laskę, skupiony wzrok utkwiał w podłodze metr przed stopami. Wokół oczu i ust miał głębokie, wyrzeźbione wiekiem zmarszczki.

Podszedł do okienka z formularzami, wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni, powolnym cierpliwym ruchem wyjął etui na okulary. Lekko drżącymi rękoma otworzył wieczko i wyciągnął okulary w czarnych oprawkach. Włożył je. Dłoń ponownie wolno powędrowała do kieszeni i wydobyla wieczne pióro.

Odkręcił skuwkę, wyciągnął ostrożnie rękę i wziął druk zlecenia wypłaty. Niepewnie wypisał litery i liczby w kolumnach białej kartki z fioletoworóżowym paskiem u góry.

Gdy skończył, zakręcił wieczne pióro i z uwagą umieścił je w wewnętrznej kieszeni. Złożył okulary, schował do etui, a potem włożył do kieszeni. W prawej ręce trzymał druczek, w lewej laskę. Ruszył na męczący spacer do okienka kasowego.

Oddział banku Premier przy Heerengracht nie należał do największych. Ale ze względu na konkurencję położonych w pobliżu innych banków jego wystrój był nieskazitelnym przykładem korporacyjnej tożsamości firmy Premier: fioletoworóżowa wykładzina dywanowa, jasnoszare drewniane meble, ozdobione plakatami reklamowymi białe ściany.

Uniform Joyce Odendaal również był stosowny - fioletoworóżowe żakiet i spódnica (w zimie spodnie), biała bluzka z falbankowym kołnierzykiem i srebrna broszka z literami PB. Joyce miała dwadzieścia dwa lata, była kobietą atrakcyjną i niedawno została kasjerką miesiąca.

Zauważyła nierówny krok starca, brązowy garnitur z innej epoki, złoty łańcuszek od zegarka biegnący od kamizelki do kieszeni spodni i krawat, nieudolnie zawiązany zreumatyzowanymi rękoma.

Westchnęła. Nie lubiła starych ludzi. Byli głusi, uparci i skrupulatnie sprawdzali każdą transakcję, jakby bank chciał ich oszukać. I często robili niepotrzebne zamieszanie z powodu najmniejszego błędu.

Jednak jej „Dzień dobry panu” było przyjazne i wypowiedziane z uśmiechem. Między przednimi zębami miała niewielką przerwę. Zauważyła plamy od jedzenia na krawacie i kamizelce klienta i ucieszyła się, że nie musiała patrzeć, jak jadł.

- Dzień dobry, złotko - odparł i uznała, że jego głos brzmi młodzieńczo. Niebieskie oczy spoglądające spośród zmarszczek też nie wyglądały staro.

- Co mogę dla pana zrobić?
- Taka dziewczyna mogłaby w wielu sprawach pomóc komuś takiemu jak ja - powiedział młodym głosem - ale skoncentrujmy się na tym, co jest możliwe od ręki.

Uśmiech Joyce Odendaal nie zgasł nawet na mgnienie oka, gdyż nie miała pojęcia, o czym ten facet gędzi.

- Zdobądź jeden z tych dużych starych worków na pieniądze i wypchaj go randami w pięćdziesiątkach. Pod marynarką mam duży, stary rewolwer, którego wolałbym nie używać. Ten oddział tak ładnie się prezentuje.

Rozpiął marynarkę i pokazał jej broń.

- Proszę? - zapytała Joyce z niepewnym uśmiechem.
- No rusz się, złotko, trzymaj stopę z dala od alarmu i załatwmy to szybko. Staruszek się śpieszy. - Uśmiechnął się.

Prawa dłoń Joyce powędrowała wolno ku jej twarzy. Palec wskazujący potarł powoli skórę pod nosem; otworzyła usta. Dłoń zaczęła drżeć. Opuściła ją. Guzik alarmu znajdował się cztery centymetry od jej stopy.

- Czym się wyperfumowałaś? - zapytał starszy mężczyzna spokojnie i ze szczerym zainteresowaniem.
- Jesteś Ogniem - odparła machinalnie i wyciągnęła worek. Otworzyła szufladę z gotówką i zaczęła wyjmować banknoty.

Joubert wracał właśnie do biura z obrabowanego banku; podbiegł, żeby zdążyć podnieść słuchawkę dzwoniącego telefonu.

- Proszę czekać, zaraz połączę z doktorem Peroldem.

Czekał.

- Kapitanie?
- Doktorze?
- Nie mam dobrych wieści.

Mięśnie brzucha Jouberta się napięły. Wyobraził sobie lekarza wpatrującego się sponad okularów zmrużonymi oczami w aparat telefoniczny. Czekał.

- Pański cholesterol, kapitanie. Wysłałem wyniki badań pańskiemu dowódcy, ale ja też chciałbym z panem porozmawiać.
- Tak.
- Jest wysoki, kapitanie. Bardzo wysoki.
- To niedobrze?

Na drugim końcu linii lekarz wydał dziwny dźwięk.

- Świadczy o pańskiej kondycji, kapitanie. W połączeniu z paleniem, nadwagą i rodzinną historią medyczną powiedziałbym, że nie najlepiej.

Powiedzieć mu, że w sobotnie ranki zaczął pływać?

- Musi pan brać leki. I przejść na dietę. Natychmiast.

Joubert westchnął.

- Co mam robić?

KUPIŁ ZBIÓR OPOWIADAŃ, Laureaci Nagrody Hugo 1990 i powieść Spidera Robinsona, bardzo przez Willy'ego polecana. Na ulicy przed jego domem dzieciarnia grała w krykieta. Zanim mógł wjechać na podjazd, musiał poczekać, aż zabiorą służące im za bramkę tekturowe pudło.

Poranne pływanie zaostrzyło jego apetyt. W rogu szafki znalazł puszkę fasoli w sosie pomidorowym. Zastanawiał się, czy szkodzi na cholesterol. Dowie się jutro od dietetyczki. Wyjął z lodówki castle. Przeczytał gdzieś, że piwo zawiera mnóstwo zdrowych witamin i minerałów. Odkapslował, wyciągnął z kieszeni opakowanie pigułek na cholesterol, położył jedną na języku i zapił haustem piwa. Było zimne i lekko się wzdrygnął. Poszedł do salonu. Usiadł i zapalił special mild. Papieros go rozczarował. Może powinien wrócić do winstonów, tylko mniej palić. A może palenie też szkodzi na cholesterol? Zaciągnął się głęboko, ale nic to nie pomogło. Otworzył książkę na pierwszym opowiadaniu Isaaca Asimova.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Joubert postawił piwo za fotelem i wstał. Otworzył drzwi.

Na werandzie stał Jerry Stoppberg. A za nim Yvonne.

- Dobry wieczór, Mat. - Stoppberg nie był pogodny jak zwykle.

Joubert domyślił się, z czym przychodzi sąsiad, poczuł ucisk w pierśsiach i przez chwilę zastanawiał się, czy to nie pierwszy objaw ataku serca.

- Cześć, Stopp - odparł z napięciem w głosie.

- Możemy wejść, Mat?

- Jasne. - Przytrzymał przed nimi drzwi. Zauważył, że dziewczyna unika jego wzroku, i gorączkowo myślał, co powie Stoppbergowi. Nic się nie wydarzyło. Stoppberg musiał to przyznać. Nic się nie wydarzyło - jeszcze.

Przeszli w milczeniu do salonu. W popielniczce wciąż tlił się papieros.

- Siadajcie - rzucił, ale Stoppberg już usiadł na kanapie, a córka usiadła obok niego, jakby potrzebowała wsparcia. Joubert przełknął ślinę. Ucisk w piersiach narastał.

- Mat, przykro mi, że cię niepokoję, ale w naszej rodzinie doszło do nieszczęścia.

- Do niczego nie doszło - zaprzeczył Joubert lekko i znów ciężko przełknął ślinę.

- Słucham? - najwyraźniej Stoppberg nie dosłyszał.

Joubert zobaczył, że Yvonne spogląda na niego gniewnie, marszcząc brwi.

- Wczoraj wieczorem zmarł szwagier mojej siostry. W Benoni. Atak serca. Trzydzieści osiem lat. W kwiecie wieku. Tragedia. - Spojrzał na dymiący się w popielniczkę papieros. - Też dużo palił.

Jouberta olśniło. Wreszcie zrozumiał minę Stoppberga. To zawodowa maska przedsiębiorcy pogrzebowego w akcji. Ucisk w piersiach zniknął.

- Przykro mi to słyszeć.

Zachmurzone czoło Yvonne wypogodziło się.

- Chcą, żebym go pochował, Mat. - Stoppberg umilkł na chwilę. Joubert nie wiedział, co powiedzieć. - To dla mnie wielki zaszczyt. Nieprzyjemne zadanie. Ale zaszczytne. Pogrzeb odbędzie się w przyszłą środę. Niestety mamy problem. Potrzebujemy twojej pomocy, Mat.

- Zrobię wszystko, co będę mógł, Jerry - zapewnił.

- Widzisz, w środę Bonnie zaczyna technikum. - Stoppberg otoczył córkę ramieniem i spojrzał na nią z dumą. Jego głos złagodniał. - Tak, Mat, córeczka tatusia urosła. Będzie studiować public relations. - Yvonne Stoppberg niczym mała dziewczynka oparła policzek o ramię ojca i uśmiechnęła się słodko do Jouberta.

Głos Stoppberga odzyskał profesjonalny ton.

- Nie może z nami jechać, Mat. A jej przyjaciele są jeszcze na wakacjach. Pewnie mógłbym poprosić panią Pretorius, żeby z nią została, ale ten jej rudy synalek... - Złączył dłonie w błagalnym geście. - W tej sytuacji Bonnie zasugerowała, żebyśmy wpadli i zapytali, czy nie mogłaby pobyć u ciebie, Mat.

Nie od razu dotarła do niego treść ostatnich słów Stoppberga, bo zastanawiał się właśnie nad jego obawami. Rudy chłopak... co za ironia. Stoppberg zinterpretował jego milczenie jako wahanie.

- Tylko tobie możemy zaufać, Mat. Przecież jesteś policjantem. To potrwa tylko tydzień. Bonnie powiedziała, że może ci gotować

i prowadzić dom. Nie będzie ci przeszkadzać. Tak naprawdę chodzi tylko o wieczory. Dni może spędzać w domu. Naprawdę byłbym ci bardzo wdzięczny, Mat.

- Do diabła, Jerry...

- Bonnie, powiedz wujkowi Matowi, że nie będziesz mu przeszkadzać.

Nie odezwała się. Uśmiechnęła się tylko czarująco. Joubert znalazł odpowiedź. Ale usiłował zachować się uczciwie.

- Wiezorami często pracuję, Jerry... Stoppberg przytaknął poważnie.

- Rozumiem, Mat. Ale ona jest już przecież całkiem dorosła.

Joubertowi nie przychodziło do głowy inne usprawiedliwienie.

- Kiedy wyjeżdżacie, Jerry? Muszę dać jej klucz.

- Jutro rano - odezwała się pierwszy raz Yvonne, z oczami niewinnie wbitymi w dywan.

Zerknął na nią, zobaczył, że podniosła szybko wzrok i się uśmiechnęła. Popatrzył na Jerry'ego, starannie unikając jego wzroku.

Rozdział 11

WODA BYŁA GŁADKA JAK STÓŁ. Tego ranka znów był na pływalni jedynym przedstawicielem klubu biznesowego. Zanurkował i rozpoczął pływanie od powolnej żabki. Szukał właściwego tempa. W nadziei, że może uda mu się kiedyś odnaleźć swój dawny rytm. Sprzed wielu paczek winstonów i butelek castle. Prawie z poprzedniego życia.

Zmęczył się szybciej niż dotychczas. Na szczęście mam usprawiedliwienie, pomyślał. Noc rzucania się i przekręcania z boku na bok. Noc mocowania się z sumieniem, miotania się między żądzą a ciężkim poczuciem winy.

W leżącej na poduszce głowie słyszał bicie swojego serca. Niepokojąco szybsze niż zwykle. Wstał, trochę po pierwszej, poszedł do drugiej sypialni i wepchnął kartkę z wierszem pod leżącą na stercie książkę Williama Gibsona.

Skosztuj mnie, dotknij, weź...

Położył się na plecach i usiłował skupić na czymś innym. Na pracy. De Wit. Co ten facet knuje? W końcu zmorzył go sen.

Ale rano czuł się niewyspany i zmęczony. Po dwóch długościach żabką był wykończony.

W DRZWIACH POKOJU JOUBERTA STANAŁ DE WIT z zieloną teczką w ręce. Mat właśnie rozmawiał przez telefon z Pretorią.

De Wit zapukał i czekał na zewnątrz. Joubert zastanawiał się, czemu po prostu nie wejdzie, ale dokończył rozmowę. De Wit wszedł. Tym razem znów się uśmiechał. Zaniepokojony Joubert wstał.

- Niech pan siada, kapitanie. Nie chcę panu przeszkadzać w pracy. Jakież problemy z Pretorią?

- Nie, pułkowniku. Ja... Nie przysłali nam jeszcze raportu balistycznego. Chodzi o tetetkę. Pogoniłem ich.

- Mogę usiąść?

- Oczywiście, pułkowniku. - Czemu po prostu nie siada?

- Chcę dziś porozmawiać o pańskim zdrowiu fizycznym, kapitanie.

Joubert zrozumiał, skąd ten uśmiech. To uśmiech tryumfu, uświadomił sobie.

De Wit otworzył zieloną teczkę.

- Otrzymałem wyniki pańskich badań. - Spojrzał Joubertowi w oczy. - Kapitanie, są tu sprawy, o które musi się pan zatroszczyć. Nie mam prawa robić panu wyrzutów z powodu wysokiego cholesterolu czy palenia. Mam jednak prawo interesować się pańską sprawnością fizyczną. Z badania wynika, że ma pan piętnaście kilo nadwagi. Wprawdzie nie stanowi ona takiego problemu, jak w przypadku niektórych pańskich kolegów, ale i tak o piętnaście kilo za dużo. Poza tym lekarz uważa, że jest pan w fatalnej kondycji.

De Wit zamknął zieloną teczkę.

- Nie chcę być nierozsądny. Zdaniem lekarza pięć kilo w sześć miesięcy to właściwe tempo. Jak pan sądzi, kapitanie, za rok o tej porze to dobry termin? Na ocenę postępu? Jak pan uważa?

Jouberta wkurzyły jego protekcyjny ton i udawana życzliwość.

- Załatwmy to w sześć miesięcy, pułkowniku.

Bo de Wit nie wiedział, że zaczął pływać. A teraz na dodatek będzie miał cel. Jeszcze teraz odczuwał przyjemne znużenie w mięśniach nóg i ramion po porannym basenie. Wierzył, że zdoła dotrzymać terminu. Utrze nosa staremu Dwunosemu.

- Zróbmy to w sześć miesięcy. Zdecydowanie.

De Wit popatrzył na niego z bladym uśmiechem, niemal grymasem.

- Pański wybór, kapitanie. Pańska determinacja robi na mnie wrażenie. Zapiszmy to sobie... - Znow otworzył zieloną teczkę.

Dzień potoczył się jak zwykle. Joubert pojechał do Crossroads. Okaleczone ciało dziecka. Morderstwo rytualne. Potem podskakujący na jego biodrze brzęczący telefon radiowy wezwał go do Simons Town, gdzie postrzelono z AK właściciela sklepu z militariami. Plamy krwi i mózgu na stalowym kasku amerykańskiej armii, mieczu japońskiego

oficera i czapce kapitana z zatopionej łodzi podwodnej zrobiły na nim jeszcze bardziej przynębiające wrażenie niż zwykle.

Na popołudniowe spotkanie z dietetyczką przyjechał pięć minut spóźniony. Zaparkował na parkingu przychodni. Lekarka już na niego czekała.

Ładna nie była, ale była szczupła. Jej głowę otaczały jasne loki, ale nos miała krzywy, a usta małe i wydęte w grymasie niezadowolenia.

Gdy Joubert opowiedział jej, jak się odżywia, z niedowierzaniem pokręciła głową. Przy użyciu plansz i plakatów opowiedziała mu o kwasach tłuszczowych - nasyconych i nienasyconych - o błonniku i otrębach, tłuszczach zwierzęcych i roślinnych, kaloriach, witaminach, minerałach i równowadze.

Oznajmił jej, że mieszka sam. Pomyślał przy tym o czekającym go dziś wieczorze z Yvonne i poczuł skurcz żołądka; poinformował dietetyczkę, że nie umie gotować i nie ma czasu dbać o zdrową dietę.

Zapytała go, czy ma czas na atak serca. Czy uświadamia sobie, co oznacza taki poziom cholesterolu. No i ile czasu trzeba, żeby przystanąć rano przy straganie i włożyć do teczki parę owoców.

Już chciał jej powiedzieć, że detektywi nie noszą teczek, ale zmienił zdanie. Przyznał, że to nie takie trudne.

A kanapki? - zapytała. Ile czasu zajmuje zawinięcie w folię kanapki z pełnego ziarna na następny dzień? A zjedzenie na śniadanie talerza otrębów z chudym mlekiem? A zakup słodziku do kawy i herbaty? Ile czasu to może zająć?

Niewiele, przyznał.

W takim razie, oświadczyła, możemy zaczynać pracę. Podniosła formularz z nadrukiem „Dieta...”

Jej długopis zawisł nad wykropkowanym miejscem.

- Imię? Joubert westchnął.
- Mat.
- Jak?

POCZEKALNIĘ DLA ODWIEDZAJĄCYCH wydział morderstw i kradzieży w South Bellville zorganizowano w holu wejściowym. Jego ściany były nagie, podłoga przykryta zimnymi szarymi płytkami, a krzesła solidne, lecz niekoniecznie wygodne.

Przychodzili tam rodziny, przyjaciele i krewni podejrzanych o morderstwo czy kradzież. Na co im wygodna czy rozrywka? Przecież

z podejrzanymi często łączyły ich więzy krwi. Tak zapewne myśleli architekci i zarządcy, zatwierdzając plan budynku.

Ale pani Mavis Petersen, Malajka, szczupła i atrakcyjna, o pięknym odcieniu jasnobrazowej karnacji, nie podzielała ich zdania. Przylegający do recepcji hol był częścią jej niepodzielnego królestwa. I nie była nieczuła na cierpienie rodzin kryminalistów. Dlatego też ladę recepcji budynku morderstw i kradzieży codziennie ozdabiała świeże kwiaty. A twarz pani Mavis uśmiech.

Lecz nie teraz.

- Adiutant Griessel zaginął - poinformowała Jouberta, który podszedł do stalowej bramki uniemożliwiającej dostęp do pozostałej części budynku.

- Zaginął?

- Nie pojawił się dziś rano, kapitanie. Dzwoniliśmy, niestety nikt nie odbierał. Wysłałam dwóch posterunkowych z furgonetką, ale dom jest zamknięty na klucz.

- A żona?

- Mówi, że nie widziała go od tygodni. I żebyśmy zapytali o czek z alimentami, jak go znajdziemy.

Joubert zamyślił się zabębnił palcami w ladę. Mavis ściszyła pełen dezaprobaty głos.

- Pułkownik zdecydował, żeby go nie szukać. I że w taki to niby sposób adiutant Griessel dał mu odpowiedź.

Joubert milczał.

- Nijak nie przypomina pułkownika Theala, prawda, kapitanie? - zaprosiła go do przymierza.

- Nijak, Mavis. Są dla mnie jakieś wiadomości?

- Nic, kapitanie.

- Poszukam go w Outspan. Tam znaleźliśmy go ostatnim razem. A potem jadę do domu. Powiedz radiowcom, żeby mi natychmiast dali znać, gdy dowiedzą się czegoś o Bennym.

- Dobrze, kapitanie.

Joubert wyszedł.

- Ale się nadał - oznajmiła Mavis z uniesionymi brwiami pustemu holowi.

Hotel Outspan, który swoją jedyną gwiazdkę zdobył za czasów poprzedniego menedżera, mieścił się przy ulicy Voortrekker, na styku dzielnic Bellville i Stikland.

Joubert okazał swój plastikowy identyfikator i poprosił o książkę meldunkową. Zajęte były tylko dwa pokoje, ale żaden przez Griessela. Poszedł do baru, mrocznego pomieszczenia o niskim suficie i ścianach wyłożonych ciemną drewnianą boazerią.

Pierwsi wieczorni klienci opierali się już o długi bar, samotni, nie-swoi, nadzy bez masek anonimowości zapewnianej przez tłum.

W nozdrza Jouberta uderzył zapach, kumulowana przez lata woń alkoholu i tytoniu, drewna i ludzi, środków czystości i do pielęgnacji mebli. Zapaścił macki w czeluściach pamięci i wygrzebał na powierzchni zapomniane obrazy: on, dziewięcioletni, dziesięcioletni, jedenastoletni, wysyłany, by sprowadzić ojca do domu. O dziesiątej wieczorem. Pełno ludzi w barze, dym, gorąco i wrzawa. Ojciec siedzi w rogu, otaczają go gapie. Siłuje się na rękę z potężnym facetem o czerwonej twarzy. Bułka z masłem dla taty.

- Ach, mój syn przyszedł. Wybacz Henry, nie mogę źle wypaść... - i rozpląszczył ramię mężczyzny na drewnianym stole. Przyjazne śmiechy i podziw dla jego siły, siły stróża ładu i porządku publicznego w Goodwood. - Chodź, Mat, nauczę cię. - Usiadł naprzeciw ojca, onieśmielony i dumny.

Zwarli dłonie. Ojciec grał, udawał, że syn zaraz go bez trudu pokona.

Publika zaśmiała się głośno.

- Pewnego dnia naprawdę cię pokona, Joop.
- Jak nie będzie za często trzepał kapucyna.

Joubert usiadł przy barze i przypomniał sobie, jak wtedy poczerwieniał, pokonany zażenowaniem. Czy o tym też powinien powiedzieć doktor Hannie Nortier? Czy to coś da?

Barman podniósł się niechętnie.

- Castle proszę.

Mężczyzna obsłużył go z gładką biegłością nabytą przez lata pracy.

- Trzy randy.
- Szukam Benny'ego Griessela.

Barman wziął pieniądze.

- Kim pan jest?
- Kolegą.
- Gdzie dowód?

Joubert pokazał mu identyfikator.

- Był tu wczoraj wieczorem. Nie dałby rady wrócić do domu, więc go tu przemocowałem. Po lunchu zająrzałem do niego, ale poszedł sobie.
- Dokąd stąd zwykle idzie?
- A bo ja wiem?

Joubert nalał piwo do kufła. Barman zinterpretował to jako sygnał końca rozmowy i wrócił na swoje krzesło.

Piwo mu smakowało, pełne, z pianką. Zastanawiał się, ile smaku dodało mu otoczenie. Zapalił special mild. Czy kiedykolwiek do nich przywyknie?

Wiedział, że się ukrywa.

Uśmiechnął się do kufła w ręce i do swojego wyznania: w barze szukał Benny'ego - i odwagi w piwie. Bo w domu czekało młode ciało, a on nie wiedział, na co go stać.

Podniósł kufel i wypił piwo. Odstawił kufel ze stukiem na ladę, przyciągając uwagę barmana.

- Jeszcze jedno? - ten zapytał bez entuzjazmu.
- Tylko jedno. Czas wracać do domu.

Rozdział 12

POPCHNAŁ DRZWI ŁOKCIEM, bo w rękach niósł dwie duże torby - jabłka, gruszki, brzoskwinie, morele, płatki zbożowe, mąka owsiana, filety z kurczaka, chuda wołowina, chude mleko, filety z morszczuka, chudy jogurt, puszki tuńczyka, suszone owoce.

Po samym zapachu poznał, że na niego czeka.

Dom wypełniała intensywna woń pieczonego jagnięcia. Oraz inne aromaty. Fasolka szparagowa? Czosnek? Ciasto?

Usłyszał muzykę.

- Cześć, jesteś?
- Tutaj - jej głos dochodził z kuchni.

Ruszył korytarzem. Wyszła mu naprzeciw. W ręce trzymała łyżkę. Zobaczył króciutką spódniczkę, piękne smukłe nogi, buty na wysokich obcasach. Drugą rękę oparła na wysuniętym biodrze. Piersi ledwie zakryte. Brzuch nagi i twardy, połyskujący blado w popołudniowym świetle. Włosy wyszczotkowane do połysku, na twarzy mocny makijaż.

Femme fatale w kuchni. Natychmiast uznał wszystko za teatralny wymysł osiemnastki. Zażenowanie mieszało się w nim ze świadomością, że zrobiła to dla niego. Poczul przyspieszone bicie serca.

- Witaj - powiedziała tonem gwiazdy Hollywoodu.
- Nie... wiedziałem, czy ... gotujesz... - Podniósł torby.
- Wielu rzeczy o mnie nie wiesz, Mat.

Stał tam, obcy we własnym domu.

- Chodź. - Zniknęła w kuchni.

Poszedł za nią, czując na języku przedsmak nocy.

Na parapecie zauważył przenośne radio i magnetofon kasetowy; nadawała lokalna stacja muzyczna. Yvonne oparła się o kuchenny stół.

- Piszą o tobie w gazecie.

Postawił torby na stole i zajął do leżącego na nim „Argusa”.

- Jesteś sławny.

Wolał na nią nie patrzeć. Podniósł gazetę. U dołu pierwszej strony dojrzał nagłówek „Don Kameleon uderzył ponownie”. Przeczytał:

„Na początku tygodnia jako blond playboy w średnim wieku uciekł z oddziału banku Premier w Bellville z siedmioma tysiącami randów. Wczoraj, tym razem jako staruszek, opuścił oddział w Heerengracht z pięcioma tysiącami randów.

Policja jest niemal pewna, że to ten sam mężczyzna - z powodu interesujących podobieństw - Kameleon to uosobienie czaru, zwraca się do kasjerek per »złotko« i zachwyca się ich perfumami.

Według rzecznika policji, porucznika Johna Cloete, jednym z niewielu posiadanych przez policję jak do tej pory dowodów jest kasetka wideo z materiałem z drugiej kradzieży, nagrana przez ukrytą kamerę w banku.

»Ale to oczywiste, że sprawca bardzo zmienił swój wygląd. Niewielkie istnieją szanse, że komuś uda się go zidentyfikować na podstawie wideo«.

Porucznik Cloete powiedział, że śledztwo w tej sprawie prowadzi jeden z najlepszych detektywów z wydziału morderstw i kradzieży na Półwyspie, kapitan Matt Joubert”.

Przestał czytać, odłożył gazetę i westchnął. Musi zadzwonić do Cloete. „Jeden z najlepszych detektywów na Półwyspie...” Skąd im to przyszło do głowy? Nie umieli nawet poprawnie napisać jego imienia. A de Witowi to się na pewno nie spodoba.

Kiedy czytał, Yvonne naląła mu castle. Podąła mu szklanę, smukłe dłonie o szkarłatnych paznokciach rysowały się wyraźnie na tle bursztynowego płynu.

- Jesteś o jedno do tyłu.

- Dziękuję. - Nadal starał się na nią nie patrzeć. Wziął szklanę.

- Mam zamiar cię rozpieszczać. - Nagle znalazła się tuż obok niego. Wsunęła dłonie pod jego marynarkę i go przyciągnęła. Uniosła głowę, zbliżyła usta do jego ust.

- Podziękuj - szepnęła.

Pocałował ją. W jednej ręce trzymał piwo, drugą dotknął nagiej skóry jej pleców, przywierając do nich dłonią. Opłynęła go jak żywe srebro. Jej wargi smakowały piwem i przyprawami, a język aż parzył go swoim gorącem. Jej palce podciągnęły koszulę, wśliznęły się pod nią i go głaskały. Joubert desperacko pragnął poczuć wbijającą się w nią twardość. Przycisnął do niej biodra. W reakcji otarła się o niego brzuchem. Kręciło mu się w głowie, serce podchodziło do gardła. Ale w dole brzucha, w tym najistotniejszym miejscu, nie działo się nic.

- Jedzenie - powiedziała i polizała szybko językiem jego wargi. - Spali się. - W niemej obietnicy przywarła do niego biodrami, upchnęła mu w spodniach koszulę i odsunęła się, lekko zdyszana.

Został przy stole. Sam. Nieswój.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Ale to wielka tajemnica. Musisz zaczekać w salonie. Dlatego przyniosłam gazetę. - Mówiła już mniej afektownie, raczej niepewnie. Wyciągnęła rękę w stronę parapetu i zobaczył, że podnosi paczkę papierosów. Otworzyła ją i go poczęstowała. Winstony. Zawahał się chwilę, po czym wyjął papierosa. Czerwonymi paznokciami wydobyła jeden dla siebie i włożyła do ust, rozmazując przy tym lekko szminkę.

Przekopał kieszeń, znalazł zapalniczkę, przypalił najpierw jej, potem sobie. Zaciągnęła się z wprawą, dmuchnęła w sufit smugę dymu, podeszła do niego i cmoknęła go w policzek.

- Zmykaj - jej głos znów zabrzmiał głęboko i pewnie.

Uśmiechnął się zakłopotany, wziął „Argusa” i piwo i przeszedł do salonu. Rozpostarł gazetę, łyknął castle i zaciągnął się głęboko winstonem. Co za rozkosz.

Nie wiedział, że ona pali. Z tego powodu czy innego wydała mu się jeszcze bardziej podniecająca.

Wpatrywał się w gazetę. Pod dłonią nadal czuł dotyk jej skóry. Dobry Boże, jaka młoda. Sprężysta, gładka, jędrna. Głaszcząc jej plecy, wyczuwał ruchy mięśni, gdy ocierała się o niego łonem.

Zmusił się do czytania. Słyszał, jak krząta się w kuchni, jak podśpiewuje razem z rockowym przebojem. Potem przyniosła mu następne piwo.

- Nie możesz zostać w tyle. - Widocznie sama też popijała w kuchni. - Już prawie gotowe. Gdy cię zawołam, koniecznie od razu przyjdź.

Znów jakieś odgłosy, po czym dłuższa chwila ciszy.

- Mat.

- Tak.

- Wyłącz światło. I chodź tutaj.

Dopił piwo, złożył gazetę. Zgasił światło w salonie. Z jadalni sączył się łagodny blask. Przeszedł korytarzem do pokoju.

Stół oświetlały świece w dwóch wysokich świecznikach. Stały na nim wazon z kwiatami, dwie wysokie, odbijające blask świec kryształowe lampki, lśniąca srebrna zastawa i srebrne wiaderko, z którego wystawała szyjka butelki.

Siedziała przy stole. Włosy upięła wysoko. W jej uszach dyndały dwa duże złote koła.

Szkarłatne usta uśmiechały się lekko. Smukła szyja, barki, ramiona i niemal całkiem odsłonięte piersi rysowały się różowawo w kręgu światła. Ciało opinała połyskliwa czarna sukienka. Wstała z wdziękiem. Zobaczył, że sukienka sięga kostek. Wokół nadgarstków pobrzękiwały wąskie złote bransoletki. Podeszła i wysunęła krzesło przy honorowym miejscu. Z biodrem do przodu, odsłoniła kremową nogę w rozcięciu czarnej sukni.

- Proszę, siadaj, Mat.

I ona, i stół wyglądały jak ze zdjęcia w czasopiśmie dla kobiet. Zaparło mu dech.

- To... Pięknie wyglądasz.

- Dziękuję.

Podszedł wolno do krzesła. Czuł się zamroczony, czyżby od piwa? Zanim usiadł, pomogła mu zdjąć marynarkę.

- Otwórz szampana. - Odchyliła się i nacisnęła klawisz magnetofonu. Pokój rozbrzmiał delikatną muzyką.

Sięgnął po butelkę, ściągnął folię, rozwinął drut i poruszył korkiem.

- Masz takie duże dłonie. Silne.

Korek wystrzelił. Joubert napełnił jej lampkę musującym płynem. Zadrżała mu ręka i piana przelała się przez brzeżek na biały obrus.

- Przepraszam.

Zachichotała.

- Za nasz pierwszy wieczór, Mat. - Szkło zaśpiewało wysoko, gdy się stuknęli. Wypili. - W lodówce jest druga butelka. Nie żałuj sobie. - Opróżniła lampkę i podsunęła mu, żeby jej dołał. Posłusznie to zrobił. Wypili. Podążyła do stołu. Udziec jagnięcy, ryż, wysokokaloryczny

brązowy sos z pieczeni, ziemniaki pieczone w łupinkach, fasola szparagowa z grzybami i śmietanką, kalafior zapiekany w sosie beszamelowym z serem.

- Wygląda wspaniale... Nie wiedziałem, że lubisz gotować.

- Ach, z pomocą książki kucharskiej. Mam nadzieję, że wszystko lubisz.

- Wszystko - potwierdził.

Niech ten wieczór będzie pożegnaniem z niezdrowym odżywianiem się. O diecie porozmawia z Yvonne jutro.

- Podobał ci się mój wiersz?

- Ja... bardzo mi się podobał.

- Pan Venter powiedział, że powinnam pisać. Uczył mnie w zeszłym roku angielskiego. Pokazałam mu swoje wiersze.

- Ten też?

- Nie, głuptasie, oczywiście, że nie. Naley mi jeszcze trochę szampana.

Jedli w milczeniu. A potem oznajmiła:

- Kocham się w tobie od ponad roku, Mat.

Napił się szampana.

- Ale nie dlatego, że współczuję ci z powodu twojej żony.

Upił kolejny łyk.

- Interesowało się mną paru chłopaków z klasy. Ginger Pretorius już nawet pracuje... Ma wystrzałowy motocykl, ale to taki dzieciuch. - Popatrzyła na niego. - Niczego się nie domyślałaś? Zawsze byłam w domu, gdy zapraszali cię moi rodzice. Czułam się, jakbyś mnie nie dostrzegał. Musiałam coś zrobić. Nie zauważałaś mnie?

- Zauważałam.

- Podobno skończyły się czasy beczynninie oczekujących kobiet. Gdyby nie ja, nadal nie wiedzielibyśmy o naszej miłości. Cieszysz się, że coś zrobiłam?

- Tak. - Między Matem Joubertem a rzeczywistością stanęła gruba zamglona szyba.

- Powiedz mi, co czuleś dziś wieczorem. Nie byłam zbyt śmiała? Niektórzy mężczyźni to lubią. A ty, hej, Mat, lubisz to?

- Tak. - Popatrzył na nią, na bielejące w blasku świec zęby, czerwone wargi, głęboką dolinę między piersiami, nieokrytą przez czarną sukienkę.

- Zajebicie się bawiłam. - Spojrzała na niego, zauważyła, że patrzy na jej piersi. - Przeszkadza ci, gdy przeklinam, Mat?

- Nie.

- Podobają ci się?

Wsluchiwał się w uderzenia swojego serca.

- Tak.

Odsunęła talerz i nachyliła się ku niemu. Góra czarnej sukienki rozchyliła się jak płatki kwiatu. Dojrzał różowy krąg wokół jednego sutka.

- Masz jeszcze na coś ochotę, Mat? - Prześliznął się wzrokiem od sutka po kremowej szyi do ust, teraz na wpeł otwartych. Jej zęby błyszczały. Chciałby jej powiedzieć, na co ma ochotę. Ale nie starczyło mu odwagi. Napił się szampana, po czym też odsunął talerz.

- Na winstona... - Uśmiechnął się nieśmiało. Odwzajemniła uśmiech, jakby nie rozumiała znaczenia usłyszanych słów. Pochyliła się i poszukała paczki za radiem. Przypalił dwa papierosy. Dmuchiła dymem w świecę, zamigotały. Zauważył, że jedna pierś jest teraz całkiem odkryta. Yvonne wiedziała?

- Pamiętasz, jak powiedziałam, że czekają cię niespodzianki? - Dośłyszał, że lekko płacze się jej język, i zdał sobie sprawę, że się upiła. Z jakiegoś powodu sprawiło to, że mięśnie jego brzucha stwardniały.

- Tak. - Ty też raczej nie jesteś trzeźwy, Macie Joubert.

- Więc po daniu głównym pora na danie dnia.

Wstała wolno i ruszyła ku niemu. Przysiadła mu na kolanach, ręka objęła jego szyję, z papierosem tłącym się między palcami. Rzucił swój na talerz i położył dłonie na jej plecach, macając prężne, młode mięśnie.

Pocałowała go. Jej wargi i język sunęły wolno wokół jego ust, jak płynny miód. Jego dłoń centymetr za centymetrem wędrowała ku jej piersiom. Kciukiem i palcem wskazującym poszukał sutka. Poczul, jak twardnieje pod dotykiem. Mocniej ścisnął pełną pierś. Była bardziej miękka, niż się spodziewał.

Jęknęła. Jej dłoń opadła, przywarła do jego brzucha, przesunęła się wyżej, poluzowała krawat, rozpięła koszulę. Jej język pełzał jak ogień po jego klatce piersiowej, zęby zatańczyły wokół sutka. Nagle poczuł nieodparty impuls. Odchylił jej szyję i przylgnął wargami do jej piersi. Wsąsał ją, póki nie poczuł, że gładka i miękka wypełnia jego usta od języka do podniebienia. Drażnił sutek językiem, aż nabrzmiał, jęknęła,

z dłońmi między jego udami. Położył rękę na jej udzie, poczuł siłę jej mięśni i wyobraził sobie czekającą go rozkosz. Westchnął z drzeniem i powoli zaczął sunąć dłonią ku najbardziej podniecającemu miejscu. Rozwarła uda, przycisnęła usta do jego warg. Myślał, że ma na sobie majteczki, ale zamiast nich znalazł jedynie wilgotność. Wsunął w nią palce. Jęknęła i zaczęła ssać jego język.

Nagle był gotowy, maszyneria ocalała przed rdzą. Marny flak zamienił się w twardy jak kamień wzwiedziony członek, gotowego do akcji wojaka w pełnym rynsztunku.

Odsunęła jego dłoń od swojej ciepłej wilgotności.

- To - powiedziała z nieudawaną chrypką - będzie na deser.

Pocałowała go szybko, ledwie się od niego oderwała i wróciła na krzesło. Podsunęła lampkę z prośbą o więcej szampana. Włosy opadły jej na ramiona. Zaciągnęła się głęboko papierosem.

- Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ty, Mat.

Jej pierś wciąż była naga. Pomyślał, że Yvonne ma w tych sprawach doświadczenie, że to nie jej pierwszy raz. A jego podniecenie? Miał posłużyć za narzędzie spełnienia jej fantazji? Szybko przestał się nad tym zastanawiać. Poniekąd pod wpływem odczuwanego w spodniach ciśnienia. Butelka była pusta. Wstał, poszedł chwiejnym krokiem do kuchni i przyniósł drugą. Gdy wrócił, nadal siedziała w niezmienionej pozycji, z łokciami na stole, papierosem między palcami, sutkiem prawie dotykającym obrusu. Nalał im obojgu.

- Szokuje cię, że nie noszę bielizny. Na dole?

- Nie.

- Dziś po południu byłam naga pod spódniczką. Bardzo mnie to kręciło... - Zaciągnęła się po raz ostatni i zgasiła papierosa. - Ciebie też? - Jej dłoń opadła na pierś. Palcami delikatnie pogłaskała sutek.

- W życiu nikt mnie tak nie podniecił - odparł i wiedział, że na tę chwilę była to czysta prawda.

Położyła swoją dłoń na jego dłoni i wyszeptwała:

- Cieszę się. - Po czym przypomniała: - Zabierz do salonu świece. Tam dostaniesz deser. - Wzięła do ust palec Jouberta i ssała delikatnie. - Podwójny - powiedziała i chciała uśmiechnąć się uwodzicielsko, ale wypity alkohol zniweczył prawie cały efekt. Joubert nie zauważył.

Usiadł.

- Wstawaj. Zaraz dojdę. - Umilkła, po czym zachichotała rozba-
wiona grą słów. - Szampana też weź.

Wstał.

- Ale najpierw mi nalej.

Napełnił jej szampanówkę, po czym wziął swoją lampkę, butelkę, paczkę winstonów i przeszedł do salonu. Gdy wrócił po świeczniki, Yvonne nie było w kuchni. Niosąc świece, zauważył, że koszulę ma rozpiętą po sam pępek. Usiadł na dywanie. Wypełniało go zadowolenie, oczekiwanie. W wyobraźni znów wsunął w nią palec.

Usłyszał pukanie do drzwi wejściowych. Nie wierzył własnym uszom. Pukanie rozległo się ponownie, tym razem ciszej. Poczł się jakby w innym, nierzeczywistym świecie, jakby wszystko, co się działo, było częścią dziwnego snu. Wstał niepewnie, obrócił klucz i przekręcając gałkę, otworzył drzwi.

O ścianę opierał się Benny Griessel, z brodą opuszczoną na pierś, potargany, w wygniecionym ubraniu.

- Mat? - powiedział tak cicho, że prawie niedosłyszalnie. - Muszę... pogadać.

Potykając się, ruszył do przodu. Przez chwilę Joubert chciał go zatrzymać, ale potem otworzył drzwi szerzej.

- Benny, to nieodpowiednia chwila.

- Muszę z tobą pogadać. - I zataczając się, podreptał do salonu.

Joubert zamknął drzwi. Gorączkowo zastanawiał się, co robić. Podszedł szybko do Griessela i położył ręce na jego ramionach.

- Benny, posłuchaj - szepnął, potrząsając nim.

- Chcę umrzeć, Mat.

- Benny.

- Wolę umrzeć.

- Jezu, Benny, jesteś zalany w pestkę.

Griessel się rozplakał.

Joubert zapatrzył się przed siebie, z rękoma na ramionach kumpla. Co tu zrobić? Pustka w głowie. Ciałem stojącego przed nim mężczyzny wstrząsał szloch. Joubert zaciągnął Griessela do salonu. Posadzi go, a potem ostrzeże Yvonne. Popchnął go lekko na kanapę. Griessel zauważył świece i przestał szlochać. Patrzył na Jouberta, marszcząc brwi w wysiłku myślowym.

- To ty, Mat? - zapytał ledwie dosłyszalnym szeptem.

Joubert zastanawiał się, jakie demony tańczą w czaszce Griessela. Było mu go żal.

W drzwiach pojawiła się Yvonne.

- Deser - oznajmiła.

Pod mgiełką przezroczystej nocnej koszulki widniały piersi i ciemny trójkąt włosów. Włożyła buty na obcasach. W dłoniach trzymała salaterki. Wyciągnęła zapraszająco ramiona.

Zobaczyła Griessela.

Griessel zobaczył ją.

- Mat? - powtórzył cicho Griessel i głowa opadła mu na klatkę piersiową w alkoholowym i czuciowym otępieniu. Joubert popatrzył na Yvonne. W głowie miał zamęt.

Spojrzała na siebie, na to, jak się przed nimi obnażyła. Zadrżały jej usta.

- Bonnie! - zawołał, ale wiedział, że to na nic. Rzuciła w niego trzymaną w prawej ręce salaterką. Naczynie rąbnęło go w lewe ramię, poczuł zapach ciasta i lodów. Ściekały po jego koszuli i nagim torsie. Odwróciła się i odeszła korytarzem, chwiejąc się na wysokich obcasach.

- Bonnie.

- Pieprz się! - krzyknęła i zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni.

Rozdział 13

DREW WILSON WRACAŁ SWOIM GOLFEM CITY DO DOMU. Radio nastawił na nocny talk-show, ale go nie słuchał. Był zmęczony. W oczach czuł głuche pulsowanie, plecy miał sztywne i obolałe od długiego siedzenia.

Ale nie przejmował się zmęczeniem, bo cieszył się, że znów ma zajęcie. Nawet jeśli nie pracował dla siebie. Dobrze było codziennie tworzyć, wykazywać pomysłowość i kunszt w odlewaniu ze złotego kruszcu cacka, które tak spodoba się kobiecie, że używając swojego czaru, zdoła przekonać męczyzną swojego życia, żeby jej je kupił.

O każdym ze swoich dzieł snuł fantazje, jaka kobieta - albo czasami mężczyzna - będzie je nosiła. Do jakiego stroju. Na jaką okazję. Zdarzało się, że w sklepie pojawiali się też zagraniczni turyści, ale tych starał się ignorować. Nie dorównywali urodą ani elegancją postaciom z jego marzeń.

Mieszkał w Boston, w starym domu z dużymi pokojami o wysokich sufitach, które sam odnowił. Podjazd do garażu nie był długi, zatrzymał się jak zwykle, by otworzyć bramę, wsiadł i podjechał pod drzwi. Kiedy położył dłoń na klamce samochodu, dostrzegł, że ktoś, coś, czai się tuż obok w ciemności. I zobaczył pistolet.

- O Boże!

Drew Wilson ani razu nie przeczytał w minionym tygodniu gazety. Praca do późna i związany z nią stres nie zostawiały mu czasu na lekturę. Nie wiedział o śmierci Jamesa Wallace'a. Ale dostrzegł twarz za pistoletem.

Fizjologia wstrząsu jest dobrze poznana. Mózg wydaje rozkaz przygotowania się do działania, do szybkiej, natychmiastowej reakcji. Do

krwiobiegu uwalnia się adrenalina, przyspiesza tętno, naczynia krwionośne się rozszerzają, płuca pompują powietrze.

Jedyne, co mógł zrobić Drew, to pozostać za kierownicą, gdyż w jego czaszkę, tuż nad prawym okiem, wbijała się lufa dziwnej broni. Lecz adrenalina zmuszała jego ciało do reakcji. Drżał, ręce i kolana dygotały mu ze strachu.

- Ja ... - powiedział i po jego policzku spłynęła wolno łza, zatrzymując się na czarnych włosach nad górną wargą. - Nie...

A potem jego głowę przebiła kula, bicie serca ustało, naczynia krwionośne skurczyły się, płuca zapadły - na nic mu się nie zdał przyływ adrenaliny.

KONTROLA RADIOWA OBUDZIŁA MATA JOUBERTA O czwartej pięćdziesiąt dwa. Głos miał zachrypnięty, usta suche. Kobieta zaczęła mówić, a on nieprzytomny szukał ołówka i kawałka papieru. Obojętnie podała fakty - adres, pleć, kogo powiadomiono.

- Wygląda na kolejną robotę Chińczyków, kapitanie. Jeden strzał w głowę, drugi w klatkę piersiową - dodała tonem swobodnej pogawędki i się pożegnała.

Bąknął coś i odłożył słuchawkę.

Spał bardzo krótko, szampan oraz piwo zmieniły jego czaszkę w mielőcą papkę betoniarkę. Usiadł i przetarł oczy. Jęknął, przypominając sobie, że w salonie jest Griessel. Pomyślał o Yvonne i jęknął głośniej. Nie jego wina. Skąd miał wiedzieć, że Benny się napatoczy?

Pognał za nią korytarzem, ale zatrzasnęła mu przed nosem drzwi do sypialni i zamknęła je na klucz.

- Yvonne, nie wiedziałem... Jej głos był ostry, histeryczny.

- Mam na imię Bonnie.

- Nie wiedziałem, że przyjdzie.

- Kto otworzył pieprzone drzwi?

Dobre pytanie. W sypialni rozległ się hałas: stukoty i szuranie.

- Ktoś pukał. Musiałem.

Drzwi się uchylily. Wystawiła głowę. Gniew i nienawiść wykrzywiły jej usta, zwięzily oczy. Przebrała się już w różowy dres.

- Mogłeś to olać, ty durny, pieprzony gli niarzu. - Trzasnęła drzwiami i znów zamknęła je na klucz.

Osunął się na podłogę. Był zamroczony alkoholem, a poza tym absolutnie nie miał pomysłu, jak załagodzić sytuację. Ostatnie słowa Yvonne nieźle mu dopiekły. Gdy po jakimś czasie szarpnięciem otworzyła drzwi, wciąż pod nimi siedział. W ręce trzymała walizkę. Przeskoczyła przez niego rozszluszczona i gniewnie ruszyła do drzwi frontowych. Z ręką na klamce zawahała się, rzuciła walizkę, zawróciła i wysyczała przez wąskie usta:

- Jutro przyjdę po resztę rzeczy i oddam ci klucz. - I poszła sobie, zabierając walizkę.

Kiedy patrzył na znikające za drzwiami jędrne, opięte różowym dressem pośladki, zastanawiał się przez chwilę, czy ona w ogóle nosi bieliznę. W głowie miał mętlik, w ustach kwaśny posmak alkoholu, między udami niejasne wspomnienie żądy.

Do łóżka wgramolił się dopiero w środku nocy; poczuł się stary i zmęczony. A w Boston leżał już drugi facet z roztrzaskaną głową i rozwalonym sercem. Wstał z jękiem. Wpierw musi się zająć facetem w salonie.

Bardzo potrzebował kawy, ale nie miał czasu jej zaparzyć. Umył szybko zęby, niestety niewiele to pomogło na obrzydliwy smak w ustach. Ochlapał twarz, ubrał się i ruszył korytarzem. W jadalni zobaczył resztki kolacji, teraz zimne i nieapetyczne, a na talerzu zgaszony niedopałek. Rozczarowanie fiaskiem wieczoru dopadło go na nowo.

Griessel chrapał na kanapie w salonie. Joubert znalazł na stoliczku paczkę winstonów i zapalił. Do special mild wróci później. W ustach nadal czuł smak zwietrzałego alkoholu. Potrząsnął lekko ramieniem Griessela. Chrapanie ucichło.

- Mat - powiedział zaskoczony Griessel.
- Zbieraj się, Benny, muszę iść.

Benny podniósł się powoli z głową w dłoniach.

- Kolejne zabójstwo z tetetki. W Boston. Ale nie jedziesz ze mną. Zaciągnął Griessela do drzwi, a potem do sierry. Wsiedli i ruszyli.

- De Wit dał mi ultimatum, Mat.

Joubert milczał.

- Odstawiam picie albo wylatuję.
- No to mu odpowiedziałeś.

Jechali dalej w ciszy.

- Dokąd mnie wieszysz?
- Do aresztu na posterunku Edgemean, Benny.

Griessel popatrzał na niego wzrokiem zranionego zwierzęcia.

- Musisz się trzymać z dala od butelki, Benny, dopóki nie wymyślę, jak ci pomóc.

Griessel zapatrzył się przed siebie.

- Ciebie też ostrzegł.

- Tak, Benny, mnie też.

PANI SHIRLEY VENTER BYŁA MALEŃKĄ KOBIETĄ WRÓBELKIEM; wylewała z siebie potoki piskliwych słów i nieustannie machała przy tym rękami.

- Co to się porobiło. Taka szkoda... Codziennie zrywam się o czwartej. Nie stać mnie na luksus pokojówki. W tygodniu Bob wcześniej wychodzi do pracy, a ja wstaję razem z nim, żeby zrobić mu śniadanie, nakarmić psy i wstawić pranie. Nie wierzę w te automaty. Mam pralkę z dwoma bębniami, siedemnastolatka, a ciągle na chodzie. Wstawiłam wodę na kawę; Bob lubi kawę z ekspresu, a to chwilę trwa, i wtedy zobaczyłam przed garażem Drew samochód na światłach, ale sami zobaczcie, że nie najlepiej stąd widać, bo Bob od dawna nie przycinał żywopłotu. - Odwróciła się do męża, barczystego mężczyzny w dość zaawansowanym wieku średnim, o mięsistych wargach, lekko rozchylonych pod wąsikiem à la Adolf Hitler. - Bob, musisz przyciąć żywopłot, kochanie.

Bob odmruknął coś basem i Joubert nie wiedział, czy się zgadza, czy wręcz przeciwnie. Stali w kuchni wśród brudnych naczyń, prania i zapachu smażonego bekonu. Joubert opierał się o szafkę, Basie Louw siedział przy stole i pił kawę.

- No więc zobaczyłam te światła pod garażem, ale dalej robiłam kawę, nastawiłam ekspres i wyjęłam filiżanki. Bob nie wstanie, jak nie podam mu kawy do łóżka. Potem włączyłam pralkę i znów wyjrzałam przez okno; światła pod garażem wciąż się paliły. Wtedy pomyślałam, że coś jest nie tak. Więc poszłam powiedzieć o tym Bobowi, ale on na to, żebym zostawiła sąsiadów w spokoju; ale Bob, upierałam się, coś jest nie tak, normalnie nikt nie siedzi dziesięć minut w samochodzie przed zamkniętym garażem. No i Bob poszedł zobaczyć. Mówiłam mu, żeby wziął kij albo coś, bo nigdy nie wiadomo, ale nie posłuchał. Był filarem napastników w Parów prawie do czterdziestki, prawda, kochanie?

Bob znów coś odburknął.

- No i wtedy go znalazł, wszystko było zbryzgane krwią. Bob powiedział, że samochód cały czas stał na włączonym silniku, dlatego

światła były takie jasne. Kiedy wrócił, powiedział mi, a ja wezwałam policję. Jeden zero trzy jedyńki. Teraz zawsze trzymam ten numer obok telefonu po tym, jak w telewizji pokazali jedenasty września. Taki szok, taka szkoda. Co to się porobiło.

Piłowała głosem nerwy Jouberta niczym tępym nożem. Spojrzał tęsknie na kubek Basiego Louwa. Basie przyjechał pierwszy. Widocznie załapał się na resztki kawy.

- Nie słyszeliście strzałów? Hałasów, głosów, odjeżdżających samochodów? - Popatrzył na Boba Ventera w nadziei, że może on coś wyjaśni.

- Samochody ryczą tutaj teraz bez przerwy, nie to, co kiedyś, gdy była to jeszcze przyzwoita cicha dzielnica. Teraz Bob i ja zajmujemy się sobą, nie wściubiamy nosa w cudze sprawy. A w nocy śpimy. Tylko bogaczy stać na budzenie się po nocach - odparła Shirley.

Joubert uznał, że to przecząca odpowiedź na jego pytanie.

- Panie Venter, nie zauważył pan niczego dziwnego, gdy pan wyszedł?

Bob Venter burknął coś i zaprzeczył ledwie dostrzegalnym ruchem głowy.

- Co państwo wiecie o zmarłym?

Shirley Venter chyba tylko czekała na to pytanie.

- Drew Wilson był ślicznym chłopcem. Artystą. Powinniście zobaczyć jego dom, u niego jest ładniej niż u mnie. I był taki spokojny. Nigdy żadnych hałasów. Zawsze się ze mną witał i uśmiechał, ciężko pracował, zwłaszcza ostatnimi czasy...

- Czym się zajmował, pani Venter?

- Robił biżuterię. Poszłam do niego z herbatą, kiedy się tu wprowadził, a po powrocie powiedziałam Bobowi, jaki z niego miły chłopiec...

- Wie pani, gdzie pracował?

- U Benjamin Goldberga na Adderley Street. To bardzo modne miejsce, mają tam strasznie drogie rzeczy. Poszłam tam raz, gdy byłam w mieście, ot, chciałam tak tylko wpaść i się przywitać, ale to sklep dla bogaczy. No więc, gdy się wprowadził, poszłam z herbatą i potem powiedziałam Bobowi, że to bardzo miły chłopiec, wiecie, pierwsze wrażenie jest najważniejsze, bo zwykle prawdziwe. Spokojny i przyjacielski.

- Był kawalerem? Rozwiedziony?

- Kawaler. Zawsze twierdziłam, że Drew nie potrzebuje żony. Co tu dużo gadać, idźcie i sami zobaczcie jego dom. Większy tam porządek niż u mnie.

Bob Venter wtrącił coś niezrozumiale.

- Nie mów tak, Bob - odparła. - Nie zważajcie na niego. Drew nosił się jak artysta. Zresztą...

- Co pan powiedział, panie Venter?

- Bob, przestań opowiadać niestworzone historie.

Venter znów coś burknął. Joubert zawisł wzrokiem na jego wargach. Rozszyfrował słowa. „Był pedałem”, to właśnie wymruczał Bob.

- Bob myśli, że każdy, kto przez trzydzieści lat nie grał w rugby, to pedał. A on tylko był artystą. Wszechstronnie utalentowanym. Nie słuchajcie Boba.

- Był ciotą - oświadczył stanowczo Bob i skrzyżował grube ramiona na klatce piersiowej.

- Tylko artystą - obruszyła się Shirley i wyłowiła chusteczkę z dekolty sukienki.

POJECHAŁ ODEBRAĆ GRIESELLA Z POSTERUNKU EDGEMEAD. Posterunkowy, który otworzył mu drzwi, był wyraźnie zakłopotany i unikał jego wzroku. Griessel w milczeniu wszedł do samochodu.

Joubert prowadził.

- Może zawiozę cię do tego ośrodka, gdzie pomogli ci ostatnim razem, Benny?

- Wysadź mnie pod domem.

- Pojedziesz?

Griessel podrapał brudną ręką kilkudniowy zarost. W jego głosie brzmiało zmęczenie.

- A co to da, Mat? Wyjdę czysty, ale nic nie poradzą na... pracę.

Joubert nie odpowiedział. Griessel zinterpretował jego milczenie po swojemu.

- Boże, Mat, śni mi się to po nocach. Że moje dzieci leżą nieżywe. I moja żona. I ja. Na ścianach krew, rozwalone z kałasznikowa głowy albo wylewające się na podłogę flaki. Tego nie wyleczą, Mat. Widzę to nawet po trzeźwemu. Bez jednej kropelki.

- De Wit wymusił na mnie wizytę u psychologa.

Griessel westchnął, przygnębiony.

- Może tobie też by pomogła, Benny. Odpędzić te wizje.

- Może.
- Ale najpierw trzeba cię wyrwać z ciągu.

Jechali w milczeniu M5 do Muizenberg, do sanatorium. Joubert wyjął winstony, poczęstował Griessela i wcisnął zapalniczkę sierry. Przez chwilę palili w ciszy.

- Znowu tetetka?
- Tak. Dwa strzały. Dwie łuski. Ale tym razem mała nowość. Ofiarą prawdopodobnie jest homoseksualista.

Griessel głośno wypuścił dym.

- Może to ułatwi dochodzenie.
- Jeśli to ten sam morderca. Mam przecucie co do tej sprawy, Benny.

- Naśladowca?
- Może. Albo początek czegoś większego.
- Seryjny?
- Tak mi się zdaje.
- Kto wie - powiedział Benny Griessel. - Może.

JOUBERT OPOWIEDZIAŁ O WIZJACH GRIESSELA. Oświadczył, że kolega też skłonny jest skorzystać z terapii u psychologa.

- Ale najpierw się odtruje?

Joubert skinął głową. De Wit potarł znamię i zapatrzył się w sufit. Potem wyraził zgodę.

Joubert podziękował i poinformował go o drugim zabójstwie z tetetki. De Wit słuchał, nie przerywając: sąsiedzi Drew Wilsona podejrzewają, że był homoseksualistą. Potwierdzili to pracodawca i koledzy Wilsona.

Siedzieli albo stali przy swoich złotniczych warsztatach - Benjamin Goldberg, trzech innych mężczyzn i kobieta. Wiadomość nimi wstrząsnęła. Kobieta się rozplakała. Nie mieli pojęcia, kto mógł chcieć mu coś takiego zrobić. Tak, był gejem, ale przez ostatnich pięć czy sześć lat nie współżył z mężczyznami. Naprawdę się starał, czasem nawet zapraszał na randkę dziewczynę. Dlaczego? Bo matka Drew Wilsona zagroziła, że popęlni samobójstwo.

Joubert otarł pot z górnej wargi.

- Narkotyki? - zapytał de Wit, na wszelki wypadek przybierając zboląły wyraz twarzy.

Joubert pomyślał, że to wyjątkowo dziwne, ale zwykle znacznie lepiej umiał się skoncentrować po ostrej popijawie. Być może dopiero

wtedy jego umysł był zdolny skupić się tylko na jednej sprawie. Zrobił głęboki wdech i starał się mówić spokojnie:

- Zamierzam przeszukać z ludźmi dom Wilsona, pułkownika. Może znajdziemy też narkotyki.

- Wierzy pan w to, co mówi?

Dosłyszał w jego głosie ledwie skrywany wyrzut. Odparł z niezamierzoną przesadną cierpliwością:

- Pułkowniku, nie wiem, jak sprawy stoją w Scotland Yardzie, ale na Przylądku morderstwa białych należą do rzadkości. I na dziesięć przypadków w sześciu albo siedmiu chodzi o homoseksualistów. Musimy to dokładnie zbadać.

De Wit uśmiechnął się szerzej.

- Nie jestem pewny, czy dobrze pana zrozumiałem. Ostatnio twierdził pan, że Wallace zabawiał się z kobietami, a teraz mówi pan, że Wilson robił to samo z mężczyznami. Chce pan powiedzieć, że jest dwóch różnych morderców?

Umysł Jouberta szukał teraz punktu odniesienia. Ten uśmiech de Wita... do tej pory z czymś takim nie miał do czynienia. Facet rozbrajał za jego pomocą konflikty, rozładowywał napięcie. Ale okropnie przy tym zbijał z tropu odbiorcę. Może temu miało to służyć.

- Nie, pułkowniku, nie wiem. Może to naśladowca. Gdy morderstwo zostaje szeroko nagłośnione...

- Jestem tego świadomy, kapitanie. - Uśmiech.

- Ale myślę, że za wcześnie na taką tezę.

- Ofiary się znały?

- Sprawdzę to.

- Bardzo dobrze, kapitanie.

Joubert uniósł się lekko z krzesła.

- Pułkowniku...

De Wit czekał.

- Jeszcze jedno. Ten artykuł w „Argusie” o napadzie na bank...

- Widzę, że pańscy koledzy z public relations mają o panu wysokie mniemanie. - De Wit pochylił się i dodał łagodnie: - I tak trzymać.

Rozdział 14

DETEKTYW SIERŻANT GERRIT SNYMAN pierwszy raz przeszukiwał dom pod nieobecność gospodarza. Czuł się więc nieswojo, jak intruz.

W sypialni Drew Wilsona, na dole szafki, tuż obok stojących równym szeregiem butów, znalazł opasły album fotograficzny w brązowej okładce. Ukląkł przed szafką i go otworzył. Zdjęcia powklejano w rządach, każde opatrywał podpis - czasem dowcipny, czasem sentymentalny. Dyskomfort sierżanta pogłębił się, bo na zdjęciach Drew Wilson żył nadal, uchwycony w ponadczasowych chwilach szczęścia, podczas urodzinowych przyjęć i odbioru nagród, otoczony miłością rodziców i przyjaciół. Detektyw sierżant Gerrit Snyman nawet przez chwilę nie pomyślał o symbolicznym aspekcie albumów z fotografiami, podobnie jak o tym, że wszyscy pozostawiamy dla potomności szczęśliwe momenty, a żal, ból, udręki i niepowodzenia zabieramy do grobu.

Nie pomyślał zapewne dlatego, że zilustrowane zdjęciami życie Drew Wilsona zmierzało w kierunku, który napawał młodego policjanta smutkiem. Rozpoznał jedną z osób na zdjęciu i mimowolnie gwizdnął. Poderwał się jak kot i pobiegł do pokoju, w którym kapitan Mat Joubert przeczesywał komodę.

- Kapitanie, chyba coś znalazłem - powiedział skromnie. Ale z jego twarzy można było bez trudu wyczytać, że jest wstrząśnięty i radośnie podniecony.

Joubert popatrzył na zdjęcia.

- Czy to nie?... - Postukał palcem w fotografię.

- No właśnie, kapitanie, no właśnie - entuzjasmował się Snyman.

- Cholera - zaklął Joubert. Snyman skinął głową, jakby w pełni podzielał tę opinię. - Dobra robota - pochwalił Joubert i szturchnął Snymana w ramię zaciśniętą dłonią.

Snyman dostrzegł błysk w oczach kapitana i uśmiechnął się, uznając go za aprobatę.

- Cóż, trzeba się liczyć z wszystkimi ewentualnościami - powiedział zamyślony Joubert. - Ale najpierw należy go sprowadzić.

MAT JOUBERT WIEDZIAŁ, że nie sposób od razu wiedzieć, czy podejrzany kłamie, czy nie. Gdy u jednych oznaki winy malowały się na twarzy czerwienią, drudzy ukrywali je bez trudu.

Popatrzył na siedzącego naprzeciwko mężczyznę ubranego w kolorowy dres i drogie buty do biegania. Facet był dość przystojny, potężny i barczysty; kwadratowa szczęka, czarne włosy, które układały się na karku w loki. Kręcące się włoski były też wyraźnie widoczne w wycięciu dresu pod szyją. Na nich lśnił złoty krzyżyk na cienkim łańcuszku. Na twarzy - wyraz powagi, między szerokimi czarnymi brwiami - kontrolowana zmarszczka, świadectwo pełnej współpracy. Joubert znał takie sztuczki. Zmarszczka mogła oznaczać wszystko i nic, gdyż podejrzanego poproszono jedynie, żeby w towarzystwie Snymana pojechał do wydziału morderstw i kradzieży, gdyż „być może potrafi pomóc w śledztwie”. Kto wie, jakie myśli kłębią się za tą wystudiowaną zmarszczką?

Obok podejrzanego siedział Snyman, zasłużył na to dobrze wykonaną pracą. Bart de Wit, obserwator na osobistą prośbę, usiadł nieco z tyłu, pod ścianą.

Joubert nacisnął klawisz magnetofonu.

- Panie Zeelie, jest pan świadomy faktu, że nagrywamy tę rozmowę?

- Tak. - Mały mięsień obok ust szarpnął górną wargą.

- Ma pan coś przeciw temu?

- Nie. - Głos głęboki i męski.

- Proszę o podanie pełnego nazwiska.

- Charles Theodore Zeelie.

- Zawód?

- Gracz w krykieta.

- Grywa pan regularnie w drużynie seniorów Prowincji Zachodniej?

- Tak.

- Jako krykiecista znał pan zapewne dobrze zmarłego Jamesa Wallace'a?

- Owszem, znałem.

Joubert przyjrzał mu się z uwagą. Czasem oznaką winy był przesadny luz, mający ją zamaskować pozornym spokojem. Ale Zeelie obrał kurs dokładnie przeciwny - głęboka troska, uczynność.

- Proszę opowiedzieć nam o pańskich relacjach z panem Wallace'em.

- Dobrze... yyy... byliśmy znajomymi, tak bym to określił. Widywaliśmy się od czasu do czasu zwykle na imprezkach po meczu. Rozmawialiśmy. Lubiłem go. Wydawał mi się trochę... ekstrawagancki. Byliśmy znajomymi. Tylko znajomymi.

- Na pewno?

- Tak.

- Nigdy nie rozmawiał pan z panem Wallace'em o sprawach osobistych?

- Hm... nie.

- Miał pan jakiś powód, żeby czuć do pana Wallace'a niechęć?

- Nie. Lubiłem go. - Powaga pytań pogłębiła zmarszczkę na jego czole.

- Nigdy się pan na niego nie zdenerwował?

- Nie... nic takiego sobie nie przypominam.

Joubert pochylił się lekko do przodu i intensywnie wpatrywał się w siedzącego przed nim mężczyznę.

- Zna albo znał pan pana Drew Josepha Wilsona z Boston, ulica Clarence 64?

Pytanie wstrząsnęło Zeelie: poczerwieniał, zmrużył oczy. Lewa ręka na poręczy krzesła zadrżała.

- Tak - sapnął niemal niedosłyszalnie.

- Proszę mówić wyraźniej, na potrzeby nagrania - w głosie Mata Jouberta brzmiała uprzejmość zwycięzcy. - Zechce nam pan opowiedzieć o swoich stosunkach z tym panem?

Teraz oprócz ręki drżały również wargi Zeeliego.

- Proszę o wybaczenie, ale nie rozumiem, co to ma z tym wspólnego. - Była to niemal prośba.

- Z czym, panie Zeelie?

- Ze śmiercią Jimmiego Wallace'a.

- Ach, więc uważa pan, że może nam pomóc w sprawie morderstwa Wallace'a?

Nie zrozumiał.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy, ale...
- Tak, panie Zeelie?
- Nie mieszajcie do tego Drew Wilsona.
- Dlaczego?
- Bo on nie ma z tym nic wspólnego. - Zeelie otrząsnął się z szoku.

Joubert znów się pochylił.

- Ależ ma, panie Zeelie. Drew Joseph Wilson został zabity około dwudziestej drugiej wczorajszego wieczoru. Dwoma strzałami z pistoletu, jeden w głowę, drugi w serce.

Ręce Zeelie zacisnęły się na poręczy krzesła, jego knykcie zbieleły.

- James Wallace zginął w taki sam sposób. Poza tym podejrzewamy, że użyto tej samej broni.

Zeelie wpatrywał się w Jouberta, jakby niewyraźnie go widział. Twarz mu pobiadła. Milczenie się przedłużało.

- Panie Zeelie? - Ja...
- Tak?
- Proszę o pomoc adwokata.

JOUBERT I SNYMAN CZEKALI PONAD PÓLTOREJ GODZINY, aż Charles Theodore Zeelie naradzi się ze swoim adwokatem. De Wit polecił, żeby go zawołać, i wrócił do swojego biura.

Im dłużej trwała ich narada, tym Joubert był coraz bardziej przekonany, że złapali tego ptaszka, co trzeba. W końcu pojawił się siwołosy adwokat.

- Mój klient będzie z wami całkowicie szczerzy, ale żądam gwarancji, że jego zeznania pozostaną poufne.

- W sądzie nie ma poufnych spraw - odparł Joubert.

- Nie dojdzie do rozprawy - oświadczył adwokat i Joubert przestał być tak pewny swego.

Poprosił o przywołanie de Wita. Dowódca przychylił się do prośby adwokata. Weszli do pokoju. Zeelie był blady, wzrok utkwiał w podłodze. Usiedli przy stole.

- Przedstawcie pytania - powiedział adwokat. Joubert włączył magnetofon, odchrząknął, starannie dobierając słowa.

- Jakie... stosunki łączyły pana z Drew Josephem Wilsonem?

- To było dawno temu. Sześć, siedem lat. Przyjaźniliśmy się - odparł cicho Zeelie.

- Przyjaźniliście się, panie Zeelie?

- Tak - potwierdził tym razem głośniej, jakby chciał przekonać sam siebie.

- Mamy zdjęcia w albumie, które...

- To było dawno temu... - Ciszę zakłócał tylko cichy warkot magnetofonu.

Joubert czekał. Snyman przysiadł na brzeжку krzesła. Adwokat wpatrywał się w ścianę. Bart de Wit pocierał swoje znamię.

W końcu rozległ się głęboki, piękny głos Zeeliego; mówił cicho, niemal bezdźwięcznie.

- Nawet nie wiedział, kim jestem. - Zamyślił się, po czym ciągnął, jakby był sam w pokoju: - Łapałem okazję z kampusu do miasta. Podwiózł mnie Drew. Rok wcześniej, w klasie maturalnej, grałem dla Border i gazety zrobiły z mojego przyjazdu do Kapsztadu wielkie halo. Zapytał mnie, czym się zajmuję, i odparłem, że powinien wiedzieć. Uśmiechnął się i oświadczył, że wie tylko tyle, że jestem najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widział.

Zeelie uświadomił sobie, że inni go słuchają. Spojrzał na Jouberta.

- Nie... Nie wiedziałem, że jestem gejem. Nie wiedziałem nawet, co to znaczy. Po prostu bardzo lubiłem Drew... uwagę, jaką mi poświęcał... jego towarzystwo, pogodę ducha, radość życia. Powiedziałem mu, że jestem studentem i graczem w krykieta i że któregoś dnia zagram w drużynie narodowej. Śmiał się z mojej wiary w siebie i odparł, że nie ma pojęcia o krykiecie, jest złotnikiem i marzy o tym, żeby mieć własną firmę, gdzie będzie mógł realizować swoje projekty, nie tylko odlewać świecidełka dla grubych, bogatych turystów. Rozmawialiśmy. Nie mogliśmy przestać. Już w mieście zaprosił mnie na kawę do ulicznej kafejki. Powiedział, że potem odwiezie mnie do kampusu. Tydzień później przyszedł się ze mną zobaczyć. Był starszy ode mnie. Taki mądry. Rozsądny. I tak inny niż kumple od krykieta.

Zaproponował, żebyśmy zjedli u niego obiad. Myślałem, że to tylko przyjaźń... - Spojrzał na de Wita i Snymana, szukając współczucia.

- Z początku to było tylko... dobre. Z Drew ani brudne, ani złe. Ale zacząłem się martwić. Rozmawialiśmy o tym. Powiedział, że nikt nie twierdził, że będzie łatwo. Ale on nie miał takich problemów jak ja. Zacząłem grać dla Prowincji Zachodniej. Za każdym razem, gdy jakiś

dzieciak prosił mnie o autograf, zastanawiałem się, kiedy wszyscy się dowiedzą. Chyba się... bałem. Moi rodzice... - Westchnął głęboko, z opuszczoną głową, oczami utkwionymi w splecionych na kolanach dłoniach. Potem podniósł wzrok. - Któregoś wieczoru, po meczu, umówiłem się z dziewczyną. Starszą. Wyrafinowaną jak Drew. I... zdecydowaną. Zabrała mnie do siebie. Byłem... poczułem ulgę, spodobało mi się. Nie sądziłem, że będę w stanie... Ale byłem. Tak, spodobało mi się. To stało się początkiem końca, gdyż otwierało drogę wyjścia... Drew od razu zauważył, że coś jest nie tak. Powiedziałem mu. Wściekł się. Wtedy... zakończyłem nasz związek. Płakał. Przegadaliśmy całą noc. Ale to był koniec.

Ręce na kolanach Zeeliego się rozluźniły.

- Przyznaję, że go kochałem. Na zdjęciach nie widać miłości. Ale nie mogłem dłużej wytrzymać napięcia. A kobieta... Chciałem być normalny, chciałem być bohaterem we własnych oczach...

Przeczesał ręką czarne włosy.

- Proszę dalej.

- Przez pierwsze dwa tygodnie często dzwonił do akademika. Ale nie oddzwoniłem ani razu. Kilkakrotnie czekał na mnie w swoim samochodzie, pisał listy. Potem czasem widywałem go na meczach. Wtedy pomyślałem, że się z tym pogodził. To był koniec.

- Kiedy się ostatni raz widzieliście?

- Och, Boże... Dwa lata temu? Na lotnisku. Wracaliśmy z Durbanu po meczu z Natal. Jego matka leciała tym samym lotem. Przywitaliśmy się, porozmawialiśmy chwilę. Było bardzo... normalnie.

- I nigdy więcej go pan nie widział?

- Nie.

- Panie Zeelie, gdzie był pan wczoraj wieczorem między ósmą a jedenastą?

- W Newlands, kapitanie - odpowiedział spokojnie, bez brawury.

- Może to ktoś potwierdzić?

- Graliśmy całodzienny mecz z Gauteng, kapitanie. Wyjechałem stamtąd dwie minuty przed północą.

Rozdział 15

CZUŁ SIĘ TAKI ZMĘCZONY, że było mu wszystko jedno, co powiedzą sąsiedzi. Zapukał głośno w drzwi Stoppbergów. Usłyszał kroki; otworzyła drzwi. Na jego widok jej twarz się zmieniła. Wiedział, że przyszedł na próżno.

- Możemy porozmawiać o wczorajszym dniu?

Wpatrywała się w niego z niechęcią, prawie współczująco. W końcu upokorzenie stało się nie do zniesienia. Odwrócił się i ruszył do domu.

Usłyszał za sobą trzask zamykanych drzwi.

Ledwie zapadał wieczór, ale Joubertowi zdawało się, że tonie w ciemnościach.

Usiadł w fotelu w salonie, bez książki. Zapalił winstona i wpatrywał się w niebieskopopielatą smużkę płynącego pod sufit dymu.

De Wit miał chyba rację. Może przegrał życie. Wielki Przegrywający. Antonim sukcesu. Bogowie pewnie obdarowali go różkiem na odpady, do którego wrzucili wszystkie czarne myśli i doświadczenia, przeciwności losu i nieszczęście. A jeśli go zaprogramowali, żeby chłonał mrok jak gąbka, po to, żeby mogło istnieć światło? Śmierć, wielki drapieznik, podążała za nim krwawym śladem, a ślina skapywała z jej kłów na czarną glebę. Żeby ludzkość była wolna.

Jak choćby Charles Theodore Zeelie. Wyszedł wolny.

- Dotrzymacie obietnicy? - upewnił się jeszcze raz na koniec.

- Tak. - Bo nawet i bez obietnic wydział morderstw i kradzieży nie lubił zdradzać mediom swoich ślepych zaułków, swoich niepowodzeń. Charles Theodore Zeelie został zwolniony. Jego zdecydowana męska

twarz odzyskała kolor, dłonie uspokoiły się, zmarszczka między brwiami zniknęła, wygładzona niewidzialną ręką niewinności.

Jasne, że rozumiał, dlaczego poprosili go o przybycie. Nie czuł do nich urazy. Gdyby mógł pomóc...

Zwolniony. Przyjazny, niemal radosny. Nieporuszony śmiercią człowieka, przez którego doświadczył nienawiści do samego siebie. Ale i miłości.

Charles Theodore Zeelie odzyskał wolność. Mat Joubert nie.

De Wit nie powiedział słowa, tylko poczęstował Jouberta jednym ze swoich uśmiechów. Czyżby uśmiech zwycięzcy zastąpił uśmiech litości?

Na szóstym piętrze bloku mieszkalnego w Sea Point, którego fasada wychodziła na ogromny zimny przestwór Oceanu Atlantyckiego, odwiedził panią Joyce Wilson, matkę Drew Josepha Wilsona.

Spokojnie odpowiedziała na jego pytania, starannie ukrywając smutek. Ta kobieta dbała o swój wygląd - wysoka, silna i postawna, o uroku niepodarowanym w genach, lecz wypracowanym własną ręką. Elegancka i dumna w niebywale czystym mieszkaniu. Tak, Drew, jej ukochany i jedyny syn, był gejem. Ale się zmienił. Skończył z tym ponad sześć lat temu.

Powiedz jej, że to tylko pobożne życzenie, Macie Joubert. Powiedz jej. Niech też poczuje ciemność. Podziel się. Pozarażaj innych. Ale tego nie zrobił. Zostawił ją, żeby mogła się w spokoju wypłakać w sypialni, gdzie nikt jej nie zobaczy.

Pojechał też znów do Margaret Wallace. Ból nadal płonął w jej oczach. Już prawie jesteś u celu. Otwórz serce. Zwolnij blokady umysłu, wpuść śmierć, pozwól czarnej zarazie hulać po czaszce. Jesteś na właściwej drodze. Z twoich oczu zniknęło życie. Twoja skóra, twoje usta wydają się zmęczone. Twoje barki dźwigają wielki ciężar.

Nie, nigdy nie słyszała o Drew Wilsonie. Nie wiedziała, czy James go znał.

Z mowy jej ciała odczytał, że nic jej to nie obchodzi.

Siedział przed nią Mat Joubert. Wielki Przegrany. Facet, który nie może się obejść bez lekarza, psychologa i dietetyka. Parsknął w duszy szyderczo na myśl, że trzydziestoczteroletni kapitan i detektyw nie zdołał uwieść osiemnastoletniej córki sąsiada.

Ależ jest żałosny.

Oczami duszy ujrzał twarz Benny'ego Griessela. W tej chwili, gdy w drzwiach w pełnej glorii ciała stanęła Yvonne Stoppberg, jego późnocy nocny deser.

Twarz Benny'ego Griessela.

Joubert się uśmiechnął. I nagle to użalanie się nad sobą zobaczył z innej perspektywy - najpierw jedynie przebłysk, a później w pełnej krasie. Uśmiechnął się do siebie i do Benny'ego. Popatrzył na tłący się papieros i ujrzał się takim, jakim był w tej chwili - w fotelu, wpatrzony w papieros z uśmiechem przeznaczonym tylko dla siebie, i zrozumiał, że jeszcze nie wszystko stracone.

Zgasił papierosa i wstał. Przyniósł rozpiskę z dietą i książkę kucharską, którą dostał od dietetyczki. Poszedł do kuchni: sześćdziesiąt gramów kurczaka (bez skóry) sześćdziesiąt mililitrów sosu mięsnego bez tłuszczu, sto gramów ziemniaków pieczonych w łupinkach, sto pięćdziesiąt gramów marchwi, brokuły. Dwie jednostki tłuszczu.

Jezu!

Wyjął naczynia, żeby coś sobie przygotować. Jednak wciąż myślał o morderstwach. W końcu usiadł przy stole, zjadł. „Jedzenie należy wolno przeżuwać. To daje żołądkowi czas na wysłanie sygnału do mózgu, gdy jest już pełny”, informowała rozpiska. Ale nim zdążył opróżnić talerz, dwukrotnie zadzwonił telefon.

Za pierwszym razem podniósł słuchawkę z ustami pełnymi brokułów.

- Słucham.

- Z kapitanem Joubertem, poproszę - odezwał się męski głos.

Joubert przelknął.

- Przy telefonie.

- Dobry wieczór, kapitanie. Przepraszam, że pana niepokoję w domu. Ale ten wasz pułkownik to koszmar.

- Ach tak?

- Tak, kapitanie. Mówi Michaels, z laboratorium. Dzwonię w sprawie SAP 3 cztery ukośnik dwa ukośnik jeden ukośnik dziewięćdziesiąt pięć. Morderstwo Wallace'a.

- Tak?

- Broń, kapitanie. To nie jest...

- Dzwoni pan z Pretorii? - Wciąż nie bardzo mógł się połapać, o co chodzi.

- Tak, kapitanie.

- O jakim pułkowniku pan mówi?

- O de Wicie, kapitanie.

- Co on ma z tym wspólnego?

- Zadzwoił do nas, kapitanie, dziś po południu. I opierniczył nas od góry do dołu. Powiedział, że jego ludzie urabiają sobie ręce po łokcie, a my zbijamy bąki.

- Bart de Wit?

- Tak, kapitanie.

Joubert przeżuwał wiadomość.

- Zresztą, kapitanie, ta wasza tetetka...

- Tak? - Nadal zastanawiał się nad telefonem de Wita i faktem, że dowódca słowem mu o nim nie wspomniał.

- To nie tetetka, kapitanie. Nie wiem, kto to wymyślił. To mauzer.

Nagle Joubert oprzytomniał.

- Co?

- Mauzer, kapitanie. Ale nie taki zwykły stary mauzer. To broomhandle.

- Co?

- Pistolet, kapitanie.

- Mauzer, model wojskowy, podejrzewam, że M96 albo M98. - wyjaśnił cierpliwie Michaels tonem belfra. - Kaliber 7,63. Łuski naboju typowe. Bez pierścienia i z szyjką. Pojęcia nie mam, skąd wytrzasnęliście ten pomysł z tetetka...

- Z kalibru. - Joubert stanął w obronie hipotezy Griessela.

- No nie, kapitanie, przepraszam, ale do cholery, przecież one się bardzo się różnią. W obydwu przypadkach ułatwiłoby to wam robotę.

- Niby jak?

- Mauzer, kapitanie. - Michaels się zniecierpliwił. - Broń stara i rzadko spotykana. Niewielu ludzi na Przylądku może coś takiego mieć. Dysponujecie przecież danymi o pozwoleniach.

- Jak stara?

- Prawie sprzed stu lat, kapitanie. Z 1896 albo 1898. Najpiękniejsza rzecz, jaką Niemcy kiedykolwiek zrobili. Sam pan zobaczy, kapitanie. Broomhandle. Smukła drewniana kolba. Burscy oficerowie ją nosili. Duża lufa, magazynek pod spustem.

Joubert spróbował wyobrazić sobie broń i coś mu mgliście zamajaczyło.

- Podobny do lugera?

- Dziadek lugera, kapitanie. To ten.

- A skąd wzięliby amunicję? Po stu latach?

- Można strzelać nabojami od tetetki, tyle że mogłyby go uszkodzić. Inny stosunek ciśnień. Ale facet wciąż ma zapas, kapitanie. Wasz morderca. Nawet naboje są stare. Może z roku 1900, może trochę starsze. Musicie go dorwać. Inaczej pośle wielu ludzi do piekła i zniknie.

- Amunicja też ma sto lat?

- Nie do wiary, prawda?

- I wciąż jest dobra?

- W tamtych czasach produkowali solidne rzeczy, kapitanie. Owszem, trafi się niewypał, ale większość się sprawdza. Facet może wystrzelać cały Kapsztad.

- Myślisz, że to facet?

- Na pewno, kapitanie.

- Ym, a dlaczego...?

- Mauzer kopie jak pieprzony muł, kapitanie. Niesie człowieka jak na koniu.

Rozdział 16

PRZEPLYNAŁ Z PRZYJEMNOŚCIĄ JEDNĄ DŁUGOŚĆ. Gdy zawrócił, odbijając się stopami od ściany basenu i płynął z powrotem, poczuł znów, że się męczy.

Kombinował, jak by tu pływać wydajniej: to wolniej, to szybciej; odpoczął, spróbował znowu, niestety na próżno. Ale wychodząc z wody, pierwszy raz poczuł nadzieję, że jeszcze coś z tego będzie.

W TEN CZWARTEK, dziesiątego stycznia, pierwszy zastępca redaktora naczelnego „Die Burger” miał dobry dzień. Do zadań zastępców należało między innymi wymyślanie nagłówków, od czasu do czasu dla frajdy lubili pobawić się w aliterację albo grę słów, i jak się mu szczęśliwie trafiło, słowa „mauzer”, „morderstwo” i „maniakalne” zaczynały się od tej samej litery.

Jakby tego było mało, gazeta postanowiła poświęcić główny artykuł na pierwszej stronie właśnie morderstwom. Skłoniły ją do tego dwa powody. Pierwszy: tradycyjne źródła informacji nie miały tego poranka niczego interesującego do zaoferowania. W miastach nie zginęło więcej ludzi niż zwykle, żaden z przedstawicieli któregoś z kolorów politycznej tęczy nie zwymyślał dostatecznie poważnie innego, a rząd nie zamieszał się w nowy skandal. Na froncie międzynarodowym też pełen spokój, nawet na Bliskim Wschodzie, w Europie Wschodniej i Irlandii.

Drugim powodem było narzędzie zbrodni. Mauzer broomhandle.

Gdy poprzedniego wieczoru reporter działu kryminalnego „Die Burger” zobaczył leżące na swoim biurku zdjęcia Jamesa Wallace'a i Drew Josepha Wilsona, zaczął bawić się w snucie teorii.

Obydwaj mieli czarne włosy i czarne wąsy. Trochę byli do siebie podobni. Obydwaj dobiegali czterdziestki.

Reporter zadzwonił do porucznika Johna Cloete z departamentu public relations i zapytał, czy to możliwe, żeby policja miała do czynienia z seryjnym mordercą, który wycelował swoją tetetkę w wąsatych brunetów przed czterdziestką.

Obowiązkiem porucznika było zapewnienie dobrego obrazu służby w mediach. Nieważne, na jak głupią teorię wpadał ten czy inny reporter kryminalny, Cloete wysłuchiwał go i obiecywał, że się odezwie.

Poprzedniego wieczoru oderwał więc Mata Jouberta od kawałka piersi kurczaka bez skóry, marchwi, ziemniaków i brokułów, żeby go spytać, czy w teorii reportera może być ziarno prawdy.

Joubert doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dziennikarze chwytają się drobiazgów, i serdecznie współczuł Johnowi.

- Badamy wszystkie tropy - odparł, gdyż wiedział, że tak właśnie chciałby Cloete odpowiedzieć reporterowi.

Cloete mu podziękował.

- Jeszcze jedna sprawa, John - dodał, nim Cloete odłożył słuchawkę.

- Tak, kapitanie?

- Narzędzie zbrodni.

- Tak, kapitanie?

- To mauzer broomhandle.

- Co?

Joubert powtórzył, co spamiętał.

- Chryste - jęknął Cloete, bo znał dziennikarzy. I wiedział...

- Jeszcze coś, John.

- Tak, kapitanie?

- Nie pozwalaj gazetom tytułować mnie „jednym z najlepszych detektywów na Półwyspie”.

Cloete roześmiał się, obiecał, że spełni jego prośbę, i oddzwonił do reportera.

- Kapitan Mat Joubert mówi, że badają wszystkie wątki.

Potem opowiedział mu o mauzerze.

Sensacja, o czym reporter dobrze wiedział, często skrywa się w drobnych szczegółach. Jak choćby dotyczących stanu i koloru slipów. Albo koloru skóry pary kochanków czy różnicy w kolorze. Czy też, jak w tym przypadku, w wieku narzędzia zbrodni.

Mauzer spadł mu jak manna z nieba. Stary, o bogatej, nieco kontrowersyjnej historii - jego początki zahaczały o wojnę angielsko-burską - nadawał opowieści prawicowego zabarwienia. Prezentował się dziwnie i egzotycznie. Dlatego też pierwsza strona „Die Burger” wyglądała dziś rano tak, jak wyglądała. Gazeta wychodziła w atrakcyjnym układzie modułowym, główny artykuł, zdjęcia i grafikę umieszczono w dużym kwadracie na lososiowym tle. A nagłówek? Dwa słowa dużą czcionką, aliteracja: „Morderca z Mauzerem”. Pod nagłówkiem, nieco mniejszą czcionką tego samego kroju: „Szaleniec może uderzyć ponownie”.

Joubert przeczytał gazetę w swoim biurze.

Tydzień służby w grupie wsparcia miał za sobą. Teraz czekały go trzy tygodnie wytchnienia, zanim znów będzie musiał ją poprowadzić. Dlatego tego ranka mógł pozwolić sobie na luksus przeczytania przy biurku gazety. Przejrzał artykuł i pokręcił głową nad inwencją dziennikarza, który z informacji o marce broni, paru spekulacji i mglistego oświadczenia policji umiał wyczarować materiał na pierwszą stronę.

Ale nie miał nic przeciw temu. Rozgłos był wielkim sojusznikiem w rozwiązywaniu spraw kryminalnych. Zdarzały się nawet przypadki, że przestępcy sami poddawali się po prasowej notatce ogłaszającej, że „pętla się zaciska”. A wpływ telewizji...

Przyjrzał się fotografiom Jimmiego Wallace'a i Drew Wilsona. Wiedział, że nie ma ani jednego solidnego tropu, i nie wątpił, że to nie ostatecznie morderstwo dokonane z mauzera. Może reporter miał rację. Może facet wrócił niespodziewanie do domu, przyłapał żonę z wąsatym brunetem. I teraz strzelał do takich typków, żeby podbudować swoje ego.

Mat Joubert, domorosły psycholog.

Mniejsza o to, powiedział sobie. Za kilka godzin spotka się z prawdziwym lekarzem duszy, osobistym. Jedyłą i niepowtarzalną doktor Hanną Nortier, kobietą śledczym, chirurgiem psychiki, uzdrowicielką chorych dusz.

- Widzimy się w czwartek, kapitanie - powiedziała.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie może się doczekać.

Cóż to oznacza? Zapalił benson & hedges special mild. Wciąż mu nie smakowały. Złożył gazetę i popatrzył na zegarek. Wpół do dziewiątej. Ludzie od danych już pewnie pracują. Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Pora poszukać mauzera.

FERDY FERREIRA NIE PRZECZYTAŁ „DIE BURGER” W CZWARTEK, dziesiątego stycznia. Nie czytał też niczego w żaden inny dzień. Bo czytanie gazet to za duży kłopot.

I bez gazet miał dość kłopotów w swoim życiu. Na przykład żona. Jego żona oznaczała kłopot przez duże K.

- Ferdy, wyprowadź psy.
- Ferdy, poszukaj pracy.
- Ferdy, za dużo jesz.
- Ferdy, masz piwny bęben.
- Ferdy, mógłbyś przynajmniej posprzątać ze stołu.
- Ferdy, cały boży dzień jestem na nogach. A ty co? Bumelujesz.

Najbardziej lubił bumelować przed telewizorem. Bumelował przed nim od rana - gdy żona łapała na przystanku przed kempingiem Old Ship autobus linii Złota Strzała - do nocnego programu religijnego, którym kończył się telewizyjny dzień.

To, że Ferdy nie był doskonale obeznany z morderstwami, wynikało jedynie z faktu, że SABC żadną miarą nie mogła poświęcić wzmianki każdemu morderstwu w kraju. W końcu była to krajowa agencja informacyjna, relacjonowała tylko ważne wydarzenia. Dlatego też ani słowem nie napomknęła o śmierci Jamesa Wallace'a czy Drew Wilsona. W pewnym sensie można więc było stwierdzić, że częściową winę za śmierć Ferdy'ego Ferreiry ponosiła agencja informacyjna SABC.

Chociaż pewnie nigdy się o tym nie dowie.

JOUBERT ZASTUKAŁ W DRZWI rozpadającego się domu w Boston, uważając przy tym, że dom zmarłego Drew Wilsona stał zaledwie dwie przecznice dalej. Poczul, że przyspiesza mu tętno, i zacisnął dłoń na Z88, upewniając się, że ma go przy sobie.

Faks z wydziału danych podawał, że na Przylądku zarejestrowano szesnaście mauzerów broomhandle.

Joubert podzielił się listą nazwisk z Gerritem Snymanem, bo tylko on mu został: detektywi, którzy nie zostali przydzieleni do grupy wsparcia, stawili się w sądzie jako świadkowie - ostateczny dowód, że w ostatnim roku odwalili kawał dobrej roboty. Snyman był nowy. A Mat Joubert...

Drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta w średnim wieku, gruba i brzydka. Oczy, usta i nos miała małe, nieładne i umieszczone pośrodku twarzy, co czyniło ją podobną do gada.

- Pani Stander?

- Tak. - Niecierpliwie.

Przedstawił się i wyjaśnił cel swojej wizyty. Muszą sprawdzić wszystkie zarejestrowane na Przyładku mauzery i czy z któregoś z nich nie strzelano.

- Proszę wejść

Odwróciła się i ruszyła korytarzem. Patrząc na jej szerokie barki, pomyślał, że wygląda na morderczynię. Przy drzwiach salonu się zawahała.

- Proszę zaczekać tutaj. - Wskazała gestem i poszła dalej.

Wszedł do salonu i przysiadł na brzeżku fotelu, trochę rozbawiony swoim niepokojem. Jego praca polegała na szukaniu morderców bez rozróżniania: piękny czy brzydki, gruby czy szczupły, stary czy młody. Tylko na filmach mordercy byli stereotypowo nieatrakcyjni.

Gdy jednak usłyszał ciężkie człapanie pani Stander, położył dłoń na pistolecie i przyjął taką pozycję w fotelu, by móc się łatwo poderwać.

W dłoniach trzymała drewniane pudełko. Usiadła obok Mata i podała mu je bez słowa.

Wieczko pudełka ozdabiała płaskorzeźba - przedstawiała żołnierzy burskich na koniach, wszystkie detale: finezyjny obraz zwierząt, kapełuszki, kamizelki i broń wyrzeźbiono w drewnie dokładnie i z miłością. Zdumiony dotknął małego dzieła sztuki.

- Zrobił je mój dziadek na Wyspie Świętej Heleny. Był oficerem. I oczywiście jeńcem wojennym - wyjaśniła.

Otworzył pudełko.

Dziś rano widział w „Die Burger” rysunek przedstawiający mauzera, pamiętał kształt i wygląd broni. Ale rysunek nie przygotował go na fizyczny dotyk metalu i drewna, piękną linię i obłóci.

Nie wyglądał jak narzędzie zbrodni.

Linia lufy, kąt, jaki tworzyła ze smukłą kolbą, była kobieca - miękka i zmysłowa. Magazynek kwadratowy, pojemny, zaokrąglony na krawędziach, sterczał przed spustem jak męskie genitalia, nieatrakcyjne, ale spełniające swoją funkcję. Wyjął mauzera z pudełka. Był cięższy, niż mogło się zdawać. „Waffenfabrik Mauser Oberndorf” - przeczytał na korpusie. Odwrócił pistolet, zajrzał do lufy, wciągnął w nozdrza woń czarnego metalu i ciemnego drewna.

Wiedział, że to nie ta broń.

- Trzeba go naoliwić - powiedział do pani Stander, która siedziała pochylona w krześle i wpatrywała się w jego twarz. - W lufie jest rdza.

Trzeba go porządnie naoliwić - powtórzył, po czym ostrożnie i z szacunkiem włożył pistolet z powrotem do pudełka.

W drodze do Paarl, do następnego właściciela mauzera ze swojej listy, myślał o mordercy. Skąd taka broń? Dlaczego wybrał pistolet przyciągający uwagę jak zapalona nocą latarnia? Czemu używał wiekowej amunicji, która mogła w kluczowym momencie zawieść? Czyżby jednak chodziło o politykę? „Głos Afrykanera nadal żywy”.

Dwie ofiary, anglojęzyczny ulubieniec pań i mówiący po afrykanersku homoseksualista. „Głos Afrykanera nadal żywy i nadal strzelamy do Anglików oraz pedałów”.

Nie, to byłoby za proste. Zbyt jednowymiarowe. Może i jest to jakiś przekaz, ale na innym poziomie, sposób na wzbudzenie zainteresowania. Oznajmienia: Jestem inny. Wyjątkowy.

Kolejnych siedem nazwisk i adresów na liście - sprawdził dwa domy starości, trzech emerytów i dwóch amatorów - kolekcjonerów militariów. Zobaczył cztery modele mauzera broomhandle, każdy odrobinę inny od poprzedniego, każdy o własnym mrozącym krew w żyłach uroku.

Na swojej liście nie znalazł podejrzanego.

Późnym popołudniem wrócił do Kapsztadu. W mieście, na światłach w drodze do gabinetu doktor Hanny Nortier, minął reklamówkę „Argusa”. Rzucił mu się w oczy nagłówek: „Strzały z przeszłości”.

Rozdział 17

WSZEDŁ ZA NIĄ DO GABINETU. Zarejestrował, że dziś ma na sobie długą sukienkę o prostym kroju, z ciemnoniebieskiego materiału z deseniem w drobne czerwone i pomarańczowe kwiatki. Spojrzał na jej umięśnione, szczupłe ramiona i zastanawiał się, z usług jakiego dietetyka ona korzysta.

Usiedli.

Zauważył, że jej delikatna uroda trochę przybladła, pani doktor uśmiechała się uprzejmie, ale bez ciepła, nieco wymuszenie.

- Jak się miewa kapitan Mat Joubert? - zapytała, otwierając jego akta.

Co miał odpowiedzieć?

- Dobrze.

- Pogodził się pan z konsultacjami u psychologa?

- Tak. - To tylko po części prawda, gdyż nie mógł się doczekać tej wizyty. Rozgryzał tę zagadkę między odwiedzinami u posiadaczy mauzerów w Prowincji Przylądkowej. Rozważał różne możliwości, bo nie chodziło o jeden powód. Po poprzedniej wizycie odniósł wrażenie, że wrzód w jego głowie... już tak nie uciska, a szara zasłona, odgradzająca go od życia, nabrała jaśniejszej barwy.

Mam dla pani nową historyjkę, doktor Hanno. Rozdzierającą serce opowieść o Głupim Policjancie i Córcie Grabarza. Jednoaktowy thriller z niespodziewanym zakończeniem. Marzenie każdego psychologa, doktor Hanno. Tyle niuansów do zbadania. Poczucie własnej wartości, seks...

Zaskoczony, nagle zdał sobie sprawę, że naprawdę chciałby jej o tym powiedzieć. O uldze, kiedy przekonał się, że nadal odczuwa

seksualne pragnienie. O upokorzeniu. Chciał się dowiedzieć, czy został zaprogramowany na upokorzenia.

Ale odkrył też, że istnieje inna możliwość, inny potencjalny powód, dla którego nie mógł się doczekać drugiej wizyty u swojej pani doktor od głowy. Była nim ona sama.

Kartkowała leżące przed nią akta. Posmutniał. Czyżby nie pamiętała, co jej ostatnio powiedział? Czyżby krew, którą wylał na dywan, tak łatwo się zmywała? Podniosła na niego wzrok. Dojrzał zmęczenie wokół jej oczu i doznał olśnienia: był dziś pewnie ósmym, dziesiątym albo dwunastym pacjentem, który siedząc naprzeciw tej szczupłej kobiety, wypluwał przed nią gorycz życia.

- Podczas pierwszej sesji niewiele powiedział pan o swojej matce. - Nadal pochylała się nad aktami. Jej głos brzmiał melodyjnie jak instrument.

Włożył rękę do kieszeni marynarki, wyjął papierosy, otworzył paczkę, zobaczył schludne, równe rządky. Jego duże palce z trudem wydobywały pierwszego papierosa. Chwycił filtr kciukiem i palcem wskazującym i pociągnął. Papieros wysunął się, Mat zmienił chwyt, włożył go do ust i wtedy uświadomił sobie, że ona czeka na jego odpowiedź.

- Moja matka...

Dlaczego z taką niecierpliwością czekał na to spotkanie? Wsunął dłoń do kieszeni, wyjął zapalniczkę, zapalił, zaciągnął się. Zauważył, że ręka lekko mu drży. Schował zapalniczkę. Spojrzał na Hannę.

- Jak ją pan wspomina?

- Ja... - zastanowił się.

- Pytam o wspomnienia z dzieciństwa.

Z dzieciństwa? A cóż pamięta się z dzieciństwa? Epizody, przelotne zdarzenia, które wywarły takie wrażenie, że dostrzegało się ich kształt i treść nawet po tym, jak na półkach pamięci obrosły grubą warstwą kurzu.

- Moja matka była ładna.

Miał sześć albo siedem lat, gdy pierwszy raz to sobie uświadomił. Na Voortrekker, ulicy jego młodości. Fundusz budowlany kościoła, czy też misyjny, niemal się już wyczerpał i siostry wspólnoty zorganizowały na chodniku stragan z naleśnikami - serwowwały je w każdą sobotę rano. Błagał matkę, żeby go ze sobą zabrała, wizja miękkich naleśników z wielką porcją chrupiącego w zębach cynamonowego cukru sprawiła, że nękał ją i nękał. Poddawała się w końcu, żeby dał jej spokój.

Mimo wczesnego ranka przy straganie zebrały się już cztery kobiety, może pięć. Ulica była jeszcze cicha, nad jej wschodnim krańcem wschodziło słońce, jakby to ona wytyczała jego orbitę. Usiadł z boku, oparł się plecami o fasadę sklepu, oplótł ramionami kolana, głowę położył na skrzyżowanych ramionach. Chciało mu się spać, żałował, że tu przyszedł, nadzieja na naleśniki się rozwiała, bo kobietom bardzo zależało na zarobku. Zamknął oczy i usłyszał głos matki. Był inny, nie brzmiał jak zwykle. To sprawiło, że zaczął jej się przyglądać. Stała za stołem, jej sprawne, pewne dłonie rozpakowywały i układały naleśniki, a twarz odbijała złoty blask świtu. Opowiadała. Kobiety słuchały. I śmiały się. Jego matka, kobieta sprowadzona obelżywymi krzykami męża do roli cichej kury domowej, umiała je rozśmieszyć. Tego poranka dostrzegł w niej kogoś, kogo nigdy nie miał tak naprawdę poznać.

- Myślę, że o mnie zapomniały - powiedział Hannie Nortier. - Moja matka kogoś przedrzeźniała. Nie wiem kogo, pewnie jakąś inną kobietę. Tam na tym chodniku, tuż po siódmej rano. Odeszła kawalek, odwróciła się i stała się kimś innym, wszystko było inne: jej chód, zachowanie, to jak nosiła i pochylała głowę, jej ręce i ramiona. „Kim jesteś?” zapytała. Kobiety śmiały się tak bardzo, że nie mogły wydusić słowa. „Zaraz się posikam!” zawołała jedna. Zapamiętałem to, bo te słowa mną wstrząsnęły. W przerwach między wybuchami śmiechu wykrzykiwały nazwisko kobiety, którą naśladowała moja matka. A potem zaczęły klaskać. Moja matka ukloniła się z uśmiechem i w tej samej chwili zaświeciło słońce; wtedy zobaczyłem, jaka jest piękna z tą gładką skórą, rumianymi policzkami i błyszczącymi oczami.

Zamilkł. Papieros wypalił się niemal do filtra.

- Przypomniałem sobie to dopiero na jej pogrzebie.

Zapisała coś w aktach. Joubert zgasił niedopalek w popielniczce i otarł dłonią górną wargę. Poczul na palcach zapach tytoniu i dymu, a raczej smród.

- Może mnie rozczarowała. Później. Tym, że nigdy nie postawiła się ojcu. Że go nie rzuciła, mimo tyranii, wyzwisk i picia. Była taka... bierna. Nie. Więcej niż bierna. Ona... W piątkowe wieczory, kiedy ojciec chodził do baru, nigdy nie powiedziała złego słowa. Nigdy nie poprosiła: „Idź i przyprowadź ojca z baru na kolację”. Tylko: „Idź, poszukaj ojca”. Jakby mógł być gdzieś indziej. A gdy wracałem i mówiłem, że nie jest głodny, wydawało się, że mnie nie słyszy. Jakby miała niewyczerpaną zdolność zaprzeczania rzeczywistości, tworzenia swojej własnej.

- Ile z tego odziedziczył pan po niej ? - ton jej głosu stał się ostrzejszy, niemal oskarżycielski. Zdał sobie sprawę, że to pierwsza introspekcja, jakiej od niego oczekiwała.

Zaczął zastanawiać się nad odpowiedzią. Ale odpuściła mu, jej głos znów stał się łagodny.

- A randki z dziewczynami? Łatwo się pan z nimi umawiał? Później?

W jego głowie rozległ się cichy alarm. Dokąd zmierzała? Matka? Dziewczyny?

- Nie.

Niechętnie powracał do tych wspomnień, zagubienia, uciążliwej niepewności okresu dojrzewania, czasu, z którym niełatwo sobie radził. Hanna Nortier jest taka krucha. Czy potrafi to zrozumieć?

- Byłem duży, już w szkole. Nie tylko wysoki. Duży.

Wiedział, że ciało stało się dla niego przeszkodą, nie radził sobie jak inni chłopcy - wagi półmuszej, koguciej, piórkowej. Gdy oni brykali jak rasowe źrebięta, on walczył z grawitacją, poruszając się ciężko i niezgrabnie. Był przekonany, że to dyskwalifikuje go w kontaktach z dziewczynami. Osiem lat po maturze spotkał koleżankę ze szkoły, spytała go, czy wiedział, że w szkolnych czasach się w nim kochała. Nie mógł w to uwierzyć.

- Nigdy nie miałem dziewczyny. A ta, z którą poszedłem na bal maturalny... nasze matki to między sobą ustaliły. Tak, jak swata się małżeństwo.

- Martwiło to pana? Że nie chodzi pan z dziewczyną?

Zamyślił się.

- Czytałem.

Czekała.

- Książki stwarzają własną rzeczywistość, pani doktor. Nie ma w nich niewydarzonych bohaterów. Za to zawsze są szczęśliwe zakończenia. Nawet gdy bohater popełnia błędy, w końcu zawsze zdobywa tę, o której marzy. Myślałem, że jedyne, czego mi trzeba, to cierpliwość. A w międzyczasie zadawałem się książkami.

- Pana pierwsza dziewczyna?

Dzwonek alarmowy dzwonił coraz głośniejsze. Sekwencja stawiała się coraz bardziej oczywista. Matka, dziewczyny, wszystko prowadziło do Lary Joubert. A, dobry Boże, o Larze rozmawiać nie chciał.

- Lara - powiedział cicho i spojrział na swoje leżące na kolanach dłonie, na grube palce, które drgnęły i splotły się ze sobą. Były inne

dziewczyny, przed Larą. Tajemne miłości nastoletnich lat, przyprawiające o szybsze bicie serca i spocone dłonie. Nauczycielka, nowa uczennica z innej szkoły, ciemnowłosa Greczynka o posępnej urodzie z kafejki na rogu Rhodes i Voortrekker.

Ale tamte nie знаły jego namiętności, marzeń czy fantazji. A Lara owszem.

Poczuł na sobie wzrok Hanny Nortier. Potem usłyszał jej głos, cichy, prawie niedosłyszalny, pełen zrozumienia.

- Nie chce pan o tym mówić. - Pytanie i stwierdzenie zarazem, wyrażenie współczucia... i wyzwanie.

Ujęło go uczucie w jej głosie. Przytłaczał go ciężar pamięci o Larze. Jego umysł krzyczał: Powiedz jej, Macie Joubert! Zrzucić ciężki balast, od którego twoja dusza zanurza się pod każdą szarą falą. Otwórz włazy. Wywał to za burtę.

Nie może jej wszystkiego powiedzieć.

Pokręcił głową. Nie. Nie chciał rozmawiać o Larze.

- Możemy zrobić to powoli - jej głos był wciąż pełen zrozumienia.

Podniósł na nią wzrok. Pragnął delikatnie przytulić kruche ciało Hanny Nortier, osłonić jej ramiona swoimi dużymi dłońmi, żeby nie wyglądała na taką bezbronną. Przytulić ją do siebie z troską i współczuciem, być jej obronnym murem, pasem ratunkowym. Zalała go fala uczucia.

- Jak ją pan poznał? - słowa były tak ciche, że z trudem dotarły do jego uszu.

Zamilkł na dłużej. Najpierw, żeby uporać się z emocjami. Potem, by skradać się po skarbcu swojej pamięci, jakby zbyt ciężki krok mógł obudzić złe wspomnienie. Uczucia wyostrzyły jego krystaliczną pamięć niczym lupa i wzmacniacz akustyczny. Oczami duszy widział obrazy, słyszał dźwięki, jakby wszystko działo się teraz. Cofnął się w czasie i posuwał kawałek po kawałeczku. Zobaczył twarz Lary, tego pierwszego razu. Otwiera drzwi, krótkie proste czarne włosy, czarne oczy, płonące żądzą życia jak reflektory, uśmiechnięte usta, jeden ząb nieco krzywy, giętkie ciało, tak ruchliwe pod jaskrawoczerwoną sukienką. Zmierzyła go wzrokiem i oświadczyła: „Nie zamawiałam aż tak dużego rozmiaru”; zamknęła drzwi, po czym energicznie otworzyła je ponownie, ze śmiechem, który przepływał przez niego jak muzyka. Wyciągnęła rękę i powiedziała: „Lara du Toit”.

- To była... - Joubert szukał słowa odpowiedniejszej wagi, ale nie znalazł. - To była randka w ciemno.

Patrzył teraz na Hannę Nortier, na jej oczy, nos, usta - stopnie wykute nad urwiskiem pamięci.

- Zaaranżował ją Hans van Rensburg, Sierżant z wydziału morderstw i kradzieży. Postrzelili go podczas blokady drogowej na N1 w 1992 . Wtedy była jeszcze zwykłą policjantką, na posterunku w Sea Point. Hans prowadził tam dochodzenie i tak się poznali. Oświadczył, że właśnie poznał właściwą dziewczynę dla mnie. To on wszystko ustawił. Bo uznał, że ja się do tego zupełnie nie nadaję, za bardzo boję się kobiet. Zadzwoił do niej i nas umówił. Więc pojechałem do niej. Mieszkała w Kloofnek z przyjaciółką, obie były biedne, miały jedną sypialnię. Lara spała w salonie, ta druga w sypialni, a faceci mieli wstęp tylko do kuchni. Otworzyła drzwi; była piękna. Potem powiedziała, że musimy iść na spacer, bo jest śliczny wieczór. Przeszliśmy od Kloofnek aż do Foreshore. Nawet nie zdążyliśmy dobrze wyjść za drzwi, gdy wzięła mnie za rękę i powiedziała, że lubi, gdy się ją dotyka, i że jeśli nie będziemy trzymać się za ręce, to ludzie pomyślą, że jestem jej bratem. Śmiała się z mojej nieśmiałości i z tego, jak się czerwieniłem. Potem spoważniała, stwierdziła, że mężczyzna, który się rumieni, to dobra partia, i znów się roześmiała.

Słyszał śmiech zmarłej żony, śmiech z tego pierwszego dnia, i pamiętał, jak później tego wieczoru wrócili na piechotę pod górkę, w ciszy bezwietrznej nocy. Lara du Toit rozmawiała z nim, jak z kimś dla niej ważnym, jakby warto było dzielić z nim swoje tajemnice. Zachłystywał się jej śmiechem, dotykiem jej dłoni, która niczym zwierzątko nawet przez chwilę nie spoczywała spokojnie w jego dłoni, jej oczami, ustami, mocno opaloną skórą, nieskazitelną i gładką jak wypolerowana miedź.

Pamięta, jak wszedł do swojego przedpotopowego datsuna, a później za nic nie mógł sobie przypomnieć, którądy wrócił do domu. Jak na wysadzonej drzewami ulicy w Wynberg, gdzie wynajmował pokój, podniósł głowę do nieba i głośno krzyknął, bo nie mógł sobie poradzić z rozpierającą go radością.

A potem Mat Joubert rozplakał się pierwszy raz od siedemnastu lat - cichym, bezdźwięcznym płaczem, który zdradzały jedynie płynące z oczu łzy. Odwrócił się od Hanny Nortier, zastanawiając, kiedy skończy się to upokorzenie.

Rozdział 18

BENNY GRIESSEL DYGOTAŁ. Dygotały jego ręce, barki, ramiona, nogi.

- Wiem, Mat, to najgorsze. Wiem. Wiem, co nadchodzi. Tak się boję.

Joubert usiadł na jedynym krześle w pokoju, Griessel leżał na łóżku, okryty szarym kocem. Ściany pomieszczenia były nagie, otynkowane i pomalowane na biało na wysokość głowy, potem do sufitu była już tylko brązowa cegła. Obok łóżka stał drewniany stolik bez szuflad. Leżała na nim czerwona biblia Gideona. Przy ścianie obok umywalki i toalety znajdowała się szafa.

Szukał starego Benny'ego Griessela, dowcipnego, cynicznego faceta, o oddechu lekko zaprawionym alkoholem. Na poszarzałej twarzy tego tutaj malował się strach, wargi mu posiniały.

- W nocy przychodzą demony, Mat, głosy i twarze. Podobno to halucynacje, ale co to za różnica, gdy już przyjdą. Słyszę ich wołania, czuję ich palce i nie mogę się wyrwać, zbyt wolno się ruszam, a ich jest tyle.

Benny Griessel zgiął się wpół i jego ciałem wstrząsnął spazm.

- Poszukam jeszcze jednego koca, Benny.

- Koce ich nie zatrzymają, Mat. Koce ich nie zatrzymają.

PO POWROCIE DO DOMU ZADZWONIŁ DO GERRITA SNYMANA.

- Nic, kapitanie. Niektóre pistolety są tak zardzewiałe, że już nigdy nie wystrzelą. Jeden facet, z Table View ma ekstrakolekcję broni. Jego mauzer wygląda, jakby wyprodukowano go wczoraj. Naoliwiony i wypastowany. Zbyt zadbany na narzędzie zbrodni. Zresztą facet i tak ma alibi na oba morderstwa.

Joubert powiedział mu, że też niczego nie znalazł, podziękował i się pożegnał.

Wziął kilka owoców, nóż i talerz, poszedł do salonu i usiadł w fotelu. Pokroił jabłko na ćwiartki, starannie wycinając gniazdo nasienne.

Dwa dni, pomyślał. W ciągu ostatnich dwóch dni najpierw upokorzyła go seksualna porażka z winy Benny'ego Griessela, a teraz rozkleił się w gabinecie Hanny Nortier.

Jest psychologiem, powtarzał sobie. Przywykła do tego.

Ale on nie przywykł. Nie przywykł do upokorzenia.

Poradziła sobie z sytuacją znakomicie. Nie odezwała się ani słowem. Wstała, obeszła biurko, stanęła przy nim, przekraczając niewidoczną linię dzielącą psychologa od pacjenta. Położyła mu dłoń na ramieniu. Stała przy nim tak długo, dopóki, z głową wciąż od niej odwróconą, gniewnym ruchem nie otarł łez rękawem marynarki. Wtedy odeszła, usiadła i czekała, aż weźmie się w garść.

- Więcej opowie mi pan następnym razem - powiedziała cicho. Wstał i podszedł do drzwi, starając się nie biec.

A teraz, z ćwiartką jabłka w ręce, zrozumiał, że z tych dwóch upokorzeń to przed nią było większe. Bo gdy na skali kobiecości umieścił obok siebie doktor Hannę Nortier i Yvonne Stoppberg, poczuł się ogłuszony. Co go tak wtedy podnieciło? Teraz, w porównaniu z Hanną Nortier, uroda Yvonne Stoppberg zdała mu się płytka, a jej zmysłowość straciła na atrakcyjności.

Przez chwilę zrobiło mu się żal Yvonne. Potem przypomniał sobie sprężystość mięśni jej pleców, jędrność piersi w swoich ustach.

Postawiona obok Hanny była zwykła, pospolita. Ale to ona sprawiła, że krew zaczęła w nim szybciej krążyć.

FERDY FERREIRA NIE CIERPIAŁ PSÓW SWOJEJ ŻONY.

Zwłaszcza o tej porze, za dwadzieścia szósta rano, gdy ledwie zaczynało świtać.

Było kilka powodów jego nienawiści: po pierwsze, jego zdaniem, w ich przyczepie ledwo mieściły się dwie dorosłe osoby, a co dopiero jeszcze dwa corgi.

Po drugie, wkurzała go troska i miłość, jaką Gail Ferreira obdarzała psy. Gdy późnym popołudniem wracała do domu z przedsiębiorstwa węglowego, gdzie pracowała jako księgowa, najpierw witała się z nimi. Wabiły się Karol i Diana, ale ona nazywała je swoimi anielskimi mordkami.

Ale najbardziej dawało mu się we znaki to, że co rano musiał zabierać je na spacer na plażę. „Przed szóstą, Ferdy, żebyś zdażyła się z nimi pożegnać przed przyjazdem autobusu”. Tak wyglądał „porządek dziobania” w rodzinie Ferreirów: pierwsza Gail, za nią psy, a na końcu Ferdy.

- Psy, Ferdy - przypomniała Gail, ubierając się przed szafką. Była czterdziestoparoletnią kobietą średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała, ale jej głos i zdecydowana postawa sprawiały, że wydawała się znacznie postawniejsza.

Ferdy westchnął i zwłókł się ze swojego łóżka, oddzielonego od łóżka Gail nocnym stolikiem. Wiedział, że nie ma sensu się sprzeczać. Tylko pogorszyłby sprawę.

Corgi warowały smutne pod drzwiami, jakby one też nie mogły się doczekać spaceru.

Ferdy powłóczył lewą nogą.

- Nie wlec tak tą nogą.
- Kiedy mnie boli - odparł zbolalym głosem Ferdy.
- Nic ci nie jest - stwierdziła Gail.

Ferdy Ferreira zaraził się w dzieciństwie chorobą Heinego-Medina; zaatakowała jego lewą stopę, ale niezbyt poważnie, tylko lekko kuśtykał i musiał nosić but na grubszej podeszwie. Ale Ferdy nauczył się wykorzystywać tę drobną ułomność w celach obronnych, choć na ogół z połowicznym sukcesem.

Westchnął jak co rano i się ubrał. Wyciągnął smycze z kuchennego schowka na przybory do sprzątanania i wrócił do sypialenki, utykając nieco bardziej niż zwykle, w bezcelowej próbie wywołania współczucia. Psy nadal siedziały pod drzwiami, wpatrzone w Gail. Ferdy przypiął smycze do ich obroży. Karol i Diana warknęły.

- Już idziemy. - Sprawiał wrażenie urażonego, w jego głosie brzmiała skarga.

- Uważaj na moje aniolki - tyle doczekał się od Gail.

Ruszył wysmołowaną drogą do głównej bramy po zachodniej stronie kempingu. Przywitał się z panną Atkinson, wraz z jedenastoma kotami stałą lokatorką kempingu. Corgi szarpnęły, czując zapach kota. Ferdy ściągnął smycze, nie bez zadowolenia mocniej niż było trzeba. Psy warknęły.

Wyprowadził je za bramę. Czarnoskóry portier pewnie wciąż spał jeszcze w swojej małej drewnianej chatce. Ferdy przeciął smołowaną

drogę i wszedł na pusty teren, leżący nad Little Salt River, która nieopodal wpadała do morza.

Nie zauważał ani różowości jutrzeźki na wschodzie, ani szmaragdu roztaczającego się przed nim Oceanu Atlantyckiego, ani bieli ciągnącej się daleko plaży, ani zaparkowanego na tym odludziu samochodu. Bo myślał o czymś innym. George Walmer kupił trzy nowe kasety wideo. Porno. Wkrótce miał z nimi wpaść.

Brazową ziemię kempingu oddzielała od pasa plaży niska wydma - nieregularna łacha wysoka na metr albo dwa, porośnięta gdziegdzie kępmi akacji i sukulentów.

Ferdy szedł na plażę swoją zwykłą trasą przez wydmy. Corgi chciały powąchać rośliny. Szarpnął je. Zawarczały.

Widział zbliżającą się ku niemu postać, ale się nie zdziwił. Dość często spotykało się na plaży ludzi o tej porze, mimo wczesnej godziny. Jedni biegali, inni spacerowali, jeszcze inni gapili się na morze.

Tak naprawdę zauważył ją dopiero wtedy, gdy spod niebieskiej wiatrówki wychynął ku niemu mauzer. Uznał to za żart i już miał się roześmiać, gdy dostrzegł twarz za wycelowanym w siebie pistoletem i jego wnętrzości boleśnie skręcił strach.

- Jestem kaleką - powiedział z oczami dzikimi z przerażenia.

Corgi warknęły.

Napastnik wycelował w jego głowę. Ferdy dostrzegł drżenie palca na spuście, zaciśnięte szczęki, zdecydowane oczy; wiedział, że zginie. Puścił smycze psów i skoczył do przodu, próbując ratować życie.

Grzmot strzału przetoczył się przez plażę niczym odgłos fal. Kula roztrzaskała dolny prawy siekacz, przebiła podniebienie, tuż ponad górnymi zębami, przeszła dolną kość oczodołu i wyszła tuż przed lewym uchem. Ferdy zrobił krok do tyłu i usiadł. Ból rozłupywał mu czaszkę. Po policzku spływała ciepła strużka krwi. W lewym oku miał rozmazany obraz. Ale żył. Spojrzał w górę. Lewym okiem. Coś było zdecydowanie nie tak z jego lewym okiem.

Ale prawym zobaczył, że duża lufa znów celuje w jego twarz.

- Jestem kaleką. - Tym razem nie zobaczył palca zaciskającego się na spuście, usłyszał tylko metaliczne szczeknięcie.

Zaciął się, stwierdził. Nie wystrzeli. Mechanizm odmówił posłuszeństwa. I Ferdy Ferreira pomyślał, że jednak będzie żyć.

Po chwili zamiast mauzera zobaczył inny pistolet. Taki mały? To zabawka, pomyślał sobie.

A potem coś wprawiło go w najwyższe zdumienie. Corgi odsłoniły górne wargi, obnażyły zęby, warcząc na napastnika, Karol rzucił się do przodu. Ferdy usłyszał strzał. Po chwili drugi.

Psy chciały mnie obronić, pomyślał rozczulony. Mały pistolet znalazł się przed jego twarzą, ale Ferdy nie słyszał ostatniego strzału.

JOUBERT JECHAŁ Z PLYWALNI DO PRACY WŁASNYM AUTEM, żółtą cortiną XR 6, pamiątką z czasów, gdy rywalizował jeszcze z Gerbrandem Vosem, i po drodze zamartwiał się faktem, że po tygodniu pływania nadal bez odpoczynku może przepłynąć najwyżej cztery długości basenu.

Pewnie zanadto mi się śpieszy, pomyślał, i zapalił special mild. Dieta też nie od razu przyniesie wyniki. Na siedzeniu obok leżała błękitnobiała plastikowa torebka. A w niej lunch, który przygotował sobie rano: cienko posmarowany masłem chleb z pełnego ziarna, liście sałaty, pomidor i krojony ogórek. Bez soli.

Zatrzymał się przy budynku wydziału morderstw i kradzieży. Wybiegła z niego Mavis. Zanim zdążyła otworzyć usta, wiedział, że coś się stało.

W BIURZE SABC w SEA POINT redaktor usłyszał z relacji radiowego reportera, że morderca z mauzerem upomniał się o trzecią ofiarę.

Redaktor czytał gazety. Dobrze wiedział, w jakim napięciu trzyma ta saga lokalną prasę. Mógł sobie wyobrazić, co dziennikarze napiszą po trzecim morderstwie. Przecież teraz mieli już niezbity dowód, że w Prowincji Przylądkowej grasuje seryjny zabójca. A to był już materiał mogący zainteresować telewizję krajową. Więc redaktor zatelefonował do domu reportera telewizyjnego i do kamerzysty. Opowiedział im o sprawie.

- **J**EŚLI KTOKOLWIEK MIAŁ JAKIŚ POWÓD, żeby zabić Ferdy'ego, to ja - oświadczyła Gail Ferreira.

Siedziała w fotelu w saloniku przyczepy, a Gerbrand Vos naprzeciwko niej na dwuosobowej kanapie. W tym tygodniu miał służbę we wsparciu. Obok niego przycupnął Joubert, obaj byli potężni i ledwo mieścili się na małej kanapie. Ale nigdzie indziej usiąść nie mogli.

Trzymali filiżanki z herbatą.

- Co chce pani przez to powiedzieć, pani Ferreira? - zapytał Vos i uniósł filiżankę do ust.

- Bo Ferdy to jeden wielki kłopot - odparła dobitnie, podkreślając szczególnie ostatnie dwa słowa.

Siedziała wyprostowana, z filiżanką na złączonych kolanach. Joubert uznał, że nie jest ładna. Czarne, krótkie kręcone włosy przytykane siwizną, pod makijażem nadal wyraźne ślady młodzieńczych problemów z cerą. Kąciki ust opadały, co nadawało jej wygląd osoby wiecznie niezadowolonej.

- Dlaczego pani tak mówi? - zapytał Vos.

- Bo nie umiał dbać o pracę. Bo był leniwy. Bo się nad sobą roztkliwiał. Widzi pan, kapitanie, Ferdy cierpiał na polio i lekko utykał na lewą stopę. Ale wszystko z nim było w porządku. Poza głową. Uważał, że świat powinien się o niego troszczyć.

Podniosła do warg filiżankę.

- Czym się zajmował? - zapytał Joubert.

- Jeśli w ogóle pracował, to jako stolarz. Miał zręczne ręce. Ale jego zdaniem wszyscy szefowie byli źli. Zawsze powtarzał, że chce pracować dla siebie. Tyle że w niczym się nie sprawdził. Poszedł raz na kurs nauczyć się, jak założyć własny biznes, ale nic z tego nie wynikło. Potem poszukiwali w gazetach stolarzy do fabryki w Atlantis, więc przeprowadziliśmy się tutaj, ale nie utrzymał się tam długo. Skarżył się, że najlepsze stanowiska dostają czarni stolarze i że to ich najlepiej się traktuje, więc on nie może pracować z takimi szefami. Ostatnio całe dni przesiadywał w domu przed telewizorem i gdy tylko na moment odwróciłam się plecami, razem z tym drugim łachmytą Georgem Walmerem oglądali różowe filmy.

Vos odstawił filiżankę na mały stolik pośrodku pokoju.

- Ale pani go nie zabiła. W takim razie ktoś inny miał powód, żeby...

- Kapitanie, Ferdy był zbyt bezużyteczny, by napytać sobie wrogów - oznajmiła stanowczo Gail Ferreira.

- Czy kiedykolwiek słyszała pani o Jamesie Wallasie, pani Ferreira?

- Nie.

- O Jimmym Wallasie?

- Nie.

- Drew Wilsonie?

- Nie. A powinnam?

- W obu morderstwach użyto tego samego narzędzia zbrodni. Szukamy związku.

- Czy tamci też byli z gatunku kłopotliwych? - zapytała poważnie.

Nie odpowiedzieli - Geny Vos, ponieważ uznał pytanie za retoryczne, a Joubert dlatego, że właśnie się zastanawiał, czy żona Ferdy'ego Ferreiry nie trafiła przypadkiem w sedno. Obydwaj, i James Wallace, i Drew Wilson, byli kłopotliwi. Każdy na swój sposób.

Wtedy Gail Ferreira udowodniła, że nie jest zupełnie wyzuta z uczuć.

- Dom będzie taki pusty - westchnęła i odstawiła filiżankę.

Detektywi spojrzeli na nią nieco zaskoczeni.

- Kto teraz będzie na mnie szczekał, gdy wrócę z pracy?

Rozdział 19

REPORTERZY WIADOMOŚCI TELEWIZYJNYCH ZJAWILI SIĘ ZA PÓŹNO, żeby sfilmować, jak to niezbyt taktownie ujęli, makabryczne pozostałości Ferdy'ego Ferreiry. Za późno też, żeby nagrać ekspertów od balistyki, ludzi z laboratorium, od wideo, fotografa oraz tropicieli z psami.

Na szczęście kamerzyście udało się znaleźć kroplę krwi w miejscu, gdzie leżała głowa Ferdy'ego, po tym jak przeszła ją kula. Sfilmował ją. Trzymając kamerę tuż nad białym piaskiem, przeszedł ścieżką po wydmie, komponując dramatyczną relację o ostatnich krokach Ferdy'ego Ferreiry na tym padole.

Potem razem z reporterem pojechali na kemping Old Ship, gdzie dołączyli do czekających przed przyczepą dziennikarzy prasowych. Niezbyt im to było w smak, bo przywykli do uprzywilejowanego traktowania. Kamerzysta rozstawił trójnog, przykręcił do niego kamerę i skierował obiektyw na drzwi przyczepy.

Pojawili się w nich Joubert, Vos i Gail Ferreira; pożegnała się z detektywami i zniknęła w swoim domku na kółkach. Policjanci ruszyli do swoich wozów. Reporterzy pobiegli za nimi.

Oko kamery podążyło za nimi. Ale mikrofon nie uchwycił słów Vosa: „Ja pieprzę, jeszcze i telewizja. Zostawiam ci tę sprawę, partnerze. Męcz się z tym bałaganem”.

Dopędzili ich reporterzy i poprosili o informacje.

- Dobrze wiecie, że od tego jest public relations - powiedział Joubert.

- Chociaż najważniejsze fakty, kapitanie, prosimy.

- **BRYGADIER CHCE WIEDZIEĆ, CO ROBIMY** - oznajmił pułkownik Bart de Wit, nerwowo potarł znamię i uśmiechnął się niewyraźnie. - Dowiedział się od PR, że zjawiała się też telewizja.

Joubert i Vos siedzieli naprzeciw niego.

- Nowy rząd czy stary, nic się nie zmienia. Nie do wiary, jak firma sra w gacie, gdy tylko zainteresuje się czymś telewizja - mruknął Vos i smętnie pokręcił głową.

Uśmiech de Wita zniknął, a serce Jouberta wezbrało dumą z kolegi.

- Kapitanie, uwaga zupełnie nie na miejscu. Ta sprawa zagraża wizerunkowi policji.

- Z całym szacunkiem, pułkowniku, ale chyba raczej wizerunkowi ministra, komisarza i brygadiera. Bo póki piszą o czymś tylko w gazetach, oni mają to gdzieś. Ale niech tylko zainteresują się czymś goście z telewizji...

- Kapitanie Vos, pański język nie przystoi oficerowi. A my nie jesteśmy od PR. Brygadier chce wiedzieć, co zamierzamy zrobić w tej sprawie.

Joubert zauważył, że de Wit odzyskuje panowanie nad sobą; jego głos ociekał sarkazmem.

- Badamy sprawę, pułkowniku.

- Ale bez efektów, kapitanie. To już trzecie morderstwo, a nawet nie macie tropu. Każda teoria to niewypał. Najpierw kobieciarz. Potem homoseksualista. Tym razem co? Lesbijki?

Zdawał sobie sprawę, że de Wit próbuje upokorzyć go przed Vosem. Chciał coś powiedzieć, zachować twarz, lecz nie mógł znaleźć właściwych słów.

- To niesprawiedliwe, pułkowniku. W seryjnych morderstwach trudno o tropy. - Vos stanął w obronie kolegi.

- Wie pan coś o tych morderstwach, czego my nie wiemy, kapitanie?

- Nie trzeba jasnowidza, żeby wiedzieć, że to seryjne, pułkowniku.

- W zabójstwie w Melkbos użyto innej broni. Nie wygląda mi to na ten sam modus operandi.

- Facet wie, że nie może w stu procentach polegać na mauzerze i amunicji. Raz się zatnie i kłopoty gotowe... - odezwał się w końcu Joubert.

- Przecież to oczywiste jak cholera - wsparł go Gerbrand Vos.

- I dziś rano się zaciął. Znaleźliśmy łuskę od mauzera.
- De Wit nic nie powiedział.
- Jutro dowiemy się, czy to ten sam morderca, pułkownika.
- Tak?
- Chłopcy od balistyki z Pretorii wzięli się ostro do roboty, pułkownika. Bo zdaje się, że pan do nich zadzwonił. Powinienem panu podziękować.
- Na tym polega moja rola, kapitanie, żeby wspierać swoich ludzi.
- Po czym zmienionym głosem dodał: - Ale co powiem brygadierowi?
- Staram się, jak mogę, pułkownika - odparł cicho Joubert.
- Czy jednak wystarczająco, kapitanie? - zapytał de Wit i się uśmiechnął.

- SZUKA NA CIEBIE HAKA, MAT. A ty to tak potulnie przyjmujesz?
 Vos położył rękę na ramieniu Jouberta. Wracali korytarzem do swoich biur.

Joubert nie odpowiedział, bo uznał, że i tak poszło nie najgorzej. Przynajmniej coś od siebie dorzucił, coś powiedział. Zwykle tylko siedział i...

- Nie ma prawa tak się nad tobą pastwić.
- Uhm, Gerry.
- Vos zatrzymał się przed swoimi drzwiami.
- Staw mu czoło, Mat. Chyba nie muszę ci mówić?

Joubert skinął głową.

- Jestem z tobą, partnerze. Cały czas.

Wymamrotał słowa podziękowania i zniknął w swoim gabinecie. Na jego biurku piętrzyły się teczki w kolorze ochry. Usiadł. Na szczycie sterty leżały dwie teczki włożone jedna w drugą - Wallace'a i Wilsona. Przesunął stos na bok i otworzył obie. Każda teczka dzieliła się na trzy części. Część A: dowody, które mogły być użyte w sądzie. Jej zawartość w obu teczkach była przygnębiająco mizerna. Zdjęcia zrobione przez patologa. Raport medycyny sądowej, orzeczenia balistyczne, fotografie z miejsca zbrodni. Część B: notatki z przesłuchań i tym podobne, zapiski z rozmów z Margaret Wallace, Walterem Schuttem, Zeeliem...

CZEŚĆ C: NOTATKI OBEJMUJĄCE PODJĘTE W ŚLEDZTWIE DZIAŁANIA. Po szczególne akcje, kogo dotyczyły, kiedy się odbyły - wszystko zapisane jego grzywołami.

Wziął nową, czystą SAP 3, wyjął notes, rozłożył raport posterunkowego, który pierwszy zjawił się na miejscu zbrodni, i zaczął wypełniać teczkę Ferdy'ego Ferreiry.

Przypomniał sobie pytanie de Wita: „Czy jednak wystarczająco, kapitanie?”

Wystarczająco? Czy komuś innemu udałoby się dopasować elementy tej pieprzonej układanki i otrzymać jasny obraz? Czy ktoś, kogo nie oddziela od świata szary welon, zadałby lepsze pytania? Miałby ostrzejszy wgląd w ludzkie czyny? Umiałby wskazać podejrzanego?

Spojrzał na akta. Praca nie była zła. Co prawda brakowało mu dawnego entuzjazmu, ale sytuacja wyglądała coraz lepiej. Lepiej niż w te ciemne, ponure dni postępowania dyscyplinarnego, gdy detektywi odmawiali z nim współpracy. Lepiej niż...

Musi sobie to przemyśleć. Przyjrzeć się przyczynom.

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Kapitanie, znów stanie się pan sławny - powiedział Cloete z public relations.

- Czemu?

- Telewizja chce zrobić z panem wywiad. A wie pan, że są zbyt ważni, żeby im odmówić.

Rozdział 20

W ODDZIALE BANKU PREMIER PRZY MILNERTON rabuś zjawił się o piętnastej trzydzieści dwie. Szedł sprężystym krokiem. Wyglądał jak Elvis Presley. Czarne włosy zaczesane do tyłu, nad czołem loczek, po bokach twarzy baczki, nad ciemnymi okularami ciężkie brwi. Wystroił się nieco przesadnie: białe spodnie, białe buty, biała koszula i biała marynarka.

Ale fular i broń pod marynarką były czarne.

- Witaj - powiedział do Rosy Wasserman, grubej dziewiętnastoletniej, nerwowej brunetki.

- Dzień dobry - odparła Rosa. - Mogę w czymś pomóc?

Dzisiaj rabuś działał w rytm rock and rolla, granego tylko dla niego w sali koncertowej jego głowy. Przy odrobinie spostrzegawczości można było jednak zaobserwować pewne tego znaki, jak choćby lekkie przytupywanie prawej stopy czy głos naśladujący nieżyjącego króla.

- Jak najbardziej możesz, złotko. Weź jeden z tych dużych bankowych worków i napełnij go randami w pięćdziesiątkach. Pod marynarką mam starą spluwę, a wołałbym jej nie używać.

Odchylił nieznacznie połą. Rosa usłyszała słowo „złotko” i dojrzała czarną lufę pistoletu. Zamarła z rozchylonymi ustami, co zaakcentowało jej podwójny podbródek.

- A stopę trzymaj z dala od alarmu. No rusz się, złotko.

Tętno Rosy dramatycznie wzrosło, oddech stał się przyspieszony.

Nie umknęło to uwagi przestępcy.

- Co to za perfumy? Pachną fantastycznie.

Na Rosę Wasserman ten chwyt nie zadziałał. Zobaczył, że ogarnia ją panika: ręce jej drżały, pierś falowała, oczy rzucały niespokojne spojrzenia, nozdrza rozděły się, a podwójny podbródek się trząsł.

- Chyba jednak powinienem przyjść z mauzerem - powiedział Elvis i tym krótkim zdaniem podpadł na dobre.

Bowiem Rosie zdarzało się rano zerknąć do „Die Burger”, nim do lektury zabierał się jej ojciec. Czytała o mordercy z mauzerem. Tym bardziej przestraszyła się stojącego przed nią mężczyzny. Zakryła dłońmi uszy, jakby wołała nie słyszeć strzału, który miał ją zaraz uśmiercić.

Wrzasnęła tak głośno, jak tylko mogła, i zdecydowanie nacisnęła alarm.

Gdy ucichł długi krzyk, złodziej oprzytomniał.

- Pożałujesz tego, złotko - syknął Elvis i ruszył do drzwi.

Alarm nie dzwonił w samym banku, tylko na skomputeryzowanej tablicy sterowniczej firmy ochroniarskiej. Krzyk Rosy przeraził wszystkich w Premier. Gapili się na nią, nie na faceta w bieli. Rabuś spokojnie wyszedł. Rosa wskazała za nim ręką i znów zaczęła wrzeszczeć. Wzrok personelu i klientów podążył za jej palcem, głowy obróciły się ze zdziwieniem, ale rabuś już zniknął.

Z ODDZIAŁU BANKU PREMIER W MILNERTON Joubert pojechał do sanatorium. Był rozdrażniony. Reporterzy z prasy zadawali niekończące się pytania. Wiedział, że ten napad stanie się głośny. Wystarczyło jedno spojrzenie na tablicę świetlną „Argusa”: „Morderca z mauzerem sieje zniszczenie”.

Na szczęście próby napadu dokonano za późno, żeby informacja o niej jeszcze dziś trafiła do prasy. Telewizja w ogóle o niej nie wiedziała. Ale nazajutrz rozpęta się piekło. Joubert powiedział grupce reporterów, że słowa złodzieja niekoniecznie muszą świadczyć o związku napadu na bank z mordercą z mauzerem. Złodziej mógł to powiedzieć dla efektu. Ale nie to chcieli usłyszeć.

- Nie może pan jednak wykluczyć możliwości takiego związku, kapitanie?

- Nie.

Bazgrali z zacięciem w notatnikach.

Rosa Wasserman z żalostnej kupki strachu przeobraziła się w bohaterkę dnia. To ona wypaplała reporterom, że przestępca wspominał o „mauzerze”.

- I groził mi śmiercią.

Benny Griessel będzie miał używanie. Co za cyrk! Nie omieszka zapewne podzielić się z Joubertem swoją wyrobioną opinią na temat mediów.

Joubert zatrzymał się przed frontonem z czerwonej cegły. Wszedł. W recepcji powiedział, że chce się widzieć z Bennym Griesselem. Dwie pielęgniarki popatrzyły na siebie znacząco.

- To chyba nie najlepszy pomysł, proszę pana - odpowiedziała jedna z nich.

Jej ton rozsierdził Jouberta.

- Czemu nie?

- Nie chciał zażyć leków. - Zauważyła, że stojącemu przed nią mężczyźnie niewiele to mówi. - Nie wydaje mi się, by adiutant Griessel miał teraz ochotę na wizyty.

- A mnie, siostró, nie wydaje się, żeby miała pani prawo decydować za niego - zaatakował ją Joubert.

Pielęgniarka popatrzyła na niego zza grubych szkielek okularów, mierząc go wzrokiem. Potem powiedziała cicho:

- W takim razie proszę za mną.

Poszli w kierunku przeciwnym, niż szło się do pokoju Benny'ego; ona prowadziła, on podążał za nią, zadowolony ze zwycięstwa nad biurokracją.

Minęli cichy korytarz i ruszyli w górę schodami. Dosłyszał hałas na długo przed tym, nim stanęli pod drzwiami. Głos Griessela, ledwie rozpoznawalny. Krzyk bólu. Wycie śmiertelnie przerażonego zwierzęcia. Wołanie o pomoc, o litość.

Joubert zwolnił. Chciał przystanąć. Pielęgniarka odwróciła się, chwyciła go za rękaw marynarki i pociągnęła - znalazła sposób, żeby go ukarać.

- Chodźmy - poleciła.

Nie patrzył na nią. Poczłapał w stronę drzwi, krzyki Griessela niosły się echem w jego głowie.

W sali stało sześć szpitalnych łóżek. Zajęte było tylko jedno, w kącie. Joubert w półmroku dojrzał kontrastujące z białą pościeli czarne włosy Griessela. Jego ciało opasywały grube rzemienie przymocowane do obu krawędzi łóżka. Benny szarpał się pod klamrami, jak w śmiertelnych drgawkach. Wył przy tym monotonicznie, gdzieś z głębi siebie.

Pielęgniarka stanęła obok niego. Nie odzywała się. Popatrzyła tylko na Jouberta.

- Przepraszam - rzekł cicho. - Popeliłem błąd.

Odwrócił się na pięcie i ruszył szybko szarym korytarzem. Jazgot torturowanej duszy Benny'ego Griessela słyszał jeszcze długo po tym, jak wsiadł do samochodu.

MARGARET WALLACE SIEDZIAŁA Z RODZINĄ w pokoju telewizyjnym. Byli z nią jej matka, syn i córka. Spożywali posiłek przed telewizorem, bo cisza i atmosfera przy stole były nie do zniesienia.

„Z dzisiejszych wieczornych wiadomości dowiedzą się państwo...” - powiedział prezenter o poważnej twarzy i przeczytał nagłówki. Margaret nie słuchała, dziennikarz poinformował o nowym kryzysie politycznym, katastrofalnej suszy w Transwalu Północnym, a potem...

„Już trzecia ofiara mordercy z mauzerem w Prowincji Przylądkowej, a policja nadal bez tropu”.

Margaret podniosła wzrok i ujrzała zdjęcie Ferdy'ego Ferreiry, po czym dziennikarz przeszedł do innych wiadomości.

Znała tę twarz?

- Wyłączyć to, Maggie? - spytała jej matka.

Margaret pokręciła głową. Patrzyła na ekran, na którym wyświetlano migawki dotyczące polityki i rolnictwa, ale w myśli przeszukiwała pamięć; dociekała, skąd zna tego człowieka.

„W Prowincji Przylądkowej doszło dzisiejszego poranka do trzeciego zabójstwa z użyciem mauzera, co zdaje się poważnie świadczyć o tym, że mamy do czynienia z kolejnym z seryjnych morderstw. Ofiarą padł pięćdziesięcioletni Ferdy Ferreira z Melkbosstrand. Policja twierdzi, że jedynym związkiem między tym morderstwem a zabójstwem biznesmena Jamesa Wallace'a i projektanta biżuterii Drew Wilsona jest użycie zabytkowej broni. Pierwsze z serii morderstw popełniono dziesięć dni temu, wszyscy ci mężczyźni zginęli od ran wskutek strzału z bliskiej odległości”.

Gdy prezenter czytał wiadomości, na ekranie pojawiły się ujęcia nakręcone przez kamerzystę na wydmie - kamera przesuwiała się nad piaskiem, by w końcu zatrzymać się nad kroplą krwi w piasku.

Margaret odwróciła wzrok, bo to przypomniało jej...

Potem usłyszała znajomy głos i znów spojrzała na ekran.

Wypełniała go twarz kapitana Mata Jouberta. Włosy miał nadal za długie i trochę rozczochrane. Barki pochylone, jakby ugiął się pod

niewidocznym ciężarem. Krawat za wąski. W miarę znośnie wypadał jedynie jego angielski akcent.

„Te morderstwa łączy zapewne jedynie narzędzie zbrodni. Nie mamy podstaw sądzić, że ofiary się znały” - mówił policjant. U dołu ekranu biegł podpis: „Kapt. M.A.T. Joubert wydział morderstw i kradzieży”.

Pojawiła się twarz reportera.

„Ale pan Ferreira i jego dwa psy zginęli od ran postrzałowych z broni mniejszego kalibru?”

„Tak” - odparł Mat Joubert. - „Uważamy, że morderca nosi przy sobie broń małego kalibru jako ubezpieczenie, bo prawdopodobnie najpierw strzelono z mauzera, ale strzał nie okazał się śmiertelny”.

„Kapitanie, uważa pan, że morderca z mauzerem uderzy ponownie?”

„Trudno przewidzieć” - odparł Joubert, zmieszany.

Potem na ekranie pojawiło się zdjęcie Ferdy'ego Ferreiry, a obok niego dwa numery telefonu. Prezenter powiedział:

„Każdy, kto posiada informacje mogące pomóc policji w śledztwie, proszony jest o telefon... „

Margaret wpatrywała się w zdjęcie Ferreiry. Była pewna, że go widziała. Ale gdzie? Kiedy?

Powinna zadzwonić na policję?

Nie, najpierw musi sobie przypomnieć.

PRZED TELEWIZOREM NA TRZYNASTYM PIĘTRZE apartamentowca w Sea Point siedziała trzydziestodwuletnia kobieta. Nazywała się Carina Oberholzer. Po materiale o mordercy z mauzerem reszta wiadomości do niej nie docierała. Kołysała się miarowo w fotelu, jak ludzki metronom. Jej wargi szeptały w kółko jedno słowo:

- Och Panie, Panie, Panie...

Carina Oberholzer przeżywała ponownie urywki z przeszłości. Obrazy, które sobie przypominała, odbiorą jej życie, nim skończy się noc.

CZTERDZIESTOSZEŚCIOLETNI OLIVER NIENABER Oglądał wiadomości w towarzystwie swojej pięknej żony. Jego czterej synowie, najstarszy w klasie maturalnej, najmłodszy w czwartej podstawówki, byli gdzieś w wielkim domu, zajęci własnymi sprawami. Oliver Nienaber spędził ostatnie trzy tygodnie w Pretorii, też pochłonięty pracą. Nie czytał gazet.

Wiadomość o mordercy z mauzerem uderzyła go w pierś jak młot. Ale zachował spokój, żeby nie niepokoić żony.

Zaczął szukać rozwiązania, zastanawiał się nad możliwymi implikacjami, przypominał sobie zdarzenia. Oliver Nienaber był inteligentny. Umiał myśleć szybko nawet wtedy, gdy strach ścisnął go jak zły duch. Dlatego właśnie udało mu się odnieść taki wielki sukces.

Po prognozie pogody wstał.

- Muszę coś jeszcze dokończyć - wyjaśnił.

Żona podniosła na niego wzrok znad ręcznej robótki i się uśmiechnęła. Na widok jej doskonałej urody blondynki zaczął się zastanawiać, czyją straci. Czy wszystko straci. Czy straci życie.

- Nie pracuj do późna, kochanie - powiedziała.

Poszedł do swojego dużego gabinetu. Na ścianach wisiały zdjęcia i dyplomy. Świadectwa jego rozwoju. Triumfu. Otworzył cienką aktówkę z prawdziwej szarej bawolej skóry i wyjął czarny notesik oraz wieczne pióro. Sporządził listę nazwisk: „Mac McDonald, Carina Oberholzer, Jacques Coetzee”.

Potem zostawił kilka wolnych linijek i dopisał: „Hester Clarke”. Położył notes na biurku i sięgnął po leżący obok telefonu spis abonentów Prowincji Przylądkowej. Poszukał litery M. Jego palec sunął szybko w dół kolumny. Zatrzymał się przy MacDonald Fisheries. Podkreślił numer i zapisał na kartce. Potem poszukał litery O, odszukał numer Cariny Oberholzer i też go zapisał. Miał kłopot z numerem Jacques'a Coetzee, bo było wielu takich abonentów, a on nie znał dokładnego adresu. Przy nazwisku Hester Clarke postawił tylko znak zapytania. Potem wyjął z aktówki pęk kluczy, podszedł do rogu gabinetu, otworzył sejf i wydobyl duży pistolet Star kaliber 9 milimetrów. Sprawdził blokadę zabezpieczającą i włożył pistolet, notes oraz pióro do aktówki.

Stanął nieruchomo, z aktówką w ręce, głową pochyloną, zamkniętymi oczami. Wyglądał, jakby się modlił.

JOUBERT UZNAŁ, ŻE NICI Z CZYTANIA. Wieczór był za gorący, a wokół domu wyl smutno południowo-wschodni wiatr. Weranda frontowa wychodziła na północ. Po tamtej stronie wiatr szumiał tylko w koronach drzew. Mat usiadł na wykładanej łupkiem podłodze, oparł się o ścianę i zapalił.

Chciało mu się śmiać z samego siebie.

Naprawdę sądził, że uda mu się pogrzebać Larę?

Tylko dlatego, że przez kilka dni jego myśli zaprzętało dojrzałe ciało osiemnastolatki? Dlatego, że chodził na konsultacje do psychologa?

Nie pierwszy raz słyszał wycie, jakie wydobywało się dziś z Benny'ego Griessela.

Znał te dźwięki. Sam je wydawał. Nie dosłownie, ale w głowie. W tej mglistej przeszłości, gdy jeszcze nienawidził bólu i upokorzenia. Zanim się od nich uzależnił.

Powiedz swojej psycholog, pomyślał. Powiedz jej, że tak jak Griessel od butelki, tak ty uzależniłeś się od mroku twojej duszy. Z jedną różnicą, pani doktor. Można wyrwać Mata Jouberta z ciemności, ale nie ciemność z Mata Jouberta. Stała się częścią jego ciała, obrosła ją jak drzewo, które wchłania w swój pień kawałek kolczastego drutu, by już zawsze kłuł, ranił i powodował krwotok soków.

Znów usłyszał śmiech Lary, jak wtedy gdy puszczał w kółko magnetofonową taśmę, waląc czołem o ścianę, póki krew nie zalała mu oczu.

Ból Griessela, którego świadkiem był tego wieczoru, stał się szczęściem w nieszczęściu. Sprowadził na Jouberta opamiętanie.

Powinien sobie to uświadomić już wczoraj, wtedy, kiedy Hanna Nortier zadała mu ostatnie pytanie. Gdy zdał sobie sprawę, że będzie musiał opowiedzieć o Larze, jak również, że nie zdoła opowiedzieć jej wszystkiego.

Był więźniem Lary Joubert, klucz do jego celi znajdował się w zasięgu ręki, tak zachęcająco blisko. Po prostu opowiedz wszystko dobrej pani doktor. Całą prawdę i tylko prawdę. Opowiedz jej o śmierci Lary, nawet to, co wiesz tylko ty, a uwolnisz się. Podziel się tą godziną z doktor Hanną Nortier, a ona zdejmie z ciebie brzemię, rozedrze ciemną zasłonę.

Było wpół do pierwszej, gdy stanął przy magnetofonie, na dole w piwnicy, i nacisnął przycisk, żeby przewrócić kasetę na drugą stronę. Ze słuchawkami na głowie, rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy nikt go nie widzi, pewny swojego prawa do złamania prawa. Nacisnął przycisk „Play”. Niczego nie podejrzewając. Z poczucia obowiązku.

Nie zdoła jej tego opowiedzieć.

Oparł głowę o ścianę i rzucił niedopałek w ciemność.

Nawet sobie nie umiem tego opowiedzieć, pomyślał. Tyle już razy próbował przyjrzeć się temu na nowo. Poszukać usprawiedliwienia, ukojenia, rozwiązania. Dopuszczać inne interpretacje.

Niestety bezskutecznie.

Kasetę spalił. Ale głosy nadal były nagrane. W jego głowie. Nie mógł nacisnąć przycisku odtwarzania. Nawet dla samego siebie. Za bardzo bolało.

Pochylił się, wsunął rękę do kieszeni spodni, wyjął papierosy, zapalił kolejnego.

Miła doktor Hanno. Naprawdę ci się zdaje, że można zmieścić szczątki człowieka na zmiotkę, posmarować je cudownym klejem i powiedzieć, że oto znów jest w całym kawałku? Pęknięcia już zawsze będą widoczne, wystarczy lekkie szturchnięcie, a on znów rozsypie się na kawałki.

I po co to wszystko, pani doktor?

Powiedz mi, czy nie lepiej włożyć w usta chłodną lufę pistoletu i roztrzaskać ostatnią kopię taśmy, posłać ją w wieczność, razem z pozostałymi tłukącymi się w głowie marami?

CARINA OBERHOLZER SIEDZIAŁA PRZY TOALETCE I PISAŁA.

Pisała, a po jej policzkach spływały łzy i skapywały na niebieski papier listowy.

Carina Oberholzer nie wyjaśniła, dlaczego morderca z mauzerem wysyłał ludzi na tamten świat jednym pociągnięciem cyngla. Nie chciała. Ani nie mogła. Udało jej się tylko napisać: „Zasłużyliśmy na to”. A potem dorzuciła, że nie powinni powstrzymywać mordercy. Ani go karać.

Podpisała się imieniem i nazwiskiem, drżącą ręką, ale dość czytelnie.

Dodała słowa: „Wybacz mi, Mamo”, choć jej ojciec też jeszcze żył, i: Carrie. Potem położyła pióro obok listu i podeszła do okna. Otworzyła je szeroko, uniosła stopę i postawiła na parapecie. Stała w okiennej ramie, balansowała chwilę, po czym skoczyła.

Spadała bezszelestnie, tylko jej spódnica trzepotała cicho, niczym flaga na wietrze.

Później, gdy przez ryk miasta przedarło się wycie syren, wiatr się zmienił. Dmuchał łagodnie przez otwarte okno na trzynastym piętrze, porwał w górę niewidzialną ręką pojedynczą kartkę niebieskiego papieru i poniosł ją w ciemny, wąski zakamarek między toaletką a ścianą.

JOUBERT SIEDZIAŁ NA SWOJEJ WERANDZIE, patrzył w górę na migoczące na podmiejskim niebie blade gwiazdy i nie wiedział, co począć z tym nowym spojrzeniem na siebie.

Ale wiedział, że coś się zmieniło.

Tydzień albo dwa temu, miesiąc czy rok, wydawało mu się wielce sensowne włożyć sobie do ust lufę pistoletu. Nie dlatego, żeby bardzo tego pragnął, ale było to jedyne logiczne wyjście, sposób, by osiągnąć cel. Gdy teraz wyobraził sobie tę chwilę prawdy, kiedy ręka musiałaby podnieść pistolet, wargi się otworzyć, a palec nacisnąć spust, dotarło do niego, że chce jeszcze trochę pożyć.

Przez chwilę rozważał możliwe powody tej zmiany: czyżby to triumf erekcji? Czy może kryje się za tym Hanna Nortier?

Ale potem jego myśl zblądziła.

Będę kaleką, pomyślał. Jak ten biedak Ferreira. Będę musiał nieść w sobie Larę Joubert - skoro nie mogę wszystkiego powiedzieć Hannie Nortier. Przez resztę życia będę musiał ciągnąć za sobą ładunek bólu.

Dam radę?

Może.

Wstał z zimnej podłogi werandy, wyprostował ramiona, poczuł plecy i barki, czując odprężenie w ćwiczonych na pływalni mięśniach.

Może.

Odwrócił się, wszedł do domu, zamknął za sobą drzwi na klucz i poszedł do sypialni dla gości po coś do czytania. Znalazł tam dość okazałą bezładną stertę książek.

Muszę sobie sprawić biblioteczkę, pomyślał; stał przez chwilę w drzwiach, rozważając ten pomysł. Zapragnął doprowadzić księgozbiór do porządku, poustawiać książki według autorów, każdą na przydzielonym jej starannie miejscu.

Opadł na kolana obok sterty i wziął książkę leżącą na wierzchu.

Rozdział 21

DOKTOR HANNA NORTIER LEŻAŁA NA KANAPIE. Usiadł obok niej na krześle. Delikatnie, rytmicznie głaskał jej włosy nieokreślonego koloru. Przepelniony miłością i współczuciem. Mówił do niej, obnażył przed nią swoje serce. Po policzkach płynęły mu łzy. Jego dłoń dotknęła jej piersi, małej i miękkiej jak ptak, palcami delikatnie masował sutek pod materiałem. Popatrzył na nią. Zobaczył, że jest bardzo blada. Uświadomił sobie, że nie żyje. Ale skąd w takim razie biorą się te przeraźliwe dźwięki? Budzik. Otworzył oczy. Zielone cyferki wskazywały szóstą trzydzieści.

Zerwał się i pojechał na basen. Przepłynął dziarsko siedem długości, zanim poczuł się zmęczony. Gdy trochę odpoczął, przepłynął kolejne dwie, wolniej.

ZATRZYMAŁ SIĘ PO PACZKĘ SPECIAL MILD; kupił też gazetę, skuszony nagłówkami na pierwszych stronach. Największy głosił: „Kasjerki drżą ze strachu przed mordercą z mauzerem”. A pod spodem mniejszymi literami: „Czy złodziej złotko to seryjny morderca?”

Czytał gazetę, siedząc w samochodzie przed kafejką. W głównym artykule wałkowano wzmiankę złodzieja o mauzerze, ale były też inne, mniejsze notki o przestępstwie. W jednej z nich reporter, zestawiając daty, próbował znaleźć związek między morderstwami a napadami na bank. W innej cytowano słowa doktora Ala Boshoppa, „słynnego kryminologa i wykładowcy Kryminologii na Uniwersytecie w Stellenbosch”, o psychice seryjnego mordercy.

Joubert przeczytał artykuł i złożył gazetę. Minę miał nietęgą. Jeszcze nigdy nie pracował nad sprawą, która przyciągałaby taką uwagę. W 1989 roku porwano dziecko wiceministra. Sprawę rozwiązano w parę godzin, ale prasa pisała o niej dwa dni. Podobnie w przypadku mordercy z siekierą w Mitchells Plain w 1986. Gazety rozpisywały się o niej tygodniami. Co prawda głównie na środkowych stronach, bo ofiarami nie byli biali.

Włączył silnik i pojechał do Bellville, do dużego sklepu żelaznego przy ulicy Durban.

Czemu uznał rozważania reportera na temat dat i podobieństw obu przestępstw za nie do przyjęcia? Czyżby to tylko podbudowane doświadczeniem przeczucie?

Nie. Chodziło o różnice, które reporter zignorował. Mężczyzna, który napadał na bank, był ekshibicjonistą. Grał pod publiczność, z tymi teatralnymi przebraniami, pretensjonalnymi dialogami, złotkiem i pytaniem o perfumy. Ot, tchórz, co to chowa broń pod ubraniem i liczy, że zastraszy kobiety.

Morderca z mauzerem był chłodny i wyrachowany.

To nie mógł być ten sam człowiek.

Czy na pewno?

Był zły na siebie z powodu własnego niezdecydowania. „Walka z przestępstwem to jak gra w golfa, Matty”, powiedział mu kiedyś Blac-kie Swart. „Już wydaje ci się, że piłka prawie siedzi w dołku, a tu guzik”.

Poprzedniego dnia wieczorem sporządził odręczny projekt biblioteczki. Wyjaśnił krótko sprzedawcy, o co mu chodzi. Sprzedawca był z rodzaju gorliwych. Pokazał Joubertowi wszystkie posiadane na składzie biblioteczki z gatunku „Zrób to sam”. Niektóre z nich były tak pomyślane, że nabywca mógł je złożyć w pięć minut bez wywiercenia choćby jednej dziurki, przepiłowania deski czy wbicia gwoźdźcia.

Joubertowi marzyło się trochę popracować. Zdążył się zapalić do tego pomysłu. Chciał poczuć zapach trocin i pobawić się elektryczną wiertarką, która już prawie trzy lata obrastała w garażu kurzem. Chciał się męczyć, mierzyć, dopasowywać i stawiać ołówkiem znaki na ścianie i drewnie.

Z pomocą sprzedawcy zdecydował się na bardziej prymitywny patent: długie metalowe pasy, które trzeba pionowo przykręcić do ściany.

Na pasach mocowało się metalowe podpórki, a na podpórkach drewniane półki. Joubert będzie musiał je sam wymierzyć i przyciąć.

Kupił wiertła, wkręty i plastikowe kołki, w które wkręcało się wkręty, papier ścierny, lakier, pędzle, nowy centymetr. No i wtyczkę z trzema bolcami, bo nie pamiętał, czy wiertarka ma wtyczkę.

Zapłacił czekiem i dokonał w myśli szybkich rachunków, żeby zorientować się, ile zaoszczędził, nie decydując się na którąś z luksusowych składanek. Dwóch Murzynów pomogło mu zanieść zakupy do samochodu. Dał im za to po pięć randów. Niektóre deski i metalowe pasy były za długie. Nie mieściły się w samochodzie, więc wystawały przez okno. Pojechał na targ w Bellville, uzupełnił zapasy owoców i warzyw i chrupiąc jabłko, wracał do domu.

Gdy do niego przyjechał, Emily robiła już pranie. Przywitał się z nią i zapytał o jej dzieci w Transkei i męża w Soweto. Oznajmił też, że gościnna sypialnia zamieni się niebawem w bardzo schludny pokój. Pokręciła z niedowierzaniem głową.

Do zadania podszedł z wielkim entuzjazmem. Otworzył garaż i wybrał narzędzia. Wszystko, poza paroma śrubokrętami i kosiarką do trawy, pokrywała gruba warstwa kurzu.

Sporo narzędzi należało jeszcze do jego ojca, który posługiwał się nimi sprawnie i szybko, ale ze zniecierpliwieniem. „Nie, niech cię w szkole nauczą, jak ich używać. Jeszcze się skaleczysz i twoja matka będzie na mnie zła”.

Wrócił do sypialni, żeby jeszcze raz wymierzyć wszystko nową miarką. Zrobił na papierze kolejny szkic. Przyniósł sobie z kuchni następne jabłko i poszedł po wiertarkę oraz metalowe pasy. Wiertarka nie miała wtyczki. Zadowolony z siebie przykręcił nową. Wymierzył miejsca na dziury na wkręty. Potem przyszło mu do głowy, że przydałaby się poziomnica.

Nie, nie będzie specjalnie po nią drugi raz jechał. Dokładnie wytyczy linie, posługując się narożnikiem jako punktem odniesienia. Zatoił się w pracy.

Gdy już przewiercił wszystkie dziury, wyciągnął ze stolika nocnego Lary przenośne radio. Zawsze trzymała w szufladzie zapasowe baterie. Poszukał ich. I znalazł. Pasowały, więc włączył radio. Kręcił gałką po stacjach muzycznych, dopóki nie znalazł RSG, stacji nadającej w języku afrykanerskim. Jakichś dwóch facetów prowadziło właśnie ożywioną

dyskusję o krykicie. Zaniósł radio do garażu, bo musiał teraz przepiłować deski.

Potem puścili burską muzykę. Przywołała wspomnienia. Ojciec zupełnie nie interesował się krykietem. Za to spędzał przed telewizorem sobotnie popołudnia, oglądając relacje z meczów rugby. Kłął na komentatorów, graczy i sędziego, gdy drużynie Zachodniej Prowincji zdarzało się przegrywać. Po meczu, nim ukazywały się migawki z innych stadionów, zawsze puszczała boeremusiek albo występ burskiej kapeli. Ta chwila była dla ojca sygnałem, żeby ruszyć do baru Royal na wieczorną szklaneczkę. A młody Joubert musiał wtedy rozpalić ogień, bo w sobotnie wieczory urządzali grill. Zdarzało się, że akacyjne polana dokładał do ognia niemal do samej nocy, bo pieczenie mięsa ojciec zarezerwował dla siebie. „To męska robota”.

Z początku nawet lubił chodzić po ojca do baru. Ujmowały go ciepło tego miejsca, koleżeństwo, dobroduszna przyjaźń i szacunek okazywany jego ojcu.

Zaczął piłować. Po czole płynęła mu strużka potu. Otarł ją grzbieniem dłoni, rozmazując na twarzy brudną smugę.

Poprzez jazgot piły dosłyszał słowa komentatora: „Zeelie z przeciwległej strony. Już jest przy bramce. Loxton defensywnie podaje do rzucającego...”

Zeelie, wielka nadzieja białych w roli podejrzanego. Nie zapytał Gail Ferreiry, czy jej mąż znał Zeeliego. Ale był prawie pewny odpowiedzi.

Trzy niewytłumaczalne morderstwa. Żadnego związku między nimi. Dobry mąż i ojciec, homoseksualista i kaleka. Kobieciarz, zagorzały homoseksualista i pasjonat porno. Żonaty, wolny, żonaty. Biznesmen, złotnik, bezrobotny.

Tak. Żadnego związku.

Tylko jeden - nagi fakt braku związku.

Morderca, który bez żadnego schematu czy rytmu, późnym popołudniem, wczesnym rankiem albo w środku nocy pociągał za spust i kładł kres czyjemuś życiu. Jak wybierał ofiary? Entliczek, pętliczek... Może zauważał kogoś na ulicy i jechał za nim do domu, bo nie spodobały mu się twarz czy ubranie?

Takie rzeczy już się zdarzały. Tutaj i zagranicą. Media wtedy szalały, bo ludzie chcieli o tym czytać. Takie historie budziły prymitywne strach: śmierć bez przyczyny, najokrutniejsza z możliwych. A policja

okazywała się bezsilna, bo nie mogła się doszukać schematu. To one albo zrozumiałe motywy służyły jako paliwo do walki z przestępczością. Jak seks. Albo chciwość. Gdy brakowało dającego się wykryć schematu albo jego liczba oktanowa była za niska, wielka maszyna zatrzymywała się z sapnięciem. Z pustym bakiem. Niełatwo ponownie wprawiało ją się w ruch.

A jeśli prowadził ją kapitan Mat Joubert...

Potrzebował jednego najdrobniejszego tropu, który nie rozwiąłby się przy bliższej analizie jak mgła w słońcu. Tylko jednego. Malutkiego.

Podniósł deskę i poszedł do sypialni ją przymierzyć. Zdążył jeszcze usłyszeć, że Zeelie nie pozwolił Loxtonowi zdobyć punktu.

Rozdział 22

REDAKTOR WEEKENDOWEGO „ARGUS” kartkował sobotnie wydanie gazety. Szukał wątków, jakie można by poruszyć w edycji niedzielnej - wiadomości, z których dałoby się jeszcze wycisnąć ostatnią kroplę krwi i wyznaczyć do tego celu reporterów.

Zaczął przeglądać gazetę od końca, na stronie szóstej mignął mu nieduży nagłówek „Sea Point. Śmierć kobiety wskutek upadku z okna”.

Nie przeczytał notatki, bo znał zawartość. W końcu jednak postanowił sprawdzić nowego reportera.

„Trzydziestodwuletnia sekretarka z Sea Point, pani Carina Oberholzer, odniosła śmiertelne obrażenia wskutek upadku z okna swojego mieszkania na trzynastym piętrze przy ulicy Yates.

Pani Oberholzer, pracownica Petrogas z Rondebosch, była podczas wypadku sama w domu.

Według rzecznika policji, nie podejrzewa się przestępstwa. »Sądzi-
my, że to był tragiczny wypadek«,,

Redaktor wrócił do strony drugiej, na której zamieszczono kilka artykułów na temat mordercy z mauzerem i duże na pół kolumny zdjęcie kapitana Mata Jouberta.

Właśnie ono, jak powiedział jakiś czas później reporterce kryminalnej „Argusa”, spowodowało, że zaświtał mu pewien pomysł. Podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu, wybrał numer wewnętrzny i czekał, aż ktoś odbierze.

- Cześć, Brenda. Podrzucić mi tu, proszę, szybko teczkę M.A.T. Joberta, kapitana z wydziału morderstw i kradzieży. - Podziękował jej i

się rozłączył. Osiem minut później brązowa teczka znalazła się na jego biurku. Odsunął zawadzające mu teleksy, otworzył teczkę i prędko przejrzał zawartość, jakby wiedział, czego szuka. Po czym westchnął z ulgą, wyjął połówki wycinek i go przeczytał.

Wstał i z tekstem w ręce podszedł do biurka reporterki kryminalnej w dziale wiadomości ogólnych.

- Wiedziałaś, że żona tego faceta zginęła na służbie? - zapytał i dał jej wycinek.

- Nie - odparła Genevieve Cromwell; mimo wspaniałego nazwiska kobieta niepociągająca i nieatrakcyjna. Poprawiła okulary.

- To materiał na dobrą historię. Z czysto ludzkiego punktu widzenia. Dwa lata później, nadal w służbie sprawiedliwości, nadal niepogodzony z tragedią i tym podobne bzdety.

Twarz Genevieve pojaśniała.

- Skąd wiesz? - zapytała. - Może ma nową dziewczynę.

- Nie gap się na mnie jak cielę - burknął redaktor. - Przygotujmy na tyle wyczerpujący materiał, żeby nic nie zostało dla innych. Porozmawiaj z nim, z jego szefem, przyjaciółmi, sąsiadami. Pogrzeb w aktach, może czegoś się dokopiesz.

- To miły facet.

- Nie znam go.

- Miły. Taki trochę nieśmiały.

- Przestań stroić te pieprzone słodkie minki, kochana, i rusz tyłek.

- I przystojny, taki duży milusi niedźwiadek.

- Jezu - westchnął rozdrażniony, pokręcił głową i wrócił do swojego gabinetu. Genevieve nie słyszała złorzeczeń szefa. Tępo wpatrywała się w sufit.

DRUGI BŁĄD POPEŁNIŁ PRZY PRZYKRĘCANIU WKRĘTEM metalowego pasa do ściany.

Została jeszcze do wkręcenia jedna czwarta długości, ale wkręt ani drgnął. Joubert postanowił użyć młotka. Nie była to dobra decyzja, bo wywiercona wcześniej dziura po prostu była za płytka.

Gdy stuknął we wkręt młotkiem, ten złamał się, podobnie jak plastikowa osłonka i wszystko odpadło od ściany wraz z wielkim kawałem tynku.

Joubert, choć daleko mu było do mistrzostwa Gerbranda Vosa, zaklął tak, że napełniłby serce kolegi radością. Dosłyszała to prasująca w kuchni Emily. Zaśmiała się, zasłaniając usta dłonią.

CLOETE z PUBLIC RELATIONS zadzwonił w sobotnie popołudnie, kwadrans po piątej.

Bart de Wit grał w szachy z Bartem Juniorem. Ale nie bardzo się zmartwił, że Cloete zabiera mu czas, bo właśnie przegrywał.

- Przepraszam, że kłopotczę pana w domu, pułkowniku, ale właśnie zadzwonili do mnie z „Argusa”. Chcą napisać duży artykuł o kapitanie Joubencie. Bo to on prowadzi dochodzenie w sprawie morderstw z mauzerem i napadów na bank. Chodzi o rozmowę z panem, z ludźmi kapitana, z nim samym, o jego poprzednie dochodzenia, tutti frutti.

Czyżby gazeta czegoś się dowiedziała? Całkiem możliwe, pomyślał de Wit. Reporterzy kopią w poszukiwaniu informacji w różnych możliwych i niemożliwych miejscach. I zaczęli coś podejrzewać.

- Nie - odparł de Wit.
- Pułkowniku?
- Nie. W żadnym wypadku. Po moim trupie.

Pod Cloete ugięły się nogi. Czekał, aż pułkownik dorzuci może jakieś wyjaśnienie. Ale Bart de Wit się nie odzywał. W końcu Cloete powiedział, że poinformuje „Argusa”, i się pożegnał. Że też w ogóle przyjął to stanowisko. Nie da się jednocześnie zadowolić policji i prasy. Westchnął i zadzwonił do reportera.

JOUBERT PRZYKRĘCIŁ DO ŚCIANY WSZYSTKIE CZTERY WKRĘTY.

Cofnął się i przyjrzał swojemu dziełu. W miejscu, skąd odpadł tynk, ziała szpetna dziura. Zobaczył, że nie wszystkie pasy są idealnie poziome. Jego niewspomagane poziomnicą oko okazało się niezbyt dokładne.

Nie najlepszy z ciebie majster, westchnął z rezygnacją. Ale gdy na półkach postawi się książki, to prawie zasłonią pasy. Ale teraz musiał zapalić. I napić się piwa... Nie, nie piwa. Może lepiej zjeść gruszkę?

- Co się z tobą dzieje? - zapytał głośno.
- Panie Mat? - zawołała z kuchni Emily.

BART DE WIT JUNIOR WYGRAŁ BEZ TRUDU, bo ojciec był myślami gdzie indziej.

Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Podstawowe pytanie: czy prasa wie o kuracji u psychologa i krechach w aktach, a jeśli tak, to skąd?

Jeżeli jednak założyć, że nie może o tym wiedzieć, to jakie są szanse, że się dowie?

Paskudne hieny, pomyślał. Będą tak długo podgryzać i obgryzać, aż kość trzaśnie i dobiorą się do soczystego szpiku, który potem będą wysysać z głośnym mlaskaniem.

Wiedzą czy nie wiedzą, zamierzał odebrać kapitanowi Matowi Jobertowi oba śledztwa. W poniedziałek z samego rana.

Niezbyt przyjemne zadanie, ale taka już rola szefa. Czasami trzeba kogoś poświęcić, żeby machina prawa toczyła się bez przeszkód.

Chyba da te śledztwa Gerbrandowi Vosowi.

Poczuł ulgę, jakby spadł mu z barków ciężar. Skupił się na szachownicy.

- Szach mat - powiedział Bart Junior i potarł palcem nos, choć nie było na nim znamienia.

PODWIÓŻŁ PANIĄ NOFOMEŁĘ DO PĘTLI AUTOBUSOWEJ przy Bellville i wracał do domu. Był zmęczony fizycznie, brudny, spocony i głodny. Im dłużej myślał o jedzeniu, tym bardziej robił się głodny.

Uznał, że powinien zjeść coś dobrego. Ale żadnych śmieci. Pójdzie do porządnej knajpki. Na befsztyk, gruby, brązowy i soczysty, który będzie się rozplwiał w ustach...

Nie, powinien pozostać przy rybie. Dla diety. Miętus. Duży, gruby plaster miętusa w cytrynowym maślanym sosie. Nie, może lepiej sola, przyrządzona tak, jak w Lobster Point - z grilla, z serem i sosem grzybowym.

Ślinka mu ciekła. Żołądek wydawał pomruki podobne do grzmotów odległej burzy. Kiedy ostatnio był tak głodny? Tak naprawdę głodny, kiedy w głowie czuje się lekkie zamroczenie i całym sobą oczekuje na smak jedzenia, a potem miłe uczucie przesyty? Nie mógł sobie przypomnieć.

Wykąpał się, ubrał i pojechał do restauracji. Ledwie usiadł, od razu wiedział, że to nie był najlepszy pomysł.

Nawet nie chodziło o oczy wpatrujące się w dużego, samotnie siedzącego faceta. Tylko o tę nagłą świadomość samotności na widok par przy stolikach, par rozmawiających cicho i intymnie.

Pożarł swoją solę, bo chciał jak najprędzej stamtąd wyjść. Potem pojechał do domu. Stojąc pod drzwiami, usłyszał telefon. Wszedł szybko, ciężkim krokiem, i podniósł słuchawkę.

- Halo, kapitan Joubert?

Rozpoznał głos.

- Witam, doktor Nortier.

- Pamięta pan, jak mówiłam o grupach społecznych?

- Tak.

- Jutro rano wybieramy się na próbę *Cyrulika sewilskiego*. O jedenastej w sali prób orkiestry w Nico. Będzie pan bardzo mile widziany.

Jej głos śpiewał i tańczył na dzielącej ich elektronicznej pięciolinii. Oczami duszy zobaczył jej twarz.

- Ja... hm...

- Nie musi się pan decydować teraz. Ale proszę się nad tym zastanowić.

- Właśnie montuję biblioteczkę.

Wydawała się zaskoczona i pod wrażeniem.

- Nie wiedziałam, że stolarka to pańskie hobby.

- Właściwie... yyy...

- Może pana jednak jutro zobaczymy.

- Może - pożegnał się.

Popatrzył na zegarek. Było wpół do ósmej. Co oznaczało, że przynajmniej w ten sobotni wieczór ona też nie oddawała się przyjemnościom towarzyskiego życia.

Poczuł się lepiej.

Rozdział 23

OLIVER NIENABER CZYTAŁ NIEDZIELNE WYDANIE „ARGUSA”.

Leżał w łóżku, obok żony. Ona czytała dołączony do gazety magazyn. To była część ich niedzielnego porannego rytuału. Tyle tylko, że od przedwczoraj Oliver Nienaber czytywał gazety znacznie uważniej niż zwykle. Dlatego dostrzegł niedużą wzmiankę o Carinie Oberholzer.

Chciał natychmiast wstać. Ruszyć się, pojechać gdzieś daleko, daleko od tego, co się tutaj działo. Nie mogło mu się to przytrafić w gorszym czasie, był tak blisko realizacji swoich ideałów, spełnienia marzeń.

Wszystko układało się tak dobrze, jemu, w rodzinie, w interesach.

A teraz ten mauzer i Carina Oberholzer.

„Sądzymy, że to był tragiczny wypadek”, zacytowano w gazecie opinię policji. Nie zgadzał się z nią. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to jednak nie był wypadek. Co się mogło stać, nie miał pojęcia. Bo trudno mu sobie było wyobrazić, żeby...

Znów poczuł ucisk w piersi, jakby gniotła ją ręka olbrzyma.

Musi porozmawiać z MacDonaldem. I z Coetzeem.

Wtedy uderzyła go pewna myśl. Może to MacDonald albo Coetsee stoi za tym „wypadkiem”. Z Maca był kawał chłopca, bez trudu wyrzuciłby taką Carine przez okno jedną ręką. Ale po co miałyby...

Coetsee? A co z Coetzeem? Nie. To nie miało sensu.

Żadnego sensu. Wskoczył z łóżka.

- Co robisz, kochanie? - zapytała żona, przyciskając palce do nieśkazitelnie gładkiej, kremowej skóry czoła.

- Przypomniało mi się, że muszę zadzwonić.

- Ciągłe pracujesz - powiedziała bardziej z podziwem niż z wyrzutem i wróciła do lektury magazynu.

Poszedł do gabinetu i wykręcił numer MacDonald Fisheries. Nikt nie odbierał. Jest niedziela, idioto, zwymyślał siebie. Pojedzie do Hout Bay jutro. Musi omówić tę sprawę.

Coraz bardziej go niepokoiła. Irytowała. Mogła wszystko popsuć.

MARGARET WALLACE NIE CZYTYWAŁA W NIEDZIELE GAZET. Zwłaszcza teraz, po śmierci męża.

Ale mignęła jej pierwsza strona kupionego przez matkę „Sunday Timesa”. Były na niej artykuł o mordercy z mauzerem i niewielkie zdjęcie Ferdy'ego Ferreiry.

Zabrała filizankę z kawą i poszła usiąść na słońcu, w bujanym fotelu w ogrodzie. Słońce i ciepło zdawało się koić jej ból.

Gdzie ona widziała już tę twarz?

Zastanów się dobrze, pomyślała. Uporządkuj fakty. Zaczynij od pracy Jimmy'ego. Zastanów się, bo może ta informacja pomoże złapać drania, który go zabił. I może przyniesie odrobinę ulgi w rozpacz, jeśli dowie się, czemu ktoś postanowił zrobić to jemu, jej, im wszystkim.

SKOŃCZYŁ PIŁOWAĆ DESKI. Położył je na metalowych podpórkach, umieścił półki w takiej odległości, żeby pasowały pod jego książki.

Myśli miał też zajęte, może nawet bardziej niż ręce.

Cyrulik sewilski?

To tytuł opery? Pewnie tak. Jakaś szara komórka w jego mózgu próbowała się przebić przez pokłady ciemności ze stosowną informacją. Ależ ludzie są głupi, zaśmiał się z siebie. Przecież mógł zapytać, co to takiego, ten *Cyrulik*. „Doktor Hanno, niech pani zechce wyjaśnić głupiemu policjantowi, co to takiego *Cyrulik sewilski*, bardzo proszę”. I pewnie zrobiłaby to z przyjemnością, a on nie musiałby teraz łamać sobie głowy. Ludzie są dziwni. Nie lubią dać się przyłapać. Lepiej kłamać, byle za wszelką cenę nie dać się przyłapać.

Jeśli to opera, to nie pójdzie.

Kojarzyła mu się z niedzielnymi popołudniami. Z godzinami tortur w czasach licealnych, gdy w domu musiało być cicho jak makiem zasiał, a on mógł w swoim pokoju co najwyżej cichutko słuchać radia, żeby nie przeszkadzać rodzicom, zatopionym w zawodzenia i wrzaski jakiejś grubej baby, drącej się, jakby ją zarzynano.

Jedną deskę przyciął za krótko.

U licha, jak to się stało? Wszystko wymierzył bardzo dokładnie. Nieważne, jedna jest za krótka. A więc dzisiaj i tak nie skończy biblioteczki.

Jeśli tam pójdzie, zobaczy Hannę Nortier.

Będzie się mógł upajać jej dziwnym urokiem.

Ale nie będzie sama. Tylko z innymi wariatami. Nie chciał iść z nią do opery w towarzystwie stada ogłupiałych baranów. „Patrzcie, to doktor Nortier ze swoimi pacjentami. Dzień dobry pani. Spójrzcie na tę bandę pomyleńców. Biedaczka, musi być wykończona”.

Nagle pomyślał o Griesselu. Musi... odwiedziny to nie najlepsze słowo. Musi się z nim zobaczyć.

W takim razie równie dobrze...

Postanowił iść na tę cholerną próbę operową, a potem spotkać się z Bennym. Jeśli okaże się to możliwe.

HANNA NORTIER STAŁA ZE ZMARSZCZONYMI BRWIAMI W holu sali prób.

Zobaczył, że jest swobodnie ubrana, i poczuł skurcz w żołądku. On włożył szare spodnie i czarną marynarkę z emblematem uczelnianej drużyny pływackiej na kieszeni. I białą koszulę z rdzawoczerwonym krawatem. Pani doktor zdawała się mała, krucha i bezbronna w długiej granatowej spódnicy, białej bluzce i białych sandałach. Uśmiechnęła się na jego widok, co nadało jej twarzy dziwny wyraz, bo uśmiechając się, nadal marszczyła brwi.

- Nikt więcej nie przyszedł - oświadczyła i, omijając go wzrokiem, popatrzyła na drzwi.

- Och - westchnął. Takiej możliwości nie rozważył. Przystanął przy niej speszony. Marynarka cisnęła go lekko w ramionach. Złożył ręce na piersi. Hanna Nortier stała przygnębiona obok niego. Przez jakiś czas wpatrywała się jeszcze w wejście, po czym spojrzała na zegarek trochę teatralnie, czego nie zauważył.

- Zaraz zaczynają. - Ale nie ruszyła się z miejsca.

Joubert nie wiedział, co powiedzieć. Popatrzył na innych ludzi, którzy znikali w drzwiach na końcu korytarza. Wszyscy byli zwyczajnie ubrani. Nie dostrzegł nikogo w krawacie. Zdawało mu się, że wszyscy na niego patrzą. Na niego i na Hannę Nortier. Piękna i bestia.

Podjęła decyzję.

- Chodźmy usiąść.

Ruszyła pierwsza korytarzem i zniknęła w drzwiach. Sala, duża, prawie tak duża jak olimpijski basen, na którym męczył się co rano, zbudowana była jak amfiteatr, ze sceną na dole i wznoszącymi się rzędami krzeseł po obu stronach przejścia. Prawie wszystkie miejsca były już zajęte. Poniżej, na środku sceny, stały fortepian, parę krzeseł i kilka pulpitów z nierdzewnej stali.

Szedł za nią, gapiąc się w swoje czarne buty. Nie wypolerował ich. Najchętniej by je schował. Czuł się tak, jakby oczy publiczności wpały na niego, jego buty i krawat.

W końcu usiadła. A on obok niej. Rozejrzał się po sali. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Ludzie rozmawiali, odprężeni i swobodni.

Powinien jej powiedzieć, że nic a nic nie zna się na operze? Zanim sama zechce o niej porozmawiać, a on wyjdzie na durnia. Pewnie powinien.

- Cóż - powiedziała i uśmiechnęła się do niego. Już nie marszczyła brwi. Chciałby umieć pozbywać się frustracji równie łatwo, szybko i całkowicie. - Akurat pana wcale się nie spodziewałam, kapitanie Joubert.

Powiedz jej.

- Ja.

W drzwiach ukazała się grupa ludzi. Publiczność przywitała ją gorącymi oklaskami. Przybyli usiedli na krzesłach pod ścianą za fortepianem. Na scenie pozostał tylko jeden mężczyzna. Gdy brawa ucichły, uśmiechnął się i zaczął mówić.

Polubiliby się chyba z Drew Wilsonem, pomyślał Joubert.

Mężczyzna opowiadał o Rossinim. Nie miał donośnego głosu, ale Joubert słyszał go wyraźnie. Rzucił szybkie spojrzenie na Hannę. Słuchała zafascynowana.

Joubert westchnął głęboko. Nie jest tak źle, stwierdził. Mężczyzna na scenie opowiadał z ogromnym entuzjazmem. Joubert zaczął go słuchać.

- Swoją ostatnią operę, *Wilhelma Tella*, Rossini napisał w wieku trzydziestu siedmiu lat.

Ha, pomyślał Joubert. Wielki Drapieжник ciałami sławnych też nie gardzi.

- Przez pozostałych czterdzieści lat nie napisał już ani jednej, chyba że ktoś uzna za operę *Stabat Mater*. Nie chciało mu się? Zmęczył się?

Czy po prostu ulotniła się wena twórcza? - zapytał mężczyzna i zawiesił głos. - Tego się nigdy nie dowiemy.

A więc to nie Drapieжник, pomyślał Joubert, ale Rossini i tak był mu bratem. Tyle że sam wypalił się nawet szybciej niż kompozytor. Miał zaledwie trzydzieści cztery lata, a już się zmęczył i wyschła jego wena twórcza. Czyżby umysł stojący za tak wielką kompozycją, jak *Państwo przeciw Thomasowi Maasen* czy poruszającym dziełem pod tytułem *Śledztwo w Sprawie Gwałciciela z Oranjezicht*, już nigdy nie miał rozwikłać żadnego przestępstwa?

Tego się nigdy nie dowiemy.

A może jednak?

Mężczyzna opowiadał o *Cyruliku sewilskim*. Joubert wrył sobie w pamięć pełny tytuł opery. Nie chciał go zapomnieć. Wolał uniknąć zrobienia z siebie durnia, gdy Hanna Nortier zechce o niej porozmawiać.

- To dość dziwne, ale Włosi tak naprawdę wygwizdali światową prapremierę *Cyrulika sewilskiego* - powiedział mężczyzna. - Dla Rossiniego musiało to być wielkie upokorzenie.

Joubert uśmiechnął się w duchu. Dobrze to rozumiem, przyjacielu. Nieobce mi poniżenia.

Mężczyzna opowiadał o libretcie. Joubert nie wiedział, co to takie-go. Chłonał każde słowo, licząc, że któreś go naprowadzi. W końcu uznał, że to chyba fabuła.

- W tegorocznych przedstawieniach w roli Figara mamy zaszczyt gościć słynnego włoskiego tenora, Andra Valentiego - oświadczył mężczyzna i się odwrócił. Za nim wstał jakiś człowiek. Publiczność zaczęła bić brawo i Valenti się uklonił. - Andro zaśpiewa dla nas dobrze państwu znaną pierwszą arię *Largo al factotum*.

Z oklasków, którymi powitano te słowa, Joubert wywnioskował, że wszyscy ją znają i lubią.

Spojrzał na Włocha. Nie był wysoki, ale szeroki w ramionach i klatce piersiowej. Stanął rozluźniony, z rękoma przy bokach, na rozstawionych stopach. Przy fortepianie usiadła młoda kobieta. Skinęli sobie głową. Przy pierwszych dźwiękach instrumentu Włoch uśmiechnął się. Zacerpnął głęboko powietrza.

Jouberta zaskoczyła moc głosu Valentiego. Zupełnie jakby ktoś nagle włączył radio na cały regulator. Głos wypełnił salę. Śpiewał po włosku i często powtarzał imię Figaro. Muzyka była lekka i rytmiczna,

melodia zadziwiająco miła dla ucha. A Valenti śpiewał z zapamiętaniem.

Joubert był zafascynowany entuzjazmem tego mężczyzny, wiarą w siebie, głosem, który sprawia!, że drżała drewniana podłoga pod stopami, swobodą, z jaką śpiewał. Ale za jego śpiewem kryło się coś jeszcze, coś, co sprawiło, że Joubert poczuł się winny, jakby o coś oskarżony. Próbował pochwyć to uczucie, co przeszkadzało mu unosić się swobodnie na falach muzyki.

Śpiew sprawiał Włochowi przyjemność. To był jego zawód, robił to dobrze i całym sobą z tego się cieszył.

W przeciwieństwie do kapitana Mata Jouberta.

Nagle nabrał podejrzeń. To po to Hanna Nortier go tu zaprosiła? Czyżby była to jakaś tajemna, wyrafinowana metoda terapii?

Głos mężczyzny i słodka wylewność melodii ponownie go pochłonęły. Poczuł, że wypełnia go dziwna tęsknota. Skupił się na muzyce, pozwalając, by tęsknota potężniała w jego podświadomości, nieokreślona i nienazwana.

Tuż przed końcem arii przyłapał się na tym, że też zapragnął śpiewać, stanąć obok Włocha i grzmieć tak jak on, poczuć taką samą euforię, żeby w nim też życie płonęło jak głownia. Pragnął wykonywać swoją pracę z równym zaangażowaniem i jak najlepiej. Tęsknił za entuzjazmem, pasją, za tymi rzadkimi intensywnymi chwilami, gdy człowiek czuje, że życie śmieje się wraz z nim. Mat tęsknił za życiem. Był zmęczony śmiercią, miał jej dosyć. Nosił w sobie gorące pragnienie życia. Publiczność zaczęła bić brawo. Mat Joubert też. Najgłośniej.

POSZLI DO RESTAURACJI NA KAWĘ.

- Podobało się panu? - zapytała.
- Nie znam się na operze.
- Nie trzeba się znać, żeby mogła się podobać.
- Ja... hm... - Ciężła mu świadomość, że ona jest psychologiem, że roztrząsa słowa. Spuścił głowę, zapadł się w sobie. - Było piękne, na początku. Ale później...

- Czuł się pan jak dziecko, które spałaszowało za dużo tortu?

Nie zrozumiał jej. Wyjaśniła. Pierwszy kawałek jest słodki i pyszny. Po następnym jednak czuje się przesyty.

- Tak - powiedział, zdziwiony, że tak dobrze odczytała jego myśl.

- Moim zdaniem to przeciążenie zmysłów. Proszę się cieszyć, że to nie był Wagner.

- Skądś znam to nazwisko. Jest notowany?

Sam siebie zaskoczył tą próbą żartu, za pomocą którego usiłował rozprawić się z własną ignorancją i jej nieprzeciętną wiedzą.

Uśmiechnęła się. W tym uśmiechku, zaledwie lekkim skrzywieniu jej ładnych małych ust, mignęła mu jej osobowość. Oczy nadal miała pochmurne. Wyczuwało się w niej wycofanie, jakby świadoma była każdego uczucia i reakcji innych na siebie. Zastanawiał się, czy taką cenę płaciła za wiedzę. Każdą myśl konfrontowała z akapitem podręcznika.

- Pożyczę panu kasetę z tą operą. Gdy się pan osłucha z muzyką i ją pozna, łatwiej będzie znieść więcej.

- Nie mam odtwarzacza.

Lara za policyjną pensję kupiła w promocji w sklepie Lewisa zestaw stereo, który stanął w salonie. Nie był markowy, ale wystarczał, by mogła sobie posłuchać płyt Abby czy później BZN. Czasem nastawiała tak głośno, że pękały bębniaki, i tańczyła w ciemnym pokoju, a on siedział w fotelu i patrzył na nią, wiedząc, że kiedy skończy...

Czasami bał się trochę, że sąsiedzi przyjdą poskarżyć się na hałas, ale nie mógł się doczekać chwili, gdy wchłonięta w tańcu energię muzyki rozładuje na nim. Później, po jej śmierci, wspominał te chwile, kiedy przepelniona rytmem unosiła się nad nim w ich podwójnym łóżku. Czy mężczyzna w jej głowie i między udami był tą samą osobą? Czy może tylko środkiem realizacji fantazji? Czarne włosy z kasztanowymi połyskami wiły się wokół jej twarzy, oczy miała zamknięte, piersi błyszczące od potu, biodra falujące jak morze, bez spoczynku, dopóki głęboki krzyk nie oznajmił orgazmu, rytmiczne, szybkie, coraz szybsze falowanie, tak, tak, tak, jęczała, szczytując, nieświadoma, że on już osiągnął kulminację i przygląda się jej z żarłoczną miłością i wdzięcznością za szczęście, które go spotkało, zapisując w pamięci każdy milimetr jej niewiarygodnie gibkiego ciała.

Hanna Nortier powiedziała coś, czego nie dosłyszał; zaczerwienił się, zdając sobie sprawę, że rozchylił usta, przeżywając to żywe wspomnienie.

Zauważyła, że jej nie słuchał.

- Nagram panu na kasetę. Ma pan magnetofon?

- Tak - powiedział.

- I telewizor. - To nie było pytanie.

- Nie. - Nie zamierzał dodawać, że telewizor oddał pomocy domowej, bo spędzał przed nim całe noce, jak zombie, na ekranie leciał jeden amerykański serial za drugim, puszkowany śmiech ranił jego obnażone nerwy, a każda głupia historia z każdego głupiego programu, ze swoim głupim morałem była kolejną wersją jego głupiego życia.

- Więc nie widział się pan w telewizji w piątkowy wieczór?

- Nie.

Nie chciał, by to spotkanie zmieniło się w sesję terapeutyczną. Siedział w restauracji z ładną kobietą. Jaka odmiana w porównaniu z wczorajszym wieczorem. Nie chciał też psuć wrażenia, które stwarzali. Przed innymi ludźmi, innymi parami.

- Media walcują tę sprawę do oporu - powiedziała i zrozumiał, że ona też pragnie uniknąć atmosfery ich zawodowych spotkań.

- Uhm. Jakby zupełnie nie miały już czym się zajmować.

- A widział pan wczorajszy „Die Burger”?

Chyba bardzo się rozczarowała, bo nie miał ani magnetofonu, ani telewizora.

- Wczorajszy, tak.

- I myśli pan, że to ta sama osoba? Morderca i złodziej?

Westchnął głęboko; najchętniej, powodowany niepewnością, zamknąłby jej przed nosem drzwi, zbył jakąś krótką odpowiedzią, bojąc się, że nie poradzi sobie z argumentacją, że zrobi z siebie durnia w oczach tej drobnej, ładnej kobiety.

- Wątpię - odparł i zaczął mówić, wolno i ostrożnie.

Opowiedział jej po kolei o morderstwach, podejrzanych, tropach i ślepych uliczkach. Udało mu się zapomnieć o sobie, gdy wyjaśniał jej schematy przestępczych zachowań i dzielił się swoimi wcześniejszymi doświadczeniami. Jego monolog był jednocześnie mową obronną, dowodem, że nadal zasługuje na wykonywanie swojego zawodu. Że nadal ma po co żyć.

Zadawała pytania, subtelnie rzucała mu wyzwania, gestykulując smukłymi palcami, wystawiała na próbę słuszność jego wywodów. Nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy, od delikatnych kości policzkowych pod bladą skórą, od oczu, brwi, jakby stworzonych, by chmurnie się marszczyć, doskonale zarysowanej linii żuchwy.

Czytała pani, co napisali? O tej kobiecie z banku? O jej odwadze? Zrobili z niej bohaterkę. A to nieprawda. Myślę, że się bała, i złodziej

się wystraszył. Morderca z mauzerem by się nie wystraszył. Tylko strzelił. To nie jest ten sam człowiek. Aby strzelić do kogoś z bliska z dużego kalibru, trzeba... to wymaga umiejętności zdystansowania się. Zdarzają się złodzieje-mordercy. Ale nie w tym przypadku. To kłown. Te przebieranki, to nonsensowne „złotko”. Po prostu w to nie wierzę.

- Porozmawia pan z kryminologiem?

Zbyt zaangażował się w swój wywód, żeby uchwycić jej myśl.

- Tym, którego zacytowali? Który powiedział, że działania seryjnego mordercy to bunt przeciw społeczeństwu? Doktorem Boshoppem?

Wzruszył ramionami. Nie przyszło mu to do głowy.

- Nie uważa pan, że to pomogłoby panu poznać psychikę mordercy?

Jak miał jej powiedzieć, że wiedza, którą musiał zdobyć, by zdać egzaminy na stopień sierżanta, porucznika i kapitana, w ogóle nie uwzględniała zagadnień z psychologii. Jedyne, czego się nauczył, to jak prowadzić przesłuchania, jak szukać właściwej liczby w pajęczynie tysiąca i jednego paragrafu, jak je dodawać, żeby wynik miał sens. Zęby bilans się zgodził, żeby mógł wystąpić o nakaz aresztowania, pojechać do przestępcy i z miną kata załomotać w drzwi.

- Nie wiem. To pani działka.

- Na pewno by nie zaszkodziło. Mają wszystkie dane i wyniki śledztwa. Uczą tego studentów. Może dobrze byłoby zrobić z tej wiedzy użytek.

- Pewnie tak - zgodził się.

DYŻUR PEŁNIŁA TA SAMA PIELEŃNIARKA.

- Przyszedłem zapytać, jak czuje się sierżant Griessel - powiedział uprzejmie i ostrożnie.

Jej oczy za okularami były ogromne.

- Wczoraj wieczorem poprosił o leki.

Chyba mu wybaczyła.

- Mogę się z nim zobaczyć?

- Śpi. Nie będzie zdawał sobie sprawy, że pan przyszedł.

Uwierzył jej na słowo. Podziękował, odwrócił się, po czym zapytał jeszcze:

- Dlaczego wcześniej nie chciał ich wziąć?

- Powiedział, że na nie nie zasługuje.

Stał tam i patrzył na nią, a w jego głowie wolno przesuwały się biegi.

- Jest pan krewnym?

- Nie - odparł. - Tylko... przyjacielem.

- Tak się czasem zdarza. Że tak długo z nią walczą. Z butelką. Zda-
je im się, że następnym razem będą lepiej pamiętać, jak ciężko było ją
odstawić.

Podziękował i wyszedł.

W domu czekały książki, które trzeba ustawić na półkach. I buty.
Chciał, żeby błyszcząły. Przed wieczorem.

Rozdział 24

TEGO RANKA NIE PŁYWAŁ SAM. Klub biznesowy stawiał się w pełnym składzie, może dlatego, że ludzie wrócili z wakacji.

Pływał bez humoru.

Pieprzona dieta. Położył się spać głodny. To rozmowa z Hanną Nor-tier tak zaostrzyła jego apetyt czy może wysiłek fizyczny przy montażu biblioteczki? Ale nie zje nic tuczącego, choćby mu ślinka ciekła na myśl o kielbaskach, frytkach, sadzonym jajku i kanapce z bekonem. Schudnie i pokaże de Witowi i pani psycholog...

Palił więc bez opamiętania. Jakby żołądek mógł się pożywić poprzez kanaliki płuc. Jedzenie albo papierosy. Wczoraj wieczorem palił jednego po drugim, gdy rozważał interesującą relację między Detektywem a Panią Psycholog i zastanawiał się, czy się nie zakochał, aż zaschło mu w ustach, a na języku czuł obrzydliwy smak. Nagle zrobił się z ciebie demon seksu, Macie Joubert? Ledwie umknęło ci z celownika namiętne dziewczę, już rozglądasz się za następną ofiarą? Don Juan Joubert. Gdzie się podziały twoje żaloba i ból? Naprawdę ci się wydaje, że umkniesz Larze Joubert?

Szydził z siebie, obserwował się z pozycji widza, patrzył, jak mija jego życie, wyśmiewał posiadacza wideo i sterty kaset. Puśćmy którąś, Macie Joubert. O, zobacz, to twoja nieżyjąca żona Lara. Stoi przy toaletce i ze złością szcnotkuje włosy. Spójrz, jak z każdym pociągnięciem ręki mięśnie ładnie grają pod jej opaloną skórą. Popatrz na podskakujące nagie piersi, które obserwujesz w lustrze, małe zirytowane podrygi, wprawiające brodawki w taniec. Posłuchaj, co mówi. „Jezu, Mat, kolejny weekend w domu”.

A tu jesteś ty, leżysz na łóżku, z książką na piersi. „Muzyka, jaką tam puszczają, jest dla mnie nie do wytrzymania”, mówisz niepewnie, świadomy żalostnej linii obrony. Spójrz, jak odwraca się do ciebie, jak promienieje życiem. Energią. Tak się powinno żyć. Czuć, doświadczać i wyrażać siebie każdą cząstką. „To pójdę sama. Bóg mi świadkiem, Mat, że w końcu pójdę sama”.

Były też inne obrazy. Sprzed śmierci, po śmierci. Czy szalonym scenarzystą pojawiających się w jego głowie obrazów był ten sam demon, który pisał libretta jego snów?

Pływał z coraz bardziej ponurym zacięciem, chcąc pozbyć się papierosów i strachu przed własnym umysłem, którego nie rozumiał.

Przepełnił rekordowy dystans. I poczuł się trochę lepiej.

NA BIURKU ZOBACZYŁ RAPORT Z MEDYCYNY SADOWEJ. Otworzył i przeczytał: „Mauzer broomhandle, stara amunicja”.

Zadzwoił telefon. De Wit chciał się z nim widzieć. Wstał, wziął ze sobą raport. Przed gabinetem de Wita czekał Gerbrand Vos.

- Chcę tylko zamienić słówko z kapitanem Joubertem - powiedział de Wit do Vosa. Przytrzymał przed Joubertem drzwi, wszedł i usiadł.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć, kapitanie, nic do pana nie mam. Ale ta sprawa z mauzerem wymyka się spod kontroli. O jedenastej będzie u mnie brygadier, życzy sobie otrzymać wyczerpujący raport. I media. Uganiają się za morderstwami. A moim obowiązkiem jest pana chronić.

- Pułkowniku?

- Obawiam się, że ktoś może się wygadać, kapitanie. Ludzie są tylko ludźmi, nawet w policji. Zamierzam panu odebrać śledztwo, zanim się dowiedzą.

- O czym, pułkowniku?

- O pańskich konsultacjach u psychologa, kapitanie. Służba nie może sobie na to pozwolić. Wyobraża pan sobie reakcję prasy?

De Wit powiedział to takim tonem, jakby konsultacje Jouberta były wykroczeniem, za które ponosi osobistą odpowiedzialność.

- Nie rozumiem, pułkowniku.

Na twarz de Wita powrócił nerwowy uśmiech.

- Czego pan nie rozumie, kapitanie?

- Skąd dziennikarze mieliby się dowiedzieć? Przecież tylko pan, ja i psycholog o tym wiemy?

Uśmiech zniknął na moment, potem znów się pojawił.

- Za psychologa płaci policja, kapitanie. Urzędnicy wypisują papierki, papierki krążą... Proszę zrozumieć, to tylko środek zapobiegawczy. Nic osobistego.

Joubert był kompletnie zaskoczony. Snuły mu się po głowie luźne kontrargumenty, które próbował sklecić w odpowiedź. De Wit wstał.

- Poproszę kapitana Vosa.

Otworzył drzwi, zawołał Vosa i usiadł ponownie. Gerbrand zajął miejsce obok Jouberta.

- Kapitan Joubert i ja właśnie zgodziliśmy się, że powinien pan przejąć śledztwo w sprawie mauzera - zaczął de Wit.

Ogarnięte paniką myśli Jouberta waliły o ściany jego czaszki, szukając wyjścia. Musiał temu zapobiec. To kwestia przetrwania. Jego ostatnia szansa. Ale nie znalazł kontrargumentu. Znalazł spokój.

- Nie, pułkowniku - zaprzeczył.

Vos i de Wit popatrzyli na niego.

- Nie zgodziliśmy się, pułkowniku - powiedział spokojnie i wyważenie.

De Wit otworzył usta i zamknął.

- Pułkowniku, podany przez pana powód odsunięcia mnie od śledztwa jest niedopuszczalny. - Odwrócił się do Vosa. - Chodzę do psychologa, Geny. Wstydzę się tego, ale może dobrze mi to zrobi. Pułkownik obawia się, że prasa może się o tym dowiedzieć. Dlatego chce mnie ukryć. Ale dalej będę zajmował się śledztwem, pułkowniku, dopóki nie zostaną z tego obowiązku zwolniony formalnie i na właściwej drodze.

- Kapitanie... - zaczął de Wit zmieszany. Nie umiał znaleźć słów.

Vos uśmiechnął się szeroko.

- Ta sprawa z mauzerem z każdego by zrobiła pieprzonego czubka, pułkowniku. Ja jej nie chcę.

- Pan... - De Wit spojrział z niedowierzaniem na Vosa, po czym przeniósł wzrok na Jouberta i z powrotem na Vosa.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Nie teraz! - krzyknął piskliwie de Wit i popatrzył na siedzących przed nim oficerów.

Pukanie do drzwi stało się głośniejsze.

- Nie teraz! - wrzasnął histerycznie de Wit. Pokręcił głową, jakby omotała go pajęczyna. Palec, którym zwykł pocierać znamię, wycelował

w Jouberta i Vosa. - Spiskujecie przeciwko mnie. - Palec drżał. Głos podobnie.

Pukanie do drzwi stało się natarczywe. De Wit podskoczył. Wstając, wyrzucił krzesło. Podszedł do drzwi i otworzył je z rozmachem. Na progu stał Gerrit Snyman.

- Jesteś głuchy? - zapiszczał sopranem de Wit.

- Pułkowniku...

- Powiedziałem: nie teraz. - De Wit zaczął zamykać drzwi.

- Mamy kolejne morderstwo, pułkowniku - zdążył powiedzieć Snyman, nim drzwi się zatrzasnęły. Przez szparę wszyscy trzej wpatrywali się w Snymana.

- Szukają przez radio kapitana Jouberta. Facet w Hout Bay, pułkowniku. Dwa strzały. Dwie łuski kaliber 7,63.

Zawiesili na nim spojrzenie, jakby czekali na słowa, że to tylko żart. De Wit jakoś się opanował.

- Dziękuję, posterunkowy - powiedział już swoim zwykłym skrzekliwym tenorem. Snyman skinął głową i odszedł. De Wit zamknął drzwi. Wrócił do biurka, podniósł krzesło, postawił je i usiadł.

Joubert ważył każde swoje słowo, w pełni świadomy faktu, że śledztwo dotyczące mauzera jest jego ostatnią deską ratunku i że musi de Witowi pozwolić wyjść z tego starcia z twarzą.

- Pułkowniku, nie ma żadnego spisku. Ani kapitan Vos, ani ja nie wiedzieliśmy, o czym chce pan z nami rozmawiać. Proszę pana, by jeszcze raz rozważył pan tę decyzję.

Zdał sobie sprawę, że to nie wystarczy. Nie takiemu człowiekowi jak de Wit. Wiedział, że przyszedł czas się ratować, chwycić się choćby brzytwy.

- Pułkowniku, miał pan rację, mówiąc, że moje osiągnięcia z ostatnich lat nie są imponujące. Może miał pan też rację w kwestii mojego niewłaściwego nastawienia. I w sprawie z mauzerem; mogłem się bardziej przyłożyć. Ale damę panu słowo, poświęcę się temu śledztwu. Ale proszę mi go nie zabierać.

Słyszał swój niemal żebrzący głos. Ale było mu wszystko jedno. De Wit patrzył na niego. Jego dłonie leżały na biurku. Prawą podniósł wolno w stronę twarzy. Joubert i Vos wiedzieli, po co.

- Nie powstrzymam prasy, jeśli się dowie - oświadczył, gdy palec sięgnął znamienia. Joubert był wdzięczny, że przynajmniej darował sobie uśmiech.

- Wiem, pułkowniku.
- A jeśli się dowie, komisarz pana zdejmie. Jest pan tego świadomy?

- Tak, pułkowniku.

De Wit wycelował w niego palec.

- Musi pan wiedzieć jedno. To pańska ostatnia szansa.

- Tak, pułkowniku.

Cieszył się, że de Wit skorzystał z okazji do zawarcia pokoju. I odzyskania autorytetu.

- Będzie pan obserwowany jak żaden inny policjant. I nie mówię o mediach, mówię o sobie.

- Tak, pułkowniku.

- Jedno potknięcie, kapitanie...

Zadzwonił telefon. De Wit nie spuszczał oczu z Jouberta. Podniósł słuchawkę. Uśmiech nagle wrócił.

- Dzień dobry, brygadierze. - Machnął ręką, odprawiając Vosa i Jouberta. Wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Ruszyli korytarzem.

- Dzięki, Geny.

- A nie ma za co.

Szli w milczeniu, ich szybkie kroki dudniły na gołej podłodze. Przed swoimi drzwiami Vos się zatrzymał.

- Mat, mogę cię o coś zapytać?

Joubert skinął głową.

- Skąd nagle, do cholery, masz takie wypolerowane buty?

NAJPIERW KAZAŁ ODGRODZIĆ CAŁY OBSZAR - ogród, niewielki drewniany domek, chodnik i kawałek ulicy.

Zdumiał się urodą okolicy. Wrzynająca się w stok Karbonkelberg ulica, przy której nierównym rzędem stały drewniane domy, wyglądała jak z widokówki reklamującej piękno Prowincji Przylądkowej. To nie było miejsce na umieranie.

Policjantów z lokalnego posterunku postawił przy ogrodowej furtce, zaznaczając, że dostęp do miejsca zbrodni mają tylko patolog i specjaliści medycyny sądowej.

Zanim tu przyjechali, na parkingu pod budynkiem wydziału Jouberta i Gerrita Snymana zatrzymał grubego sierżanta Tony O'Grady.

- Mogę iść z wami, kapitanie? To takie fascynujące. Kapitan Vos mi pozwolił.

Teraz w trójkę przyglądali się zwłokom. Nie mogli się bardzo zbliżyć, bo otaczała je kałuża krwi. Ale stali dostatecznie blisko, żeby zobaczyć, że Alexander MacDonald był potężnym mężczyzną o rzadkich rudych włosach, rudej brodzie i olbrzymich dłoniach i stopach. W ostatnich chwilach swojego życia miał na sobie tylko krótkie spodnie. Nawet po śmierci szerokość jego klatki piersiowej i grubość ramion budziły podziw.

Mogli też zauważyć, że zabójstwo Alexandra MacDonalda różniło się od poprzednich drobnym szczegółem.

Jeden strzał oddano w szyję, krew trysnęła na ścianę oraz nieliczne meble i w końcu spłynęła na podłogę.

Drugi otrzymał między uda, właściwie w genitalia.

Usta grubego sierżanta Tony'ego O'Grady'ego były wypełnione podstawowym składnikiem jego diety, któremu zawdzięczał przezwisko Nugat. Przesmyknął ostrożnie między plamami krwi i powiedział:

- To coś nowego, kapitanie. Całkiem nowego.

Joubert się nie odezwał. Przyglądał się pokojowi i ułożeniu ciała.

- Ten strzał między jaja nie wygląda mi na przypadek. - O'Grady ugryzł kolejny kęs batonika. - Ciekawe, czy najpierw zarobił tam? Musiało go boleć jak cholera, nie, kapitanie?

- Wygląda na to, że zastrzelono go przy drzwiach. Pierwszy strzał padł raczej w szyję. Popatrz na tę krew na ścianie. Tak tryska krew z tętnicy szyjnej. Potem upadł. I zarobił drugą kulę.

- Prosto w ptaszka, biedny sukinsyn.

Przez drzwi małej frontowej werandy zajrzał ostrożnie mundurowy. Joubert podszedł do drzwi.

- Przyjechało mnóstwo ludzi z wydziału morderstw i kradzieży, szukają pana, kapitanie - zameldował policjant i wskazał na ulicę.

Oczy Jouberta podążyły za jego palcem. Na ulicy ni z tego, ni z owego pojawiło się osiem nieoznakowanych policyjnych wozów. Detektywi tłoczyli się przed furtką niczym pozująca do wspólnego zdjęcia drużyna rugby. Wyszedł do nich.

W imieniu grupy przemówił jedyny wśród nich oficer wydziału morderstw i kradzieży, porucznik Leon Petersen.

- Pułkownik nas przysłał, kapitanie. Do pomocy. Powiedział, że do brygadiera zadzwonił komisarz regionalny, a brygadier zatelefonował do niego. Nagle się wszyscy obudzili... - Wskazał ręką dom. - Powiedział, że kapitan potrzebuje więcej ludzi i żeby brygadier podesał

funkcjonariuszy z innych posterunków, zwłaszcza do prac pomocniczych. No więc jesteście.

- Dziękuję, Leon.

Wiedział, że zawdzięcza to środkom masowego przekazu. Wszyscy doznawali rosnącej presji - od niewiele znaczącego kapitana po generałów. Chodziło o reputację. Zapach krwi powoli doprowadzał media do szaleństwa.

Wyjaśnił grupie detektywów, że do przybycia ludzi z laboratorium chce utrzymać teren i dom czysty. Wysłał ich dwójkami na ulicę. Może sąsiedzi coś widzieli. Może wiedzieli coś o zmarłym.

Pierwsza nadjechała policyjna jednostka wideo. Poprosił, by zaczęli. Zaczęli narzekać. Skinął na mundurowego sierżanta.

- Gdzie jest ta kobieta, która znalazła ciało?

- Z tyłu policyjnej furgonetki, kapitanie.

- W furgonetce?

- Tak na wszelki wypadek, kapitanie - odparł sierżant, świadomy dezaprobaty Jouberta.

- Przyrowadź ją tu.

To była Murzynka, duża i gruba. Zaciśnęła usta, wściekła, że ją tak potraktowano. Joubert przytrzymał przed nią ogrodową furtkę.

- Przepraszam za niedogodności - powiedział po afrykanersku.

- Mówię tylko po angielsku.

Powtórzył.

Wzruszyła ramionami.

Okrążył dom i podszedł z nią do kuchennych drzwi. Na werandzie stała stara kanapa i dwa stare kuchenne krzesła ze stali i plastiku.

- Proszę usiąść - rzekł i zawołał Snymana i O'Grady'ego. Gdy przyszli, zapytał ją o nazwisko.

- Nie zrobiłam tego.

Zapewnił, że wiedzą o tym. Ale nazwiska potrzebują do formularza dla świadka.

- Miriam Ngobeni - odparła.

Adres?

Mieszka bez meldunku, tu w Karbonkelberg.

Co dokładnie zdarzyło się dziś rano?

Przyszła do pracy jak zwykle około wpół do ósmej. Ale drzwi były otwarte, a jej pracodawca leżał w kałuży krwi. Przestraszyła się i pobięła do sąsiada.

Widziała kogoś? Kogoś, kto podejrzenie wyglądał?

Nie. Może już sobie iść?

Jeśli odpowie jeszcze na kilka pytań, bardzo ją proszą.

Według tutejszej policji mężczyzna nazywał się MacDonald. Zna jego imię?

Mac.

Wie, gdzie przechowuje w domu osobiste dokumenty, jak choćby dowód?

Nie. Raczej nie w domu. Pewnie na łodzi.

Łodzi?

Na którymś z dwóch trawlerów rybackich stojących w porcie. Trawlerów MacDonalda. Nigdy ich nie widziała, ale codziennie męczyła się, próbując sprać smród ryb z ubrania MacDonalda, ręcznie, bo pralki nie miał. Nawet na jeden dzień nie można było zostawić ubrań w koszu na brudną bieliznę. Ten smród...

MacDonald mieszkał sam?

Chyba tak. Czasami w poniedziałkowe ranki natykała się na ślady po bibkach. Puste butelki i niedopałki, porozlewany alkohol i dziury powypalane w stołach, krzesłach, podłogach i wytartych dywanach. No i łóżko w sypialni... Ale poza tym, nic jej nie wiadomo o kobiecie na stałe. Rzadko go widywała. Na ogół jedynie w soboty, gdy przychodziła po wypłatę. A wtedy czekała pod drzwiami.

Jaki to był człowiek?

Biały.

To znaczy?

Trudny, wciąż jej groził i narzekał, że za dużo jej płaci i że ona podkrada mu alkohol i drobne z kieszeni.

Więc go nie lubiła?

Nie o to chodzi. Był jak większość białych.

Dziękujemy za wyczerpujące odpowiedzi. Czy życzy sobie, żeby później ktoś ją podwiózł do domu?

Nie, bardzo dziękuje.

Joubert wyjaśnił jej, jak odbędzie się przeszukiwanie domu. Zapytał, czy zechce zaczekać, aż skończą. Powiedział, że powinna przejść przez dom i zobaczyć, czy czegoś nie brakuje.

Znów ma siedzieć w furgonetce?

Nie. Może poczekać na werandzie, jeśli woli.

Skinęła głową na zgodę.

Wrócili do głównej bramy. Przyjechały media. Horda. Na pierwszy rzut oka z dziesiątka reporterów i fotografów. Błyskały kamery.

- Macie podejrzanego?! - krzyknął ktoś. Za chwilę brzmiał już chór pytań. Popędzili do bramy. Zatrzymali ich mundurowi.

- Przyjechali specjaliści z medycyny sądowej, kapitanie, są w domu - zameldował posterunkowy przy bramie.

- Dziękuję. Powiedz szefowi, żeby trzymał prasę na zewnątrz.

Wysłał O'Grady'ego i Snymana do portu, żeby rozejrzeli się na łodziach i pogadali z załogą. Potem wszedł do domu i polecił ludziom z sądówki przeszukać cały dom i teren wokół. Jęknęli. Poprosił, żeby się pośpieszyli, bo póki nie skończą, nikt inny nie ma tu wstępu. Znów jęknęli.

Stał przy oknie i wyglądał na dwór. Miejsca zbrodni, pomyślał. Zawsze wyglądają podobnie. Czy to w mieście, czy to na przedmieściu. Wokół grupa ciekawskich, żadnych szczegółów gapiów, gestykuluje i rozmawiają ze sobą po cichu, jakby się obawiali, że obudzą zmarłego. Błyskające niebieskimi kogutami żółte wozy policji. Ambulanse migaające czerwono i białą. Czasami, jeśli sprawa budzi emocje, prasa - ruchliwa, hałaśliwa hałastra, przypominająca maklerów giełdowych. No i krewni, milczący i trzymający się blisko siebie ludzie, szukając wzajemnej pociechy w tej chwili bolesnej prawdy.

Zobaczył, że przez tłum przeciska się patolog profesor Page. Dotarł do furtki, okazał policjantowi identyfikator, po czym przeszedł przez zaniedbany trawnik do domu.

Na widok zmarłego gwizdnął przez zęby, po czym zauważył Jouberta.

- Co za koszmar - powiedział. Dostrzegł ranę w kroczu Alexandra MacDonalda. - O, widzę, że doszedł nowy element.

- Tak... - Joubert westchnął. - Całkiem nowy.

Przyjechali policyjni fotografowie i jednostka z psami. Będą musieli zaczekać. Nie spodoba im się to, ale trudno.

Zapalił papierosa i wyszedł na dwór. Nagle odezwało się radyjko, które nosił u pasa. De Wit pilnie chciał się z nim widzieć. Pomyślał, że chyba wie dlaczego.

Rozdział 25

KOMISARZEM REGIONALNYM BYŁ GENERAL MAJOR, niski, krępy brunet z zaczesanymi do tyłu, błyszczącymi od olejku włosami i czarnym wąsikiem w stylu Charliego Chaplina. Detektywom szefował brygadier, wysoki, potężny facet z łysiną. Razem wyglądali jak południowoafrykańskie wydanie Flipa i Flapa. Zjedna różnicą: Bart de Wit nie widział w ich obecności niczego zabawnego. Uśmiechał się wprawdzie, jak zwykle, ale Joubert bez cienia wątpliwości uznał, że jest to uśmiech nerwowy.

Siedzieli w biurze generała, pokoju dużym i przyjemnym: ściany wyłożone boazerią z ciemnego drewna, w jednym rogu duże biurko, w drugim okrągły stół konferencyjny, a wokół niego dziesięć krzeseł. Usiedli przy stole. Joubert był tu już kiedyś, ponad trzy lata temu, po tym jak uhonorowano go nagrodą. W pokoju nic się nie zmieniło, zauważył. Ale wiele innych rzeczy - owszem.

Generał chciał wiedzieć, czy ostatnie morderstwo wskazało na jakieś nowe ślady. Joubert poinformował go o szczegółach, w tym o strzale w krocze.

- To coś nowego - stwierdził generał.
- Rzeczywiście. - De Wit się uśmiechnął.
- Tymczasowe centrum dochodzenia zorganizowaliśmy na posterunku w Hout Bay, generale. Na razie ludzie są zajęci rutynową robotą, przesłuchują sąsiadów i załogę łodzi. Szukamy też krewnych i przyjaciół.

- A poza tym?

De Wit utkwiał w Joubercie zrezygnowane spojrzenie. Wyluzuj, Dwunosy, pomyślał Mat, wszystko mam pod kontrolą.

- Chciałbym wysłać ludzi do wszystkich handlarzy bronią w Prowincji Przylądkowej, generale - powiedział.

- Dopiero teraz?

- Zaczęliśmy od sprawdzenia wszystkich licencji na mauzery w Prowincji Zachodniej, generale. Ale nic to nie dało. Teraz chcemy porozmawiać z handlarzami i rusznikarzami. Może któryś miał w serwisie mauzera broomhandle.

- Brzmi sensownie - przyznał generał.

- Niewątpliwie - dodał brygadier.

- Oczywiście - zawtórował im de Wit.

- Ale czy to coś da? Przecież gdy się przynosi broń do przeglądu, trzeba okazać pozwolenie.

- Handlarze bronią to tylko ludzie, generale. Parę łatwych randów może mieć większą siłę przebicia niż zasady. Gdy ich przyciśniemy... Nawet jeśli nie znają nazwiska czy adresu, mogą pamiętać, jak on wyglądał.

- A wtedy mielibyśmy chociaż opis - stwierdził generał. Odwrócił się do brygadiera. - Mógłbyś pomóc kapitanowi Joubertowi zebrać więcej ludzi, Pete? Na tak długo, jak będzie trzeba.

Brygadier kiwnął entuzjastycznie głową.

- Coś jeszcze, generale - powiedział Joubert. - Ferreirę zastrzelono z innej broni. A wciąż nie dostaliśmy raportu balistycznego. Gdybyśmy znali kaliber i rodzaj, to o tę broń też moglibyśmy zapytać handlarzy. Może, przy odrobinie szczęścia, okaże się, że oddano je do przeglądu razem.

- Otrzyma pan ten raport w godzinę, kapitanie. Proszę mi wierzyć.

Joubert mu wierzył.

- A jeśli jeszcze coś idzie pańskim zdaniem za wolno, proszę dać mi znać. Albo jeśli potrzebuje pan więcej ludzi. Rozumiemy się?

- Dziękuję, generale.

- Coś jeszcze?

- Zamierzam odwiedzić wszystkich krewnych poprzednich ofiar, generale. Po tym nowym morderstwie... może coś sobie przypomną.

- Doskonale. I?

- I spotkać się z doktorem kryminologii z Uniwersytetu Stellenbosch, generale. Uwa...

- Tym z „Die Burger”?

- Tak, generale...
 - Po co?
 - Jeszcze dziś chcę sporządzić profil, generale. Pozbierać wszystko, co wiemy, wprowadzić niewiele tego, ale musimy wykorzystać szansę. Uważamy, że to mężczyzna, bo to duży pistolet. Może kryminolog pomógłby nam sporządzić profil. Chcę dać go do prasy. A nuż ktoś zna kogoś z mauzerem i krótką bronią małego kalibru.
 - Strzela pan w ciemno.
 - Istotnie - poparł go brygadier.
- De Wit skinął głową i się uśmiechnął.
- Po prostu chcę mieć pewność, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, generale.
 - Może to i coś da.
 - Na pewno nie zaszkodzi - stwierdził brygadier.
- De Wit znów skinął głową.
- A ten bankowy złodziej?
 - Generale, stanowczo uważam, że ten rabuś nie ma nic wspólnego z morderstwami.
 - Proszę powiedzieć prasie.
 - Wszystko, co możemy zrobić, to postawić policjanta w każdym oddziale banku Premier na Półwyspie; po cywilnemu, generale. I mieć nadzieję, że facet uderzy ponownie. Ale tyle ludzi...
 - Kapitanie, jeśli popełniliśmy błąd w ocenie i okaże się, że złodziej i facet od mauzera to jedna i ta sama osoba, to następnego dnia możemy związać manatki i zacząć sprzedawać polisy. Każdy posterunek wykrobie paru ludzi. Porozmawiam z brygadierem Brownem. A pan niech porozmawia z bankiem.
 - Dziękuję, generale.
 - To wszystko?
 - Na razie tak, generale.
 - A co myślicie o medium? - zagadnął de Wit.
 - O czym? - zapytał generał w imieniu pozostałych.
 - Środek przekazu. Spirytysta. Osoba posiadająca zdolności parapsychologiczne.
 - Ma pan na myśli jasnowidza? Wróżkę? - zapytał brygadier.
 - Żartuje pan? - nie dowierzał generał.
 - Generale, w Anglii często korzystają z ich pomocy. W czasie, gdy tam byłem, wyjaśnili dzięki nim sprawy dwóch morderstw. W jednym

przypadku chodziło o ciało, którego nie mogli znaleźć. Znalaziono je niecałe pięćset metrów od miejsca wskazanego przez taką osobę.

- Chce pan, żeby minister uwierzył w to g... - Generał się opanował. - Nie mamy pieniędzy na takie cyrki, pułkownika. Powinien pan o tym wiedzieć.

Uśmiech de Wita zastygł. Jego twarz przypominała maskę.

- To nie kosztowałyby ani centa, generale.

- Tak?

- Czasem ci ludzie pracują za darmo. To coś jak akcja marketingowa. Zdobywają w ten sposób rozgłos.

- Hm... No nie wiem. Dla mnie to wygłupy.

- Mediom by się spodobało - wtrącił się Joubert. Popatrzyli na niego. - Miałyby o czym pisać, generale. Odczepiłyby się trochę od nas i łatwiej by się żyło.

Joubert zauważył zdziwione spojrzenie de Wita.

- Fakt - zgodził się generał. - Ale pod jednym warunkiem. Że nie zapłacimy ani centa. I że ten jasnowidz nie wyjawi, że to my go zaangażowaliśmy.

- Ją - sprostował de Wit. - Najlepszym jasnowidzem w Anglii jest kobieta, generale.

- Aha... - mruknął generał.

- Przecież my też mamy jasnowidzów - zaprotestował brygadier.

- Ale tamtą znam. A wartość reklamowa osoby z zagranicy...

- Wyobrażam sobie - powiedział brygadier.

Joubert się nie odzywał.

PRZEZ TŁUM DETEKTYWÓW I POLICJANTÓW przeciskał się, najwyraźniej kogoś szukając, mężczyzna w kombinezonie, z grubym karkiem i głową tak łysą i okrągłą jak armatnia kula. Nie do wiary, żeby na posterunku w Hout Bay panował taki tłok. Zapytał o kapitana Mata Jouberta z wydziału morderstw i kradzieży. „Tam, w magazynie”, poinformował go ktoś. „Tam jest teraz centrum dochodzenia”, dorzucił ktoś inny.

W końcu dopchał się do drzwi. W środku pełno ludzi i dymu. Przy stojącym w kącie stole siedział potężny facet z włosami stanowczo zbyt długimi i rozczochranymi jak na detektywa. Pasował jak ulał do przekazanego mu opisu. Ruszył w jego stronę. Mężczyzna w jednej ręce trzymał zapalonego papierosa, w drugiej pióro. Rozmawiał z jakimś grubasem.

- Niech podzielią Półwysep na sektory, Nugat. I żebyście nie przepuścili żadnego handlarza ani rusznikarza, choćby najmniejszego. Wciąż czekamy na ten cholerny raport balistyczny.

- Już nie - przerwał mu mężczyzna z głową jak armatnia kula i wręczył szarą kopertę.

Joubert, zdziwiony, spojrział na niego.

- Dziękuję. Przysłał pana generał?

- Tak, kapitanie...

Joubert zerknął na zegarek.

- Dotrzymuje słowa. - Rozerwał kopertę i odczytał raport. - Kaliber 22, long rifle. Sądząc po śladach na naboju, escort firmy Smith & Wesson, tak zwany model 61.

- Dwadzieścia dwa. No to przerabane. Pełno tego jak psich kup - burknął Nugat.

- Zawsze to jakaś wskazówka. Niech przesłuchają handlarzy, Nugat. Może ktoś kupił tę broń przy okazji przeglądu mauzera. Albo amunicję tego kalibru. Albo robił przegląd escorta i mauzera. Albo samego escorta...

- Dobrze, dość, już załapałem.

- Co tylko się da, Nugat. Szukamy igły w stogu siana. Nie wystarczy zadać kilka prostych pytań i ruszać dalej. Trzeba to zrobić właściwie. Przyciśnij ich. Zagroź kontrolą. Mauzer nie ma pozwolenia.

- Zostaw to mnie, kapitanie. Dorwiemy tego drania.

- To kobieta - wtrącił facet z armatnią głową.

- Co pan powiedział? - zapytał Joubert, trochę rozdrażniony.

- Sądzę, że to była kobieta, kapitanie.

- Tak?

- Model 61 to babska broń, kapitanie.

- A kim pan jest, jeśli wolno wiedzieć? - najeżył się Nugat O'Grady.

- Adiutant Mike de Villiers. Z arsenału. Generał zadzwonił do mnie i zapytał, czy nie przejrzałbym raportu balistycznego i wam go nie przyniósł. Powiedział, żeby mnie pan wykorzystał, jeśli ma pan jakieś wątpliwości. Ja... hm... znam się trochę na broni, kapitanie.

Joubert popatrzył na stojącego naprzeciwko faceta - głowa okrągła, szyi brak, niebieski kombinezon poplamiony olejem. Skoro wysłał go generał....

- Co pan wie o kalibrze 22, adiutancie?

Mike de Villiers zamknął oczy.

- Firma Smith & Wesson zaprojektowała escorta z myślą o kobietach. W latach siedemdziesiątych. Krótki uchwyt, mała broń. Nazywali go „model 61”. Pasował do damskiej torebki. Półautomatyczny, pięć nabojów w magazynku. Nie cieszył się wielkim powodzeniem, zwłaszcza pierwsza seria, ze względu na kiepski wskaźnik bezpieczeństwa. W kolejnym modelu zamontowali mechanizm zabezpieczania magazynka, ale nabywcy musieli zwrócić broń do fabryki w celu jego regulacji. W sumie były cztery modele serii 61. Dobra zdolność penetracji, lepsza niż w malutkim browningu. Celny przy krótkim dystansie. Zacinał się rzadko, choć się zdarzało. - Mike de Villiers otworzył oczy.

Joubert i O'Grady wpatrywali się w niego.

- Co nie znaczy, że nie mógł użyć go mężczyzna - powiedział wciąż lekko oszołomiony Joubert.

Oczy zamknęły się znowu.

- Krótki uchwyt, kapitanie, bardzo krótki. Mała zabaweczka. Pański palec nawet nie zmieściłby się w kabłąku spustowym. Nie pasuje do ręki faceta, nie pasuje do ego faceta. Mężczyźni szukają dużej broni: 9 milimetrów, magnum czterdziestkapiątka. Statystyki pokazują, że osiemdziesiąt siedem procent morderstw dokonywanych jest z dużego kalibru. Kobiety strzelają rzadko, głównie w samoobronie i przeważnie z broni małego kalibru.

Oczy otworzyły się, powoli, jak u gada.

O'Grady rozdziawił usta. Joubert zmarszczył brwi.

- Ale mauzer to broń męska.

- Nic nie wiem o broomhandle, kapitanie. Pochodzi z początku wieku, nie interesuje mnie - oznajmił de Villiers.

- Jest tu kapitan Joubert?! - zawołał dowódca grupy policjantów, która właśnie stanęła w drzwiach.

- Tutaj - odparł Joubert i westchnął. Co za wariatkovo.

- Czy kapitan życzy sobie jeszcze o coś spytać?

- Dziękuję, adiutancie. Znajdę pana, jeśli coś mi się przypomni.

De Villiers skinął głową, pożegnał się i wyszedł.

- Wygląda jak jaszczurka, gada jak komputer - skomentował O'Grady. - Ten facet to jakiś pieprzony geniusz.

Joubert go nie słyszał. Sfrustrowany analizował nowe informacje.

- Nic w tym śledztwie nie ma sensu, Nugat. Nic.

ZADZWONIŁ NA UNIWERSYTET STELLENBOSCH i poprosił o połączenie z doktorem Alem Boshoppem.

- Anna Boshopp - odezwał się kobiecie głos.

Westchnął cicho. Kolejna pani doktor. Przedstawił się i zapytał, czy mogliby się spotkać po południu, wyjaśniając, że to pilna sprawa.

- Przygotuję się - odparła.

ZAMKNAŁ DRZWI CENTRUM DOWODZENIA.

- Wreszcie trochę spokoju i ciszy - westchnął porucznik Leon Petersen.

O'Grady przetarł czoło chusteczką.

- Przydałaby się klimatyzacja - powiedział.

Obok niego siedział Gerrit Snyman; w ręce trzymał nieodłączny notes.

- No to dawaj - polecił Joubert.

- Nazywa się Alexander MacDonald, urodzony w Humansdorp, ósmego kwietnia 1952. Kawaler, bezdzietny. Wyłącznie właściciel dwóch trawlerów rybackich, „High Road” i „Low Road”. Sądząc z jego papierów, za ten drugi wciąż winien jest bankowi sto dziesięć tysięcy randów. Miał umowę z Good Hope Fisheries i łowił tylko dla nich. Kapitanem „High Road” jest Jan Paulsen. Pracuje dla MacDonalda osiemnaście lat. Mówi, że dobry z niego człowiek, tylko straszny choletryk. Zapytany o to, kto miałby powód zamordować MacDonalda, powiedział, że bez problemu może podać co najmniej dwieście nazwisk. MacDonald na morzu nie pił, za to w porcie... Był karany. Jazda po pijaku, Hout Bay, rok osiemdziesiąty ósmy; napaść z zamiarem poważnego uszkodzenia ciała w osiemdziesiątym dziewiątym; od siedemdziesiątego dziewiątego piętnaście skarg na zakłócanie spokoju. Jeden wyrok za celowe uszkodzenie własności. Razem z paroma członkami załogi zdemolowali bar w Simons Town. I ciekawostka. Dwa lata temu niejaka Eleanor Davids oskarżyła go o gwałt. Później się wycofała. Prowadzący śledztwo podejrzewali, że MacDonald jej groził, ale niczego nie potrafili udowodnić.

- Niezły klient - mruknął Petersen.

- Pogawędka z Eleanor Davids może okazać się interesująca - stwierdził Joubert.

- Dobry pomysł, kapitanie, dobry pomysł.

Rozdział 26

JECHĄ DO STELLENBOSCH, spóźniony na spotkanie z doktor Anną Boshopp.

Dyrektor regionalny banku Premier przyjął go w swoim luksusowym gabinecie, bardzo poirytowany. Złodziej szkodził biznesowi, szkodził wizerunkowi firmy. Ten cały nieprzyjemny rozgłos. Plany policji też nie przypadły mu do gustu. Tajniak w każdym oddziale? A jeśli policjant wystraszy złodzieja? I ten zacznie strzelać? Bank Premier nie chce narażać swoich klientów ani pracowników na niebezpieczeństwo.

Joubert cierpliwie wyjaśnił mu, że policja doskonale zdaje sobie sprawę z zagrożeń i podczas ewentualnej konfrontacji z rabusiem zachowa nadzwyczajną ostrożność.

Dyrektor odparł na to, że przykłady ostrożności policji może co wieczór pooglądać sobie w telewizji.

Joubert westchnął, wstał i oznajmił, że wspomni o podejściu banku Premier na konferencji prasowej.

Dyrektor też westchnął i poprosił Jouberta, żeby usiadł. Musi skonsultować się z centralą.

Centrala nie mogła się zdecydować. Chcieli zorganizować spotkanie, żeby omówić sprawę. Joubert powiedział, że musi pojechać do Stellenbosch. Zostawił im numer telefonu doktor Boshopp. Niech bank poinformuje go o podjętej decyzji.

Wyjechał na autostradę N2 i pędził o wiele za szybko. Duża biała sierra kazała mu się skupić na ruchu drogowym. Gdy minął zjazd R300, ruch nieco się zmniejszył. Joubert starał się nie myśleć za dużo

o śledztwie, o próbie de Wita zastąpienia go kimś innym, o spotkaniu u generała, o napędzanej pościgiem adrenalinie, która jak stary, niemal zapomniany przyjaciel znów krążyła w jego głowie. Bo nie wiedział, czy coś z tego jest ważne. Jutro czy pojutrze radosne podniecenie zniknie. A wtedy znów zostanie sam na sam ze swoimi myślami i wspomnieniami.

Postarał się skupić na czekającym go spotkaniu. Co powiedzieć doktor Boshopp? „Jestem tu, bo zasugerował to mój psycholog? Ładna, krucha kobieta o smutnych oczach, w której musiałem się chyba zakochać, bo powiedziałem jej o swoim ojcu coś, czego nie wyznałem nikomu innemu. Bo jest pierwszą od ponad dwóch lat osobą, z którą mogę rozmawiać, nie obawiając się tego przesadnego, sztucznego współczucia, którego doznaję od innych, choć tak naprawdę nic ich nie obchodzi. Dlatego do pani przyszedłem, doktor Boshopp”.

Nie. Potrzebny mu profil. Nie tylko po to, żeby opublikować go w prasie, ale dla niego samego. Nie może gonić zjawy. Potrzebuje twarzy. Tego kogoś o zwichniętej psychice, kto odbiera ludziom życie.

Biuro Anny Boshopp mieściło się w starym, odrestaurowanym domu szczytowym. Od frontu, w zadbanym ogrodzie stała tabliczka: „Wydział Kryminologii, Uniwersytet Stellenbosch”. Zaparkował i wysiadł. Popołudnie było ciepłe i bezwietrzne. Zdjął marynarkę i przewiesił sobie przez ramię. Poprawił Z88 w skórzanej kaburze przy pasku.

Chodnikiem szło w jego stronę dwóch studentów. Popatrzyli z ciekawością na policyjny wóz, na niego i broń. Zobaczyli, że otwiera furtkę do ogrodu.

- Wiedziałem, że ten artykuł okaże się dla nich za trudny - powiedział jeden. - Przytknęło ich.

Joubert uśmiechnął się i wszedł na chłodną werandę. Drzwi wejściowe były otwarte. Zawahał się. Nigdzie żywego ducha. Dojrzał plakiety na drzwiach. Ruszył korytarzem. Na końcu po prawej stronie zobaczył drzwi do gabinetu Anny Boshopp. Otwarte. Zajrzał do środka.

Siedziała przed komputerem, plecami do niego. Zauważył, że ma krótkie, czarne włosy, krótsze niż jego. Popatrzył na jej szyję, ramię...

Wyczuła jego spojrzenie i się odwróciła.

Zobaczył jej twarz: wysokie czoło, szeroko rozstawione ciemne, błyszczące oczy, wystające, przywodzące na myśl wschodnią rasę kości policzkowe, duże pełne usta, zdecydowanie zarysowana żuchwa. Obzuciła go wzrokiem.

- Mat Joubert - przedstawił się świadomy, że jest speszony.
- Przez telefon brzmi pan jak starzec - powiedziała i obróciła krzesło.

Zauważył jej pełne ciało i krótką sukienkę. Oderwał oczy od kształtnych, opalonych nóg.

Stał między drzwiami a nią. Wstała. Była wysoka, prawie tak samo wysoka jak on.

- Usiądźmy - zaproponowała i podeszła do niewielkiego biurka w narożniku dużego pokoju.

Obserwował grę mięśni pod skórą jej silnych nóg. Rozejrzał się po pomieszczeniu - niezły panował w nim bałagan. Wszędzie sterty książek. Niewielka biblioteczka za biurkiem też była zawalona książkami. O ścianę opierał się rower kolarski. Jedyne krzesło w pokoju stało przy komputerze. Pod oknem piętrzyły się kartony pełne papierzysek. Odwróciła się i usiadła na jednym z nich, wyciągając przed siebie długie nogi. Dłonią, na której nie dojrzał pierścionka ani obrączki, wskazała mu karton obok.

- Proszę się rozgościć.

Przesunął kaburę na pasku, by móc swobodnie usiąść.

- Czy to prawda, co mówią o mężczyznach z dużymi spluwami? Spojrzał na nią, na jej szerokie usta, czerwone i uśmiechnięte.

- Hm..

Była taka seksowna.

- Jaka wyczerpująca odpowiedź - zauważyła.

- No tak, ja...

- Czego pan ode mnie oczekuje, Macie Joubert?

- Ja.

- Oczywiście w sprawie śledztwa.

- Tak, ja...

- Statystyk? Mogą być pomocne. Dać wyobrażenie, ale to będzie wyobrażenie amerykańskie. Prowadzą, jeśli chodzi o masowe morderstwa. A my depczemy Amerykanom po piętach. Małą Amerykę, oto, co tutaj mamy. Więc liczby mogą pomóc. Wie pan, z jakim wzrostem mamy do czynienia w ostatnich dwudziestu latach? Wykładniczym. To oskarżenie zachodniej cywilizacji, Macie Joubert. - Mówiąc, patrzyła na niego, uważnie, prosto w oczy, prześwieblała go niczym rentgenowskim promieniem.

- Jest...

- Sądząc ze statystyk, wasz morderca jest mężczyzną. Mężczyzną z klasy średniej, na którego barkach spoczywa jakiś ciężar z przeszłości. Dlaczego mężczyzną? Bo większość z nich to mężczyźni. To tej płci najtrudniej przychodzi pogodzeniem się z więzieniem klasy średniej. Żyjemy w czasach, w których uczymy swoich synów, że muszą się wykazywać, robić karierę, dochodzić do bogactwa. A jeśli nie mogą... Dlaczego z klasy średniej? Bo tak mówią liczby. Czy to nie ciekawe? Dawniej nieliczni masowi mordercy wywodzili się z klasy najniższej. Spośród niewolników, prostytutek i innych szumowin. W czasach, w których żyjemy, pochodzą z klasy średniej. Niekiedy niższej średniej, jak Charles Starkweather, niekiedy z wyższej średniej, jak Ted Bundy. Ich charakterystyka? Wygląda różnie. Wie pan, ilu masowych morderców było adoptowanymi dziećmi? Kallinger. Bianchi. Earle Nelson. I z nieprawego łóża. Obecnie niektórzy psychologowie doszli do wniosku, że Ted Bundy zabijał, bo wiedział, że jest nieślubnym dzieckiem. Dawid Berkowitz też był adoptowanym i nieślubnym dzieckiem. Wielu innych to także sieroty albo wychowankowie domów dziecka. Fish. Kemper. Olson. Panzram. Bonin. Mordują, żeby zapewnić sobie choćby najgorszą pozycję w społeczeństwie. Czy to nie tragiczne?

Robił notatki. Przynajmniej miał czym zająć oczy i ręce.

- Ale wie pan, co mnie martwi, Macie Joubert? Broń i ofiary. Mauzer jest zbyt teatralny. Zbyt macho. Jak oświadczenie. Martwi mnie to. W tej sprawie unosi swój potworny łeb płęć, seks. Ta duża lufa. Sprawdziłam. W książce Iana Hogga *Niemieckie pistolety i rewolwery*. Lufa. Symbol falliczny. Symbol męskości. Mężczyzna z problemem. Wszystkie jego ofiary to mężczyźni. To mnie niepokoi. Facet z problemem, który zabija innych facetów. Ale ofiary nie są homoseksualne...

- Są... Jedna była - sprostował głośno.

- Jedna? Tylko jedna, Macie Joubert? Jesteś pewny? Wicie to na pewno?

- Wallace... prowadził bogate życie seksualne, ale był heteroseksualny. Homoseksualistą był Wilson. Ferreira... Nie wiem. Lubił erotyczne filmy, tak mówiła jego żona. A MacDonald, ten, którego znaleźliśmy dziś rano, został oskarżony o gwałt. Ale kobieta wycofała sprawę.

- No proszę, umie pan mówić - powiedziała z udawaną powagą, marszcząc brwi.

Zaczął się zastanawiać, czy istnieje coś takiego, co mogłaby robić ta kobieta, żeby nie kojarzyło mu się z seksem.

- Na mój nos wszyscy są ukrytymi gejami, Macie Joubert. Zdaje pan sobie sprawę, ilu mężczyzn tłumi swój homoseksualizm seksualną rozwiązłością? I dokonując gwałtów? Może chciał sam sobie dowieść swojej męskości. Naprawdę, mogę się z panem założyć, że wasz morderca jest gejem. Wszystko pasuje. Mauzer. To deklaracja. Seksualna deklaracja. Homoseksualisty.

- Z klasy średniej. Adoptowanego - dodał i zmarszczył brwi, naśladowując jej minę sprzed paru minut.

- O, pan kapitan ma poczucie humoru - oznajmiła i znów na niego spojrzała. - Co pan robi wieczorem? Zbyt cenny z pana okaz, żeby pozwolić panu umknąć.

- Pani doktor, problem w tym...

- Proszę nie zwracać się do mnie per doktor. Proszę się do mnie zwracać jakkolwiek. Choćby nawet per lalunia. Byle nie pani doktor. Uważa pan, że jestem seksowna? I skąd to imię? Mat? Skrót od Matthew?

- Tak - odparł, żeby nie wdawać się w wyjaśnienia.

- Tak, jestem seksowna, czy tak, skrót od Matthew?

Zadzwonił telefon. Poderwała się zgrabnie i susem dopadła biurka. Grzebała wśród książek i dokumentów. Patrzył na drgający mięsień jej pięknej łydki, zdumiony jego doskonałością.

- Anna Boshopp - rzuciła rozdrażnionym głosem. - Chwileczkę. - Podawała mu słuchawkę. - Do ciebie, Matthew.

Wstał, odłożył notes i wziął od niej słuchawkę. Dzwonił dyrektor z banku Premier. Centrala zgodziła się, żeby policja rozmieściła swoich ludzi po oddziałach, ale bardzo naciska, żeby zważali na życie oraz bezpieczeństwo personelu i klientów. Joubert zapewnił go, że to dla nich priorytet.

- Mogę skorzystać z telefonu? - zapytał i się rozejrzył.

Znów przysiadła na kartonie, ze skrzyżowanymi nogami kartkowała jego notes.

- Masz okropny charakter pisma. Te zawijasy przy „y”, „j” i „g” wskazują, że jesteś seksualnym frustratem. Jesteś? Już korzystasz z telefonu, Matthew. Nie krępuj się.

Wybrał numer i próbował skoncentrować się na rozmowie. Poklepał kieszeń koszuli, szukając papierosa, i przypomniał sobie, że włożył je do kieszeni marynarki. Miał ochotę zapalić. Musiał zrobić coś z rękoma, żeby ukryć, jak bardzo jest speszony i niezdarny. De Wit odebrał telefon tak, jak to zalecał okólnik kancelarii komisarza regionalnego.

- Wydział morderstw i kradzieży. Pułkownik Bart de Wit, dzień dobry.

Powiedział mu o decyzji banku Premier. De Wit obiecał skontaktować się z brygadierem Brownem, by ustalić szczegóły.

- Gdzie pan jest, kapitanie? - zapytał.

- W Stellenbosch, pułkowniku. Z krymina... kryminologiem.

- Na osiemnąstą dziesiąt zaplanowano konferencję prasową. W biurze generała. Proszę się nie spóźnić.

- Dobrze, pułkowniku.

Spojrzał na zegarek. Musi się pośpieszyć.

- Freudowska pomyłka, Matthew? - zapytała Anna Boshopp. Teraz kolana trzymała złączone, jak przyzwoita panienska.

- Nie, konferencja prasowa...

- Mówię o kryminalistce, którą mnie niemal ochrzciłeś. Powiedz mi, rozmawiałeś z Bartem de Witem?

Skinął głową.

- Znam go. Pracował w departamencie Unisa. Uczestniczyliśmy razem w paru konferencjach. Przezywali go Kilroy. Kilroy malkontent. Wygląda dokładnie jak Kilroy, ten mały człowieczek z graffiti. I jeszcze na dodatek ten nos. Facet całkiem bez hormonów. W każdym razie na żadnej konferencji nie dało się ich zauważyć. To daje kobiecie do myślenia.

- Mogę dostać swój notes?

- Powiedz mi, Matthew, zawsze jesteś taki zdystansowany, czy to tylko taki twój sposób na oszustów i drani? - Podała mu notes.

Wziął marynarkę, wyjął papierosa i zapalił.

- Wiesz, jak to rujnuje zdrowie?

- To special mild.

- Aha. Więc nie powodują raka.

- Pani doktor - powiedział stanowczo - Ferreirę zastrzelono z brońi firmy Smith & Wesson, model 61. Według naszych specjalistów to broń typowo kobieca.

- I co?

- To nie zgadza się z pani teorią, pani doktor.

- Pani doktor. Zachowujesz się jak ksiądz. Mów mi Anna, zapomnijmy o tej pani doktor. Lubię, gdy faceci traktują mnie trochę niegrzecznie. To trzyma mnie w ryzach. Oczywiście, że się zgadza z moją teorią. Jak się ma mauzera, to już się ma dużą spluwę, nawet jeśli ma się malutki pistolecik.

- Jesteś pewna, że to facet?
- Oczywiście, że nie jestem. Równie dobrze może to być kobieta. Albo jakaś lesbijska szympansica. Mówię tylko to, co wynika z prawa średniej. Nie znajdziesz tu popielniczki. Strząśnij za okno.

- Muszę iść.
- Tak fantastycznie wysoki i potężny z ciebie gość. Co za ciało, lubię dużych facetów. Niscy mają za duży kompleks niższości. W małych ciałach jest za mało hormonów.

Czuł się zagubiony. Patrzył przez okno, unikając widoku jej nóg i pełnych piersi.

- Wyglądasz jak niedźwiedź. Lubię niedźwiedzie. Myślę, że wygląd wywiera wielki wpływ na osobowość. Nie sądzisz? - Utkwiła w nim wzrok, skupiony i niemal rażący jak pocisk. Spojrzał na nią, potem znów za okno. Nie miał bladego pojęcia, co jej odpowiedzieć.

- Czyżbym cię peszyła? Wolisz subtelniejsze kobiety?
- Ja...yyy...
- Jesteś żonaty, Macie Joubert?
- Nie, ja..
- Ja też nie. Byłam mężatką, ale jestem rozwódką. Po jednej z tych rozdzierających serce historii, które potoczyły się nie tak, jak powinny. Był... jest chirurgiem. Nadal się przyjaźnimy. Tak bywa. Teraz już wiesz.

- Ach tak. - Wiedział, że musi przejąć kontrolę nad tą rozmową. Postanowił okazać zdecydowanie.

- Ja... Przerwała mu.
- Nie cierpię towarzyskich gier. Nienawidzę tego sztucznego sposobu, w jaki ludzie się porozumiewają. Jego powierzchowności. Według mnie powinno się mówić to, co chce się powiedzieć. To, co się ma na myśli. Ludzie nie zawsze to lubią. Zwłaszcza mężczyźni. Mężczyźni chcą panować, chcą rozgrywać wszystko po swojemu. Zwłaszcza w grze miłosnej. Po jakie lichy udawać? Jeśli uważam, że facet jest seksowny, po prostu mu to mówię. Gdy mężczyzna mnie pragnie, nie musi mnie zabierać do drogiej restauracji i przysyłać kwiatów. Może mnie wziąć. Nie sądzisz, że to oszczędza czas?

Popatrzył na jej nogi.

- Znam osiemnastoletnią studentkę z Monte Vista, która ma podobne poglądy - powiedział i poczuł się lepiej.

- Opowiedz mi o niej. To twoja kochanka? Lubisz młode dziewczyny? Mam trzydzieści dwa lata. To mnie dyskwalifikuje?

- Nie jest moją kochanką
- Dlaczego zdajesz się tym rozczarowany?

Nie dała mu sposobności odpowiedzi.

- Bardzo się różnisz od mojego wyobrażenia detektywa z wydziału morderstw i kradzieży. Wyobrażałam sobie twardego, wyrachowanego faceta z blizną na twarzy i zimnymi niebieskimi oczami. A tu proszę. Duży, nieśmiały niedźwiedź. I nieobecny duchem. Na takiego mi wyglądasz, Macie Joubert. Jesteś nieobecny?

- Trochę - udało mu się wtrącić.
- Wiesz, że żyje się tylko raz?
- Tak...
- Trzeba chwycić życie.
- Ja...
- Codziennie, każdą chwilę.
- Muszę iść.
- Męczę cię? Wiele ludzi twierdzi, że ich męczę. Ale mam przyjaciół. Mogę tego dowieść.

- W sądzie też?

Uśmiechnęła się.

- Będę za tobą tęsknić, Matthew.

Upchnął papierosy, pióro i notes w kieszeni marynarki.

- Dziękuję bardzo za pani czas, doktor... Anno.
- Widzisz, robimy postępy. Poczekaj, wyjdę z tobą.

Poprowadziła go korytarzem na skąpaną w słońcu werandę. Patrzył na jej świetlistą opaloną skórę, ramiona, nogi. Poruszające się pod materiałem krótkiej sukienki pośladki.

Obejrzała się, przyłapała jego wzrok.

- Zobaczymy się jeszcze?
- Jeśli coś...
- Zobaczymy się, Matthew Joubertcie. Obiecuję.

Rozdział 27

NA KONFERENCJI PRASOWEJ ZJAWIŁ SIĘ TAKI TŁUM, że przeniesiono ją do holu komendy głównej.

- Spóźniłeś się - powiedział Cloete, dostrzegłszy Mata Jouberta.

Sprawiał wrażenie zmartwionego i wystraszonego. - Przyjechały dwie zagraniczne stacje. I SABC. I jeszcze M-Net: robią program do Carte Blanche. A z prasy naschodziło się mnóstwo ludzi, których w ogóle nie znam. - Po czym popędził poinformować generała, że przyjechał Joubert.

Dziennikarze i kamerzyści stali półokręgiem. Światła jaskrawych telewizyjnych lamp oświetlały stół, za którym siedział generał, a obok niego brygadier i de Wit. Generał pokiwał na Jouberta zgiętym palcem.

- Znaleźliście coś?

Czy coś znalazł? W drodze powrotnej do Kapsztadu próbował coś wykombinować. Ale na jego myślach cieniem kładła się doktor Anna Boshopp. Zastanawiał się, czy wszystkie kobiety z podwójnym „p” w nazwisku są do siebie podobne. Bonnie Stoppberg, Anna Boshopp. Czyżby to dodatkowe „p” oznaczało... Pokręcił głową, że też nie potrafi przestać myśleć o seksie. Prawie zakochał się w Hannie Nortier, a teraz chciałbyś znaleźć się między udami kolejnej mądrej pani doktor? Ależ z ciebie gorącokrwisty byk. Najpierw unikałeś walki, a teraz proszę, w tydzień przeistoczyłeś się w Rambo. Tak, generale, coś znalazłem. Coś, z czym nie najlepiej sobie radzę.

- Tak sądzę, generale.

- Dobrze. W takim razie zacznę ja, a później oddam głos panu.

Nie. Nie był na to przygotowany. Nie mógł im powiedzieć, że szuka ją homoseksualisty z klasy średniej, który prawdopodobnie został adoptowany lub był nieślubnym dzieckiem.

- *Dames en here...* - odezwał się głośno generał i dziennikarze rzucili się do kamer i notesów. Włączono jeszcze więcej świateł. - *Dames en here....* - Nadal panowała wrzawa.

- Mógłby pan mówić po angielsku? - zawołał ktoś. Terkotwały silniki kamer. Błyskały flesze.

- *Dames en here, dankie...*

Cloete podbiegł do generała i wyszeptał mu coś na ucho. Generał wydawał się rozdrażniony. Potem skinął głową.

- Panie i panowie, dziękuję za przybycie. Pozwólcie, że zacznę od podkreślenia, że południowoafrykańska policja robi wszystko, co w jej mocy, żeby aresztować bezwzględnego mordercę, którzy zabija ludzi bez żadnego powodu.

Który, poprawił w myślach Joubert. Mordercę, który zabija.

- Traktujemy tę sprawę bardzo poważnie i przydzieliliśmy do pomocy przy śledztwie jak największą liczbę ludzi. Nie mogę państwu opowiedzieć o wszystkich naszych poczynaniach, bo w pewnym zakresie stanowią część naszej strategii, mającej na celu złapanie osoby czy też osób zamieszanych w zabójstwa. Ale mogę was zapewnić, że kapitan Mat Joubert dysponuje tyloma policjantami, ilu potrzebuje. Oddaliśmy mu już do pomocy cały dostępny personel wydziału morderstw i kradzieży. Jeśli zajdzie potrzeba, dostanie dodatkowe wsparcie. Chodzi o największą jak dotąd obławę w Prowincji Przylądkowej. Nie spoczniemy, póki nie złapiemy osoby albo osób odpowiedzialnych za te morderstwa. Teraz oddaję do państwa dyspozycji kapitana Mata Jouberta. Potem odpowiem na ewentualne pytania. Jeśli będziecie je mieli. - I generał oznajmił: - Kapitan Joubert.

Joubert okrążył stół. Wśród ludzi z prasy wrzało. Generał wstał i zaferował mu swoje krzesło. Oślepiały go telewizyjne lampy. Znow rozległo się terkotanie kamer. Usiadł. Pęk mikrofonów przed nim budził w nim grozę.

- Dzień dobry - powiedział i nie miał bladego pojęcia, co dalej. Prasa czekała.

Zacznij od dzisiejszego ranka, pomyślał przestraszony. Przecież już nieraz przemawiałeś. Tylko nie przed takim tłumem.

- Yyy...

Serce waliło mu jak młotem. W ustach mu zaschło. Oddychał za szybko.

- Jak państwo wiedzą... - usłyszał swój silny akcent afrykanerski. Serce zabiło mu jeszcze szybciej. - ...dzisiejszego ranka zabójca z mauerem uderzył po raz czwarty.

Notes. Gdzie jego notes? W kieszeni? Nie ma go tam. Wziął go od Anny Boshopp? Druga kieszeń. Pomacał i znalazł. Ulga nie trwała długo. W sali wisiała ciężka cisza. Ktoś zachichotał, ktoś zakasłał. Wyjął notes i otworzył. Zobaczył, że drżą mu ręce.

- Ofiarą... ofiara to czterdziestojednoletni Alexander MacDonald z ulicy Hammerhead w Houtbaai... hm... Hout Bay.

Ktoś wykrzyknął jego nazwisko. Zignorował to.

- Sprawca użył broni takiej jak w poprzednich...

- Kapitanie Joubert...

- Chwileczkę - powiedział siedzący obok brygadier.

Joubert poczuł się zdezorientowany.

Potem ujrzał postać zbliżającą się do stołu zza świąteł. Petersen.

- Przepraszam, kapitanie. Bardzo przepraszam. Ale znaleźliśmy coś. Przed chwileczką.

Generał podszedł do nich.

- A ty kim jesteś, u diabła? - zapytał cicho.

- Porucznik Petersen, z wydziału morderstw i kradzieży, generale.

- Znaleźli coś, generale - wyjaśnił Joubert.

Usłyszał narastające brzęczenie prasy.

- Oby to było coś ważnego, poruczniku - ostrzegł generał.

- Właśnie - zawtórował brygadier.

- Jeden z sąsiadów, generale - wyszeptał Petersen - dziś rano widział niedaleko miejsca zbrodni samochód. Nowe bmw seria pięć.

- I? - ponaglił go niecierpliwie generał.

- Powiedział, że to było o świcie. Szedł na przystanek autobusowy.

I wtedy zobaczył mężczyznę wysiadającego z bmw i wchodzącego do domu MacDonald. A parę minut później to samo bmw śmignęło obok niego.

- Widział mężczyznę? Wie, kto to taki? - generałowi szept przychodził z jakimś trudem.

- Nie bardzo. Powiedział, że wszystko działo się bardzo szybko. Ale zobaczył numer rejestracyjny. Łatwo go zapamiętać. CY 77.

- Jasna cholera! - zaklął generał. - Dowiedzcie się, kto nim jeździ.
- Już wiemy, generale. Dlatego tu jesteście. Chcemy, żeby kapitan Joubert poszedł z nami.

- Jasna cholera - powtórzył generał i odchrząknął. - Panie i panowie. Prosimy o ciszę. Panie i panowie. - Można by dosłyszeć stuk spadającej pinezki. - Nasze wysiłki przyniosły rezultaty.

Przyniosły, poprawił w myślach Joubert. Przyniosły rezultaty.

- Właśnie otrzymaliśmy nowe informacje i sądzimy, że aresztowanie podejrzanego to kwestia kilku godzin. Proszę wybaczyć kapitanowi Matowi Joubertowi, który musi podążyć nowym tropem.

Joubert poderwał się sprężysto, z niewymowną ulgą. Dziennikarze wykrzykiwali jakieś pytania, ale Joubert i Petersen ominęli ich i ruszyli do drzwi.

- Panie i panowie, proszę o uwagę! - zawołał generał. Chwilę później Joubert i Petersen byli już w korytarzu.

- Czyje to bmw? - zapytał Joubert.

- Olivera Sigmunda Nienabera.

Na moment oniemiał. Stał jak wryty.

- Tego Olivera Nienabera?

- Tego samego. „Nikt nie strzyże lepiej ani taniej. Macie moje słowo”.

- Jasna cholera - sapnął Joubert i poczuł się jak generał.

DOM STAŁ WYSOKO NA ZBOCZU TYGERBERG, z którego roztaczał się widok na Bellville i Caps Flats aż po Hottentots Holland. Był to trzy-piętrowy, nowoczesny budynek z pomalowanego na biało betonu i szkła. Zatrzymali się przed trzydrzwiowym garażem.

- Co za przepych, a wszystko przez kobiecą próżność - mruknął Petersen.

Weszli po schodach obok garażu. Drzwi frontowe były ogromne. Joubert nacisnął guzik dzwonka. Nie dosłyszał dzwonięcia. Czekali.

Drzwi się otworzyły. Stała w nich Murzynka w schludnym fartusku.

- Czym mogę panom służyć? - Joubert pokazał identyfikator ze zdjęciem, emblematem policji i swoimi danymi. - Jesteśmy z policji. Chcielibyśmy się widzieć z Oliverem Nienaberem.

Popatrzyła na nich zdumiona.

- Proszę wejść - powiedziała i się odwróciła.

Weszli do holu. Zniknęła w korytarzu. Studiowali wiszące na ścianie współczesne malowidło, słyszeli kobiece głosy. Po chwili pojawiła się jasnowłosa kobieta. Od razu ją rozpoznali. Pani Antoinette Nienaber, z domu Antoinette van Zyl, gwiazda takich niezapomnianych filmów, jak *Róża dla Janey*, *Siedmiu żołnierzy* czy *Zakochana kobieta*. Obecnie, o czym bez przerwy plotkowały rozmaite magazyny i artykuły w prasie, nadal szczęśliwie zamężna z królem fryzjerstwa, właścicielem sieci salonów, prezesem Hair Today, Oliverem Nienaberem.

Była tak piękna, że aż zaniemówili. Uśmiechnęła się do nich przyjaźnie.

- Dobry wieczór. Mogę panom w czymś pomóc?

Joubert zakasłał.

- Pani Nienaber, kapitan Joubert, a to porucznik Petersen. Jesteśmy z policyjnego wydziału morderstw i kradzieży i chcielibyśmy rozmawiać z panem Nienaberem.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Oczywiście. Proszę, wejdźcie. Gra z chłopcami w bilard. - Ruszyła przodem i Joubert uznał, że choć zbliża się chyba do czterdziestki, figurę ma nienaganną.

Stała w drzwiach dużego pokoju.

- Oliver, panowie do ciebie. Usłyszeli jego głos.

- O tej porze?

Żona nic nie odpowiedziała.

- Grajcie dalej. Zastąp mnie, Toby, mamy jeszcze szansę na zwycięstwo.

- Dobra, tato.

Oliver Nienaber podszedł do drzwi. Dobrze znana twarz, którą dosłownie codziennie oglądało się na całostronicowych reklamach prasowych opatrzonych nie mniej znanym sloganem: „Nikt nie strzyże lepiej ani taniej. Macie moje słowo”. A pod tym jego ekstrawagancki podpis i duże logo Hair Today. A poniżej często informacja: „Otworzyliśmy nowy salon w... George”. Albo Laingsburg. Albo Oudtshoorn. Albo Kimberley.

- Dobry wieczór, panowie - przywitał się wesoło. - Przepraszam, ale wieczorem nie strzygę.

- Panowie są z policji, kochanie - wyjaśniła cicho Antoinette Nienaber. Przedstawiła ich. - Zaproś panów do gabinetu, a ja zorganizuję coś do picia. Herbata? Kawa?

Zdecydowali się na kawę. Nienaber poprowadził ich do gabinetu.

Nie usiadł za biurkiem. Pokój był na tyle duży, że w rogu zmieściły się kanapa i fotele. - Proszę, siadajcie, panowie. Niecodziennie policja składa mi wizytę.

Joubert zauważył na ścianie oprawione dyplomy, zdjęcia i znaną z prasy reklamę.

- Od sześciu lat ta sama reklama. I nadal działa - powiedział Nienaber, podążając za jego wzrokiem.

- Ile salonów ma pan teraz? - zapytał Joubert.

- W zeszłym tygodniu otworzyliśmy w Cradock sześćdziesiąty drugi. A teraz ruszamy do Gauteng. Jeśli zdołam znaleźć tam dobrego menedżera. Co pan na to? Może pan spróbuje? - Nienaber zwracał się tylko do Jouberta, całkowicie ignorując Petersena. Był spokojny i pewny siebie, ale Joubert wiedział, że to o niczym nie świadczy.

- Panie Nienaber...

- W czym mogę pomóc?

- Jesteśmy z wydziału morderstw i kradzieży...

- Och mój Boże, to brzmi poważnie.

- Czy nazwisko Alexander MacDonald coś panu mówi?

- MacDonald? MacDonald? Wie pan, spotykam tylu ludzi.

- Pan MacDonald jest właścicielem MacDonald Fisheries, małej firmy z Hout Bay z dwoma trawlerami rybackimi. Potężny facet. Rudowłosy - odezwał się Petersen.

- Jak ma na imię? Alexander? Brzmi znajomo. - Nienaber zapatrzył się w sufit i potarł ucho.

- Nie odwiedzał pan dzisiaj nikogo o tym nazwisku?

- Nic takiego sobie nie przypominam.

- Jest pan właścicielem nowego ciemnoczerwonego bmw o rejestracji CY 77?

- Tak, zgadza się. - Żadnych oznak niepokoju.

- Korzystał pan dziś z samochodu?

- Codziennie z niego korzystam.

- Czy według pańskiej wiedzy z pojazdu korzystał dziś ktoś poza panem?

- Nie. Mogliby mi panowie powiedzieć... Ukradziono mój samochód?

- Kiedy ostatnio widział pan swój samochód, panie Nienaber? - zapytał Joubert.

- Dziś po południu, po powrocie do domu.

- A o której godzinie wyszedł pan dziś rano?

- O szóstej. Tak, chyba koło szóstej. Lubię zjawiać się w biurze wcześniej. - Jego twarz zaczęła zdradzać niepokój. - Czy moglibyście mi, proszę, wyjaśnić, o co chodzi?

- Nie był pan ...

- Puk, puk - powiedziała od drzwi Antoinette Nienaber, podając tacę, na której stały trzy kubki kawy.

Nienaber się poderwał.

- Dziękuję, skarbie.

- Drobiazg. - Uśmiechnęła się, równie spokojna jak wcześniej. - Wszystko w porządku, kochanie?

- Tak.

- Częstujcie się ciasteczkami - zaproponowała i wyszła. Nienaber w milczeniu podał im kawę, po czym usiadł.

- Powiedźcie mi w końcu, o co chodzi.

- Nie był pan w Hout Bay między szóstą a wpół do siódmej dziś rano?

- Nie, powiedziałem przecież.

- Proszę się jeszcze dobrze zastanowić, panie Nienaber - naciskał Petersen.

- Dobry Boże, sierżancie, chyba wiem, gdzie byłem.

- Poruczniku.

- Przepraszam, poruczniku - mruknął wyraźnie rozdrażniony Nienaber.

Nie podoba mu się, że Petersen zadaje pytania, pomyślał Joubert. Bogaty, rasistowski dupek.

- Słyszał pan o mordercy z mauzerem, który grasuje ostatnio w Prowincji Przylądkowej, panie Nienaber?

Wzruszył ramionami.

- Tak. To znaczy... pisali coś w gazetach. W telewizji też o tym mówili.

- Ma pan mauzera broomhandle, panie Nienaber?

- Nie. Chyba nie sądzicie... O co tu chodzi?

- Może pan wyjaśnić, dlaczego pański samochód, ciemnoczerwone bmw o rejestracji CY 77, był dziś rano widziany przed domem Alexandra MacDonalda, ostatniej ofiary mordercy z mauzerem?

Nienaber wyprostował się, prawie wstał.

- Jakim... Nie. Jesteście gliniarzami. Słyszeliście o fałszywych tablicach rejestracyjnych. Powiedziałem wam, że tuż po szóstej byłem w biurze.

- Może to ktoś potwierdzić?

- Że tam byłem? Nie, po to tak wcześnie do niego chodzę. Żeby być samemu i popracować w spokoju.

- Więc o szóstej pan pracował?

- Tak - sapnął z ulgą. Ci ludzie zaczynają mu wierzyć.

- A biuro nie mieści się w okolicach Hout Bay?

- Nie.

- W takim razie nie ma się pan czym martwić, panie Nienaber - oświadczył Joubert i zauważył, że siedzący naprzeciwko mężczyzna wyraźnie się odprężył.

- Nie mam - przytaknął Nienaber.

- Ale chcielibyśmy pana poprosić o przysługę.

- Tak? - zapytał podejrzliwie.

Joubert go podpuścił.

- Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy zdołali wyjaśnić sprawę do końca. Wierzmy, że nie był pan dziś w Hout Bay. Ale mamy naocznego świadka, który twierdzi, że widział pańskie bmw i mężczyznę, który wydał mu się dobrze znany. Zechce pan udać się z nami do wydziału morderstw i kradzieży? Dysponujemy tam pokojem identyfikacji. Zbierzemy grupę ludzi o takiej samej budowie ciała i karnacji jak pan. Świadek będzie musiał zidentyfikować osobę, którą jego zdaniem widział. Skoro jest pan niewinny...

Oliver Nienaber zbladł.

Usiadł i długo się w nich wpatrywał.

- Chcę zadzwonić do mojego adwokata.

Rozdział 28

OLIVER NIENABER OKŁAMAŁ ŻONĘ, nim w towarzystwie detektywów udał się do budynku wydziału morderstw i kradzieży przy ulicy Kassel-svlei. Powiedział jej, że policja potrzebuje jego pomocy w pewnej sprawie.

- Nie masz czym się martwić.

Czekali w milczeniu na przybycie adwokata Nienabera; siedzieli w trójkę przy stole, którego poznaczony powypalanymi przez papierosy dziurami blat świadczył o niejednym takim spotkaniu.

Adwokat wszedł szybkim krokiem, niski człowieczek około czterdziestki, z bardzo dużą głową, mięsistymi wargami, prawie bez żuchwy. Zgodnie z charakterystyczną manierą kolegów po fachu oprotostował sposób, w jaki potraktowano jego klienta, ale Nienaber go uciszył.

- Jestem tu z własnej woli, Phil.

Adwokat usiadł, otworzył zamki drogiej aktówki, wyjął notatnik, wyciągnął z kieszeni płaszczka pióro i podniósł wzrok na Jouberta.

- Proszę zacząć - powiedział, jakby wyrażał zgodę na tą rozmowę.

Joubert nic nie odparł, uniósł jedynie brwi.

- Dziś rano byłem w domu Alexandra MacDonalda, Phil. Faceta, którego zastrzelił morderca z mauzerem.

- Jezu - jęknął adwokat i zacisnął mięsiste wargi.

Nienaber patrzył na Jouberta.

- Zadzwoń do mnie. W zeszłym tygodniu: we wtorek albo środę. Nie pamiętam. Chciał się dowiedzieć, czy nie zamierzam otworzyć

salonu w Hout Bay. Chciał zainwestować pieniądze. Kupić budynek przy głównej ulicy, coś w tym stylu. Ale najpierw chciał znaleźć dzierżawcę...

- MacDonald? - zapytał Petersen.
- Tak - odparł Nienaber. - Naprawdę nie...
- Alexander MacDonald? Rybak? Potężny rudzielec? - głos Petersena zdradzał napięcie.
- Hm... Nie wiedziałem, jak on wygląda...
- Człowiek, który ma sto tysięcy randów długu, ni z tego, ni z owego dzwoni i pyta, czy nie zamierza pan otworzyć salonu w budynku, którego wcale nie posiada?
- Jeśli pozwoli mi pan skończyć, poruczniku. - Nienaber, zaakcentował słowo „porucznik” z dużym sarkazmem.
- Słuchamy - powiedział Joubert.
- Wyjaśniłem facetowi, że nie prowadzę interesów w ten sposób. Przecież nawet go nie znałem. I w żadnym razie nie planowałem otwarcia salonu w Hout Bay. Więc powiedziałem nie. Ale on następnego dnia znowu zadzwonił. Ten sam głos. Mówił po angielsku z akcentem. Jak ten facet z Walii, który komentuje mecze rugby w ramach rozgrywek czterech państw.
- Pięciu - sprostował adwokat.
- Hę? - zapytał Nienaber.
- Pięciu państw.
- Nie - zaprotestował Nienaber, uniósł rękę i zaczął liczyć na palcach.
- Anglia, Walia, Szkocja i Irlandia.
- Rety, Oliver, chyba za dużo pracujesz. A Francja.
- Ale Francja...
- Alexander MacDonald - warknął Joubert jak brytan, pochylił się, rozparł się na stole i opuścił głowę, jakby szykował się do ataku.
- Przepraszam. Kolejnego dnia znów zadzwonił. Ta sama historia. Nie chciałem otwierać salonu, nawet gdyby kupił budynek.
- Który budynek? - zapytał Joubert.
- Nie wiem, który.
- Chyba wspomniał, o jaki budynek mu chodzi.
- Owszem. Marine Plaza czy jakoś tak. Nie pamiętam. Nawet tego nie zapisałem. Nie tak prowadzę interesy.
- Co było dalej?

- Znow powiedziałem nie. Na tym się skończyło. Aż do wczoraj wieczorem. Zadzwoił do mnie do domu. Ta sama stara historia, budynek i salon. Więc wywalilem mu: „Słuchaj pan, nie jestem zainteresowany pańskim budynkiem ani dziś wieczorem, ani kiedykolwiek indziej”. A on mi na to: „Rozwałę ci jaja, Holendrze”. Dokładnie tak. I jeszcze coś. Odetnę ci... penis i wepchnę w ucho. I tym podobne...

- Chwileczkę, jedną chwileczkę - Petersena poniosło. - Mówimy o marynarzu, facecie, który siedział za napaść i uszkodzenie mienia, i on używa słowa „penis”?

- Słuchaj pan, poruczniku, nie pamiętam dokładnie, jakich słów...

- Panowie - wtrącił się pojednawczo adwokat. - Panowie, nie możecie oczekiwać, że mój klient przypomni sobie *ipsissima verba* rozmowę, którą odbył dobie temu, podczas gdy przesłuchujecie go tu jak przestępcę. Jest pod presją. To tylko człowiek. No dajcie spokój.

- Kłamie - stwierdził Petersen, wstał i odwrócił się do Nienabera plecami.

- No ładnie. Użył ordynarnych słów. Muszę powtarzać te plugaństwa?

Niemal dojrzeli aureolę nad głową Nienabera.

- Proszę dalej - powiedział Joubert i odchylił się na krześle, podejrzewając, że Petersen chce odegrać rolę złego gliniarza.

- No więc dobrze, padło więcej takich obelżywych słów i odłożyłem słuchawkę. Pół godziny później zadzwonił drugi raz. Przeprosił za swoje zachowanie. Spytał, czy mimo wszystko nie obejrzałbym tego budynku. To miało być fantastyczne miejsce i bardzo atrakcyjny czynsz. Brzmiało bardzo przekonująco. No więc uznałem, że w ten sposób najłatwiej się go pozbędę. Obejrzę budynek. Tańsze to niż zmiana numeru telefonu. Ale powiedziałem mu, że wieczorem nie mam czasu. On na to odparł, że może z samego rana. Przed pracą. Zgodziłem się, zaproponowałem, że najlepiej od razu jutro, bo chciałem mieć go już z głowy. No i umówiliśmy się na szóstą. Przy jego domu. I że pojedziemy moim samochodem. Powiedział, że jego za bardzo śmierdzi. Rybami. Więc pojechałem tam rano. Spóźniłem się trochę, bo nie mogłem znaleźć adresu. A gdy tam dotarłem, leżał już przy drzwiach, postrzelony w ...

- Penis - dokończył Petersen i się odwrócił.

- Tak, zgadza się. W penis.
- Rety - jęknął adwokat.
- Kłamie pan - powiedział Petersen.
- Nie wolno ci tak mówić - obruszył się Nienaber.
- Wolno mi mówić to, na co mam ochotę.
- Niech on tak nie mówi. - Nienaber spojrział na adwokata.
- Nalegam na traktowanie mojego klienta z szacunkiem.
- Z całym szacunkiem, Oliverze, kłamiesz.
- Nie wolno mu tak mówić - powtórzył Oliver i popatrzył na Jouberta, który siedział odchyłony do tyłu, z uśmiechem na twarzy. Rozgrywająca się przed nim scena była nieco nierealna.

Ale Petersen rozeźlił się na dobre. Po pierwsze dlatego, że Nienaber go ignorował, a po drugie za tego pełnego sarkazmu „porucznika”. Poza tym facet był bogaty, zachowywał się z wyższością i obrzydliwie łął.

- Wolno, Ollie. Kłamiesz. A ja cię na tym przyłapię i zamknę. A klucz wyrzucę. I co wtedy pocznie twoja ładna żoneczka, Ollie? He? Kiedy będziesz za kratkami, Ollie? Kto ją podrapie po plecach, gdy ją zaczną świerzbic, Ollie?

- Leon - powiedział ostrzegawczo Joubert, ten ton zaczął mu coś przypominać. Pewne niedzielne popołudnie w Mitchells Plain, gdy Petersen napadł na chłopaka z szajki, który też kłamał, i rozkwasił mu twarz. Petersen bywał temperamentny...

- Ten pieprzony bogaty biały dupek kłamie, kapitanie - złościł się Petersen, białka jego oczu stały się olbrzymie. Ręce mu się trzęsły.

- Tylko bez takich - zaprotestował adwokat i pogroził mu palcem.

Nienaber z wykrzywioną twarzą uniósł się z krzesła.

- Ty brudasio - syknął, a jego urok z reklamy nagle gdzieś się rozplynął. - Ty brudasio.

Petersen rzucił się jak kot, minął adwokata i rąbnął Nienabera w policzek. Ten przewrócił się z krzesłem na podłogę, głowa, uderzając o gołe kafelki, wydała głuchy odgłos. Nienaber zsunął się z krzesła. Joubert zerwał się, nim padł cios, ale za późno. Złapał Petersena za koszulę i odciągnął go, podczas gdy adwokat rzucił się i obronnie rozpostarł ramiona nad swoim klientem.

- Nie, nie, nie! - krzyczał, wciągając swoją baniastą głowę w ramiona, jakby spodziewał się, że też oberwie.

W uchwycie Jouberta Petersen sapnął i się uspokoił.

- Już dobrze, kapitanie, więcej go nic uderzę.
- Wezwijcie ambulans - zażądał adwokat, z ramionami wciąż rozpostartymi w obronie przed domniemanym atakiem. - Chyba nie żyje.

Joubert uklęknął obok nich.

- Niech zobaczą.

Adwokat odsunął się niechętnie. Joubert zauważył, że kość policzkowa Nienabera jest opuchnięta i już zaczyna sinieć. Ale jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała jak u zdrowego człowieka.

- Nic mu nie będzie - oświadczył Joubert. - Po prostu zasłabł.
- Wezwijcie ambulans - powiedział adwokat. - I komendanta.

Joubert wiedział, co to oznacza. I wiedział, czym się skończy: de Wit odda jego śledztwo Gerremu. „Baron fryzjerstwa wytoczył państwu proces o miliony”. De Wit musi dać tę sprawę Gerremu. Nie będzie miał wyboru. Joubert westchnął i zapadł się w sobie. Petersen to zauważył i zrozumiał powagę sytuacji.

- Przepraszam, kapitanie.
- Wezwie ktoś ten ambulans?! I to już! - adwokat jednocześnie prosił i rozkazywał.

- Nie trzeba - odezwał się głos z podłogi.

Wszyscy trzej wpatrzyli się w Nienabera, który powoli wstawał.

- Pozwiemy ich, Oliver - zapowiedział adwokat - Puścimy ich z torbami. A ten... - Wycelował palec w Leona Petersena. - Ten tu już nigdy nie znajdzie pracy w tym kraju.

- Nie - odparł Nienaber.

Cisza.

- Zapomnijmy o tym - powiedział Nienaber. - Po prostu zapomnijmy!

Podniósł się z trudem, prawą ręką dotykając rozkwasszonego policzka. Adwokat rzucił się na pomoc, pomógł mu wstać, podsunął krzesło, ostrożnie pomógł usiąść.

- Są bez najmniejszych szans, Oliverze. To brutalność w najgorszym wydaniu. Mamy nowy rząd... Obydwoj wylądują bez pracy.
- Postanowiłem puścić to w niepamięć, Phil.
- Jezu, Oliver.

Nienaber podniósł wzrok na Jouberta.

- Pan też jest na to gotowy?

Joubert nie odpowiedział. Miał zamęt w głowie, prawie przestał oddychać. Wpatrywał się tylko w Nienabera. Petersen natomiast gapił się na ścianę.

- Chodźmy, Phil - powiedział Nienaber i ruszył do drzwi. Adwokat porwał swoją aktówkę, notatnik oraz pióro i na swoich krótkich nóżkach popędził za nim. Nienaber otworzył drzwi i wyszedł. Adwokat za nim, trzaskając na pożegnanie drzwiami.

Petersen wyprostował się i rozmasował dłoń, którą rąbnął Nienabera.

- Przepraszam, kapitanie.

- W porządku, Leon.

Joubert usiadł przy stole i wyciągnął papierosy. Zapalił i wydmuchał smużkę dymu w sufit.

- W porządku. Też sądzę, że ten pieprzony bogaty biały dupek kłamie.

Rozdział 29

BYŁO WPÓŁ DO DZIEWIĄTEJ W PONIEDZIAŁKOWY WIECZÓR, pili kawę w wydziałowym barze. Siedzieli obok siebie, z łokciami opartymi na kolanach, dłońmi obejmując kubki. Pod ścianą stały tanie krzesła ze stali i plastiku, czekały na tych, co rano w pośpiechu szukają siedzącego miejsca.

- Wszystko spieprzyłem, kapitanie.

Joubert westchnął.

- Zgadza się, Leon. - Przelknął łyk kawy, która za długo parzyła się w dużym termosie. - Będziesz musiał popracować nad swoim temperamentem.

- Wiem. - Petersen wpatrywał się w błotnistą ciecz w kubku i parę unoszącą się znad niej prostą smugą. - Boże, kapitanie, mam tyle kłopotów. Moja żona...

Spuścił głowę. Westchnął głęboko.

- Co się dzieje, Leon?

Popatrzył w sufit, jakby tam szukał pomocy. Wypuścił wolno powietrze.

- Żona chce mnie zostawić.

Joubert nic nie powiedział.

- Mówi, że nigdy nie ma mnie w domu. Że córki potrzebują ojca, że lepiej mieć przybranego, który bywa w domu, niż własnego, którego w ogóle się nie widuje. I mówi, że na wszystko brakuje nam pieniędzy. Tyrasz jak szef, a płacą ci jak ogrodnikowi, tak mnie podsumowała. Mogę panu coś powiedzieć, kapitanie? Coś osobistego? - Popatrzył na Jouberta i ciągnął, nim ten zdążył się odezwać: - Wie pan, kiedy ostatnio

żona i ja... No wie pan... Miesiące temu. A teraz Bart de Wit mówi mi, że muszę się wykazać, bo czarni powinni się piąć w górę, pokazać, że na to zasługują, a nie że awansują tylko dzięki akcji afirmacyjnej. Nagle jestem czarny. Już nie kolorowy, już nie tutejszy Malajczyk ani brązowy, tylko czarny. Przeklasyfikowali mnie w mgnieniu oka. I muszę się wykazywać. Więc pytam teraz pana, kapitanie, co mam jeszcze robić? Wykazywałem się przez całe cholerne lata, ale mój pasek z wypłatą wciąż czeka na afirmacyjny awans. I nie tylko mój. Nas wszystkich. Białych, czarnych, brązowych. Tyle kłopotów, morderstw, śmierci i gwałtów, całe to siedzenie do późna z jakimś dupkami wrzeszczącymi na człowieka czy bogatymi białymi, którzy zachowują się, jakbyś w ogóle nie istniał, a potem szef mówi ci, że masz się wykazać, związek zawodowy, żeby się nie przejmować, bo wszystko będzie dobrze, a żona, że chce cię zostawić...

Petersen upił duży łyk kawy. Znów westchnął. I pogрузzył się w milczeniu.

- Dopadniemy go, Leon.
- Nie, kapitanie, wszystko koncertowo spieprzyłem.
- To tylko chwilowe niepowodzenie.
- I co teraz, kapitanie?

Z korytarza dobiegł odgłos szybkich kroków.

- Każę go obserwować.

Spojrzeli wyczekująco na drzwi. Uchylił je sierżant.

- Kapitanie, Gerrit Snyman wisi na telefonie. Czeka na pana.

Może pan odebrać u mnie.

Joubert odstawił kubek i natychmiast wyszedł za sierżantem. Odebrał w jego pokoju.

- Gerrit?
- Znalazłem Eleanor Davids, kapitanie. - Był wyraźnie podekscytowany.

- Kogo?
- Tę kobietę, która oskarżyła MacDonalda o gwałt.

Joubert usiłował przypomnieć sobie, o co chodzi. Snyman właściwie zinterpretował ciszę w słuchawce.

- Ponad dwa lata temu, kapitanie, wycofała oskarżenie.
- Ach. Tak.
- To prostytutka, kapitanie.

- O?

To już ciekawsze.

- I posiada escorta, kapitanie.

Serce Jouberta przyspieszyło gwałtownie.

- Mówi, że ma alibi, kapitanie, ale według mnie kłamie.

- Już jedziemy, Gerrit.

- Super, kapitanie. - Po czym Snyman dodał ciszej, bardziej poufnie: - To dziwna kobieta, kapitanie. Kolorowa, ale włosy ufarbowwała całkiem na białą, a ubiera się na czarno. Kozaki, spodnie, koszula. I ma czarną pelerynę...

Długa czarna peleryna, jak u Batmana. Czarne buty i czarne włosy. Anioł śmierci. Hercules Jantjies. Włóczęga. Na posterunku w Gardens. Joubert dobrze to pamiętał. *Ipsissima verba*, jakby powiedział uczony adwokat. Czarne włosy.

- Gerrit - przerwał mu szybko.

- Tak, kapitanie?

- Powiedziałeś, że ma białe włosy?

- Jak śnieg, kapitanie.

Może Hercules Jantjies pochwycił część prawdy pomimo denaturującego zaćmienia.

- Gdzie jesteś?

- W agencji towarzyskiej Diablątka Charliego, kapitanie. Na Galleon Parade, w Hout Bay.

- Zaczekaj tam na nas. Leon i ja już jedziemy.

DIABLĄTKA WYMALOWANO NA WYCHODZĄCYM NA ULICĘ OKNIE, dokładnie dwa diablątka, duże i czerwone, o długich smukłych nogach, wąskich taliach i krągłych, ponętnych piersiach. Nad seksownymi pośladkami każdego z nich wznosił się szelmowski, zakończony strzałą ogon. W długich blond włosach tkwiły dwa małe rożki, a nad nimi napis: „Diablątka Charliego”.

Snyman przysiadł ostrożnie na wysłużonym krześle w recepcji, jakby w każdej chwili chciał być gotowy do ucieczki. Joubert i Petersen podzielili się kanapą, która stanowiła komplet z fotelem, na którym siedziała Eleanor Davids. Opięte czarnymi skórzanymi spodniami nogi przewiesiła przez poręcz. Nosila czarne, sięgające za kolana kozaki. W czarnych wargach wisiał papieros. W głębi recepcji siedział właściciel, młody Grek z długimi kręconymi włosami i w rozpiętej koszuli. Udawał

zatopionego w leżącej przed nim książce, ale Joubert dobrze wiedział, że nadstawia uszu.

Eleanor stanowczo zaprzeczyła, by znała którąkolwiek z pozostałych ofiar.

- Tylko MacDonalda. I chwała Bogu, że już go nie ma.

- Gwałt? - zapytał Petersen.

- To było filipińskie bydlę, bracie - powiedziała i wyjęła papierosa z ust palcami o długich, pomalowanych na czarno paznokciach. Cedziła słowa powoli, była bezpośrednia i absolutnie spokojna.

- Co się wtedy zdarzyło?

- Zadzwoił po dziewczynę. Na jedną noc, w weekend. Z piątku na sobotę. Powiedział, że chce czekoladkę. Więc Mike zawiózł mnie do niego furgonetką. Wszedł tam ze mną, żeby wziąć pieniądze i się rozejrzeć. Potem wyszedł. MacDonald od razu zaczął się do mnie dobierać, bracie i nie chciał nic, tylko się kochać. Próbowałam go powstrzymać, ale łapał mnie to tu, to tam, podarł mi ubranie, bracie i rzucił się na mnie. Nie tak prowadzę interesy, bracie. Wpierw trzeba porozmawiać. A nie złapać i pieprzyć. Ale to był bydlak, bracie, powiedział, że zapłacił i towar chce natychmiast.

- A potem?

- Potem wziął, co chciał, bracie.

Czekali w milczeniu. Zaciągnęła się powoli i głęboko, zgasiła na wpół wypalonego papierosa w przepelnionej popielniczce. Spokojnymi, miarowymi ruchami.

- Jak skończył, zadzwoniłam do Mike'a, powiedziałam mu, żeby najpierw zabrał mnie na policję. Mike nie chciał, ale się uparłam. Wniosłam oskarżenie.

- Później je cofnęłaś.

- Mike dał mi premię.

- A jeszcze później, w ostatnią sobotę zastrzeliłaś go, siostrzo.

Uśmiechnęła się wolno, zęby miała nierówne i żółtawe.

- Słodki jesteś, braciszku. Powinieneś tu kiedyś wpaść za friko.

- Masz broń?

- Oczywiście, bracie. W takim biznesie...

- Możemy ją zobaczyć?

Wstała wolno, teatralnym gestem zarzuciła na ramię czarną pelerynę.

- Po co ta peleryna, siostrzo?

- Produkt trzeba oryginalnie opakować, bracie.

Mimo wysokich obcasów podeszła pewnym krokiem do drzwi obok recepcji. Otworzyła je i zostawiła otwarte. Detektywi zerknęli do pokoju, w którym siedziały cztery kobiety, jedna przeglądała czasopismo, druga poprawiała makijaż, dwie rozmawiały ze sobą. Po chwili Eleanor Davids wyszła z torebką w ręce i zamknęła drzwi. Wyjęła pistolet, mały, czarny, i podała go Petersenowi.

Obracał go w dłoniach.

- To escort, siostró.

Znów usiadła, zapaliła następnego papierosa i wzruszyła ramionami.

- Tak jak ja, braciszku, też jestem eskortą.

- To drugi pistolet mordercy od mauzera.

- Ja tego nie zrobiłam, bracie. Jestem zła, ale nie zabijam.

- Musisz pójść z nami, siostró.

- Znam swoje prawa. Mam alibi.

- Myślisz, że sędzia ci uwierzy?

- Nie, ale pewnie uwierzy policjantowi.

- Co?

- Zapytajcie Hattinga, sierżanta z recepcji posterunku w Bay, w które wieczory tygodnia on zajada się swoją czekoladką, bracie. W domu. Od zmierzchu do świtu.

HATTING BYŁ MĘŻCZYZNĄ W ŚREDNIM WIEKU, łysiał i próbował to ukryć, zaczesując marne resztki włosów na łysy placek. Nie miał na sobie munduru, bo dowódca posterunku wywołał go z domu.

- Stracę posadę - jęknął Hatting i wydał im się stary, przerażony i bezbronny.

- To zostanie między nami, sierżancie - powiedział Joubert i popatrzył na Petersena, Snymana i szefa posterunku. Wszyscy twierdząco skinęli głowami.

- Moja żona umarła, kapitanie. Dwanaście lat temu. - Milczeli. Hatting tarł dłonie i wpatrywał się w podłogę z twarzą wykrzywioną żalem. - W niedzielne popołudnia dzieci wracają do swojej szkoły z internatem, kapitanie... dobry Boże, wieczorem w niedzielę.

Siedzieli w krępującym milczeniu. Ale Joubert musiał się upewnić.

- Sierżancie, jest pan absolutnie pewny, że Eleanor Davids była z panem aż do siódmej rano w poniedziałkowy poranek?

Hatting tylko skinął głową. Bał się spojrzeć na Jouberta.

- Całą noc?

Skinął głową. Znowu zapadła cisza.

- Już nigdy więcej... - I Hatting się rozplakał.

OCZY GRIESELLA ZAPADŁY SIĘ GŁĘBOKO W ciemne oczodoły, skóra przybrała niebieskożółtawy odcień, jak u ludzi bardzo chorych, ale wsłuchiwał się w każde słowo Jouberta, łaknąc normalności, rutyny, życia. Joubert usiadł na jednym z żelaznych łóżek, na materacu. Benny siedział na drugim, z podciągniętymi nogami. W sanatorium panowała cisza jak w mauzoleum.

- Jutro rano Snyman zacznie śledzić Nienabera. Wieczorem zmieni go Louw. I tyle mamy, Benny

- To nie może być on - głos Griessela brzmiał niewyraźnie, jakby płynął gdzieś z oddali.

- Nie wiem, Benny. Fryzjer. Byłem... - Musiał się zastanowić, kiedy był u Anny Boshopp. Dzisiaj? Zdawało mu się, że wczoraj albo nawet przedwczoraj. Przypomnił sobie to spotkanie, jaki był speszony, i miał ochotę pośmiać się z siebie, opowiedzieć o niej przyjacielowi, ale tylko uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem. - Dziś poznałem piękną kobietę, Benny. Doktora kryminologii. Uznała, że morderca może być gejem. Nienaber jest żonaty, ale to fryzjer...

- Mój bratanek jest fryzjerem w Danielskuil, a zdążył obsłużyć żony wszystkich okolicznych farmerów.

- Tyle mi powiedziała, Benny. A Nienaber kłamie. Nie wiem dlaczego ani w jakiej sprawie, ale kłamie. To śliski koleś, Benny. Jak węgorz.

Joubert spojrział na zegarek: wpół do jedenastej. Pielęgniarka pozwoliła tylko na piętnaście minut.

- Chcę stąd wyjść i pomóc ci, kapitanie.

- Wyjdiesz, kiedy ci się polepszy. - Wstał. - Dobranoc, Benny.

Joubert ruszył do drzwi. Jego kroki odbijały się echem od ścian.

Już w progu usłyszał, jak Griessel woła:

- Mat!

Zatrzymał się i obejrzał.

- Czemu nie zaprosisz jej na randkę? Tej doktorki.

Stał w półmroku i patrzył na postać na łóżku.

- Może zaproszę, Benny. Spij dobrze.

NIEDALEKO OD SWOJEGO DOMU zatrzymał się na światłach, okno samochodu było otwarte, bo palił papierosa. Usłyszał warkot silnika dużego motocykla, jeszcze zanim się obok niego zatrzymał. Kierowca w czarnym ochronnym kasku patrzył prosto przed siebie, pasażer przywierał mocno do jego pleców.

Joubert instynktownie spojrział zaciekawiony w górę i w wąskim wycięciu kasku pasażera zobaczył oczy Yvonne Stoppberg.

Potem motocykl ryknął i wyprał do przodu. Umysł Jouberta skojarzył fakty. Kawasaki Gingera Pretoriusa tuż przed północą w poniedziałkową noc. Oczy Yvonne Stoppberg.

Było coś w sposobie, w jaki na niego popatrzyła, w zmarszczeniu brwi, w nagłym odwróceniu wzroku. Może to tylko moja wybujała wyobraźnia, pomyślał, ruszając. Ale zdawało mu się, jakby się lekko zawstydzila. Jakby chciała mu powiedzieć: „Stać mnie na kogoś lepszego niż Ginger Pretorius”.

I już wiedział, że nie posłucha rady Griessela. Nie zaprosi Anny Boshopp na randkę.

Bo tak naprawdę pragnął Hanny Nortier.

Rozdział 30

MARGARET WALLACE OBUDZIŁA SIĘ TUŻ PO TRZECIEJ RANO ze świadomością, że we wtorki przyjeżdżają śmieciarze i że sama będzie musiała zataszczyć worki spod kuchennych drzwi do bramy. I to o świcie. Zwykle przyjeżdżali przed szóstą. W zeszłym tygodniu pomógł jej szwagier, ale dzisiaj była sama. Jutro miną dwa tygodnie od śmieci Jimmy'ego. A tyle trzeba było zrobić. Tysiące rzeczy. Za dużo.

Wstała, włożyła szlafrok i poszła do kuchni, wiedząc, że sen umknął. Włączyła czajnik, otworzyła tylne drzwi, chwyciła rączkę pojemnika na śmieci i przepchała go pod bramę - długa mozolna czynność, na dodatek wykonywana prawie po ciemku, raptem w świetle ogrodowych lamp i ulicznych latarni. Ale poczuła satysfakcję. Musi się nauczyć samodzielności. Jimmy by tego od niej oczekiwał. Była to winna dzieciom.

Przy bramie wyjęła worki ze śmieciami z pojemnika, położyła je na chodniku i otrzepała ręce. Kiedy wracała do kuchni, ciągnąc za sobą pusty pojemnik, niespodziewanie przypomniała sobie Ferdy'ego Ferreirę.

Mężczyzna z telewizji. Trzecia ofiara. Ferdy Ferreira. Tak, widziała wcześniej tę twarz. Był tutaj, w ich domu, któregoś wieczoru. Kiedy zadzwonił dzwonek, ona robiła coś w kuchni. Drzwi otworzył Jimmy. Poszli do gabinetu, nie przedstawił go jej. Ale gdy Ferdy wychodził, zauważyła, że kuśtykał, trochę kulał. Rozejrzał się i napotkał jej wzrok, wydawał jej się smutny, jak duży wierny pies. Nie przywitał się z nią, tylko poszedł do drzwi.

To było dawno temu. Cztery lata? Pięć?

Zapytała Jimmiego, kto to taki. „Łączą nas interesy, kochanie”. Jakieś takie albo podobne niejasne wyjaśnienie, w dodatku tyle ludzi przewinęło się przez jej dom, biznesowych partnerów Jimmiego, przygodnych znajomych, kolegów od krykieta...

Ale Ferdy Ferreira był u niej. Jutro zadzwoni do tego dużego policjanta z nieobecnym wzrokiem i powie mu.

Może informacja okaże się ważna.

JUŻ PO SZÓSTEJ BYŁ NA PLYWALNI, wiedział, że przed nim ciężki dzień, i zdecydował się zacząć go jak najwcześniej. Przez pierwsze dwie długości liczył nawroty, ale potem pochłonęły go rozmyślania. Co powinien dziś zrobić? Oliver Nienaber. Podejrzany numer jeden. Gerrit Snyman już pewnie zaparkował przed jego luksusowym domem, by faceta śledzić. Sekcja zwłok. Trzeba się dowiedzieć, czy patologowi udało się określić czas zgonu. Ta informacja może pomóc przyszpilić Nienabera... mimo wczorajszego wybryku Petersena. Wypytać o MacDonalda krewnych ofiar. Może ktoś go znał? Skąd? Bankowy rabuś. Dowiedzieć się od brygadiera Browna, czy umieszczono już ludzi w oddziałach banku Premier.

Jeszcze dwa dni do spotkania z Hanną Nortier, pomyślał. Tylko dwa dni.

Chciałby ją gdzieś zaprosić. Ale dokąd? Wpadnie pani na drinka do kantyny, pani doktor?

Ha!

Kolacja przy świecach w dobrej restauracji, może w którejś z tych w Sea Point z ciężkimi kotarami w oknach albo w jednej z tych wychwalanych na Waterfront? Nie. Nie za pierwszym razem - spotkanie w restauracji byłoby zbyt intymne, za dużo byłoby jego i jej.

Kino? Może. Ale jaki film? Widziała pani *Rocky VII*? Może na któryś z tych europejskich z napisami, które grali na południowych przedmieściach? Nie. Za dużo nagich piersi i seksu. Nabrałyby o nim złego mniemania.

Joubert nagle zdał sobie sprawę, że w podświadomości nadal liczy nawroty, właśnie przepłynął ósmą długość i ma ochotę na więcej.

Nie mógł w to uwierzyć. Osiem długości. No proszę. Osiem pieprzonych długości. I kto tu niby musi rzucać palenie? Nawrócił w sposób, którego nauczono go dawno temu, jednym płynnym ruchem, odbijając się stopami od ściany basenu. Sunął pod wodą, dopóki jego

duże ciało się nie wynurzyło, wyciągnął ramię, odwrócił głowę, by zaczerpnąć powietrza, skręcił tułów, zamachnął się znów i znów. Lewa, prawa, lewa, wdech, prawa, lewa, prawa, wdech...

Przeplłynął następne cztery długości, rytmicznie, łatwo, czując w głębi piersi uderzenia serca. Z każdą kolejną długością czuł coraz większe zadowolenie, ale po dwunastu uznał, że to wyczyn i że wystarczy. Podciągnął się bez wysiłku na krawędź basenu, poszedł pod prysznic, a potem do przebieralni. Długie pomieszczenie wciąż o tej porze ziało jeszcze pustką, nagle poczuł nieodpartą pokusę i wrzasnął:

- Aaa!

Jeden okrzyk, jak wybuch, niósł się echem po budynku. Jeszcze teraz dudnił mu w uszach i troszkę zawstydzął, ale tamto uczucie radości otuliło go jak peleryna, która spowijała go jeszcze, gdy przy posterunku w Hout Bay wysiadł z samochodu, minął hałaśliwą grupę dziennikarzy i wbiegł po schodach do dużych drewnianych drzwi.

Radość zniknęła dopiero, gdy ujrzał komisarza regionalnego i szefa detektywów, a obok nich de Wita.

Przywitali się, oczy całej trójki z nadzieją wpatrywały się w Jouberta, a jego własne nie mówiły nic. Przeszli do centrum dowodzenia i zamknęły drzwi.

Joubert zdał im relację z wydarzeń wczorajszego popołudnia - do chwili, gdy Petersen uderzył Nienabera. Potem zaczął kłamać.

- Musieliśmy pozwolić mu odejść.
- Musielicie pozwolić mu odejść - powtórzył bezbarwnie oszołomiony komisarz regionalny.
- Wzięliśmy pod uwagę, w tych ciężkich czasach, reputację policji. Nasz wizerunek. Oliver Nienaber to znana osobistość. Żeby go zamknąć, potrzebujemy niezbitych dowodów. A ich nie zdobyliśmy. Mamy raptem zeznania jednego świadka, który widział go w miejscu zbrodni, nawet nie otrzymaliśmy jeszcze opinii patologa, czy Macdonald umarł mniej więcej w tych godzinach. Nie mamy dowodu, że Nienaber posiada mauzera. Jego historyjka... Równie dobrze może być prawdziwa. A nasz wizerunek, generale... Jeśli teraz złapiemy nie tego... - Joubert podkreślił słowo wizerunek, świadomy, że to jedyny mocny argument w jego wywodzie.
- T-a-a-k - powiedział ostrożnie generał.
- Ale wysłałem ludzi, żeby go śledzili, generale.

- Co powiemy prasie? - zapytał brygadier. - Po wczorajszej konferencji prasowej zachowują się jak hieny, które zwąchały krew. W „Die Burger” napisali nawet, że już dzisiaj możemy postawić komuś zarzuty. Skąd biorą takie nonsensowne pomysły?

W pokoju zapadła cisza.

- Nic więcej nie mamy, kapitanie? - zapytał generał, choć znał z góry odpowiedź.

- Mamy od cholery pracy, generale. Może coś się urodzi.

- Prasie trzeba podać dobre wieści z frontu. Powiem, że nastąpił przełom i teraz badamy nowe wątki... w zasadzie jest to prawda.

- Medium - de Wit odezwał się po raz pierwszy. Wytrzeszczyli na niego oczy. - Przylatuje dziś wieczorem. Madame Jocelyn Lowe.

- Tego nie możemy powiedzieć prasie, Bart. - Brygadier był wyraźnie rozdrażniony.

- Wiem, brygadierze. I nie powiemy. Ale Madame ma rzecznika prasowego. A on zapowiedział, że dziś rano roześle do lokalnych gazet faksy. Z Londynu. - De Wit zerknął na zegarek. - Zapewniam, że nasz brak sukcesu nie będzie dziś wiadomością dnia.

- Obyś się nie mylił, Bart - westchnął generał. - Chodźmy do tych sędów.

Kiedy generał rozmawiał z dziennikarzami, Joubert stał z boku. Słuchał, ale jego myśli intensywnie krążyły wokół listy spraw do zrobienia. Od czasu do czasu dolatywały go pytania prasy: „Kiedy dokonacie aresztowania?”, „Czy istnieje związek między morderstwami a napadami na bank?” Normalka. Ale nagle pojawiło się nowe pytanie.

- Generale, słyszał pan słowa tak zwanego feldmarszałka Armii Nowej Afrykanerskiej Republiki Burskiej, że mauzer to głos wzywający Afrykanerów w służbę narodu?

- Nie - odparł generał.

Reporter przekartkował notes.

- Cytuję: „Mauzer to głos naszych przodków, zew ich krwi przelanej w walce o wolność podczas dwóch wojen przeciwko przytłaczającej sile wroga. To sygnał trąbki wzywającej naród, okrzyk wojenny z zapomnianych czasów, gdy duma Afrykanera była czysta i prawdziwa”.

Dziennikarze zamilkli. Generał też. Joubert wpatrywał się w swoje buty, lśniące w ostrym blasku słońca.

- Poproszę kapitana Jouberta o odpowiedź na to pytanie - przerwał ciszę generał.

Joubert spojrział na pełne wyczekiwania twarze i milczał. Ogarnięty paniką, szukał słów, znalezione odrzucał, wybierał nowe, w końcu zaczął ostrożnie:

- Nie możemy z góry wykluczyć żadnego motywu tych morderstw. Szczerze mówiąc, od początku rozważaliśmy motyw polityczny. Ale muszę wyraźnie zaznaczyć, że na razie nie mamy najmniejszych podstaw uważać, że w sprawę jest bezpośrednio albo pośrednio zamieszana jakakolwiek grupa polityczna.

- Ale nie odrzucacie całkowicie takiej możliwości? - zapytał reporter z radia, podsuwając bliżej mikrofon.

- Na tym etapie nie wykluczamy niczego.

Dziennikarze zdali sobie sprawę, że improwizowana konferencja dobiegła końca, i zaczęli się rozchodzić. Zespoły telewizyjne pakowały sprzęt, fotografowie odkręcili reflektory. Joubert wrócił do pokoju dowodzenia. Musiał zadzwonić do patologa.

PATOLOG, PROFESOR PAGEL, POSKARŻYŁ SIĘ NA O'GRADY'EGO:

- Ten człowiek za grosz nie ma szacunku dla śmierci, kapitanie.

W przyszłości wołałbym tu widzieć pana. Wisielczy humor tego facetą uważam za nieprofesjonalny.

Joubert wymamrotał przeprosiny i zapytał o czas zgonu Macdonalda.

- Trudno określić, kapitanie. Wie pan, że miałem za mało czasu. - Zawsze ta drobiazgowa ostrożność, wytrenowana podczas badania tysiąca spraw w charakterze świadka stanu. - Ale powiedziałbym, że szósta, plus minus godzina. - Po czym drobiazgowo zaczął wyjaśniać, dlaczego tak ustalił.

Jouberta wybawił czyjś głos, wykrzykujący jego nazwisko. Przeprosił i pognał w kierunku, z którego go usłyszał. Posterunkowy podał mu słuchawkę.

- Joubert.

- Kapitanie, mówi Margaret Wallace.

- Dzień dobry, pani Wallace.

- Kapitanie, nie wiem, czy to w czymś panu pomoże, ale wydaje mi się, że Jimmy znał jedną z ofiar.

Zauważył, że użyła czasu przeszłego, i zrozumiał, że przeszła przez wrota nocy i poznała fakturę krajobrazu po drugiej stronie.

- MacDonalda? - zapytał.

- Nie. Tego drugiego. Z Melkbos. Chyba Ferreirę.

Serce Joubert zabiło żywiej, bo to pierwszy ślad prawdopodobnego związku łączącego ofiary. Pierwsza, oprócz kłamstwa Olivera Nienabera, oznaka przełomu.

- Gdzie pani jest?

- W domu.

- Już jadę.

MARGARET WALLACE ZAPROSIŁA GO DO MAŁEJ JADALNI na świeżym powietrzu, na tyłach domu, tuż nad dużym basenem. Poprosiła, żeby usiadł, a sama poszła zaparzyć herbatę. Wróciła z ładną tacą, na której stały porcelanowe filiżanki ze spodeczkami i talerz ze świeżo ukrojonym ciastem bananowym. Postawiła tacę na białym plastikowym stole.

- Jimmy uwielbiał ciasto bananowe. Przestałam je robić. Nie wiem dlaczego. To właśnie jedna z tych rzeczy. Życie toczy się prędko i zapomina się o cieście bananowym. Gdy się ma dzieci, trzeba się zatroszczyć o ich ulubione jedzenie, zaspokajać ich potrzeby.

Nalała herbatę. Joubert słyszał śpiewające na drzewach ptaki, szmer płynu nalewanego do filiżanek, widział jej smukłe, usiane tu i ówdzie piegami dłonie; na palcu lewej nadal tkwiła obrączka.

- I nagle wczoraj postanowiłam zrobić bananowe ciasto. Czy to nie dziwne?

Spojrzał na nią, zobaczył, że patrzy na niego swoimi różnokolorowymi oczami, ale nie czuł się na siłach odpowiedzieć.

- Poczęstuje się pan?

Skinął głową, ale natychmiast dodał z miną winowajcy:

- Jestem na diecie.

Uśmiechnęła się. Zęby miała białe i równe i uznał, że ma ładne usta.

- Pan? Naprawdę?

- Tak.

- Co na to pańska żona? - mówiła z uśmiechem.

- Nie mam żony. - I dodał bez powodu: - Moja żona nie żyje.

- Tak mi przykro.

Zapadła cisza, zasnuła słońce, stłumiła dźwięki płynące z ogrodu, kładąc się między nimi namacalną barierą. Nagle stali się towarzyszami, którzy poznali drogę wiodącą do punktu, w którym się znaleźli, ale

unikali spotkania się wzrokiem, zbyt przestraszeni, że ból powróci. W milczeniu dolali do herbaty mleko, posłodzili, zamieszali, podzwaniając łyżeczkami. Z oczami utkwionymi w filiżance opowiedziała mu zgaszonym głosem o wizycie Ferdy'ego. Zastanawiał się, czy dobrze pamięta wydarzenie sprzed czterech lat, póki nie wspomniała, że Ferreira kulał.

- Chorował na polio.
- Ach tak.

Zapytał ją, czy Ferdy Ferreira kiedykolwiek pojawił się ponownie. Czy może przypomina sobie coś jeszcze. Czy słyszała o Alexandrze MacDonalddie. Na wszystkie pytania odpowiedziała przecząco. Szybko dopił herbatę. Potem poprosił ją o fotografię męża - w miarę możliwości zrobioną niedawno.

- Po co?
- Chcę ją pokazać krewnym innych ofiar.
- Myśli pan, że to coś oznacza? To, że był u nas Ferdy Ferreira?
- Chcę się tego dowiedzieć.

Odeszła na chwilę, wróciła ze zdjęciem, podała mu, nie patrząc na niego. Wepchnął je szybko do kieszeni i się pożegnał. Odprowadziła go do drzwi i uśmiechnęła się zdawkowo na pożegnanie.

WUJ ZATOPEK SCHOLTZ nie lubił centrum handlowego w Tygerbergu. Nie podobał mu się wymalowany w dużym atrium amerykański parowiec, nie podobały mu się tłumy, głośna muzyka i zapach fast foodów. Wolałby znaleźć się już z powrotem na swojej farmie za Malmesbury, ale żona nalegała, żeby w drodze powrotnej z targu zatrzymał się w centrum, bo u Woolwortha zrobili wyprzedaż bielizny, a staniki od nich były jedynymi, które jej odpowiadały.

Dlatego też Wuj Zato, jak wszyscy go nazywali, siedział na parkingu w swoim ciężarowym nissanie, gdy nagle uświadomił sobie, że w gotówce zostało mu zaledwie parę randów. A musiał jeszcze zatankować i kupić tytoń dla jednego ze swoich robotników.

Wuj Zato wyciągnął ze schowka książeczkę czekową banku Premier, wysiadł z samochodu, przekręcił w drzwiach kluczyk, poprawił marynarkę i poszedł do centrum handlowego. Wiedział, że jest tam oddział banku. Szedł powoli, nie śpieszył się - sześćdziesięciopięcioletni mężczyzna w tweedowej marynarce, niebieskiej koszuli z krótkimi rękawami, beżowych krótkich spodenkach, długich beżowych skarpetach

i brązowych butach. Minął rzędy samochodów, przeszedł przez sterowane fotokomórką drzwi i wszedł do oddziału banku Premier. Przy pulpicie otworzył książeczkę czekową, wypisał czek i stanął w kolejce, przesuając się, póki nie nadeszła jego kolej.

Wsunął czek pod szybę i spojrzał na młodziutką kasjerkę o długich czarnych włosach i nadaśnanych ustach.

- Wypląć mi dwudziestkami, złotko - powiedział, wkładając rękę do kieszeni tweedowej marynarki, żeby wyjąć portfel.

Kasjerka dosłyszała tylko ostatnie słowo, zauważyła ruch ręki rozpinającej marynarkę i sięgającej pod połę.

Roztrzęsiona kopnęła stopą guzik alarmu i wrzasnęła.

Posterunkowy Vusi Khumalo zaskoczony, osłupiał. Był po cywilnym, stał przy oknie i gapił się przez szybę, za którą ładna Murzynka zmywała podłogę centrum handlowego. Gdy usłyszał wrzask, jego dłoń powędrowała do paska i wyrwała Z88; odwrócił się i zobaczył wrzeszczącą kasjerkę oraz mężczyznę, który chował dłoń pod marynarkę.

Khumalo był dobrym gliniarzem. Chrzest bojowy przeszedł w Kapsztadzie podczas burzliwych dni roku 1994, a jakiś miesiąc temu z całkiem niezłym wynikiem zdał egzamin na sierżanta. W książkach radzili tak: „Rozłóż ciężar na szeroko rozstawionych nogach, wyciągnij przed siebie trzymaną oburącz broń, wzrok wbij w celownik, krzyknij głośno i rozkazująco. Zdobądź przewagę, muszą zrozumieć, że to ty kontrolujesz sytuację”.

- Nie ruszać się, bo będę strzelał! - Jego głos wzbił się ponad przerażliwe wycie alarmu i krzyki przerażonych gapiów; broń wycelował w czoło Wuja Zato.

Gdyby Wuj Zato był napadającym na banki przestępcą, niewątpliwie stałby spokojnie i nieruchomo, żeby nikt nie powziął wątpliwości co do jego zamiarów.

Ale Wuj Zato, zwykły farmer z Malmesbury przestraszył się, odwrócił szybko, zobaczył celującego do niego z pistoletu Murzyna i instynkt kazał mu chwycić portfel, żeby się ochronić.

Więc wyciągnął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki.

Wtedy Khumalo przesunął pistolet o kilka centymetrów i pociągnął za spust, pewny, że mężczyzna w marynarce dobywa broń.

Kula kaliber 9 milimetrów strzaskała ramię Wuja Zato, złamała obojczyk i przecięła tętnicę podobojczykową. Upadł plecami na kontuar,

krw trysnęła obfitym strumieniem na drewnianą boazerię. Zostały mu dwie minuty życia, nim się wykrwawi.

Wśród krzyków klientów i personelu banku jedynie Vusi Khumalo, który przyskoczył i pochylił się nad Wujem Zato, usłyszał jego wprawiające w osłupienie słowa:

- Coś ty narobił?

- Chciałeś obrabować bank! - wrzasnął Khumalo.

- Nie - zaprzeczył Wuj Zato, ale już ogarniała go ciemność i nic więcej zrozumieć ani powiedzieć nie zdołał.

- Chyba trzeba zatamować krwawienie - oznajmił jakiś spokojny głos zza pleców posterunkowego Khumalo. Spojrzał w górę i zobaczył młodego Murzyna w krótkim lekarskim fartuchu.

- Jest pan lekarzem? - zapytał i odsunął się, by ręce młodzieńca mogły zająć się ramieniem Wuja Zato i powstrzymać czerwony potok życiodajnego płynu.

- Nie - odparł młody człowiek. - Dopiero się uczę.

I tak ocalone zostało życie Zatopka Scholtza.

Rozdział 31

Joubert siedział z de Witem w luksusowym gabinecie dyrektora regionalnego banku Premier. Okna wychodziły na północ, roztaczał się z nich zapierający widok na port i Zatokę Stołową. Ale żaden z trzech mężczyzn go nie dostrzegał.

Dyrektor banku Premier stał na wprost Jouberta i niemal dźgał go wskazującym palcem.

- Obiecał mi pan dyskrecję. Dyskrecję. A skończyło się tym, że lubiany i szanowany klient walczy o życie na oddziale intensywnej opieki medycznej szpitala Tygerberg. Tym, że prezes zarządu czeka właśnie na mój telefon z wyjaśnieniami. Tym, że dyrektor naczelny dostał zawału. Tym, że co pięć minut dzwonią dziennikarze. I tym, że rabuś nadal biega na wolności z pieprzoną wielką spluwą, a wszystko, co ma do powiedzenia wydział morderstw i kradzieży, to że przeprasza.

Po twarzy dyrektora skapywał pot, a jego jajowata łysa czaszka połyskiwała w dyskretnym oświetleniu gabinetu.

- Niech pan zrozumie... - powiedział pułkownik Bart de Wit i też podniósł palec.

- Nie, nic nie zamierzam rozumieć. Ta tłusta pierdoła - palec dyrektora wystrzelił w stronę Jouberta - zapewniała mnie, że nic złego się nie wydarzy. Tylko zapomniała dodać, że rozlokujecie po moich oddziałach bandę czarnuchów z armatami. On...

Joubert wstał, napał na dyrektora, jego twarz znalazła się centymetr przed jego nosem.

- Słuchaj pan...- wycedził.

Dyrektor cofnął się i zamilkł.

- Słuchaj pan uważnie - powtórzył Mat Joubert. - Kiedy zwraca się pan do mnie albo do tego pana - wskazał Barta de Wita - zwracaj się pan uprzejmie. A jeśli jeszcze raz nazwie pan moich ludzi czarnuchami, to rozkwaszę panu nos.

Dyrektor popatrzył błagalnie na de Wita, a de Wit na Jouberta. Na twarzy pułkownika pojawił się zdezorientowany uśmiešek.

- Poza tym - dodał Joubert - na pewno już nie jestem tłusty, bo jestem na diecie. - Po czym usiadł.

Nikt się nie odzywał. Dyrektor regionalny wpatrywał się w dywan. Westchnął głęboko, podszedł powoli do swojego krzesła i usiadł.

- Przepraszam, przepraszam. Stres... - Wyciągnął z górnej kieszeni marynarki chusteczkę w nienagannie korporacyjnych barwach i otarł czoło. - Stres... - Spojrzał na nich. - I co teraz?

- Cóż, odsuniemy posterunkowego Vusi Khumalę i przeprowadzimy śledztwo w sprawie incydentu - odparł Joubert. - Dziś wieczorem zbierzemy policjantów pełniących służbę w oddziałach Premier. Przeszkolimy ich. Bezpieczeństwo, ostrożność, interes społeczny. Organizujemy im krótki kurs, który jutro rano powtórzą wraz z personelem oddziałów. Z postępowania w sytuacjach kryzysowych. Planowania działań awaryjnych i metod opanowania sytuacji.

De Wit entuzjastycznie pokiwał głową.

- A od jutra całą operacją pokieruje jeden z najlepszych detektywów na Półwyspie.

De Wit i dyrektor popatrzyli na niego wyczekująco.

- Benny Griessel.

- **NIE, KAPITANIE. TO ZNACZY**, w pełni popieram pańską reakcję na jego rasistowskie i dyskryminujące uwagi. Ale Benny Griessel?

Wracali do samochodu Jouberta.

- Przepraszam, pułkowniku. Powinienem był to najpierw omówić z panem. Ale wpadłem na ten pomysł parę minut temu. W gabinecie tego faceta.

- Griessel leży pijany w szpitalu - zauważył de Wit.

- Byłem u niego wczoraj wieczorem, pułkowniku. Już jest czysty. Potrzebuje jakiegoś zajęcia, pułkowniku. Musi odzyskać szacunek do siebie. To zadanie w sam raz dla niego.

- W sam raz? Takie stresujące?

- Benny świetnie radzi sobie ze stresem, pułkownik. To ze śmiercią sobie nie radzi - odparł cicho Joubert.

Podeszli w milczeniu do białej sierry. Joubert otworzył de Witowi drzwi, obszedł samochód i usiadł za kierownicą. W środku było nieznośnie gorąco. Opuścili szyby. Joubert włączył silnik i ruszyli, kierując się na autostradę NI.

Bart de Wit wpatrywał się w okno. Jego palec nieustannie nerwowo pocierał zamię. Nie odzywał się. Joubert westchnął i skoncentrował się na prowadzeniu.

Właśnie minęli zjazd na N7, gdy de Wit popatrzył na Jouberta.

- Ta sprawa nam się wymyka, kapitanie. I panu, i mnie. Zaczyna żyć własnym życiem. Pozostaje już się tylko modlić. Bo prawda wygląda tak, kapitanie, że moja głowa jest zagrożona. Przygląda mi się wiele par oczu. Stary Dwunosy, mówią sobie. Stary Dwunosy sobie nie poradzi. Dostał tę fuchę, bo ma znajomości w Narodowym Kongresie. Nie zasługuje na nią. Wszystko, czego tak naprawdę pragnąłem, kapitanie, to udowodnić, że się mylą.

I nie powiedział nic więcej, dopóki nie zjechali w ulicę Kasselsvlei.

- Może pan dać szansę Benny'emu Griesselowi, kapitanie.
- Dziękuję, pułkownik.
- Kto wie. Może znajdzie się ktoś, kto zyska na tym bałaganie.

JOUBERT ZLIKWIDOWAŁ CENTRUM DOWODZENIA W HOUT BAY i przeniósł śledztwo do centrali, do wydziału morderstw i kradzieży. Wysłał ludzi po zdjęcia do Gail Ferreiry i do pracowników Alexandra MacDonalda. Poprosił policyjnych fotografów o zrobienie odbitek. Potem wezwał swój zespół do sali odpraw.

- Dziękuję wam bardzo za trud włożony w sprawdzenie handlarzy bronią i rusznikarzy - zaczął. - Niestety, niewiele to dało. Ale nie traćmy nadziei. - Patrzyli na niego z wyczekiwaniem. - Istnieje możliwość, że ofiary znały się nawzajem. - Usłyszał pomruki zaciekawienia. - Podzielcie się na dwójki. Każdy zespół dostanie zdjęcia wszystkich ofiar. Leon Petersen i ja odwiedzimy krewnych, wy wybieriecie się do sąsiadów, kolegów i znajomych. Zaczniemy od nazwisk na tablicy, ale waszym zadaniem jest poszerzenie tej listy. O tych, co mieszkają w sąsiedztwie ofiar. O kontakty z pracy. O kumpli od kieliszka. O każdego, kto mógł znać ofiary. Musimy się dowiedzieć, czy się znały.

Przebiegł wzrokiem ich twarze. Słuchali z uwagą, pomysł najwyraźniej im się spodobał. Wieczorem pochwałą się rodzinom: „Pracuję nad sprawą mauzera”.

- Ale to nie wszystko, sprawa jest bardziej złożona - ciągnął Joubert. - Niewykluczone, że ofiary łączył związek o podtekście homoseksualnym.

Kilka cichych gwizdów i komentarze.

- Co nie znaczy, że macie wypytywać, czy taki to a taki był odmieńcem.

Roześmiali się. Joubert podniósł rękę i ich uciszył. Mówił szybko:

- Jeśli dowie się o tym prasa, rozpęta się burza. Proszę, żebyście podeszli do zadania odpowiedzialnie. Zadawajcie pytania ostrożnie. Bardzo ostrożnie. Nie mamy żadnego konkretnego dowodu. Ale musimy to zbadać. Dobrze wiecie, co wyprawia prasa. Wizerunek służby może ucierpieć. I nie zapominajcie o krewnych ofiar. I bez tego przeżywają trudne chwile. Nie pogarszajcie sytuacji brakiem taktu i nieprzemyślanymi słowami. Jakież pytania?

- Czy to prawda, że podejrzewamy Olivera Nienabera? - zapytał ktoś z tyłu sali. Joubert pokręcił głową. Plotka rozchodziła się błyskawicznie.

- Już nie - zaprzeczył stanowczo. Trzeba było jej ukręcić łeb. - Coś jeszcze?

- Znajdzie się skrzynka piwa dla zespołu, który to rozgryzie?

- Nawet dziesięć - obiecał Joubert i dostał brawa na stojąco.

OD KREWNYCH NICZEGO SIĘ Z PETERSENEM NIE DOWIEDZIELI, choć ci długo i uważnie wpatrywali się w zdjęcia ofiar. Wszyscy reagowali tak samo. Kręcili przecząco głowami, po czym następowały nieuniknione słowa: „Przykro mi, ale...”

Po południu podrzucił Petersena do wydziału, a sam pojechał do sanatorium. Pielęgniarka skierowała go do pokoju rekreacyjnego na trzecim piętrze. Gdy stanął w drzwiach, zobaczył Benny'ego Griessela siedzącego przy stole w towarzystwie pięciu innych osób - trzech facetów i dwóch kobiet. Grali w karty.

- Podbijam twoje czterdzieści - powiedział Griessel i dorzucił dwie monety do puli na środku stołu.

- O Boże - westchnęła kobieta z tłustymi włosami i długim papierosem między palcami. - Pewnie masz kolor.

- Musisz zabulić, jak chcesz sprawdzić - odparł tajemniczo Benny.
- Joubert podszedł i stanął za nim. Nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi.
- Podbijam! - zawołał chudzielec o niebieskich wodnistych oczach i rzucił na stół dwadzieścia centów.
- Pas. - Siedząca obok niego starsza kobieta położyła karty na stół. Para królowych.
- Ja też pasuję - oświadczył mężczyzna, na którego ramieniu płatanina cienkich czerwonych i niebieskich kresek składała się na dopracowany rysunek, ziejącego ogniem smoka.
- Podbijam jeszcze o czterdzieści - rzucił Griessel.
- Za dużo jak dla mnie - stwierdził chudzielec. - Karta ci podpasowała.
- Griessel wstał, nachylił się nad stołem i zgarnął pieniądze.
- Pokaż nam, co miałeś - powiedziała kobieta z papierosem.
- Nie muszę - odparł Griessel.
- Nie bądź proszę - zażądał smok.
- Blefowałem - przyznał się Griessel, zgarniając zwiniętą dłońią pieniądze z krawędzi stołu do portfela. Odłożył portfel i odwrócił pięć kart.
- Nawet pary nie miałeś - jęknęła starsza kobieta.
- Za mądryś na alkoholika - uznał szkielet.
- To tylko głupi gliniarz. I wieczorem bierze się do roboty - oznajmił Joubert.

GRIESEL DZIĘKOWAŁ MU PRZEZ CAŁĄ DROGĘ z pokoju rekreacyjnego do opustoszałej recepcji, ale Joubert pozostał niewzruszony. Przez piętnaście minut dyktował mu warunki, aż w końcu sierżant uniósł rękę.

- Już to wszystko słyszałem. Od żony, brata, od Willy'ego Theala. Nic to nie dało, Mat. Tu muszę wyzdrowieć. - Płasnął się dłonią w pierś. - Wiele ostatnio myślałem. Wiem, że przez tydzień albo dwa dam radę. Ale jeśli czegoś nie zrobię, to potem wszystko potoczy się jak zwykle. Potrzebuję pomocy tej twojej lekarki od głowy. Jak posprząta mi we łbie, to rzucę picie. Chcę rzucić. Ale musi mi pomóc.

- Świetny pomysł, Benny. - Po czym, gdy Griessel pakował swoje rzeczy do dużej papierowej torby, zaznajomił go z postępami obu śledztw: w sprawie mordercy z mauzerem i rabusia Złotko. Ruszyli razem korytarzem. Do recepcji.

- Przejmiesz sprawę rabusia bankowego, Benny. Dziś wieczorem. Musisz pogadać z ludźmi. To twój zespół.

Griessel nic nie powiedział, weszli do recepcji.

- Zostawia nas pan, panie Griessel? - zapytała pielęgniarka za biurkiem.

- Tak, siostró.

- Nie boi się pan?

- Boję się, siostró - odparł i podpisał formularz wyjścia.

- To dobrze, Griessel. To pomaga unikać butelki. Trzymaj go z daleka od tego miejsca, wielkoludzie.

- Dobrze, siostró - Joubert powtórzył za Griesselem jak echo.

I poszli do samochodu.

GŁÓD NIE DO WYTRZYMANIA przypuścił ponowny atak tuż po czwartej, gdy Joubert w swoim pokoju przeglądał materiały ze śledztwa, szukając nowych możliwości. Uderzył podstępnie i rozbił jego skupienie w drobny pył - puste jelita burczały nieznośnie, ręce drżały, poczuł dziwne zamroczenie i pewność, że musi natychmiast coś zjeść. Zasiąść przy stole, zbrojny w nóż oraz widelec, i zaatakować talerz śmiało i zdecydowanie: gruby, soczysty befsztyk, parujące pieczone ziemniaki ze śmietaną, kalaflor w gęstym sosie serowym i fasolka szparagowa z pomidorem i cebulą, na których powoli rozpuści się masło, gdy będzie doprawiał posiłek pieprzem i solą.

Zobaczył jedzenie tak wyraźnie, poczuł tak przemożny impuls, żeby się zerwać i czym prędzej pognać do restauracji, że powstrzymał się fizycznie, waląc dłonią we framugę drzwi, gdy już chwycił za klamkę.

„Wielkolud”, nazwała go pielęgniarka.

„Tłusta pierdoła”, komplement dyrektora banku Premier.

Usiadł przy biurku i zapalił papierosa.

Żołądek nie dawał za wygraną i znów, tym razem głośniejszy i dłużej, zaburczał.

Joubert poszukał numeru telefonu dietetyczki, znalazł go w notatniku i wystukał. Odebrała, nim przebrzmiał pierwszy dzwonek. Przedstawił się i burknął:

- Moja dieta się nie sprawdza.

Zasypała go pytaniami, aż w końcu uznała się za wystarczająco poinformowaną.

- Nie, kapitanie, pańska dieta zadziała dopiero, gdy zaczniesz ją pan stosować. Nie może pan przestrzegać jej tylko rano i wieczorem. Południowe posiłki...

- W przerwie na lunch pracuję.

- To niech pan przygotuje sobie lunch wieczorem, kapitanie. I zabierze go do pracy.

Nie odpowiedział, machnął tylko ręką: co za niesprawiedliwość.

- Dieta wymaga pracy, kapitanie. Nie ma lekko.

- Niestety. - Joubert westchnął głęboko.

Zapadło milczenie, słychać było jedynie trzaski na linii. W końcu dietetyczka powiedziała:

- Raz w tygodniu może pan trochę oszukać. Ale trzeba to zrobić z głową.

- Oszukać z głową - powtórzył Joubert z nadzieją.

- Moja rada: niech pan się zaopatrzy u nas w nowe pokolenie.

- Co takiego?

- *Książka kucharska dla nowego pokolenia*. Wydana przez fundację dla serca. Z tą książką może pan inteligentnie oszukać. Raz w tygodniu.

Książka kucharska dla nowego pokolenia, powtórzył po zakończeniu rozmowy i poczuł się jak głupek. Znowu usłyszał zew głodu w kiszkach.

Rozdział 32

„DOBRE WIEMY JAK WYGLĄDA TŁUSZCZ NA LUDZKIM CIELE” przeczytał na jedenastej stronie książki kucharskiej.

- Czyż to, do cholery, nie oczywiste? - mruknął Joubert i poruszył się niespokojnie na kuchennym krześle. Książka leżała przed nim na stole, obok składników na danie, które poleciła mu dietetyczka.

- Na co ma pan ochotę? - zapytała, wręczając mu książkę.

- Na befszytk.

- Ależ z pana uparciuch.

- Jestem głodny - odparł stanowczo.

- Niech pan spróbuje polędwicy wołowej z grzybami. Strona sto trzynasta. Ale najpierw proszę przeczytać wprowadzenie, żeby zrozumieć kwestię kalorii i tłuszczów nienasyconych. I proszę się nie opychać. Nie ma sensu zdrowo gotować, a potem nażerać się po uszy.

Zatrzymał się przy supermarkecie i z książką otwartą na stronie sto trzynastej spacerował między ladami, póki nie znalazł wszystkich potrzebnych produktów.

„Ale nie wszyscy wiedzą - czytał dalej - co znajduje się pod tłuszczem widocznym na brzuchu, udach czy piersiach. Ludzie otyli magazynują również tłuszcz wewnętrzny. Odkłada się on zazwyczaj wokół organów wewnętrznych, zwłaszcza w dolnej partii tułowia oraz wokół jelit, nerek i serca”.

Wyobraził sobie swoje organy, każdy owinięty kołderką żółtawo-białego tłuszczu, i się wzdrygnął. „Pomiar fałdu skórniego”, głosił jeden z nagłówków.

„Łatwy i szybki sposób zmierzenia zawartości tłuszczu w organizmie to uchwycić kciukiem i palcem wskazującym fałd skóry na brzuchu. Jeśli okaże się grubszy niż dwa i pół centymetra, to znaczy, że jesteś gruby - i możesz być pewny, że tłuszcz obrósł też narządy”.

Odłożył książkę na stół, odchylił się na krześle, wyciągnął koszulę ze spodni i złapał fałd skóry na brzuchu. Przyjrzał się mu badawczo.

O cholera. Czy to możliwe?

Wstał i poszedł poszukać swojej nowej miarki. Znalazł ją w sypialni dla gości zamienionej teraz w gabinet z biblioteczką, na której krzywych półkach poustawiał książki. Wrócił do kuchni, usiadł, złapał skórę w lewą dłoń, prawą mierząc grubość fałdu.

Ponad cztery centymetry. I to skromnie licząc.

Rozdrażniony, z hukiem zamknął książkę.

Oszukiwać z głową.

Nie mógł sobie pozwolić na żadne inteligentne oszustwa. Nie przy czterech centymetrach. Nie z organami otoczonymi grubymi wałkami tłuszczu.

Westchnął, odłożył książkę i wyciągnął rozpiskę z diety: sto dwaście gramów pieczonej ryby, dwieście pięćdziesiąt gramów tłuczonych ziemniaków, sałatka z cebuli i pomidora. Jedna jednostka tłuszczu.

Jedna jednostka tłuszczu. Popatrzył na podpowiedz na dole kartki. Mógł wybierać między odrobiną margaryny, sosu do sałatek, majonezu, masła orzechowego, awokado, małymi oliwkami, chudą śmietanką albo pasieczkiem bekonu. Zdecydował się na sos do sałatek i rozpoczął kucharzenie.

- **D**OСТАLIŚMY EKSPERTYZĘ W sprawie escorta Eleanor Davids, kapitanie - zameldował Snyman i wręczył Joubertowi kartkę.

- Wynik negatywny - zgodł, nawet na nią nie patrząc.

- Tak, kapitanie. Westchnął.

- Dzięki, Gerrit.

Odwrócił się. Pora, żeby zobaczyć powrót Benny'ego Griessela.

Stanął dyskretnie w drzwiach sali odpraw. Griessel nie powinien pomyśleć, że przyszedł go sprawdzić.

Griessel stał na krześle obok telewizora i przemawiał do dwudziestu mundurowych.

- W teczkach znajdziecie zdjęcia zrobione przez kamery w oddziałach banku i portret pamięciowy złodzieja, tak jak go widzi nasz artysta. Ale potraktujcie to tylko jako wskazówkę. I pamiętajcie, czego nauczył nas poranny incydent: nie można działać na ślepo, bo to prowadzi do niebezpiecznych sytuacji. Na litość boską, nie strzelajcie do każdego podejrzanego, który wyda się wam trochę podobny faceta z portretu pamięciowego. Zachowajcie zdrowy rozsądek. Pomyślcie. Dwa razy też nie zaszkodzi - powiedział Griessel i uśmiechnął się do funkcjonariuszy.

Joubert widział, że przeżycia minionego tygodnia położyły się cieniem na twarzy Griessela, że jego potężne ciało wyraźnie się skurczyło. Ale głos miał czysty i pełen entuzjazmu.

- Media nadal nie wiedzą, że w każdym oddziale mamy ludzi. Powiedzieliśmy im, że Khumalo wszedł tam przez przypadek, aby wypłacić pieniądze. To oznacza, że złodziej może nic nie podejrzewać. Ale nie myślcie, że jest głupkiem. Bardzo dobrze się rozejrzy, nim zdecyduje się na kradzież. Będzie uważać. Wiem, że myślenie nie jest wliczone w pensję policjanta, ale zróbcie to dla kraju. Wysłcie się trochę, zamiast kręcić się bez celu, co od razu zdradza glińiarza. Ruszajcie się. Wypełnijcie jakieś formularze. Udawajcie, że wypłacacie pieniądze. Podejdźcie do informacji. Porucznik Brand z wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego omówi z wami w skrócie działania podejmowane w sytuacjach kryzysowych, jutro tą wiedzą podzielicie się z personelem w swoim oddziale. Powiedzcie tym ludziom, że muszą z wami współpracować, traktować was jak klientów. Tylko tyle...

Joubert odwrócił się i ruszył korytarzem. Griessel nie potrzebował jego pomocy. Wyszedł w noc, kierując się do samochodu.

OLIVER NIENABER UŚMIECHNĄŁ SIĘ za kierownicą swojego ciemnoczerwonego bmw.

Policja musi go mieć za głupka. Już wczoraj zauważył ogon, całkiem przez przypadek, biały kadett śledził go, gdy jechał do domu. Idiota musiał przeskoczyć na czerwonym świetle, żeby go nie zgubić. A potem zobaczył go znowu, już na spokojniejszych uliczkach Platteklouf A dziś rano widział na ulicy czerwoną sierę, tuż obok swojego domu.

Teraz, za kwadrans szósta rano, na N1 był tak niewielki, że ogon rzucił się w oczy. W lusterku wstecznym Oliver widział daleko za sobą forda.

Marnują czas, pomyślał. Był niewinny. Nie był myśliwym, lecz ofiarą. Nieświadomie zapewniali mu ochronę.

Gdyby nie ten brązowy poruczniczyna, jego kłamstwo by uszło. Ależ musiał się nagimnastykować i szybko myśleć... W poniedziałek w tym pokoju przesłuchań. Ale dlatego osiągnął to, co osiągnął. Dzięki szybkemu myśleniu. Z fryzjera do milionera w sześć, siedem lat.

Ta bujda o wydzwanającym do niego w sprawie budynku MacDonalddie przyszła mu do głowy całkiem spontanicznie. Potrzeba matką wynalazku.

Potrzeba. Potrzeba zdominowała cały poniedziałek. Od chwili, gdy zobaczył Maca leżącego w drzwiach tego drewnianego domku, o ścianach i podłodze zachlapanych krwią, z poszarpaną szyją i odstrzelonymi jajami, potrzeba poczucia bezpieczeństwa nie opuszczała go ani na moment.

Chciał z nim porozmawiać. Nie miał pojęcia, o której Mac wypływa w morze, i miał nadzieję, że zdąży. Zatrzymał się przed drzwiami, otworzył furtkę i wtedy zobaczył, że tam leży. Big Mac. Big Mac z największym penisem, jaki kiedykolwiek widział. Dobrze go zapamiętał.

- Mac, masz kuśkę jak drąg - powiedział Ferdy Ferreira. Nieżyjący Ferdy. Nieżyjący, utykający głupiec.

- Penis - powiedział głośno Oliver Sigmund Nienaber i parsknął śmiechem. Właśnie to słowo przyciągnęło uwagę tego poruczniczka.

Pieprzony brudas. Potarł policzek. Wciąż bolało. Ale było warto. Niewielka cena.

- Przewróciłem się - wyjaśnił swojej pięknej żonie.

- W czym miałaś pomóc policji? - zapytała.

Myśl szybko.

- Och, chodziło o tego czarnego sprzątacza, który kiedyś u nas pracował. Oskarżyli go o maltretowanie nieletnich. Chcieli się dowiedzieć, czy coś zauważyliśmy.

- Nie mogli cię o to zapytać tutaj, kochanie?

Wzruszył ramionami.

- Mogliby umyć schody. Aż śliskie są od brudu. Wywróciłem się i wpadłem na futrynę.

Antoinette przyniosła kosmetyki i zapudrowała fioletową plamę na jego twarzy.

- Zobacz, kochanie, tak chyba lepiej.

Znów skręcił, w stronę Wynberg, dojechał do Main Road. Na chwilę przed tym, nim zniknął w garażu budynku, w którym mieściły się jego

biura, obejrzał się, by sprawdzić czy sierra wciąż za nim jedzie. Ale niczego nie zobaczył. Mniejsza o to, pomyślał, pewnie zaparkują gdzieś niedaleko, w miejscu, z którego będą mieli dobry widok. Zatrzymał się w swojej zatoczce „Zarezerwowane dla Hair Today”.

Ustawił numery szyfrowego zamka aktówki i ją otworzył. Na wierzchu leżał pistolet Star. Zamknął teczkę, przekreślił zamki rutynowymi ruchami kciuków. Teraz, gdy miał darmową ochronę policji, nie potrzebował pistoletu. Wysiadł, nacisnął guzik centralnego zamka bmw i ruszył do windy. Drzwi były otwarte. Wszedł i spojrzął na zegarek. Szósta. Co do minuty. Jak co dzień. No, z wyjątkiem poniedziałku. Nacisnął guzik szóstego piętra. Drzwi zamknęły się bezszelestnie.

SNYMAN ZAPARKOWAŁ NA MAIN ROAD, naprzeciw budynku Servier, tak żeby mieć na widoku wejście i wjazd do garażu. Otworzył stojące na siedzeniu obok pudełko i wyjął termos z kawą oraz kanapki. Nie był głodny, ale miał ochotę na kawę. Odkręcił termos, nalał do zakrętki parujący płyn i sączył go wolno, ostrożnie.

Kawa sparzyła mu wargi. Zaklął i zaczął na nią dmuchać.

Odchylił się w wygodnym siedzeniu sierry.

Zapowiadał się długi dzień.

NIENABER WPATRYWAŁ SIĘ SWOIM ZWYCZAJEM W PODŁOGĘ WINDY, podnosząc wzrok jedynie wtedy, gdy otwierały się drzwi.

Kata zobaczył od razu. Stopy lekko rozstawione, ramiona szeroko, oburącz wycelowana w niego broń.

Wiedział, że zabójca czekał na niego, wpatrując się w światelka nad windą. P jak piwnica, potem 0,1,2,3,4, 5,6. Pojął sytuację w milisekundę. Szybko myślisz, Oliverze Nienaber. Wszystko temu zawdzięczasz.

Od razu zrozumiał też, że pistolet w aktówce na nic mu się nie przyda. Ale mógł spróbować porozmawiać. Negocjować. Myśleć.

Uniósł ręce, by powstrzymać napastnika.

- Poczekaj - powiedział, ale w tej samej chwili kula strzaskała mu dłoń i nieodwracalnie zmierzała do jego mózgu.

ZA KWADRANS SIÓDMA W ŚRODOWY PORANEK Joubert siedział na drewnianej ławce w przebieralni na basenie. Łokcie wbił w kolana, ze zwieszanej głowy na betonową podłogę skapywała woda. Zrozumiał, że musi odstawić papierosy.

Płuca paliły go ogniem. Wiedział, że to warstwa smoły, czarna, lepka, brudna, kleista warstwa, która tliła się teraz w jego płucach, powodowała niemożność osiągnięcia wyznaczonego celu. Czuł ją dziś rano w każdym oddechu zaczerpywanym po piątej, szóstej długości. Z każdym nowym zamachem ramienia, każdym rytmicznym wykopem nóg coraz jaśniej widział zalegającą w płucach maź, odcinającą dopływ życiodajnego tlenu.

Mat Joubert, chodzący śmietnik. Same tłuszcz i sadza.

Nieważne, że to special mild, wcześniej czy później i tak musi rzucić. Zresztą i tak są zupełnie bez smaku.

Podjął decyzję.

Wstał gwałtownie, pomaszerował do wiszącego na kołku ubrania. Wyjął z kieszeni marynarki biało-szarą paczkę i zapalniczkę, podszedł do dużego, czarnego śmietnika w kącie, podniósł pokrywkę i wyrzucił papierosy wraz z zapalniczką.

Pojemnik był pusty. Gapił się na leżącą w środku paczkę special mild.

Koniec z tym, pomyślał. Na zawsze.

Zamknął starannie pokrywkę, odwrócił się i ruszył pod prysznic.

W drodze na ulicę Kasselsvlei dojrzał reklamówkę „Cape Timesa”: „Mauzer: z pomocą przyleciało angielskie medium”.

Sprzedawca ułożył gazety tak, że Joubert dojrzał nagłówek na pierwszej stronie, jedno wielkie słowo na całą jej szerokość: „Histeria”.

A pod nim przeczytał: „Farmer w stanie krytycznym po strzelaninie w banku”.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie kupić gazety, ale zmieniły się światła i pojechał dalej. Przyleciała wróżka De Wita, pomyślał. Rzeczywiście histeria.

- NICZEGO NIE SŁYSZAŁEM, KAPITANIE - powiedział Snyman. - Dowiedziałem się dopiero, gdy przez radio podawali adres. Nie mogłem uwierzyć. Łajdak strzela z armaty, a ja nic nie słyszę.

Stali kołem wokół Olivera Sigmunda Nienabera - Joubert, Snyman, Peter O'Grady, Basie Louw i dwóch mundurowych z posterunku w Wynberg. Nienaber leżał na brzuchu w drzwiach windy, z wyciągniętą przed siebie zakrwawioną ręką, przykrywając ciałem aktówkę. Drzwi windy wolno, mechanicznie otwierały się i zamykały, uderzając w zwłoki Nienabera, otwierały się i zamykały...

- Niech ktoś wyłączy windę - polecił Joubert jednemu z mundurowych.

- Już, kapitanie.

- Ochroniarz przy głównym wejściu też niczego nie słyszał - relacjonował Snyman.

- Gdzie jest ta kobieta? - zapytał Joubert.

- Pracuje w firmie komputerowej na siódmym piętrze, kapitanie. Zadzwonili po lekarza. Dostała szoku. Mówi, że gdy nie przyjechała winda, poszła schodami. Kiedy tu dotarła... - Snyman wskazał biegnące obok szybu dźwigu schody ewakuacyjne - zobaczyła go. Mówi, że się znali. Zawsze przyjaźnie się z nią witał.

- Nikt nic nie widział?

- Sądzę, że Mauzer wszedł drzwiami służbowymi na tyłach, kapitanie. Ochroniarz powiedział, że prawie ciągle są otwarte, bo za dużo ludzi w budynku ma do nich klucze.

- Skąd wiesz, że to Mauzer?

Snyman wyjął z kieszonki koszuli mały plastikowy woreczek. Były w nim dwie łuski.

- Czy ktoś wpadł na to, żeby pobrać odciski z drzwi?

- Ludzie z posterunku, kapitanie - odparł O'Grady.

Na schodach pojawili się mężczyzna i kobieta z jednostki wideo.

- Czemu ta cholerna winda nie działa? - zapytał mężczyzna, pokonując bez tchu ostatnie stopnie.

Cisza. Wtedy zobaczył leżącego w drzwiach Nienabera. Drzwi otwierały się i zamykały, otwierały i zamykały.

- Och - jęknął.

- Nie do wiary, że nic nie słyszałem - powtórzył Snyman.

Joubert spojrział na Petersena.

- Miałeś rację, Leon. Nienaber kłamał.

- Ale teraz już nigdy nie poznamy prawdy, kapitanie.

- Poznamy.

- Gdzie fotograf? Chcę go przewrócić i zobaczyć, czy też zarobił w kogucika - powiedział O' Grady.

- Też uważasz, że to mauzer? - zapytał Louw.

- Kolejny mauzer? - wydyszał od schodów patolog Pagel.

- Wszystko na to wskazuje.

Zaskrzeczało radio Snymana.

- Kapitan Mat Joubert, kapitan Mat Joubert, proszę zadzwonić do doktor Boshopp z Uniwersytetu Stellenbosch. Kapitan Mat Joubert. ..

- Jest tu jakiś telefon?

- W biurze Nienabera, tam, za rogiem, kapitanie. Ruszył korytarem. Anna Boshopp... czego może chcieć? Poszukał w kieszeni notesu z jej numerem.

Biuro Nienabera było luksusowe - duża recepcja z drogimi pastelowymi meblami, puszysty dywan, jedna ściana obwieszona obrazami. Reklamę Nienabera powiększono, oprawiono w ramki i umieszczono pod dużym logo z nazwą firmy.

Koniec pewnej ery, pomyślał Joubert. Sukces nie odstraszał Wielkiego Drapieżnika, nie dawał się wyprowadzić w pole przez egotyzm i próżność.

Znalazł telefon na ladzie recepcji, kartkował notes, szukając numeru Anny Boshopp. Wykręcił.

Odebrała i się przedstawiła.

- Mówi Mat Joubert.

- Matthew! Jak miło słyszeć twój głos. Ale wciąż brzmisz jak starszek. Żyjesz jeszcze, Matthew? Kiedy wpadniesz?

- Dostałem wiadomość?...

- I tak szybko oddzwoniłeś? Skuteczność działań policji sprawia, że czuję się taka bezpieczna. Chodzi o tę wrózkę. Madame Jocelyn Lowe. Mam nadzieję, że to nie ty jesteś „starym znajomym”?

- „Starym znajomym”?

- Nie czytasz gazet?

- Jestem zajęty śledztwem w sprawie morderstwa, doktor Boshopp.

- Anno.

- Twój adoptowany homoseksualista z klasy średniej dziś rano znów uderzył, Anno. - Z naciskiem wymówił jej imię, trochę rozdrażniony, ale nie zareagowała.

Gwizdnęła.

- Przyspiesza.

- Przyspiesza?

- Zauważyłeś, że cały czas po mnie powtarzasz? Tak, nabiera tempa. To tylko trzy dni od MacDonalda, Matthew. Czas między kolejnymi morderstwami staje się coraz krótszy. Niech pomyślę... - Joubert

dosłyszał szelest papieru. - Tydzień między pierwszym a drugim. Prawie, jeśli dzień morderstwa liczyć jako pierwszy. Potem cztery dni do trzeciego. Kolejne cztery dni do MacDonalda. A do dziś tylko trzy. Poniedziałek, wtorek, środa. Albo dwa, jeśli wykluczyć poniedziałek.

- Rzeczywiście.

- To chory człowiek, Matthew. Bardzo chory. Przestaje nad sobą panować, potrzebuje pomocy. Zaczynam postrzegać to inaczej. Muszę zajrzeć do książek. Powiedz mi, czy ta ofiara też jest gejem?

- To Oliver Nienaber.

- Król fryzjerów?

- Właśnie.

Znów zagwizdała.

- Nie był gejem, Matthew.

- Nie był. Ale skąd ty to wiesz?

- Znam się na facetach, Matthew. I ten nie był gejem. To widać.

- Muszę kończyć.

- Najpierw opowiedz mi o tej wróżce. Oświadczyła, że... - Znów usłyszał szelest papieru. - „Przyjmijmy, że przyjechałam pomóc staremu znajomemu. Komuś związanemu ze śledztwem”. To ty?

- Nie.

- Cieszę się. Uważaj na te kreatury, Matthew. Kłamią jak z nut. Martin Reiser z Kalifornii zrobił na ich temat badania naukowe. A oto do jakich wniosków doszedł: „Trzeba zacząć od tego, że ich osiągnięcia są bardzo, bardzo mizerne...”

W drzwiach pojawił się Gerrit Snyman, wyraźnie się śpiesząc.

- Naprawdę muszę kończyć - powtórzył Joubert. - Ale doceniam...

- Nie pozwól, żeby skończyło się na słowach, Matthew - odparła Anna Boshopp i odłożyła słuchawkę.

PRZEWRÓCILI NIENABERA NA PLECY. Na jego piersi, pod okrągłą dziurą w najmodniejszym krawacie, widniała plama krwi.

- Nie, klejnoty rodzinne oszczędzono - mruknął rozczarowany O'Grady i odgryzł kawałek batonika.

- Ale to na pewno mauzer. To jeszcze nie koniec.

- Tak, nie skończy się, dopóki nie zaśpiewa tamta gruba paniusia, jak mawiają w operze.

Aha! Joubert już wiedział, dokąd zaprosić Hanne Nortier.

- Aktówka jest zamknięta na zamki, kapitanie - zameldował Snyman.
- Niech sądówka sprawdzi odciski palców, a potem weźcie ją do biura. Dajcie się nią pobawić Van Deventerowi z jego wihajsterkami.
- Spodoba mu się - stwierdził O'Grady.
- Gerrit, idziemy do żony Nienabera. Daj mi znać, jak coś się urodzi.
- Jasne, kapitanie.

Joubert podążył schodami za O'Gradym, Petersenem i Louwem. Poruszał się lekko. Bo już wiedział, dokąd zabierze Hanę Nortier.

Rozdział 33

RABUSIOWI BANKOWEMU SPODOBAŁY SIĘ PRZYDOMKI, którymi ochrzcili go dziennikarze. Don Kameleon w prasie angielskiej, Złodziej Złotko w „Die Burger”. Ale teraz zupełnie nie miał się z czego cieszyć. Myśleli, że to on jest mordercą z mauzerem. Niewinny człowiek leżał w klinice Panorama, z przestrzelonym ramieniem, bo jakiś posterunkowy pomyślał, że jest Złodziejem Złotko.

Nie chciał przemocy, nie chciał zabijania ani rozgłosu - tylko... teraz to już bez znaczenia, teraz chciał już tylko wyjaśnić sprawę.

Dlatego tego poranka zamierzał obrabować inny bank. W oddziałach Premier zrobiło się za gorąco. Skąd nagle w placówce przy Tygeberg wziął się ten posterunkowy? Zastawili na niego pułapkę? Pewnie ten duży kapitan, ten z telewizji. Sprawiał wrażenie nieco roztargnionego, ale chyba nie zrobili go kapitanem bez powodu.

Don Kameleon nie da się złapać. Tylko wyjaśni, co trzeba. A potem poczeka, aż sprawa ucichnie.

Dzisiaj rano był biznesmenem, brodatym, wąsatym biznesmenem w czarnej peruce, ubranym w grafitowy, szyty na zamówienie garnitur, białą koszulę i niebiesko-pomarańczowy krawat. Wszedł do oddziału BANKSA przy ulicy Somerset West, wybrał go, bo znajdował się najdalej od obszaru ostatnich jego działań. Podeszedł prosto do kasjerki, niskiej kobiety w średnim wieku, i wyjął z kieszeni białą kopertę.

- Dzień dobry, złotko - przywitał się zwięźle.
- Dzień dobry panu. - Kobieta uśmiechnęła się do niego. - Takie słowa mogą napytać panu biedy - ostrzegła nieoczekiwanie.
- Czemuż to?

- Kojarzą się z człowiekiem, który okrada bank Premier. Czym mogą panu służyć?

- Co pani myśli o tym złodzieju?

- Mówią, że on i morderca z mauzerem to jedna i ta sama osoba. Mam nadzieję, że go złapią, zanim znowu komuś zrobi krzywdę.

- Kłamią - obruszył się złodziej. - Słyszysz pani? Kłamią!

- Proszę?

Odchylił lewą połą marynarki.

- Czy to wygląda jak mauzer?

Kobieta wpatrywała się przerażonymi oczami w czarny pistolet pod jego pachą.

- Daj mi wszystkie pięćdziesiątki. Szybko. I chyba nie muszę mówić o alarmie.

Kobieta skinęła głową.

- Proszę zachować spokój.

- Sama zachowaj spokój.

Wyjęła z szuflady paczki pięćdziesięciorandowych banknotów i położyła je na kontuarze.

- Włóż je do worka na pieniądze, idiotko.

Ostrość jego głosu ją zaskoczyła. Przesunął ku niej kopertę.

- Dopilnuj, żeby dostała ją policja. Kapitan Mat Joubert.

- Dobrze, proszę pana.

- Jakich perfum używasz?

- Chanel.

- Okropne. - Skrzywił się z odrazą, pochwycił worek i zniknął w drzwiach.

JOUBERT GAPIŁ SIĘ NA CAPE FLATS i góry Hottentots Holland, ale nie umiał docenić piękna widoku z okna w gabinecie Olivera Nienabera. Był wykończony spotkaniem z Antoinette Nienaber.

Najpierw pojechali do wydziału morderstw i kradzieży zdać sprawę de Witowi. Pułkownik uśmiechnął się i zadzwonił do brygadiera. Potem pojechali do rezydencji na bogatych przedmieściach i zapukali do drzwi.

Piękna blondynka załamała się - i zaczęła krzyżeć.

- Nie, nie, nie! - Długie, przesywające do szpiku kości wycie.

Joubert pochylił się i położył rękę na jej ramieniu, ale strząsnęła ją z twarzą wykrzywioną bólem. Skoczyła ku niemu, uderzyła pięściami

w jego klatkę piersiową, wypchnęła go za próg i zawodząc, trzasnęła mu drzwiami przed nosem. Stali tam w czwórkę: on, Petersen, Louw i O'Grady; z opuszczonymi głowami słuchali dobiegających z domu hałasów.

- Sprowadźcie lekarza i policję - polecił Joubert i otworzył drzwi. - Chodź ze mną, Tony.

Wszedł i ruszył w stronę, z której dobiegał dźwięk. Drogę zastąpiła im pokojówka.

- Zadzwoń na policję - zagroziła.

- My jesteśmy z policji.

Murzynka rzuciła coś w xhosa, czego nie zrozumiał.

- Pan Nienaber nie żyje - powiedział.

Wezwała swoich bogów w ojczystym języku.

- Proszę nam pomóc ją uspokoić. - Machnął ręką w stronę, skąd dochodził hałas.

Znaleźli ją w sypialni na podłodze, przyciskała do piersi oprawione zdjęcie. Nie słyszała ich, nie była nieświadoma ich obecności, leżała i wiła się - nie był to szloch rozpaczy, tylko obłędne zawodzenie.

Zostali z nią, dopóki nie przyjechali lekarz i policjantka. Stali tam, w sypialni Nienabera, obok dużego podwójnego łóżka i starali się niczego nie widzieć ani nie słyszeć, dopóki nie odsunął ich wysoki, szczupły doktor. Otworzył czarną torbę, wyjął igłę i niewielką fiolkę. Próbował najpierw porozmawiać z panią Nienaber, ale dla Jouberta było jasne, że ona ich nie słyszy. Więc lekarz zrobił jej zastrzyk.

Teraz Joubert stał w gabinecie, przy oknie; czuł się winny - i jedyne, o czym mógł myśleć, to żeby zapalić, zaciągnąć się głęboko bogatym, wyrazistym dymem winstona i zapomnieć, że przyniósł Antoinette Nienaber wiadomość o śmierci, wtrącając ją w otchłań.

- Zdarza się, kapitanie - powiedział od drzwi O'Grady. Joubert odwrócił się, zastanawiając, jak długo sierżant tam stoi.

- Niestety - westchnął.

- Taka praca.

- Ano taka.

O'Grady zamilkł i zaczął szperać po kieszeniach, szukał nugatowego batonika. Wyciągnął nienapoczęty, sprawnie zerwał opakowanie.

- Tyle można na to poradzić, kapitanie.

Joubert znów spojrzał za okno, przeżuując jego słowa.

Jak załatwiał to wcześniej? Jakim cudem nie gniótl go ten czarny płaszcz na ramionach? Jak mógł być aniołem śmierci, bez tej udręki toczącej wewnątrz jak rak? Bo był młody? Głupi?

Nie.

Po prostu niewiele wiedział. Śmierć nie pisała się dla niego wielkimi literami, oznaczała coś, co przydarza się najbliższym i najdroższym innych ludzi: fenomen, odstępstwo od normalności, źródło podniecenia, początek pościgu, brzmienie trąbek zwoływających kawalerię. Nie bójcie się, Mat Joubert już jedzie - Mat Joubert, długie ramię sprawiedliwości.

A potem umarła Lara i pierwszy raz zaznał smaku śmierci na podniebieniu duszy. Tyle można na to poradzić.

- Muszę przeszukać gabinet, Tony.
- Zajmę się sypialnią, kapitanie. Porucznik rozmawia z pokojówką. Zawołam Basiego, żeby panu pomógł.
- Dzięki.

O'Grady wyszedł. Joubert odwrócił się i usiadł w fotelu przy biurku. Przed nim leżały bloczek i ołówek. Bloczek okazał się kalendarzem z miejscem na notatki, ale nic w nim nie zapisano. Obok stał telefon, przy nim leżał nowy spis abonentów Prowincji Przylądkowej, a na nim dwie mniejsze książki. Zerknął na tytuły.

Siedem nawyków ludzi odnoszących sukcesy.

Może powinien ją przeczytać.

Marketing od A do Z.

Książki Olivera Nienabera. Jego klucz do sławy i bogactwa. Przysunął bliżej książkę telefoniczną. Czy w tym właśnie fotelu siadywał Nienaber, by poczytać? To z tej listy abonentów skorzystał, żeby znaleźć numer Alexandra MacDonalda i się umówić? Otworzył spis, poszukał M i MacDonalda. Znalazł podkreślone MacDonald Fisheries. Serce zabiło mu szybciej. F? Znalazł numer Ferdy'ego Ferreiry, ale ten nie był podkreślony.

Rozczarowanie.

W jak Wallace. Też niepodkreślony. Wilson? To samo.

Może Nienaber powiedział prawdę o MacDonalddie? Joubert zamknął spis i zaczął od A. Sunął po stronie środkowym palcem, śliniąc go od czasu do czasu.

Wszedł Basie Louw.

- Pomóc panu w czymś, kapitanie?

Joubert podniósł głowę.

- Tak.

Chciał otworzyć szufladę biurka, ale była zamknięta na klucz.

- Trzeba przeszukać szuflady, Basie. Zapytaj pokojówkę, czy wie, gdzie są klucze.

Po wyjściu Louwa dalej kartkował książkę. Pierwsze podkreślone nazwisko, jakie znalazł, to C. Oberholzer, ulica Yates, 1314 Neptune View, Sea Point. I numer. Wpatrywał się w adres. Co? Kiedy? Przerzucił spis, wracając do MacDonald Fisheries. Przysunął telefon, z zaciśniętym żołądkiem wybrał numer.

Długi, ciągły dźwięk.

Poszukał numeru zgłoszeń awarii, wystukał go i poprosił o sprawdzenie linii. Obiecali, że oddzwonią.

Kartkował dalej, aż do Z, ale niczego więcej nie znalazł.

Wrócił Louw.

- Pokojówka mówi, że klucze nosi przy sobie Nienaber, kapitanie.

- Spróbuj złapać Snymana, Basie. Powinien je mieć. Louw podszedł do telefonu.

- Nie, zadzwoń z samochodu. Czekam na pilny telefon.

Louw skinął głową i się ulotnił. Joubert wstał, podszedł do okna. Rzucił okiem na gazety Nienabera, a potem znów na ścianę: uśmiech, porządna fryzura, uczciwa twarz.

- Co skrywałeś, Oliverze?

Przestudiował wszystkie dyplomy. Akademia Fryzur, nagroda Złoty Nożyczek, Przyładkowa Szkoła Handlowa: „Niniejszym zaświadcza się, że O.S. Nienaber ukończył kurs zarządzania małym przedsiębiorstwem”; młody biznesmen roku. I poświadczenie rejestracji spółki Hair Today.

Zadzwoił telefon. Joubert dopadł go w dwóch susach.

- Świadczenie usługi zostało zakończone. Dziś rano.

Odłożył słuchawkę i wsunął rękę do kieszeni — gdzie te papierosy? Zapomniał, że przestał palić. Czy na pewno wybrał właściwy moment? Teraz nie pora się nad tym zastanawiać. Popędził do sypialni, a tam zastał O'Grady'ego, klęczał przed nocnym stolikiem.

- Jadę do Sea Point. Zadzwonię do firmy, żeby przysłali po was samochód.

Starsza kobieta, która otworzyła mu drzwi mieszkania przy 1314 Neptune View, opowiedziała mu spokojnie o śmierci córki. Obok niej,

w salonie siedział jej siwy mąż, szczupły i milczący; wpatrywał się w podłogę. Oboje nosili żałobę.

- Msza odbyła się dziś rano, w kościele w Sea Point, ale nie było dużo ludzi. Pięć czy sześć osób, wyszły zaraz po nabożeństwie. Dobrze, że choć jej szef pojechał z nami do krematorium. Tak to już bywa w miastach. Przyjechali nasi sąsiedzi, ale już wrócili do domów. Mamy gospodarstwo w Keimoes, kapitanie. Syn przebywa w Ameryce, studiuje. Jest w drodze, ale nie zdążył na mszę.

- Przykro mi, ale muszę zapytać panią o jej śmierć, pani Oberholzer.

- Myślałem, że policja skończyła już śledztwo - odezwał się jej mąż. - Podobno to był wypadek.

- Tak pewnie stwierdzono na lokalnym posterunku, proszę pana. A ja jestem z wydziału morderstw i kradzieży.

- Wypadła. Z okna. - Rina Oberholzer wskazała sąsiedni pokój.

- Myśli pan, że się pomylili? Tamci policjanci? - zapytał mąż.

Jak im to wyjaśnić? Podkreślenie w książce telefonicznej...

- Nie wiem, panie Oberholzer. Badam inną sprawę. Ja... jej nazwisko... To może nie mieć związku.

- Tyle zła na tym świecie.

- Gdzie pracowała, pani Oberholzer?

- W Petrogas, jako sekretarka. Już od dość dawna. W naszym mieście brakuje pracy dla młodych, kapitanie, wyjeżdżają za nią do miasta. Martwiliśmy się. To takie duże miasto. Ale pomyśleliśmy, że lepiej tu niż w Johannesburgu.

- Poznaliście państwo jej tutejszych przyjaciół?

- Carrie była bardzo towarzyska, kapitanie. Miała dużo przyjaciół. W listach często o nich wspominała. Ale gdzie oni się podziali dziś rano? Niestety, tak jest w miastach. Sami fałszywi przyjaciele.

- Oliver Nienaber?

Pokręcili głowami.

- Aleksander MacDonald?

Nie. Nie wiedzieli, kto to. Tyle nazwisk.

Drew Wilson? Ferdy Ferreira? James Wallace?

Nie reagowali.

- Co to za ludzie, kapitanie? - zapytał pan Oberholzer.

- Są zamieszani w inną sprawę. Miała chłopaka?

Mąż i żona spojrzeli po sobie.

- Tak, Portugalczyka. - Głos ojca Cariny wyrażał dezaprobatę. -
Katolika.

- Wiedzą państwo, jak można się z nim skontaktować?

- Chyba najlepiej złapać go w pracy. Ma restaurację w porcie.

- Budkę z rybami i frytkami.

- A jak się nazywa?

Rina Oberholzer ujęła rękę męża.

- Da Costa - odparła z trudem, jakby te słowa ciężko przechodziły
jej przez usta. - Julio da Costa.

Rozdział 34

URZĄDZILI NARADĘ W SALI APELOWEJ, cały zespół Jouberta, Griessel z paroma swoimi ludźmi, de Wit i brygadier.

„Drogi Kapitanie Joubert” - Joubert odczytał zebrany list bankowego rabusia. - „Pragnę pana poinformować, że nie jestem mordercą z mauzerem i dopóki go nie złapiecie, nie będę okradał banku Premier ani żadnego innego. Przykro mi z powodu tego postrzelonego farmera Scholtza, ale nie miałem z tym nic wspólnego. Z poważaniem, Don Kameleon (Złodziej Złotko)”.

Joubert odwrócił kartkę i pokazał innym.

- To nie jest ręczne pismo - powiedział.
- Napisał na maszynie do pisania. Nie na komputerze. Żadnych śladów - dodał Griessel.

- Pieprzony dupek - zaklął Vos. - Spodobały mu się ksywki.

- Wierzycie mu? - zapytał brygadier.

Griessel był pewny swego.

- Tak, brygadierze. On i mauzer to bez sensu. Za bardzo się różnią.

- Zgadzam się. - Brygadier skinął głową. - Co teraz?

- Dorwę go, brygadierze - oświadczył Griessel.

- Podoba mi się pański optymizm.

- Mam przecucie, brygadierze. - Griessel wyciągnął z teczek plik zdjęć i wstał. - Jeśli przyjrzeć się tym fotkom, to widać jedną cechę wspólną. - Przypiął zdjęcia do tablicy.

- Przypatrzcie się uważnie. Uważnie, bo ja to na początku przegapiłem. - Cofnął się, żeby wszyscy widzieli zdjęcia. - Jest coś, co się nie zmienia.

Wyteżali wzrok.

- Dla mnie na każdym wygląda inaczej - pesymistycznie oznajmił de Wit.

- Doskonale, pułkowniku. Właśnie to przegapiłem. Na każdym wygląda inaczej. Nie wygląda na tę samą osobę. Chyba że się bardzo dobrze przyjrzeć. Nos. Przypatrzcie się dobrze jego nosowi. Jest lekko skrzywiony na końcu. Z daleka łatwiej to zobaczyć, bo fotografie nie są najlepszej jakości. Ten sam facet za każdym razem wygląda zupełnie inaczej. I właśnie dzięki temu go dorwę.

- Och? - sapnął de Wit, przygotowując się na ewentualność, że ośmieszy się przed brygadierem, gdy Griessel zacznie pleść głupoty.

- To zawodowiec, pułkowniku. Nie jeśli chodzi o kradzież, ale o przebrania. Wie, jak się posługiwać perukami, wąsami i takimi tam... Spójrzcie na to zdjęcie, na którym udaje staruszka. Do diabła, toż to najprawdziwszy staruszek, te zmarszczki, ubranie. Jakby grał w filmie. Wszystko jak trzeba. Za bardzo się stara, jak na oszukanie bankowych kamer. Ten facet to profesjonalista. Przebieranie się sprawia mu frajdę. Zna się na swoim fachu.

Griessel odwrócił się przodem do zebranych.

- To jego praca, jego zawód.

- Aaa - powiedział brygadier.

De Wit z zadowoleniem potarł zamię.

- Jesteś wielki, Benny - pochwalił Joubert.

- Wiem. Bo to nie wszystko.

Zamienili się w słuch.

- Ma jakiś uraz do banku Premier. Dlaczego okrada właśnie ten? Pomijam ostatni. Ostatni się nie liczy, bo facet teraz dmucha na zimne. Mówię o poprzednich napadach. Taki spec jak on nie powinien ograniczać się do jednego banku. Nie, musi mieć jakiś powód, gdyż dobrze wie, że słono może zapłacić za tę wybiórczą sympatię. Nie trzeba być Einsteinem, żeby podejrzewać, że gliny zastawią pułapkę, jak jeszcze trochę pogra im na nerwach. Nie, okrada Premier, bo zaszedli mu za skórę.

- To tylko zgadywanki - stwierdził brygadier.

- Wiem, brygadierze. To teoria. Musi pan jednak przyznać, że niepozbawiona zalet.

- Cały pieprzony kraj ma uraz do banków - mruknął Vos.

- Też prawda - odparł Griessel. - Ale ilu zawodowych charakteryzatorów może być w Prowincji Przylądkowej?

W milczeniu rozważali niewątpliwą celność tego pytania.

- Będzie pan szukał charakteryzatorów - domyślił się de Wit z nieokreśloną miną.

- Sprawdzę wszystkich co do jednego, pułkownika. Szczerze mówiąc, już zacząłem dzwonić. Dowiedziałem się, że powinienem zacząć od Rady Sztuki. A potem poniuchać w studiach filmowych. Jest ich ze dwanaście albo trzynaście. Powiedzieli, że facet może być wolnym strzelcem, ale w tym zawodzie wszyscy się znają.

- Doskonale - pochwalił brygadier.

- Więc jeśli można chciałbym się odmeldować. Z moim zespołem.

- W porządku, sierżancie.

Griessel wyszedł na czele swoich ludzi.

- Kapitanie?

Zebrani utkwili wzrok w Joubercie.

Przesunął leżące przed nim brązowe teczki z aktami, podniósł notes i zaczął go kartkować. Odchrząknął.

- Myślę, że robimy postępy - powiedział, nie bardzo w to wierząc. - Mamy nowe informacje, tyle że nie jesteśmy całkiem pewni, jak to wszystko poskładać. - Znalazł ostatnie notatki, robione na chybcika przed zaimprovizowaną naradą. - Ale pozwólcie mi zacząć od początku. Cztery ofiary pogrupowaliśmy dwójkami. James Wallace najwyraźniej znał Ferreirę. Żona Wallace'a jest pewna, że Ferreira przyszedł do nich któregoś wieczoru zobaczyć się z jej mężem, żona Ferreiry twierdzi jednak, że nic jej o tym nie wiadomo. Jesteśmy też pewni, że MacDonald znał Nienabera. Nienaber przyznał, że był na miejscu zbrodni, ale...

- Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? - zdenerwował się brygadier.

Petersen zapadł się w krzesło. De Wit otworzył i zamknął usta. - Ja-

- Nienaber domagał się adwokata przy przesłuchaniu. Musieliśmy działać zgodnie z procedurami. I mieliśmy marne dowody. To dobrze znany, wpływowy człowiek... - Joubert próbował bez większej nadziei podeprzeć się argumentami.

- Powiniście mnie poinformować.

- Powinniśmy, brygadierze. To moja wina. Ale staraliśmy się za dużo o tym nie mówić, bo śledziliśmy faceta. Przyjeliśmy, że jest podejrzany. Szukaliśmy związku między nim a pozostałymi ofiarami. Ponieważ jednak krewni niczego nie mogli potwierdzić...

- Powinniście mi powiedzieć...

- Wspomniał pan, że macie nowe informacje - odezwał się z nadzieją de Wit.

Joubert rzucił mu pełne wdzięczności spojrzenie.

- Tak, zgadza się, pułkowniku. Przypadkiem zobaczyliśmy, że Nienaber podkreślił w swojej książce telefonicznej kilka nazwisk. MacDonald, Carina Oberholzer... W piątek wieczorem wypadła z okna swojego mieszkania na trzynastym piętrze bloku w Sea Point. Patolog nie stwierdził innych ran ani obrażeń. Policjanci z Sea Point twierdzą, że w mieszkaniu nie znaleźli śladów walki. Ale nie wierzę, że to zbieg okoliczności. W piątek zamordowano Ferreirę. W poniedziałek MacDonald, u którego zjawił się Nienaber. Te zbieżności czasowe... Jej szef... pracowała jako sekretarka w Petrogas... powiedział, że w piątek była zadowolona i pogodna jak zawsze. Jej przyjaciel ma restaurację na Waterfront. Po południu rozmawiał z nią przez telefon; obiecała wpaść o dziewiątej i pomóc mu w godzinach szczytu. Po dziesiątej zaczął się niepokoić i próbował się do niej dodzwonić, ale nie odbierała. Mógł pójść jej szukać dopiero po zamknięciu, niestety wtedy już nie żyła.

- Więc ma alibi - rzucił Vos.

- Tak - zgodził się Joubert. - Przydało mu się. Carina Oberholzer była jego kochanką. Łajdak jest żonaty. Powiedział, że Oberholzer o tym wiedziała.

SIERŻANT CARL VAN DEVENTER awans do wydziału morderstw i kradzieży zawdzięczał temu, że był w Kapsztadzie najlepszym policyjnym specem od włamań.

Umiał na przykład określić, czy włamywacz był profesjonalistą, czy amatorem, tylko na podstawie śladów lub ich braku.

Tak jak wróżki wróżą z fusów, tak wystarczało czasami, żeby van Deventer przyjrzał się scenie włamania i od razu rzucał nazwisko, i podawał historię kryminalnej przeszłości przestępcy, wydedukowaną jedynie ze sposobu, w jaki otwarto szufladę, czy z ułożenia niedopałka w popielniczkę.

Swoją biegłość zdobył dzięki szczeremu zainteresowaniu, ciężkiej pracy i nauce - nie tylko tej zdobywanej po to, by zdać oficjalne policyjne egzaminy, lecz również tej z uniwersytetu ulicy: przesłuchując oskarżonych i uprzejmie, choć stanowczo wypyując ich, jak rozbroili alarm albo otworzyli skomplikowany zamek.

W ciągu lat pracy zgromadził imponującą kolekcję złodziejskich narzędzi, która uczyniła z niego legendę.

Jeśli pracowałeś w wydziale morderstw i kradzieży i twoje dzieciaki spuściły klucze z wodą w toalecie domu znajomych, nie dzwoniłeś do ślusarza - posyłałeś po van Deventera. Jeśli chciałeś obejść prawne procedury i przeszukać biuro podejrzanego bez koniecznych papierów (albo kluczy), dzwoniłeś do van Deventera.

Jeśli miałeś zamkniętą aktówkę, a kombinacja cyferek powędrowała z Nienaberem na tamten świat, prosiłeś van Deventera, żeby przyniósł swoje wihajsterki.

Gdy Snyman zadzwonił do niego, van Deventer rozpracowywał właśnie satanistyczny mord w Durbanville.

- Zostaw ją na moim biurku. Będę w firmie po południu - powiedział van Deventer.

Zgodnie z danym słowem zabrał się do roboty natychmiast po powrocie. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki etui z czarnej skóry, wybrał stosowne narzędzie, trochę podłubał tu, trochę tam i dokładnie po czterdziestu czterech sekundach walizeczka otworzyła się z trzaskiem.

W nagrodę za pracę wolno mu było obejrzeć zawartość aktówki. Podniósł wieczko, zobaczył pistolet kaliber 9 milimetrów i zrozumiał, że nic z tego, bo broń może być narzędziem zbrodni. Człowiek nie zabawia się czymś takim, chyba że spieszo mu na emeryturę.

Zadzwonił do Snymana, ale ten nie odbierał. Potem do Mata Jouberta, jego też nie zastał. Zrobił więc to, co nakazywała w takim przypadku procedura. Zbiegł do recepcji do Mavis Petersen, wpisał się na listę, poszedł do sejfu i zamknął w nim broń. Po czym poprosił Mavis, żeby powiadomiła Snymana albo Jouberta, że aktówka jest otwarta i dobrze, żeby się nią zainteresowali.

Nie wiedział, że pistolet nie jest narzędziem zbrodni. Podobnie jak nie wiedział, że pod pistoletem, między papierzyskami, leży lista z nazwiskami, czekając, by ktoś ją znalazł, i że figuruje na niej nazwisko mordercy.

Ale Carl van Deventer nie miał daru jasnowidzenia, choć z popielniczek umiał czytać jak z fusów.

- NIE, NIE CZYTAM Z FUSÓW - powiedziała Madame Jocelyn Lowe i się uśmiechnęła.

Stała na parkingu przy hotelu w Newlands, tym samym, na którym James Wallace wydał ostatnie tchnienie. Otoczona została przez pokazny tłumek dziennikarzy. Były tam stacje SABC i M-Net i byli wolni strzelcy, którzy mieli nadzieję sprzedać coś Sky News albo CNN. Były też ekipa BBC 2 i Thames. Oraz prasa; lokalna - w całej rozpiętości językowej - i zagraniczna. Silną reprezentację wystawiły zwłaszcza brytyjskie brukowce.

Mat Joubert, Nugat O'Grady i Louw przystanęli z boku. Louw patrzył na to zamieszanie z otwartymi ustami. Joubert spuścił głowę. Wcale nie zamierzał tu być. Chciał zadzwonić do Hanny Nortier z propozycją: „Witam panią doktor, co powiedziała by pani na odrobinę rozrywki w piątkowy wieczór i zaproszenie na *Cyrulika*?” Ale musiał być obecny, żeby potem zdać relację. Madame Lowe osobiście rozmawiała z brygadierem i brygadier osobiście poprosił go, żeby się nią zaopiekował.

Joubert zrozumiał już, czemu de Wit tak nalegał na sprowadzenie Madame. I dlaczego brygadier tak chętnie jej pomagał.

Była ładną kobietą po czterdziestce, wysoką, atrakcyjną i zachowywała się z wyniosłością proporcjonalną do obwodu w biuście.

- Z fusów i dłoni czytają Cyganie. Ja mam zdolności parapsychologiczne. Osoby o takich zdolnościach z niczego nie czytają. Czują - głos miała niezbyt silny, mówiła z wyraźnym akcentem Oksbridge. - W rękę trzymam części garderoby, którą miała na sobie ofiara morderstwa; zaraz przekonamy się, czy wyczuję emanacje tragicznego zdarzenia, które tu zaszło.

- Emanacje - O' Grady przedrzeźniał ją szeptem. - Ta kobieta to pieprzony szarlatan. Pogrywa na tych głupkach jak na skrzypcach.

Joubert nic nie odpowiedział, niepewny znaczenia słowa „szarlatan”.

- Czuję taką skondensowaną aurę. Wśród was musi być wiele utalentowanych ludzi. Ale muszę was poprosić, żebyście się odsunęli. Do pracy potrzebuję przestrzeni i ciszy - oświadczyła.

Prasa ucichła.

- Gdybyście zechcieli zaczekać tam, bardzo proszę. - Wskazała upierścienionym palcem skraj parkingu. - I proszę, panowie kamerzyści, żadnych lamp, gdy się koncentrują. Będzie mnóstwo czasu na zdjęcie później.

Dziennikarze ruszyli potulnie tam, gdzie chciała, prowadzeni przez kamerzystów i fotografów, biegnących, żeby jak najszybciej rozstawić na trójnogach sprzęt.

Czekała cierpliwie, potem odwróciła się do nich plecami i stanęła w miejscu wskazanym jej przez tylko na wpół obecnego duchem Jouberta. Plamy krwi na asfalcie zbladły już i poczerniały, nie różniąc się wiele od plam oleju.

Madame wyjęła z plastikowej torby zakrwawioną białą koszulę Jamesa Wallace'a, zamknęła teatralnie oczy i przycisnęła ubranie do piersi. Wyprężyła się jak struna i zamarła w bezruchu.

Joubert usłyszał niesamowity dźwięk: ciche, jednostajne mamrotanie. Uświadomił sobie, że dobywa się z ust kobiety. Mmmmm-mm... wyspiewywane na jednej nucie. Mruczała tak i mruczała, stojąc nieporuszona jak słup, wyprostowana, całkiem niezłe prezentując się od tyłu w niewyszukanej, ale modnej sukience.

- Mmmmmmm...

Joubert zastanawiał się, jak dobrze poznał ją de Wit.

„Stary znajomy”, zacytowała Anna Boshopp za „Cape Times”.

Śmieszna parę by stanowili, pomyślał. Wysoka, zmysłowa kobieta i niski, brzydki facecik.

Nie, Anna Boshopp powiedziała przecież, że de Wit nie oglądał się za kobietami na kongresach.

- Mmmmmmmmm...

Jakoś nie umiał odpędzić tego obrazu. Madame leży naga na plecach, w swoim nawiedzonym przez duchy pokoju ze zwisającymi z żyrandola pajęczynami i czarnym kotem wylegającym się przed palenikiem. Bart de Wit, uśmiechając się, mierzy obwód jej biustu, podczas gdy Madame mruczy to swoje niesamowite...

- Mmmmmmmmm...

Czemu, u licha, znów myśli o seksie? Poczuł ucisk w żołądku. Czyżby to skutek wyobrażeń o potencjalnej randce z panią psycholog? Czyżby kołatała w nim ukryta nadzieja, że pozwoli mu głaskać swoje kruche ciało, że obejmie jej drobne piersi i powoli, lecz pewnie poprowadzi ją ku miłości? Pocałuje delikatnie ładne nieumalowane wargi,

położy dłonie na ramionach, a potem będzie nimi sunął po jej plecach...

Madame Jocelyn Lowe głośno wypuściła z płuc powietrze. Jej zmęczone ramiona i głowa opadły; przyciskała do siebie koszulę. Zastygła w tej pozycji, sekundy płynęły i przedstawiciele mediów zaczęli niespokojnie falować.

- Za mało - powiedziała z rezygnacją. - Ruszajmy.

Rozdział 35

KONWÓJ SAMOCHODÓW PRZEMIESZCZAŁ SIĘ z jednego miejsca zbrodni na drugie. Na czele jechał prowadzony przez czarnego szofera mercedes benz, a w nim Madame. Za mercedesem sunęła sierra detektywów, a za nimi karawana wozów mediów - od mikrobusów telewizji do osobowych aut dziennikarzy.

Podczas gdy Madame wchłaniała wibracje ostatnich chwil Ferdy'ego Ferreiry, Joubert poszedł na kemping Old Ship poszukać kabiny telefonicznej. W rozlatującej się książce telefonicznej odszukał numer Computicket i zadzwonił. Potwierdzili, że w piątek wieczorem grają *Cyrulika sewilskiego*. Podobnie jak w sobotę i środę, piątek i sobotę następnego tygodnia.

Zapytał, czy są wolne miejsca na najbliższy piątek.

To zależy, czy mają być tanie, czy drogie.

- Najlepsze - powiedział.
- Drogich miejsc jest sporo wolnych. Gdyby podał mi pan numer karty kredytowej...

Zawahał się. A jeśli Hanna Nortier nie zechce z nim pójść... Zobaczył siebie i Benny'ego Griessela wśród bywalców opery, dwóch pieprzonych głupich gliniarzy słuchających sopranów, librett i tym podobnych. Postanowił myśleć pozytywnie. Nic nie ryzykował...

Zarezerwował dwa miejsca, odłożył słuchawkę i poszedł nad morze, gdzie Madame wciąż wyśpiewywała swoje mmmmmm...

- Poczyła ciekawe obserwacje, ale musicie dać mi czas na uporządkowanie myśli. Mogę to zrobić w drodze do hotelu. Czy konferencja o szóstej wam odpowiada?

Dziennikarze jęknęli, ale to nie była pierwsza lekcja cierpliwości, której Madame im udzielała. Spakowali manatki i powiadali do samochodów, zaparkowanych równym rzędkiem na zwirowanym parkingu przy plaży.

- Mistrzynie świata w picowaniu - mruknął O'Grady.

Joubert się nie odzywał. Trzymał garderobę, której potrzebowała do pracy Madame, i walczył z nieprzepartą ochotą na papierosa. Wierciła mu w głowie. Brzęczała w uszach. Dobry Panie, co za męczarnia!

- Chciałbym usłyszeć jej rewelacje. Mogę pójść na konferencję, kapitanie? - poprosił Basie Louw.

- Tak.

- Ciekawy jestem, co powie. Czy dowiedziała się, że Wilson był gejem. A Wallace kobieciarzem.

Za nimi szła chuda reporterka z „Argusa”. Dosłyszała słowa Louwa. Zastrzygła wprawnymi uszami, ale nic więcej nie chlapnął. Rozejrzała się, żeby sprawdzić, kto jeszcze mógł go usłyszeć, ale inni byli za daleko.

- Podwieźć kogoś z panów do hotelu? - zapytała po angielsku na tyle głośno, żeby Louw ją usłyszał.

- Wraca pan do firmy, kapitanie? - zapytał Louw.

- Nie, jadę do domu Nienabera - odrzekł Joubert.

- Mogę się z panią zabrać? - zapytał Louw reporterkę.

- Oczywiście - odparła.

- **CHŁOPCY SĄ U SASIADÓW, KAPITANIE.** Rozmawiałem z najstarszym. Powiedział, że brat jego ojca jest w drodze z Oudtshoorn. Sąsiedzi po niego zadzwonili. W szpitalu powiedziano, że pani Nienaber jest wciąż pod działaniem środków uspokajających - zameldował Snyman.

- A biurko?

- Znalazłem te papiery, kapitanie. - Wskazał schludny stosik na podłodze. - Nic ciekawego. Sprawy rodzinne. Akt małżeński, metryki chrztu, cenzurki dzieci, zdjęcia.

- Dobra robota.

- Co teraz, kapitanie?

- Zapytałeś chłopca o nazwiska?

- Nigdy ich nie słyszał.

- A Oberholzer?

- Też nie.

- No to zaczniemy jeszcze raz od początku, Gerrit. Zadzwoń do pani Wallace i pani Ferreiry. Tobie zostawiam matkę Wilsona i jego znajomych. Pytaj o Nienabera.

Snyman skinął głową i odwrócił się, ale Joubert zorientował się, że posterunkowy nie wierzy w teorię związku między ofiarami. Poszedł do gabinetu Nienabera, mijając ścianę zawieszoną zdjęciami i dyplomami, usiadł za biurkiem i wyjął swój notatnik. Doktor Hanna Nortier. Już jutro się z nią zobaczy. Ale jutro służbowo. Teraz zadzwoni prywatnie. Wystukał numer.

- Dzień dobry. Niestety chwilowo nie mogę odebrać. Proszę zostawić wiadomość po sygnale. Dziękuję i do widzenia. - Rozległ się elektroniczny brzęczyk. Nie nagrał się. Pewnie jest czymś zajęta. Przerwał połączenie, ponownie wybrał numer.

- Dzień dobry. Niestety, chwilowo... - Ma bardzo ładny głos, pomyślał. Brzmiał tak, jakby było jej naprawdę przykro, że nie może odebrać telefonu. Cichy, melodyjny głos.

Niemal widział usta wypowiadające te słowa, ładne usta w ładnej szczupłej twarzy, wąski, spiczasty nosecek. Czy mu się zdawało, czy zdawała się zmęczona? To drobne ciało musiało dźwigać brzemień problemów innych ludzi. Chciałby jej pomóc się odprężyć. Odciążyc ją trochę...

Cicho odłożył słuchawkę.

Zakochałeś się, głupolu.

Włożył rękę do kieszeni marynarki i zaczął szukać papierosa. Przestał, gdy przypomniał sobie, że nie pali.

Też sobie wybrałeś porę, skarcił się i popatrzył na swoje roztrzęsione dłonie.

Och, dobry Panie na wysokościach, koniecznie muszę natychmiast zapalić.

Po prostu pal mniej. Cztery na dzień. Jeszcze lepiej trzy. Trzy papierosy dziennie nie mogą, na miły Bóg, nikomu zaszkodzić. Jeden do kawy... Nie, nie przed pływaniem. Pierwszy w pracy, powiedzmy o dziewiątej. Potem jeden po dietetycznym lunchu. I jeden do książki i drinka. Musi pomyśleć o drinku. Piwa już nie może pić, jest zbyt tuczące. Whisky. Nauczy się pić whisky.

„Czego się napijesz, Mat?” - zapyta go Hanna Nortier w piątkowy wieczór, po tym, jak zaprosi go do swojego domu, apartamentu czy

gdzie tam mieszka, gdy usiądą w wygodnych fotelach, w półmroku pokoju oświetlonego tylko lampą w kącie, słuchając puszczonej przez nią cicho takiej czy innej operowej arii.

„Whisky - powie - poproszę whisky, Hanno”.

Hanna.

Jeszcze nigdy głośno nie wypowiedział jej imienia.

- Hanna.

A wtedy ona kiwnie zadowolona głową, bo whisky pasuje do bywałców opery, po czym wstanie i zniknie w kuchni, żeby przyrządzić drinki; on oprze się wygodnie, założy ręce za głowę i zastanowi się nad jakąś inteligentną uwagą na temat opery i swojego brata krwi Rossiniego. Ona wróci, poda mu whisky i usiądzie wygodnie z podkulonymi nogami w fotelu, wpatrując się w niego spod grubych brwi brązowymi oczami. Będą rozmawiać, a gdy atmosfera dojrzeje, on pochyli się i pocałuje ją w usta, lekko, żeby wyczuć jej nastawienie. A potem znów rozsiądzie się wygodnie i poczeka, aż...

Ponownie wybrał jej numer, pełen współczucia dla zapracowania Hanny Nortier oraz marzeń z nim i nią w rolach głównych.

„Dzień dobry. Niestety chwilowo nie mogę odebrać. Proszę zostawić wiadomość po sygnale. Dziękuję i do widzenia”.

- Mówi Mat Joubert - powiedział cicho, gdy przebrzmiał brzęczyk. - Chciałbym... Ja... - Jeszcze przed chwilą wiedział, co chce powiedzieć, a teraz się jąkał. - *Cyrulik sewilski*... Mam dwa bilety na piątkowy wieczór... czy nie zechciałaby pani wybrać się ze mną? Może pani oddzwonić do mnie do domu, później, bo teraz pracuję i muszę jeszcze pojechać... - Nagle pomyślał o tym, ile mieści się na kasecie, i zakończył szybko: - Dziękuję bardzo.

Odłożył słuchawkę, znów poklepał się po kieszeniach, znów doszedł do wniosku, że trzy papierosy dziennie to naprawdę nie za dużo, i wybrał numer Margaret Wallace.

Odebrał jej syn i poszedł ją zawołać.

Jooubert zapytał ją, czy jej mąż znał Olivera Nienabera.

- Tego od włosów?

- Tak.

- Znał.

Pochylił się w fotelu.

- Jak się poznali?

- Obaj byli finalistami konkursu na przedsiębiorcę roku. Zwycięzcą został Nienaber.

Joubert spojrzął na dyplomy. Znalazł ten, którego szukał.

- Siedzieliśmy obok nich na ceremonii rozdania nagród. Jakieś ... dwa, trzy lata temu. Jego żona jest taka śliczna. Bardzo dobrze nam się rozmawiało.

- Później też się kontaktowali?

- Chyba nie, nie sądzę. Nie wydaje mi się, żeby James za bardzo go lubił. Przy stole... wyczuwało się napięcie. Ale pewnie dlatego, że ze sobą rywalizowali. - Margaret Wallace umilkła na chwilę. - Proszę, niech pan nie mówi, że on...

- Tak - odparł Joubert z pełną współczucia rezerwą. - Został zastrzelony dziś rano. - Usłyszał jej westchnienie:

- Dobry Boże...

- Przykro mi - powiedział, nie wiedząc czemu.

- Co z tego wynika, kapitanie? Że Jimmy znał tego Ferreirę i Nienabera? Co to znaczy?

- Próbuję się dowiedzieć.

- To musi coś znaczyć.

- Tak. Więc... Więc nie wie pani, czy później się kontaktowali?

- Nie. Nie sądzę. Jimmy nigdy o nim nie wspomniał.

- Dobrze, dziękuję, pani Wallace.

- Kapitanie... - zawahała się, niepewna.

- Tak?

- Ile czasu zabrało panu... To znaczy, ile czasu od... śmierci pańskiej żony...

Zamyślił się. Nie mógł jej odpowiedzieć. Nie mógł przekazać złej wieści, że minęły ponad dwa lata, a on wciąż tkwił w pajęczynie śmierci Lary. Musi skłamać, dać nadzieję tej kobiecie o różnokolorowych oczach.

- Jakieś dwa lata.

- Dobry Boże - jęknęła. - Dobry Boże.

GRIESEL DOSKONALE WIEDZIAŁ, że charakteryzatorka z wydziału dramatu Rady Sztuki nie mogła być Rabusiem Złotko, choćby dlatego, że była kobietą, wprawdzie nie atrakcyjną, ale interesującą. Miała króciutkie, ciemnokasztanowe włosy, twarz łagodną i inteligentną. Palila długiego papierosa, a kiedy mówiła, gestykulowała smukłymi dłońmi.

- Szuka pan charakteryzatora filmowego - powiedziała głębkim głosem. Wskazała wiszące rządkiem na ścianie zdjęcia aktorów i aktorek. - Zrobiono je w trakcie przedstawień albo prób. Proszę popatrzeć na makijaż, jest ciężki. Na oczy. Na usta. Na ubranie. Makijaż sceniczny robi się inaczej. Musi być mocny, żeby był widoczny dla widza w ostatnim rzędzie. Zgoda, są też podobieństwa. - Położyła palec na jednym ze zdjęć Griessela, które rozłożył przed nią na stoliku. - Też mogłabym go tak postarzyć, ale moje zmarszczki byłyby grubsze. Te są z lateksu. Ja narysowałabym je ołówkiem. Może dałabym odrobinę lateksu na podwójny podbródek albo coś w tym guście. Ten facet pracuje dla filmu. To widać. Niech pan spojrzysz tutaj. - Wycelowała w zdjęcie Elvisa. - Tu ma okrągłejsze policzki. Jakby miał bardziej wystające kości policzkowe. Można je zrobić z gumy, nakleić od strony ust gumowe paski. Gdyby coś takiego zrobić w teatrze, aktor nie mógłby mówić. Na scenie musi mówić, bo widz z tyłu musi go widzieć i słyszeć. A w filmie można nagrać głos później. O, albo tutaj. To nie jest teatralna broda. Teatralną brodę albo włosy przygotowuje się znacznie krócej niż na potrzeby filmu; publiczność nie widzi ich z bliska. W teatrze, jeśli stanie się obok aktora w peruce, widzi się, że to peruka. To samo z brodą czy wąsami. - Zgasiła papierosa i zapaliła następnego.

- Są tacy, którzy pracują i dla teatru, i dla filmu?

- Nie... Chociaż... Ale o nikim takim nie słyszałam. Świat charakteryzatorów teatralnych jest maleńki, cztery, pięć osób. I nie znam nikogo, kto by pracował dla filmu. Tu nie da się być wolnym strzelcem, bo to specyficzna branża.

- Ilu możemy mieć charakteryzatorów filmowych?

- W Prowincji Przyładkowej? Naprawdę nie umiem powiedzieć. Cztery, pięć lat temu nie było ani jednego. Teraz zapanowała moda wśród wszelkiej maści pozerów na przyjeżdżanie tu i przymieranie głodem. Ale nie wiem, ilu ich jest. Dziesiątka? Piętnastka? Góra dwadzieścioro.

- Mają związek zawodowy albo coś w tym stylu?

Roześmiała się; zobaczył, że zęby ma pożółkłe od papierosów, ale nie odejmowało jej to wdzięku.

- Nie.

- Od czego powinienem zacząć poszukiwania?

- Znam faceta, który ma własne studio. Dam panu jego numer.

- Studio?
- Jest producentem filmowym. Tak to nazywają, choć tak naprawdę to małe firemki prowadzone przez najwyżej dwie osoby. Wynajmują kamerzystów, charakteryzatorów, reżyserów, oświetleniowców i tak dalej. Pewnie zna numery do wszystkich.
- Ile zarabia charakteryzator filmowy?
- W Hollywood pewnie dużo. Ale tu... Życie wolnego strzelca nie należy do łatwych...
- Może dlatego napada na banki - powiedział Griessel, zbierając zdjęcia.
- Jest pan żonaty? - zapytała charakteryzatorka.
- Rozwiedziony - odparł Griessel.
- Mieszkacie razem?
- Nie, ale zamierzam odzyskać żonę. I dzieci.
- Szkoda - westchnęła charakteryzatorka i zapaliła kolejnego papierosa. - Idę poszukać tego numeru.

- **DZIĘKUJĘ ZA PRZYBYCIE, PANIE I PANOWIE.** Za nami ciężki dzień i postaram się nie marnować państwa czasu. Ale proszę dać mi parę minut na wyjaśnienie czegoś.

Madame Jocelyn Lowe stała na podwyższeniu w jednej z sal konferencyjnych hotelu Cape Sun. Przed nią siedziało sześćdziesięciu czterech przedstawicieli mediów i jeden wydziału morderstw i kradzieży.

- Nie prosiłam się o zdolności, które posiadam. Zostały mi dane łaską Boga. Gdy pomagam policji, nie czynię tego z pobudek finansowych. To mój sposób wyrażenia wdzięczności za dar i skromnego przysłużenia się ludziom. Z drugiej strony, nie wszyscy wierzą w mój talent. Są między wami sceptycy. Proszę jedynie o danie mi uczciwej szansy. O niewydawanie sądów do czasu wyjaśnienia sprawy. Dopiero wtedy dowiemy się, czy pomogłam.

Louw prychnął. Wtedy to już będzie bez znaczenia, wróżko, pomyślał. Dobrze im się rozmawiało z tą angielską reporterką po drodze z Melkbos. O Madame. Dziennikarka uznała, że to naciągaczka. A on, Basie Louw, zgodził się z jej opinią. Bo choć reporterka nie była ładna, to jej tyłek nieźle wyglądał w opiętych dżinsach, i jeśli on dobrze się postara, to kto wie, może wieczór zaliczy do udanych.

- A teraz pozwólcie mi przejść do powodu mojego pobytu tutaj.

Kilka osób z mediów zaklaskało grzecznościowo, ale Madame tylko uśmiechnęła się z godnością.

- Pragnę was zapewnić, że to nie było łatwe zadanie. Niektóre z tych morderstw popełniono czternaście dni temu. Niestety, aura słabnie z czasem. Jest jak dźwięk rozchodzący się w przestrzeni. Im dalej od źródła, tym słabiej go słyszeć. Poza tym, gdy do morderstwa dochodzi w miejscu publicznym, takim jak parking, plaża albo winda, wyczuwa się wiele rozpraszających wibracji. By jeszcze raz użyć analogii do dźwięku, to tak, jakby słyszało się wiele głosów naraz. Niełatwo wtedy wyłowić ten właściwy.

Jeszcze nic nie powiedziała, a już się tłumaczy, pomyślał Louw. Inni wiercili się niespokojnie, jakby podzielali jego zdanie.

- Widzę, że zdaniem niektórych z was już szukam wymówek...

Jezu. Ta kobieta czyta w myślach, przemknęło Louwowi przez głowę.

- ...ale proszę jeszcze raz, odłóżcie zastrzeżenia na później, bo wchłonęłam wystarczająco dużo wibracji, żeby otrzymać jasny obraz wydarzeń.

W sali zapadła taka cisza, że słyszeć było jedynie szum wentylacji i terkot pracujących kamer.

- Po pierwsze, wyczułam ogromną nienawiść i strach. Nawet na parkingu w Newlands nienawiść i strach wciąż były namacalne... - Długopisy skrobały po papierze jak oszalałe. - Nienawiść, która narażała przez wiele lat, aż stała się potężna. Strach, którego korzenie leżą w mgłę czasu... Widzę - tu Madame Jocelyn Lowe zamknęła oczy - ...postać trawioną, owładniętą emocjami, zdeterminowaną. Nie kieruje się rozumem, pozostał z niego ledwie cień.

Skrada się w półmroku jak duży, silny, żądny odwetu drapieżnik. Pojawia się w plamie upiornego światła. Widzę kapelusz z szerokim rondem. Powoli zaznaczają się rysy twarzy, nieostre, wykrzywione, oczy płoną nienawiścią jak latarnie. A to?... chyba broda. Widzę brodę, jasną, może rudawą, bujną, spływającą z policzków na ubranie. Ręce... są potężne, wyrzeźbione zmaganiem się od pokoleń z trudną ziemią. Trzyma dziwną broń, czai się, rozgląda... Drapieżnik, wojownik, relikwizyjny zapomnianej epoki, upiorne widmo. Widmo z ciała i krwi, istnieje naprawdę, podobnie jak jego nienawiść i strach... - Otworzyła oczy, stała

przez chwilę nieruchomo, po czym podniosła z pulpitu szklankę z wodą i upiła łyk. - Wybaczcie. To bardzo męczące. - Kolejny łyk. Potem dodała spokojnie, już bez teatralnej intonacji, i na tyle głośno, żeby można ją było usłyszeć w najdalszym zakątku pogrążonej w ciszy sali: - Mam powód sądzić, że te zabójstwa są inspirowane przez politykę. Nie taką politykę, jaką znamy my, panie i panowie, ale politykę postrzeganą obłąkanym umysłem. Tak, wyczuwam mężczyznę. Dziwnego, obcą, niesamowitą istotę, dźwigającą na barkach brzemień dziedzictwa, brzemień narodu.

- Chce pani powiedzieć, że to Afrykaner? - reporterowi z „Weekly Mail” wyrwało się pytanie.

Uśmiezek.

- Nie przemówił do mnie.

Rozległy się stłumione chichoty, rozładowując napięcie na sali.

- Ale powiedziała pani, że miał rudawą brodę. A to oznacza białego.

- Mężczyzna rasy białej? Tak. Z tym się mogę zgodzić.

- I w kapeluszu?

- Tak.

Nagle posypał się grad pytań. Madame uniosła lewą rękę. Zalśniły kamienie jej pierścienia.

- Chwileczkę, już prawie skończyłam. Ale chciałabym coś dodać.

Zapadła cisza.

- Wyczułam kapelusz. Ale to nie oznacza, że wkłada go za każdym razem, gdy pociąga za spust. Wyczułam też długie czarne okrycie. Tyle że to tylko wibracja, może oznaczać po prostu, że lubi tak się ubierać. Jest jednak coś jeszcze. Nie mieszka w tym mieście. Nie tu ma dom. Jeśli chcecie znaleźć jego dom, musicie szukać gdzie indziej. Szukać miejsca na wielkich, spalonych słońcem równinach. Nie widać stamtąd gór, a rzeki wysychają. Tam jest jego dom. Tam pielęgnował swoją nienawiść i stamtąd bierze się diabelska energia, która każe mu zabić... A teraz chętnie odpowiem na państwa pytania. Ale, proszę, miejcie na uwadze, że powiedziałam już wszystko, co wiem.

Ręce wystrzeliły w górę, posypały się pytania.

Reporterka z „Argusa” odwróciła się do Louwa i uśmiechnęła.

- I co o tym sądzisz? Jako policjant?
- Pieprzy głupoty - odparł szczerze i natychmiast pożałował swojego słownictwa. Niektóre kobiety nie znoszą przekleństw, a on nie chciał zaprzepaścić swoich wieczornych szans.
- Też tak myślę - zgodziła się reporterka i znów się uśmiechnęła. - Chcesz piwo?
- Tak. Ja stawiam.

OBIAD JOUBERTA SKŁADAŁ SIĘ Z sześćdziesięciu gramów duszonego kurczaka (bez skóry), sześćdziesięciu mililitrów sosu z pieczeni (bez tłuszczu), stu dwudziestu pięciu miligramów bukietu jarzyn i tyle gotowanego (i zupełnie bez smaku) kalafiora, na ile ma ochotę - zjedna pieprzoną jednostką tłuszczu.

A po obiedzie pozwoli sobie na aromatycznego winstona i szklaneczkę whisky.

Życie odmierzane miligramami.

Nie mógł się już doczekać papierosa i drinka, przyjemności rozjaśnianych ponury wieczór. Swojej nagrody.

Po telefonie do Gail Ferreiry, która przecząco odpowiedziała na wszystkie pytania, pojechał do sklepu monopolowego kupić whisky. Wybrał Glenfiddich, bo była najdroższa, a on chciał coś przyzwoitego, nie jakieś byle paskudztwo z półki z tanioczą, opatrzone fałszywą szkocką etykietką. Potem pojechał do kawiarni po winstony - paczka leżała teraz na stole, jeszcze nieotwarta i pełna obietnic. Och, ale będzie mu smakować. Ten pierwszy dymek, pachnący zapałką - bo cholerną zapalniczkę wyrzucił rano razem ze special mild - którym zamierzał głęboko się zaciągnąć...

Zadzwoił telefon. Pokłusował korytarzem, połykając po drodze cząstkę kalafiora.

- Joubert.
- Mówi Hanna Nortier. - Tym razem znużenie w jej głosie było tak wyraźne, że zapragnął ją przytulić i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. - Nie wiem, czy to dobry pomysł - powiedziała i nagle zaczął żalować, że ją zaprosił.

Co odpowiedzieć?

- Jesteś pacjentem.

Jak mógł o tym zapomnieć? Jak mógł postawić ją w takiej sytuacji? Szukał honorowego wyjścia...

- Ale dobrze by mi zrobiło gdzieś się wyrwać - dodała, jakby do siebie. - Mogę dać ci odpowiedź jutro?
 - Tak.
 - Dziękuję, Mat. - Odłożyła słuchawkę.
- Wrócił do kuchni.

REPORTERKA DORÓWNYWAŁA SPRYTEM stadku małp. Poczekwała, aż w babskiej knajpce w Sun Cap zaczną piątą kolejkę.

- Słyszałam, że ten Wallace sypiał z kim popadnie.
- Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie. Mówiła po afrykanersku z silnym angielskim akcentem, i choć głowę miała nie najsłabszą, to jednak niełatwo dotrzymać kroku policjantowi.
- Wy, dziennikarze, zawsze wszystko wyniuchacie - powiedział ze szczerym podziwem Louw.

Nie to chciała usłyszeć.

- Tak mi się tylko obilo o uszy...
- Ale to prawda. Nie żałował sobie. Aż do końca. Tego dnia, gdy go zastrzelono przed hotelem, spotkał się tam z blondynką.
- Przecież był żonaty.
- Nie bardzo mu to przeszkadzało. - Nagle dotarło do niego, z kim rozmawia. - Nie będziesz... mnie cytować, mam nadzieję?
- Możesz mówić jak na spowiedzi. - Uśmiechnęła się.

Dziś mój szczęśliwy wieczór, pomyślał Louw.

- Pochodziła z Johannesburga. Pracowała w komputerach. Wallace się z nią pieprzył, po lunchu. Nazywała się chyba van der Merwe.

Zapisałem gdzieś jej nazwisko. - Wyjął notes, przewracał kartki, popijając jednocześnie piwo. - Elizabeth van der Merwe. Ale nie podejrzewaliśmy jej. Ja od razu wiedziałem, że to nie ona.

Opróżnił kufel.

- Jeszcze jedno?
- Czemu nie? - przesłała z powrotem na angielski. - Noc jeszcze młoda. - I popatrzyła na niego znacząco.

Rozdział 36

NIENABER ZNAŁ MACDONALDA I WALLACE'A. Wallace znał Ferreirę.

Zostaje Oberholzer. I Wilson. Który nijak nie daje się wpasować.

Poprzedniego wieczoru, po przygnębiającym telefonie Hanny Nor-tier, przyjrzał się skrupulatnie faktom. Teraz pływał, myślał i myślał, a układanka za nic nie chciała się ułożyć.

Znał to uczucie: świadomość, że każdy fakt coś znaczy, ale brakuje tej jednej informacji, pozwalającej sensownie poskładać resztę i sformułować spójną teorię. Bardzo go to irytowało, bo nie wiedział, czego jeszcze brakuje. Równie dobrze mógł już mieć gotową odpowiedź. Czasem pomagała ją dojrzeć świeża perspektywa, nowe podejście.

Wczoraj spróbował wszystkiego.

Usługi pocztowe. Jubiler. Bezrobotny stolarz. Rybak. Fryzjer.

Czterdzieści lat, trzydzieści parę, pięćdziesiąt, czterdzieści, czterdzieści.

Sukces, średnio, porażka, średnio, sukces.

Kobieciarz. Homoseksualista. Smutny amator porno. Gwałciciel. Nie wiedział, czy Nienaber zdradzał żonę.

Oberholzer? Jest w to zamieszana? Czyżby? Związała się z żonatym facetem. Może wcześniej z Nienaberem? Pruł ramionami wodę, robiąc w głowie notatki. Zadzwoń do szpitala. A nuż uda się dziś porozmawiać z panią Nienaber. Wypytać szefa Oberholzer. Gdzie pracowała wcześniej? Zadzwoń jeszcze raz do włochatego Waltera Schuttego z Wallace Quickmail. Słyszał o Carinie Oberholzer?

O czym będzie z nim chciała po południu rozmawiać Hanna Nor-tier?

Dobry Boże, żeby tylko znów się nie rozbeczał.

Musi ją odciągnąć od Lary. Nie może dziś rozmawiać z nią o Larze, a jutro zabrać ją do opery.

Sprawiła, że się otwierał. Dobrze o tym wiedział. Obierała go jak pomarańczę i wyciskała sok. Była dla niego za sprytna.

Może nie powinien dzisiaj się u niej pokazywać. A gdyby tak zadzwonił i powiedzieć, że ma urwanie głowy i nie da rady, że przyjdzie w następny czwartek. A przy okazji zapytać, czy pójdzie z nim do opery?

Podciągnął się bez wysiłku na krawędź basenu, nieświadomy, jak łatwo mu się oddycha ani jak imponujący dystans przeplynał, rozmyślając nad zagadką mauzera. Ubrał się, pojechał na ulicę Kasselsveie, starając się omijać wzrokiem prasowe reklamówki krzyczące: „To trzecia wojna burska, uważa angielskie medium”. A w „Die Burger”: „Krótko przystrzyżone życie barona fryzjerów”.

Widział je, ale miał zbyt zajętą głowę, żeby się nad nimi zastanawiać.

Anna Boshopp powiedziała, że morderca traci nad sobą kontrolę. A on nie mógł nic zrobić, żeby go powstrzymać. Kiedy uderzy znów?

Późne popołudnie. Środek nocy. Wcześniej rano. Wcześniej rano. Wcześniej rano.

Morderca po godzinach. Co robisz za dnia, łajdaku? A może zbyt trudno przewidzieć zachowania ofiar w godzinach pracy?

Jechał swoją zwykłą trasą, jak co ranka, niemal automatycznie, nic nie wiedząc o tym, co skrywa aktówka.

- Sierżant van Deventer powiedział, że włożył aktówkę pana kapitała do sejfu - poinformowała go Mavis Petersen, gdy wszedł do budynku.

Podziękował jej, poprosił, żeby ją przyniosła, pokwitował odbiór i zabrał do swojego pokoju. Położył na stole, wyjął winstony, rzucił obok aktówki i poszedł do baru po duży kubek gorzkiej czarnej kawy. Wrócił do pokoju, rozsiadł się wygodnie w fotelu, przypalił papierosa i zaciągnął się z rozkoszą.

Doskonały.

Łyknął mocnej kawy i zaciągnął się znowu...

Otworzył aktówkę. Na wierzchu leżał odbezpieczony pistolet. Wziął notes, zapisał: Antoinette Nienaber? Zawsze nosił pistolet? Znał Oberholzer? Ferreirę? Wilsona? Zdradzał ją?!

Odłożył pióro i notes, podniósł pistolet i powąchał lufę. Dawno z niego nie strzelano ani go nie czyszczono. Na co ci był pistolet, Olive-rze? Odłożył broń, znów zaciągnął się papierosem.

Czarny notes, ze złotymi okuciami na rogach okładki. Terminarz i notes. Przekartkował do daty pierwszego morderstwa. Drugi stycznia. Nic ciekawego. Kartkował dalej. Spotkania z nieznanymi mu ludźmi. Urodziny Olliego. Jednego z synów. Dziewiąty stycznia, jedenasty.

I wtedy zobaczył listę.

Mac McDonald. Nazwisko z błędem. Carina Oberholzer. Jacques Coetzee. Odstęp. Hester Clarke.

Mat Joubert zapomniał o papierosie. Ponownie przeczytał listę. Wstał i podszedł do drzwi.

- Nugat! - wrzasnął w korytarz. - Snyman! Basie! - W jego głosie słyhać było nowy ton. Krzyknął znowu, jeszcze głośniej.

TO CHORY CZŁOWIEK, MATTHEW. Nie panuje nad sobą.

Słowa Anny Boshopp stały się teraz jego siłą napędową. Musiał powstrzymać łajdaka. Dopilnować, żeby Jacques Coetzee i Hester Clarke też nie stali się jedynie teczkami na jego biurku. Czuł się jak tonący, któremu rzucono koło ratunkowe, jak nomada na pustyni, który dojrzał na horyzoncie oazę. Jak generał - wojna zaczęła się na dobre.

W sali odpraw wrzało. Joubert siedział pod ścianą. Obok niego O'Grady. Rozdawali listę z nazwiskami. Przybywające z innych posterunków posiłki dołączały do kolejki. Funkcjonariusze tworzyli dwuosobowe zespoły; zadanie polegało na tym, żeby znaleźć właściwego Coetzee i właściwą Clarke. Jedyne wskazówki to lista z nazwiskami i zdjęcia ofiar mauzera. I Cariny Oberholzer.

- W tej pieprzonej książce są pięćdziesiąt cztery osoby o nazwisku Coetzee - utyskiwał O'Grady, przeglądając spis abonentów.

- I setki Clarke'ów z „e” na końcu - zawtórował mu Snyman.

- Nazwisko MacDonald napisał z błędem - zauważył Joubert. - Więc trzeba też uwzględnić Clarków bez „e”.

- Kolejna setka - jęknął Snyman.

- Trudno - odparł Joubert. - Trzeba się z tym uporać dzisiaj - dodał głosem niedopuszczającym sprzeciwu.

Przyszedł de Wit. Joubert poinformował go o postępach w śledztwie i poprosił o wsparcie. Podekscytowany de Wit pobiegł do swojego gabinetu zadzwonić do brygadiera i generała.

Louw spóźnił się do pracy, z jego ust bił zapach zwietrzałego alkoholu, oczy promieniały spełnieniem. Joubert kazał mu się zająć wypytaniem krewnych ofiar o nazwiska z listy. Potem poszli do sali apelowej, żeby w poszukiwaniu J. Coetzee i H. Clarke zaangażować też wolnych ludzi z wydziału morderstw i kradzieży. Ale Joubert wiedział, że nie mogą się sugerować inicjałami. „Jacques” mógł być równie dobrze drugim imieniem, literą po pierwszym imieniu.

Ale od czegoś trzeba zacząć.

- Poproście ich, by przyjrzeni się zdjęciom. Przeczytajcie im nazwiska. Obserwujcie reakcję, bo mogą kłamać - instruował każdy zespół. Nienaber skłamał w sprawie MacDonalda oraz Wallace'a i teraz był martwy. Dlaczego skłamał? Po co ten pistolet? Zawsze nosił broń?

Snyman gorączkowo kopiował listę nazwisk, dopingowany tonem głosu kapitana.

Po chwili zaczęli się schodzić detektywi z Paarl i Fish Hoek, z Table View i Stellenbosch, niektórzy wściekli, bo mieli własne ważne zadania, inni zadowoleni z odmiany i okazji popracowania przy sensacyjnej sprawie mordercy z mauzerem.

- Zadzwoń do szpitala. Dowiedz się, czy możemy porozmawiać już z żoną Nienabera - polecił Joubert Gerritowi Snymanowi, gdy ten dostarczył mu ostatni plik kartek z nazwiskami.

Snyman natychmiast wykonał rozkaz. Nie narzekał, Joubert i O'-Grady mieli więcej roboty.

- Lekarz powiedział, że jest przytomna, ale nie powinna przyjmować wizyt - oznajmił.

- Zobaczymy. Weź to. Idę do szpitala - odparł Joubert.

W KRAAIFONTEIN, na niezabudowanej parceli między liceum Olckers a linią kolejową, stał olbrzymi namiot. Przy jego wejściu wisiał transparent. „Tabernakulum Odkupiciela. Msze Św.: Środa 09:00. Niedziela 09:00,11:00,19:00”.

Obok wielkiego namiotu stała przyczepa kempingowa, a przed nią namiot. W środku, na kanapie, którą w razie potrzeby można było rozłożyć, siedział pastor Jacques Coetzee, zajęty przygotowaniami do zbliżającej się wieczornej mszy.

Pastorowi Coetzee ani przez myśl nie przeszło, że szuka go ponad osiemdziesięciu detektywów, bo ani nie miał telewizora, ani nie czytał

gazet - „tych narzędzi szatana”, jak zwykł nazywać media w swoich porywających kazaniach.

Pogrążony w pracy, wsłuchiwał się w słowa, które ciśnie z sosnowej ambony, w refren *Przesłania*, który zwielokrotnią głośniki:

„Albowiem z serca biorą się złe myśli, morderstwo, zdrada, korupcja, złodziejstwo, oszczerstwa i dawanie złego świadectwa”.

- **S**IERZANCIE, MAM TĘ INFORMACJĘ, na której panu zależało - powiedziała sekretarka dyrektora regionalnego banku Premier.

Griessel siedział w swoim biurze, z długopisem w ręce.

- Zamieniam się w słuch.

- Z czternastu nazwisk, które pan nam podał, pięć osób ma rachunki w naszym banku. Carstens, Geldenhuys, Milos, Rademann, Stewart.

- No i? - zapytał, gdy skończył notować.

- Carstens i Rademann to kobiety. Z pozostałej trójki dwaj to trudni klienci.

- Tak?

- Milos i Stewart. Milos jest zadłużony na czterdzieści pięć tysięcy randów i w ciągu ostatnich dwóch lat szesnaście razy zalegał ze spłatą.

Griessel gwizdnął.

- Zamroziliśmy jego konto bieżące, jedyne, jakie u nas ma. Wszczęliśmy też postępowanie sądowe, by odzyskać pozostałą kwotę. Jeśli chodzi o Stewarta, to dwa miesiące temu przejęliśmy jego samochód, po tym jak przez sześć kolejnych miesięcy nie zapłacił miesięcznej raty w wysokości prawie tysiąca randów. Jego rachunek bieżący i kartę kredytową też zamroziliśmy. Ma u nas jeszcze rachunek oszczędnościowy. A na nim pięćset czterdzieści randów.

Griessel wszystko skrupulatnie zanotował.

- Sierzancie - powiedziała kobieta słodko.

- Tak?

- Szef prosił mnie, abym przypomniała panu, że to absolutnie poufne informacje.

- Absolutnie - odparł Griessel i się uśmiechnął.

- **R**OZUMIEM PAŃSKIE STANOWISKO, doktorze, ale proszę zrozumieć moje. Mamy do czynienia z grasującym mordercą, który według opinii

kryminologa nad sobą nie panuje. A tu leży kobieta, która może pomóc nie dopuścić do kolejnego rozlewu krwi. - Joubert poczuł dumę z doboru słów.

- Nie rozumie pan, kapitanie. Ona jest w stanie... Jest na krawędzi. A ja za nią odpowiadam.

- Doktorze, mogę wystąpić o nakaz sądowy. - Joubert zagrał kartą atutową.

- Kapitanie, sąd wysłucha też mojej opinii.

To się okaże. Stali twarzą w twarz na korytarzu prywatnego szpitala. Lekarz był niski i szczupły, pod oczami rysowały mu się ciemne koła.

- Zapytam ją, czy zechce się z panem zobaczyć.

- Będę bardzo wdzięczny.

Lekarz otworzył drzwi i zniknął za nimi, Joubert czekał na korytarzu. Wsunął dłonie w kieszenie spodni, po czym je wyjął. Był zdenerwowany. Spieszył się. Odwrócił się i zaczął krążyć po grubym dywanie.

Lekarz wrócił.

- Powiedziała, że jest to panu winna.

- Dziękuję, doktorze.

- Pięć minut, kapitanie. I proszę delikatnie. - Otworzył przed nim drzwi.

Antoinette Nienaber wyglądała okropnie. Wokół jej ust rysowały się głębokie zmarszczki. Oczy miała zapadnięte, spod bladej skóry niemal przezierała czaszka. Leżała z głową wciśniętą w nieco uniesione poduszki. Miała na sobie jasnoniebieską piżamę. Zmatowiałe blond włosy leżały bez życia na poduszce. W jej ramieniu tkwił dren, rurka, wijąc się, biegła do plastikowego woreczka

Podszedł do łóżka.

- Przepraszam ... - powiedział speszony.

- Ja też - odezwała się głuchym głosem. W rozmytym spojrzeniu wpatrujących się w niego oczu dostrzegł działanie narkotyków.

- Mam tylko kilka pytań. Proszę mi powiedzieć, gdy poczuje się pani zmęczona.

Skinęła leciutko głową.

- Czy pani mąż znał Ferdy'ego Ferreirę albo Drew Wilsona? Chwila zastanowienia i przecząco pokręciła głową.

- A Carine Oberholzer?

- Nie.

- Jacques'a Coetzee?
- Nie.
- Hester Clarke?
- Nie - szepnęła cieniutkim głosem.
- Czy pani mąż zawsze nosił w aktówce pistolet?

Zamknęła oczy. Mijały sekundy. Na korytarzu rozległy się kroki. Usłyszała pytanie?

Oczy się otworzyły.

- Nie - odparła. W jej oku wezbrała łza, spłynęła po bladym policzku, spadła na kołnierzyk niebieskiej piżamy, pozostała tam chwilkę, po czym wsiąkła w materiał.

Targały nim sprzeczne uczucia. Spieszył się, czas go naglił, musiał ją zapytać ją, czy mąż był jej wierny, ale wiedział, że nie powinien, nie teraz. Może jakiś eufemizm? Czy byli szczęśliwym małżeństwem? Zobaczył, że patrzy na niego wyczekująco, niczym łania na muszce śrutówki.

- Dziękuję, pani Nienaber. Mam nadzieję, że pani... Dobrze pani życzę.

- Dziękuję. - Jej wargi ułożyły się w niewypowiedziane słowo. Odwróciła głowę w stronę okna.

JOUBERT BYŁ Z POWROTEM W FIRMIE, ZE SŁUCHAWKĄ PRZY UCHU.

Julio da Costa powiedział, że Carina Oberholzer mogła wspomnieć nazwiska Jacques'a Coetzee albo Hester Clarke, ale pewności nie miał.

- Dużo mówiła, kapitanie. Bez przerwy. I śmiała się. Była pełną życia dziewczyną. Lubiała zabawę, przyjęcia i ludzi. Pracę traktowała tylko jako sposób na zarobienie pieniędzy i wypełnienie czymś dnia. Była nocnym markiem. Tak się poznaliśmy. Przyszła tu w któryś późny piątkowy wieczór, po północy, ona i tłum jej przyjaciół.

- A potem?

- Do diabła, kapitanie, przecież pan wie, jak to jest. Nie sposób cały czas tylko pracować i pracować. I wie pan, jak to bywa w domu z żoną.

Joubert milczał. Bo już nie wiedział.

- To nie przestępstwo - bronił się da Costa. - Zresztą, nie zdarzyło jej się to po raz pierwszy.

- Skąd pan wie?

- Facet zawsze wie, kapitanie. Gdyby pan ją miał, wiedziałby pan, o czym mówię. Była gorąca.

- Rozmawialiście o tym?

- Powiedziała mi tylko tyle, że nie chce, aby życie przeciekało jej przez palce. Chciała cieszyć się każdą chwilą.

Joubert o nic więcej nie pytał.

Carina Oberholzer z Keimoes - śmiała się, rozmawiała i chłonęła swoje krótkie życie pełną piersią. Otwarta wiejska dziewczyna, flama Portugalczyka katolika i nie wiadomo kogo jeszcze. Nikt nie znał jej na tyle, żeby domyślać się, co mogła wiedzieć.

Znalazł numer jej rodziców, wykręcił długi ciąg cyferek i czekał. Po wielu powtórzeniach odebrała kobieta, służąca.

- Państwa nie ma. Pojechali odebrać syna z Johannesburga.

Wyciągnął z szuflady plastikowy pojemnik: sześćdziesiąt gramów chudego twarogu; cztery ciasteczka ryżowe; pomidor, awokado i sałata z odrobiną sosu. Skończy się tym, że umrze z głodu. Dobrze, że przynajmniej winston czekał, kulminacyjny punkt dnia, jego największa przyjemność.

Ktoś biegł korytarzem.

Coś się stało, pomyślał.

To był Louw.

- Zastrzelił Jacques'a Coetzee, kapitanie. Niecałą godzinę temu. Ale ktoś go widział.

CHŁOPCY CHODZILI DO SZÓSTEJ KLASY i bardzo chcieli zobaczyć ciało, ale policjanci im nie pozwolili. Chłopcy mieli nie przeszkadzać, stanęli więc z boku, między linami napinającymi ściany dużego namiotu, i patrzyli, jak nadjeżdżają jeden po drugim policyjne wozy. Zawsze to lepsze niż dwie godziny biologii.

Właśnie zbliżał się do nich jeden z detektywów, którzy pierwsi tam przybyli, i wysoki, potężny mężczyzna.

- To właśnie ci chłopcy, kapitanie.

- Dziękuję - odparł wielkolud. Wyciągnął do nich olbrzymią dłoń. - Mat Joubert - przedstawił się.

- Mam na imię Jeremy, proszę pana.

- A ja Neville - powiedział drugi.

Uścisnął ich dłonie.

- Opowiedzcie mi wszystko.

- Czy to nie pan był niedawno w telewizji?
- Wzruszył ramionami.
- Możliwe.
 - A więc chodzi o tę aferę z mauzerem, tak, proszę pana?
 - Chyba.
 - Jejku, ależ kosa z tego faceta. - Wielki podziw w głosie.
 - Złapiemy go.
 - My widzieliśmy tylko jego samochód, proszę pana - oświadczył Jeremy. - Usłyszeliśmy strzały. Byliśmy wtedy za stodołą, ale przejeżdżał pociąg i nie byliśmy pewni. Więc przyszedliśmy sprawdzić. I wtedy zobaczyliśmy samochód.
 - Jakiej marki?
 - Z tym jest pewien kłopot, proszę pana.
 - Czyżby nie kręciły was samochody i się na nich nie znacie?
 - Ja się znam. Ale on powinien iść do okulisty.
 - Hej, uważaj - ostrzegł Neville, ale bez agresji, jakby sprzeczką była częścią rytuału.
 - To było uno, proszę pana, białe. Chyba fire, ale głowy nie dam. Na pewno nie turbo, bo turbo mają takie bajeranckie pasy i żaluzję.
 - Wcale nie, to był golf citi. Biały. Poznałem po bagażniku, bo mój brat też ma golfa. On także pracuje w policji, proszę pana. W Natal. Strzelają do Zulusów.
 - Hej! - rzucił Jeremy. - Zamkną cię.
 - Jesteś pewny, że to było uno?
 - Tak, proszę pana.
 - A ty jesteś pewny, że to był golf.
 - Tak, proszę pana.
 - Widzieliście numer rejestracyjny?
 - Nie. Ruszał i zdążyliśmy zobaczyć tylko tył.
- Joubert zmierzył odległość między szkolnym płotem a drogą, którą jechał samochód.
- Nie widzieliście kierowcy?
 - Nie, proszę pana.
 - Dobra, panowie, bardzo wam dziękuję. Gdybyście zmienili zdanie co do marki samochodu, dajcie mi znać. Jestem z wydziału morderstw i kradzieży.
 - Jasne, proszę pana.

Już miał wracać do przyczepy kempingowej, gdy odezwał się Jeremy:

- Proszę pana?
 - Tak?
 - Naprawdę nie możemy zobaczyć ciała?
- Powstrzymał uśmiech i pokręcił głową.
- To niezbyt ciekawy widok.
 - Dużo krwi?
 - Całe wiadra.
 - I dziury po kuli?
 - Ogromne jak dekle - skłamał bezczelnie.
 - Jejku - westchnął Jeremy.
 - Jezu, ten mauzer to armata - zauważył Neville.

Odeszli, głęboko wstrząśnięci, z informacjami wartymi w ich świecie fortunę.

Rozdział 37

CIAŁO ZNALAZŁ JEDEN Z ZESPOŁÓW POSIŁKOWYCH.

- Spóźniliśmy się dosłownie kilka minut, kapitanie. Nawet krew jeszcze nie skrzepła.

Zwłoki leżały w przyczepie; pierwsza kula wbiła się w czaszkę tuż nad lewym uchem, druga przestrzeliła serce, tak jak we wszystkich poprzednich przypadkach, poza MacDonaldem.

Gdyby zjrzał do aktówki dzień wcześniej. Ale skąd mógł wiedzieć? Podszedł do sierry, wezwał przez radio O'Grady'ego. Niech odwołają ludzi szukających Jacques'a Coetzee, teraz trzeba skupić się na Hester Clarke. Musi spróbować ocalić chociaż jedno życie.

- Mamy adres na rachunku telefonicznym, kapitanie! - zawołał z przyczepy Louw. - Durbanville.

Przynajmniej, pomyślał Joubert, związek został dowiedziony. Teraz mieli pewność, że lista Nienabera na coś wskazywała. Pozostało na niej jedno nazwisko.

Zawołał Louwa i pojechali do Durbanville, do rozpadającej się rudery w samym centrum miasta. Dom otaczał zapuszczony, dawno niekoszony trawnik i zarośnięte chwastami kwietniki.

- Mam nadzieję, że był lepszym pastorem niż ogrodnikiem - mruknął Louw. Przyniósł pęk kluczy, który znalazł w zamku drzwi przyczepy, i wypróbował je teraz do skutku.

Weszli. W salonie - żadnych mebli; na podłodze telefon. W kuchennym zlewie sterta brudnych naczyń. W kącie terkocząca stara lodówka. Korytarz pusty i bez dywanu. Tak samo pierwsza sypialnia. W drugiej łóżko i nocny stolik bez szuflad. Na podłodze sterta książek.

Joubert podniósł jedną: *Chwalcie imię Pana*, kolejna była również religijna. I wszystkie pozostałe.

Na stoliku przy łóżku leżała otwarta koperta. Wziął ją i wyjął zawartość:

„Smuts, Kemp i Small, Kancelaria Adwokacka
Drogi Panie Coetzee

Nasza klientka, Pani Ingrid Johanna Coetzee, twierdzi, że nadal za-
lega Pan z płatnością alimentów zasądzonych wyrokiem...”

Griessel był bliski dorwania George'a Michaela Stewarta.

W mieszkaniu przy Oranjezicht nikogo nie zastał, ale dozorca po-
owiedział mu, że podejrzany pracuje na część etatu jako kelner w Chri-
stie, restauracji na ulicy Long.

Nie mógł znaleźć miejsca do zaparkowania, w końcu zaparkował za
rogiem, w strefie rozładunkowej przy Wale Street. W restauracji kłębił
się tłum, głównie młode japiszony, które wpadły tu na lunch. W
drzwiach powitał go bardzo wysoki, zawodowo uśmiechnięty elegan-
cik; poprowadził go szybko do stolika w głębi, w pobliżu drzwi prowa-
dzących do kuchni, i wepchnął mu w rękę kartę.

Griessel usiadł i poczuł na sobie spojrzenia. Nie pasował tu. Zerknął
w kartę dań i stwierdził, że nie na wiele może sobie pozwolić. Zdecy-
dował się na zupę z dyni. Podniósł wzrok. Stoliki obsługiwało dwóch
kelnerów, obaj biali - wysoki, który wskazał mu stolik, i drugi niższy.
Ubrani byli identycznie: czarne spodnie, biała koszula i czarna musz-
ka. Obydwaj mieli krótkie ciemne włosy i byli gładko ogoleni. Ich nosy
przypominały nos złodzieja.

Do stolika podszedł Pan Średni, z notatnikiem i długopisem w ręce.

- Życzy pan sobie zapoznać się z menu dnia? - wyrecytował me-
chanicznie, prawie nie patrząc na Griessela.

- Jak się pan nazywa?

- Michael Stewart - odparł kelner i popatrzył na swojego klienta z
nieco większą uwagą.

- Poproszę zupę z dyni, jeśli można.

- Tak. - Zapisał. - I?

- To wszystko, dziękuję, panie Stewart.

- Dziękuję. - Odszedł szybko do kuchni.

Mówi po angielsku, pomyślał Griessel. Złodziej mówi po afrykaner-
sku. To taka zmyłka?

Nachylił się, oparł łokcie na stole, dłonie złożył pod brodą. Rozejrzał się. Goście? Głównie mężczyźni, kobiet tylko kilka. Niedaleko jest Sąd Najwyższy i parlament, pomyślał. Sami ważniacy, z bmw i komórkami. Przy sąsiednim stole facet pił z wyraźną przyjemnością piwo, kufel przechylony, jabłko Adama wędrujące w górę i w dół, póki nie wypił do dna i nie otarł serwetką piany na ustach.

Griessel wyobraził sobie ciepło w żołądku siedzącego obok mężczyzny: wędruje powoli do głowy, przyjemne i odprężające - miłe mrowienie, fala przyjemności wygładzająca ostre kanty i krawędzie rzeczywistości.

Spojrzał na pojemniczki na pieprz i sól na stole, wyciągnął rękę i podniósł jeden. Spocily mu się dłonie.

George Michael Stewart coś długo nie wraca z tej kuchni, uświadomił sobie, pewnie poczuł pismo nosem.

Dotknął palcami Z88 u swojego paska. Nie powinien był pytać o nazwisko. Popatrzył na drzwi. Ile czasu minęło? Pięć minut. Między stolikami biegał tylko Pan Wysoki, tu wymieniał pustą butelkę wina na pełną, tam pytał, czy jedzenie smakuje.

Gdzie jest Stewart?

Upływały kolejne minuty i jego niepokój rósł. Jeśli facet coś zżeszyl i uciekł tylnymi drzwiami, może być już na dworcu, pomyślał.

Przecież na zupę nie czeka się tyle czasu.

Podjął nagłą decyzję, wstał i trzymając rękę na pistolecie, podszedł szybko do metalowych wahadłowych drzwi kuchni. Oparł się o nie mocno plecami i po chwili z pistoletem w wyciągniętej ręce wpadł prosto na George'a Michaela Stewarta, niosącego talerz jaskrawożółtej zupy. Gorąca ciecz rozprysła się po koszuli i krawacie Griessela, osłupiał Stewart padł jak podcięty tyłkiem na posadzkę. Patrzył rozszereżonymi ze strachu oczami na krępa postać, która pochylała się nad nim z pistoletem.

- Chyba nie jestem aż tak złym kelnerem? - wyjąkał nerwowo.

ADWOKAT KEMP, ubrany w elegancki ciemnoszary garnitur i modny krawat, był niewiele skromniejszej postury od Mata Jouberta. Przyśiadł na krawędzi zawalonego papierami biurka, naprzeciwko siedzących w fotelach Jouberta i Louwa. Właśnie dzwonił. Do Londynu, gdyż tam właśnie mieszkała teraz jego klientka, pani Ingrid Johanna Coetzee.

Od pierwszego słowa starał się być jak najbardziej pomocny. Był energicznym, racjonalnie myślącym mężczyzną o niskim głosie i nad wyraz starannie przyciętych i przyczesanych włosach.

Joubert poddał jego ubranie szczegółowej inspekcji - dwurzędowa marynarka była świetnie skrojona i z doskonałego materiału.

Sam nie bardzo miał co na siebie włożyć na jutrzejszy wieczór w operze. Musi sobie kupić taki garnitur. I iść do fryzjera. Wszystko musi być jak należy. Jeśli tylko Hanna Nortier zgodzi się spędzić z nim ten wieczór.

I jeśli on znajdzie dziś chwilę, by do niej zadzwonić.

- Rozumiem - powiedział adwokat. - Tak, wszystko jasne. Dobrze. Dziękuję. Do usłyszenia. - Odłożył słuchawkę. - Jest na wakacjach. Pojechała nurkować. Nawet nie wiedziałem, że interesuje się nurkowaniem. Mała, szara myszka. - Podeszedł do dużego krzesła za biurkiem. - Woląłem nie wspominać o śmierci jej byłego męża. - Napisał coś w dużym notesie, wydarł kartkę i wręczył Joubertowi. - To numer do niej do pracy. Księgowość. Powiedzieli, że wróci dopiero w poniedziałek.

- Będziesz musiał się przelecieć - rzucił Joubert do Louwa. Potem spojrzął na adwokata. - Dlaczego się rozwiedli?

- Z powodu jego religijności - odparł Kemp. - Był technikiem telewizyjnym czy kimś takim. Pracował tu w Bellville w warsztacie naprawy, po czym nagle zrobił się strasznie święty i stracił pracę, bo cały czas siedział w kościele, w którymś z tych charyzmatycznych, gdzie całe noce śpiewają alleluja i amen i klaszczą. Nie mogła już tego wytrzymać. Na szczęście nie mieli dzieci. Z początku nie chciał jej dać rozwodu. Bo to wbrew prawu i wierze. Ale daliśmy mu popalić. A alimenty... Nigdy nie pracowała. Chciał, żeby siedziała w domu i zajmowała się garami. Od początku był trochę...

- A potem założył własny kościół?

- Po rozwodzie. Wiem tylko tyle, ile powiedziała mi przez telefon. Nie mogła uwierzyć, że on wygłasza kazania. Zawsze był z niego milczek i ponurak. Ale, jak to mówią, okazja czyni... Pokłócił się z przedstawicielami innych kościołów i założył własny. W tym biznesie zbija się ciężkie pieniądze.

- Gdzie pracował?

- Nie wiem. Musicie ją o to zapytać.

- Dziękuję bardzo. - Joubert wstał, Louw też.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Lubię pomóc, kiedy mogę. Złapiecie tego mordercę z mauzerem?
- To kwestia godzin. - Przy drzwiach Joubert się odwrócił. - Mogę zapytać, gdzie kupuje pan garnitury?
- W Queenspark. - Adwokat się uśmiechnął. - Ale muszę wyznaczyć, że kupuje je moja żona. W tych sprawach jestem neptek.

CHRISTIE OPUSTOSZAŁ. Griessel siedział przy stole, koszula i krawat zostały jako tako doczyszczzone, ale od wielokrotnego kontaktu z mokrą ścierką zwilgotniały. Stewart usiadł naprzeciwko. Palili jego gunstony.

- Nie napadam na banki - powiedział Stewart w całkiem niezłym afrykanerskim, ale niepozabawionym akcentu.

- Możesz tego dowieść?

- Zapytaj Steve'a. - Wycelował papierosem w drugiego faceta w muszce. Sprzątał jeszcze stoły razem z kilkoma czarnymi kobietami. - Jestem tu codziennie od dziesiątej rano do północy.

- Było nas kłamczuszków dwóch...

- Cholera, Steve jest tu właścicielem. Robi kasę. Po co miałby kłamać?

- Dlaczego tu pracujesz?

- Bo na Półwyspie brakuje roboty dla charakteryzatorów. Nie powinienem być tu przyjeżdżać.

- A dlaczego przyjechałeś?

- Dla kobiety. I dla gór, morza i atmosfery. Teraz mnie rzuciła, bo nie mam pieniędzy. Wiszę bankowi, a robota charakteryzatora trafia się rzadko. Ostatnio dwa miesiące temu. U Francuzów, przyjechali kręcić reklamę telewizyjną. A mój samochód... Spłacam raty, choć pewnie już leży na złomowisku...

Griessel wyciągnął z kieszeni zdjęcie Elvisa.

- Znasz go?

Stewart popatrzył.

- Jest... - szukał słowa. - Niestaranny.

- Tak?

- Spójrz na te baczki. Widać gumę. Może dlatego, że charakteryzuje sam siebie. To trudna sztuka. Nigdy nie próbowałem.

- Znasz go?

- Nie.

- Słyszałeś o Janku Milosie?
- Mmm...
- Nie znasz go - Griessel nie tyle zapytał, ile stwierdził. Rozczarowany, bo miał nadzieję, że Stewart okaże się facetem, którego szukał. Bo Janek Milos jakoś nie kojarzył mu się z przyzwoitym Afrykanerem, co to napada na banki i zwraca się do kasjerek per „złotko”. Bo jego piękna teoria waliła się w gruzy.

DETEKTYWI WRACALI PO KOLEJNE NAZWISKA I ADRESY i z każdą dwójką, wchodzącą do sali odpraw po kolejnym bezowocnym wysiłku, Joubert coraz bardziej tracił ducha. Doszli do Clarke bez „e” na końcu, byli przy inicjałach R i S i niczego nie znaleźli. Zerknął na zegarek. Spotkanie z Hanną Nortier coraz bliżej, a on nie miał wymówki.

Louw przyszedł się pożegnać. Kupił bilet na lot o wpół do siódmej do Port Elizabeth, a stamtąd do Londynu. Jeszcze raz przejrzeli pytania, na które Joubert chciał znać odpowiedź. Louw wyszedł, wzrok miał prawie nieprzytomny od nękającego go kaca.

Wróciła kolejna dwójka; też pokręcili głowami.

- Telefon, kapitanie! - zawołała Mavis od drzwi. Wstał i popędził do recepcji.

- Joubert.
- Mówi Bertus Botha, kapitanie. Odnaleźliśmy Hester Clark, ale nie żyje. Umarła na raka. Na początku grudnia.

- Skąd dzwonicz?

- Z domu jej siostry, kapitanie. Z Fish Hoek. Miała pięćdziesiąt trzy lata. Stara panna. Artystka. Projektowała kartki bożonarodzeniowe dla wydawcy w Maitland; chałupnictwo. Nabawiła się raka kręgosłupa. Siostra twierdzi, że to od siedzenia całymi dniami, nieważne, co twierdzą lekarze. Powiedziała też, że o mordercy z mauzerem wie tyle, co wyczytała w gazetach czy zobaczyła w telewizji.

- Żadnych wątpliwości?

- Żadnych, kapitanie. Pokazaliśmy jej zdjęcia i tak dalej.

- Jej siostra nigdy nie kontaktowała się z Oliverem Nienaberem?

Czepiał się beznadziejnie resztek nadziei, bo w Prowincji Przylądkowej na pewno nie ma wielu Hester Clarke, a on był zrozpaczony i chciał, żeby ta sprawa już się skończyła.

- Mówi, że prawie nie wychodziły. Że ulice nie są bezpieczne. Znała wszystkich znajomych swojej siostry.

Umysł Jouberta gorączkowo poszukiwał innych możliwości.

- Zdobądź mi numer lekarza, który leczył jej siostrę, zaczekam.

Usłyszał stukot odkładanej słuchawki, odgłosy rozmowy, po czym Botha podał mu numer. Joubert zanotował. Grootte Schuur. Podziękował i spojrzął na zegarek.

Zostało akurat tyle czasu, żeby wpaść do szpitala, a później pojechać do pani psycholog.

Rozdział 38

LEKARZ DOSKONAŁE PAMIĘTAŁ NA CO CHOROWAŁA HESTER CLARKE.

- Nigdy się nie skarżyła. Silna kobieta. Musiało ją okropnie boleć, zwłaszcza w ostatnich miesiącach.

„Kiedy zdiagnozowano raka?”

„Trzy albo cztery lata temu. Próbowali wszystkiego”.

„W jakim była stanie psychicznym?”

„Silna kobieta. Mówiłem już panu”.

I tyle się dowiedział, w nieudanej próbie pochwycenia czegoś, co rzuciłoby trochę światła. Miał przeczucie, że to ślepa uliczka.

Pojechał do miasta, złapał przez radio O'Grady'ego. Żadnych innych wiadomości o Hester Clarke, powiedział O'Grady. Większość ludzi już wróciła. Ale znaleźli coś interesującego w przyczepie pastora Jacques'a Coetzee. Czterdzieści tysięcy randów, pod siedzeniem. W gotówce. I dokumenty bankowe, z których wynikało, że kościołowi bardzo dobrze wiodło się finansowo. Listy członków, diakonów, starszych...

- Przyniesicie wszystko do firmy - polecił Joubert. - I wyślijcie zespół Bertusa Botha z powrotem do siostry Hester Clarke. Zapytajcie, do jakiego kościoła należały. I zadzwońcie do krewnych innych ofiar.

Zapytajcie synów Nienabera, czy słyszeli o Tabernakulum Odkupiciela.

Prowadził i nagle załaza go fala optymizmu. Każda sprawa, każda teczka była jak góra do zdobycia. Czasami w zboczu natrafiało się na liczne szczeliny, palce stóp i rąk znajdowały punkt oparcia, wspinaczka szła łatwo i szybko stawało się na szczycie, gdzie wręczało się nakaz

aresztowania, opakowany w klarowny zestaw motywów i dowodów, przyczyn i skutków. Ale czasem, tak jak teraz, wpadało się na litą, gładką, śliską skałę. Co człowiek odrobinę się wspiał, to zaraz się ześlizgiwał. I tak w kółko, nie zbliżając się do szczytu ani o milimetr.

A jednak coś zaczynało się zmieniać. W końcu znaleźli powód, dla którego ktoś skłonny był roztrzaskać czaszki sześciu osób i posłać je na tamten świat.

Pieniądze.

Źródło wszelkiego zła. Siła napędowa nieprzepartej żądz, która kazała kraść, strzelać, bić i wysyłać ludzi w zaświaty.

Czuł przyływ adrenaliny, gdy wszedł do poczekalni i zapadł w fotelu. Byli już blisko. Bardzo blisko. Rozwiążą tę sprawę. Dzisiaj.

Hanna Nortier z uśmiechem otworzyła drzwi.

- Proszę wejść, kapitanie Macie Joubert. - W jej głosie dosłyszał radość i ucieszył się, bo już wiedział, że wybierze się z nim do opery. - Myślę, że powinniśmy najpierw przedyskutować kwestię jutrzejszego wieczoru. - Otworzyła akta. - Żebyśmy mieli to za sobą. Nie mogę z panem pójść. To etycznie naganne. I zachowałabym się nie w porządku w stosunku do pana, bo czeka nas jeszcze dużo ciężkiej pracy.

Nie miałabym żadnego usprawiedliwienia.

Spojrzał na nią, starając się nie okazać rozczarowania.

- Ale jest druga strona medalu. Pochlebiam mi pańskie zaproszenie. Nawet już nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam gdzieś w towarzystwie dużego, silnego mężczyzny. Bardzo chciałabym pójść do opery. I bardzo chciałabym zobaczyć *Cyrulika sewilskiego*. Chciałabym gdzieś się wybrać. Wpadłam w rutynę. Wierzę, że umiem oddzielić życie prywatne od zawodowego. Powinnam umieć. Ale nie pańskim kosztem.

Mówiła szybko, z naciskiem, nie widział jej jeszcze takiej: smukłe dłonie podkreślały słowa, oczy patrzyły na niego, rozszerzone i czarne źrenice, była tak doskonale piękna, że nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Umiesz oddzielić terapię i osobistą... więź, Mat?

Nie odpowiadaj za szybko, ostrzegł się. Nie od razu.

- Tak sędzę. - Grzecznie i spokojnie, z namysłem.

- Musisz być pewny.

- Jestem pewny. - Za szybko.

- Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń do mnie jutro. Czyżby jednak się z nim wybierała?

- Zapiszę ci swój adres. O której godzinie zaczyna się przedstawienie? O ósmej?

Skinął głową.

- Będę gotowa o wpół do ósmej.

- Dziękuję.

Dlaczego jej dziękował? Bo czuł taką wdzięczność, że aż żołądek podszedł mu do gardła.

- Jak idzie śledztwo?

Nie od razu się przestawił, najpierw musiał zmienić bieg.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Jesteśmy blisko.

- Opowiedz mi.

- Dziś rano popełniono kolejne morderstwo, w Kraaifontein. Zginął pastor kościoła pod wezwaniem... dużego namiotu. Oni... W przyczepie znaleźliśmy pieniądze. Myślę, że to chyba motyw. Reszta to już tylko kwestia czasu.

- Cieszę się - powiedziała szczerze i przesunęła teczkę na biurku. Nagle jej słowa nabrały innego rytmu. Patrzyła prosto przed siebie. Odezwała się cicho:

- Chciałabym, żebyś opowiedział mi o naganie dyscyplinarnej.

NIE CHCIAŁ SOBIE TEGO PRZYPOMINAĆ. To zdarzyło się cztery miesiące po śmierci Lary, ale nie powie jej tego. Chciał, żeby sama na to wpadła.

Za szybko przeszła od spraw prywatnych do zawodowych. Nie był gotowy. Oczekiwał łagodniejszego zwrotu i teraz musiał cofać się myślami, otwierać drzwi i nasłuchiwać głosów, na nowo poczuć ciemność panującą wtedy w jego duszy, noc czarną jak smoła, ciężar nie do uniesienia, gorączkowe sny gęste jak melasa, gdy jeszcze tak niedawno jego serce było lekkie jak piórko, jak ptak w locie.

Zamknął oczy.

Nie. Nie wracać do tego.

Niechętnie szukał obrazów w swoim umyśle.

Ciemność.

Leżał w łóżku. Zima.

Obrazy. Powoli. Z trudem powracały, nieostre i zamazane. Późny wieczór, położył się w łóżku, powoli przypomniał sobie nawet smak w ustach, miękkość koca, świat snu, w którym odwiedził żonę w krainie umarłych, jej śmiech, jej pojękiwania, och, och, och.

I dzwonek telefonu wzywający kapitana Jouberta do zimnego, chłodnego mokrym północno-zachodnim wiatrem Parów.

Dom z betonu, brama ogrodowa i dróżka wijąca się między kwietnikami a małą fontanną pośrodku trawnika; na ulicy błysk niebieskich kogutów; wścibscy sąsiedzi, otulający się przed chłodem szlafrokami, policjant, który powiedział im, że mężczyzna jest w środku, zastrzelił żonę i nie chce wyjść; sąsiedzi usłyszeli strzały, przyszli tam i zapukali, a on zaczął do nich strzelać i krzyżeć na nich, groził, że dziś w nocy pośle wszystkich do piekła; policzek jednego z sąsiadów krwawił rozcięty odłamkami szyby okiennej.

Podszedł pod drzwi; sierżant z wydziału morderstw i kradzieży krzyknął: „Nie, kapitanie, nie pod drzwiami; procedury mówią: stań pod ścianą!” Ale procedury Jouberta pokrywała warstwa czarnej smoły. Jestem nieuzbrojony, wchodzę i kładę pistolet na schodku werandy. Otworzył drzwi i wszedł. „Nie, kapitanie, Jezu, Boże, on zwariował”.

Zamknął za sobą drzwi, pamięta wycie wiatru, słyszalne nawet w domu.

- Odbiło ci? - Duże magnum celowało w niego, facet w korytarzu obłąkany, oszalały z przerażenia. - Pozabijam was wszystkich.

Stał w miejscu i patrzył na niego nieruchomym wzrokiem, czekał, aż ołów przebije mu mózg i zapadnie w niepamięć. - Zwariowałeś, szalony, zjeżdżaj. - Z ust mężczyzny ciekła ślina, oczy miał przekrwione, duży rewolwer trząsał mu się w rękach.

Nie ruszał się, po prostu stał i wpatrywał się w niego obojętnie.

- Gdzie ona jest? - zapytał głosem pozbawionym emocji.

- W kuchni. Dziwka. Nie żyje, dziwka. Zabiłem ją. Wszystkich dziś pozabijam. - Znów w niego wycelował; oddychał nierówno, klatka piersiowa unosiła się i opadała, dygotał.

- Dlaczego?

Krzyk, szloch, odraza; broń opadła kilka milimetrów; oczy mężczyzny zamknęły się i otworzyły.

- Zabiję...

Wiatr i deszcz ze śniegiem walił w okna, siekl falistą blachę na dachu; po ścianach przesuwały się cienie smaganych wiatrem krzewów. Mężczyzna pochylił się, rewolwer trzymał wysoko, oparł ramię o ścianę; i potem kolejny dźwięk, inny, jedno długie zawodzenie; osunął się na podłogę, na zgiętych nogach, z niewidzącymi oczami; zwinął się,

przykucnął, usiadł, łokieć na kolanie, dłoń luźno trzymająca broń, zawodzenie wiatru, smutne jak jego własna dusza. Zaczął oddychać wolniej.

- Co miałem zrobić? - szlochał. - Co miałem zrobić? Nie chciała mnie już. Co miałem zrobić? - Trząsał się spazmatycznie.

- Jest moja. - Niczym dziecko. Wysoki płaczliwy głos.

Długie momenty ciszy.

- Powiedziała do niego: „Wiesz, że jestem twoja”. Stałem tutaj, nie wiedziała... stałem tutaj i słyszałem, jak mówi: „Cała twoja”. - Ostatnie słowa niemal wykrzyczał. - „Przecież wiesz. Jak wczoraj w nocy”, powiedziała. Więc ją uderzyłem. Uciekła. Najpierw do łazienki...

Spojrzał błagalnie.

- Nawet nie wiem, kto to był. Co miałem zrobić?

Korytarz: on stoi, mężczyzna na wpół leży, oparty o ścianę; z rewolwerem luźno przy udzie; ktoś na zewnątrz zawołał: „Kapitanie, kapitanie!”; cisza, tylko wiatr, deszcz i szloch, teraz cichszy i nie tak gwałtowny, oczy mężczyzny utkwione w broni.

Przeblysk odpowiedzi, możliwej drogi wyjścia z sytuacji, pocieszenia; rozważanie, coś za coś, i wizja przyszłości.

Powolna decyzja.

- Wyjdiesz?

Tak, bo znał to pragnienie, rozumiał decyzję, znał tę ciemność; odwrócił się, ruszył w stronę drzwi; otworzył, krzyki na zewnątrz, „Kapitanie, Jezusie, nic się panu nie stało!”; co robi ten pieprzony szaleniec; odgłos strzału; nie ruszył się, stał tam z opuszczoną głową, dopóki nie połapali się i nie wpadli do środka.

- Wyrok w zawieszeniu.

Spojrzał Hannie Nortier prosto w oczy. Zapytała. Chciała wiedzieć. Pożeglować po duszy Jouberta jak po nieznanym morzu, sporządzić mapę linii brzegowej Wybrzeża Śmierci, opisać punkty orientacyjne, nadać im nazwy. Pytaj mnie, pani doktor, pytaj. Powiem ci, jak blisko podpłynąłem do niego tamtej nocy po powrocie do domu, jak niewiele brakowało, bym ochlapał dywan w salonie swoim mózgiem roztrząskanym ze służbowego pistoletu. Niemał czułem już ulgę przyjaciela z Parów, doświadczyłem jej przez chwilę, z pistoletem w ręce, kciukiem na bezpieczniku, w drodze do Lary.

Willie Theal załomotał w drzwi. „Mat, drogi chłopcze, drogi chłopcze”. Otoczył go chudym ramieniem. Stali na werandzie, głowę oparł

o pierś Theala, pistolet wycelował w ziemię, chwila minęła, stracił moc. Spytaj mnie.

Unikając jego spojrzenia, wpisała coś w pieprzoną teczkę, którą miał ochotę wyrwać jej i przeczytać, na głos: zobaczymy, co myśli mądra pani doktor...

- A petycja? - znów mówiła łagodnie, jak podczas poprzednich spotkań; jej pogoda ducha minęła bezpowrotnie, wessana przez czarną chmurę, którą był on, jedyną na świecie inteligentną czarną chmurę, co rzucała cień, gdziekolwiek się pojawiała, przesłaniając słońce, gasząc śmiech.

- Uznał, że kara nie jest wystarczająco sroga. Van der Vyver, sierżant z Parow. Uważał, że stanowi zagrożenie życia. Opowiedział innym. Miał rację. Poszli do Theala. Mojego dowódcy. Ale Theal oświadczył, że wszystko będzie ze mną dobrze, że za bardzo się pośpieszyli. Więc napisali petycję, dotarła aż do sekretarza komisarza regionalnego, który znał mojego ojca, i on ją zatrzymał, powiedział, że spoiwem służby jest lojalność. Mój ojciec. Zza grobu dał mi to, czego nie dał za życia. Co za ironia, prawda, Hanno?

Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, bez należytego szacunku. Mogła to sobie dziś darować. Porozmawiać z nim o czymś innym, o tym i owym, bo przecież starał się już zmienić swoje życie. Naprawiam swoje życie, Hanno, a ty grzebiez mi w głowie. Wszystko będzie z nią dobrze, pani doktor, obiecuję, jutro wieczorem ta głowa będzie w absolutnym porządku...

Wydmuchała nos i dopiero wtedy dostrzegł, że oczy jej zwilgotniały; uniósł się lekko z fotela.

- Życie jest pełne ironii - powiedziała opanowanym głosem. - Wystarczy na dzisiaj.

Wtedy zrozumiał, że ją wzruszył, i zastanawiał się, czym i co to oznacza.

JANEK MIŁOS OTWORZYŁ DRZWI i Benny Griessel od razu poznał, że dopadł swojego króliczka.

- To twój nos - powiedział.

Milos odwrócił się i wbiegł do domu, Griessel zaklął i popędził za nim z nadzieją, że złapie go szybko, bo po stu metrach, a może nawet wcześniej, będzie bez szans. Milos zatrząskiwiał mu przed nosem kolejne

drzwi, równie prędko, jak biegł, na szczęście te na tyłach domu były zamknięte na klucz i Milos w gorączkowym pośpiechu nie mógł go przekręcić. Griessel rąbnął go w plecy ramieniem i przyparł do drzwi. Posypały się drzazgi, z płuc Milosa ze świstem uciekło powietrze. Griessel przewrócił go na brzuch, docisnął kolanem do ziemi, szarpnięciem wykręcił do tyłu ramiona. Kajdanki na prawym nadgarstku. Klik. I na drugim. Klik.

- Witaj, złotko - syknął i pocałował Janka w czubek łysej głowy.

- **JEŚLI TY NIE POZWIESZ „ARGUSA”,** to ja to zrobię - zagroziła matka Margaret Wallace głosem ostrym z oburzenia, przyciskając słuchawkę do ucha.

- Dlaczego, mamó?

- Nie powiem ci. To okropne kłamstwa.

- Jakie kłamstwa, mamó?

- Zdenerwujesz się.

- Mamó, proszę.

- Napisali... Nie, na Boga, kochanie, to stek wierutnych kłamstw. Chodzi o to, że... że...

- Mamó! - rozpaczliwa prośba.

- Napisali, że Jimmy był z inną kobietą. Tego dnia, kiedy zginął.

- **CHYBA SOBIE, DO CHOLERY, STROICIE ŻARTY** - wybuchnął brygadier, przemierzając salę apelową. - Minister sra w gacie, a wy mi mówicie, że dalej nie widzicie w tym sensu. Opowiadacie mi o jakichś tysiącach randów w przyczepie turystycznej, choć nie wiem, co w tym takiego nadzwyczajnego, może facet chodził do banku w sobotę. Wymyśliliście sobie kościół jako odpowiedź na wszystko, mimo że krewni w życiu o nim nie słyszeli. - Przystanął i spiorunował wzrokiem de Wita i Jouberta. - To na pewno żarty.

Wbili wzrok w podłogę.

- Macie pojęcie, pod jaką jesteście presją? Generał boi się odebrać telefon, a ja muszę chyłkiem wymykać się z pracy, bo na ulicy koczuje prasa. I te sukinkoty są wszędzie. Gdy tu wchodziłem, policjant niemal dosłownie musiał ratować mnie przed rozszarpaniem przez te sępy, a wy mi mówicie, że dalej nie widzicie sensu. - Podjął marsz, wymachując ramionami. Twarz miał szkarłatną, żyły na szyi nabrzmiały. - Minister mówi, że zagranica się z nas nabija. Biedne burskie prostaczki,

takie głupie, że aż trzeba im było posłać jasnowidza. Kto w ogóle wpadł na ten pomysł? Macie listę ludzi, których ten skurwysyn chce sprzątać, a oni nadal padają jak muchy. I teraz zdajecie się szczęśliwi, bo skończyły się na niej nazwiska.

Kopnął krzesło. Przewróciło się, uderzyło o ścianę, odbiło się od niej i z łomotem zatrzymało.

- Chcecie coś powiedzieć?

- Brygadierze - odezwał się de Wit, wykrzywiając twarz w przesadnym uśmiechu.

- Wy mi tu nie „brygadierujcie”. Jak czterdzieści lat pracuję w służbie, jeszcze nigdy nie natknąłem się na takich żalonych dupków, nie policjantów. Zdechłej szarańczy w słoik nie umielibyście złapać, jakby mnie kto pytał. Co jeszcze ma zrobić ten pojebaniec? Przyjść tu, zawiesić mauzera na kołku i poprosić: aresztujcie mnie? Pomagają wam już prawie wszyscy policjanci z Prowincji. Co więcej trzeba zrobić? Ściągnąć posiłki z Gauteng? Może armię? No proszę, wezwijcie ich, czołgi, bombowce i pieprzoną marynarkę wojenną. Co sobie żałować. Jak robić z siebie głupków, to na całego. Poprośmy Chińczyków, niech też przyślą jasnowidza. I Japończyków. I Hollywood, żeby was sfilmowali, bo to chyba jedyne kamery, których tu jeszcze nie ma.

I poleciało kolejne krzesło.

- Jezu Chryste.

Gapili się w podłogę. De Wit, Joubert, Petersen, O'Grady, Snyman i Vos.

Brygadier machał rękami, niezdolny wykrztusić choćby słowa więcej.

Otworzyły się drzwi. Głowy się obróciły. Wszedł Griessel.

- Panie i panowie - powiedział z dumą - przedstawiam wam pana Zlotko. - I łapiąc mężczyznę za koszulę, wepchnął go do sali.

Rozdział 39

DZIESIĄTY STYCZNIA, GODZINA DZIEWIĘTNASTA SIEDEMNAŚCIE. Przesłuchanie podejrzanego, SAP dwa ukośnik jeden ukośnik dziewięćdziesiąt pięć ukośnik czternaście, wydział morderstw i kradzieży, Bellville South. Oficer przesłuchujący: sierżant Benjamin Griessel. Obserwatorzy: pułkownik Bart de Wit, kapitan Mat Joubert, kapitan Gerry... yy...

- Gerbrand.
- Kapitan Gerbrand Vos. Pierwsze pytanie do podejrzanego. Pełne imię i nazwisko.
- Janek Waclaw Milos.
- Narodowość?
- Eskimos. Nie słyszać? Przecież biegle mówię po eskimosku.
- Narodowość?
- Południowoafrykańczyk.
- Numer dowodu?
- Pięć dziewięć zero pięć pięć jeden dwa siedem zero zero jeden.
- Adres?
- Pinelands, Iris Avenue 17.
- Został pan poinformowany, że ma pan prawo do adwokata. Jeśli nie ma pan obrońcy albo nie stać pana na niego, obrońcę przydzieli państwo. Przez cały czas trwania przesłuchania może pan wnosić, by państwo wyznaczyło takiego obrońcę, który będzie reprezentował pana przed sędzią pokoju, sądem okręgowym lub sądem wyższej instancji...
- Oszczędźcie mi tego. Nie potrzebuję adwokata.

- Na razie. Zamierzamy cię oskarżyć o napad z bronią w rękę, Wa-
cław.

- To była zabawka.

- Pistolet.

- Nieważne.

- Przyznaje pan, że poddaje się przesłuchaniu z własnej nieprzy-
muszonej woli, bez jakichkolwiek nacisków ani zachęt ze strony połu-
dniowoafrykańskiej policji...

- Południowoafrykańskiej służby policyjnej.

- Przepraszam, pułkowniku. Bez jakichkolwiek nacisków ani za-
chęć ze strony południowoafrykańskiej służby policyjnej.

- Tak.

- A pańskie nazwisko?

- To stare nazwisko eskimoskie.

- Jakie śmieszne, Waclaw.

- Mój ojciec był Polakiem, lepiej?

- Matka jest Afrykanerką?

Cisza.

- Powiesz? Musimy to nagrać na taśmie.

- Tak, była. Co to ma do rzeczy?

- Zawód?

- Gospodyni domowa.

- Pański zawód.

- Charakteryzator. Wolny strzelec.

- Niezbyt rozchwytywany?

- Nie moja wina. Miejcie pretensje do SABC. Produkują same
dubbingi, a my konamy z głodu.

- Więc postanowiłeś obrabować kilka banków.

- Tylko Premier. Ten drugi tylko po to, żeby wysłać wiadomość
jemu.

- Dla zapisu, oskarżony mówi o kapitanie Joubercie. Dlaczego
właśnie Premier, Waclaw?

- Są moimi dłużnikami.

- Dłużnikami?

- Nie wziąłbym grosza ponad czterdzieści pięć tysięcy randów. Ty-
le są mi winni.

- Dlaczego?

- Mój dom.

- Twój dom?
- Zgodzili się dać mi kredyt: „Żaden problem, panie Milos. Cieszymy się, że możemy panu pomóc, panie Milos. Prosimy tu podpisać, panie Milos. Panie Milos, dla pana oprocentowanie niższe o ćwierć procentu”.
- I?
- Potem wycofali się z umowy. Bo ich rzeczoznawca dopatrzył się wady konstrukcyjnej, gdy sam mu ją pokazałem.
- Wady konstrukcyjnej?
- Tył domu zapada się w piach, ale w umowie był punkt, że sprzedawca nie odpowiada za szkody, a ja już ją podpisałem. „Przykro nam, panie Milos, ale kredyt nie ma wystarczającego zabezpieczenia. Nie, naprawa defektu oznaczałaby wyłożenie zbyt dużego kapitału, panie Milos. Kredyt został przeklasyfikowany na limit w rachunku bieżącym. Proszę spojrzeć na akapit taki to a taki, podpunkt siaki i owaki, oprocentowanie będzie nieco wyższe”. A potem pieprzone SABC zredukowało zatrudnienie i co miałem zrobić? Zadzwonić do wydziału morderstw i kradzieży?
- Więc zacząłeś obrabiać banki?
- I szukać pracy.
- Bez powodzenia.
- Ależ skąd, panowie, byłem zasypywany ofertami. Twentieth Century Fox, MGM, Warner. Ustawiali się do mnie w kolejce. Ale uznałem, że trzydzieści dwa lata to za wcześnie, żeby zostać milionerem.
- Zabawny facet z ciebie, Waclaw. Co za sarkazm.
- Spróbuj sam znaleźć pracę ze swoją białą skórą, kolego. „Jakie ma pan doświadczenie? Charakteryzator? Oddzwonimy. Chwilowo jesteśmy okropnie zajęci akcją afirmacyjną”.
- Wtedy zacząłeś napadać na banki.
- Poszedłem tylko po zwrot należności.
- To się nazywa napad z bronią w rękę, Waclaw.
- Na imię mi Janek. To nie była broń. Tylko zabawka.
- Przyznaje się pan do obrabowania oddziałów Premier w dniu drugim i siódmym stycznia odpowiednio na kwotę siedmiu oraz jedenastu i pół tysiąca randów. I do tego, że jedenastego stycznia próbował pan obrabować oddział w Milnerton. I że szesnastego stycznia obrabował pan oddział BANKSA w Somerset i ukradł trzy tysiące randów?

Za każdym razem grożąc pracownikom bronią palną?

- Widziałeś tę pieprzoną broń. To zabawka.
- Może pan udowodnić, że pistolet-zabawka to ten sam, którego użyto podczas napadów z bronią w rękę?
- Nie. Ale do diabła...
- Tak?
- Nie chciałem nikomu zrobić krzywdy. Byłem uprzejmy i kulturalny, póki nie wchrzaniliście się z tym mauzerem.
- Jakim mauzerem, Waclaw?
- Do cholery, mam na imię Janek. Dobrze wiecie, z jakim mauzerem. Ten facet niedługo wystrzela cały Półwysep.
- Co pan wie o tej sprawie?
- Tyle co, jak mieszkańcy Afryki Południowej, wyczytałem w gazetach.
- Gdzie trzymasz swojego mauzera?
- Słuchajcie, panowie, jestem gotowy współpracować, ale nie zamierzam wysłuchiwać tych bredni.
- Sam pan zaczął o mauzerze. Wspomniał pan o nim w Milnerton. Cytuję z oświadczenia panny Rosy Wasserman. „A potem powiedział: Chyba jednak powinienem przyjść z mauzerem”.
- Ten tłusty babsztyl nie chciał współpracować. Chciałem ją nastraszyć.
- W tej chwili dwunastu detektywów przeszukuje pański dom. Jeśli znajdą mauzera...
- Niczego nie znajdują.
- Skąd ta pewność, Waclaw? Ukryłeś go gdzieś indziej?
- Nie mam żadnego pieprzonego mauzera. Ile jeszcze razy muszę to powtarzać? Nawet bym nie wiedział, skąd go wziąć. Kupiłem zabawkę, wygląda jak prawdziwa broń, ale nigdy nie wyjąłem jej nawet z kieszeni, bo bałem się, że ludzie poznają, że to tylko zabawka. No dobrze, przyznaję, wziąłem pieniądze. Ale to nie był rabunek. Ani kradzież. Wróciłem tylko po swoje. Oddałbym BANKSA, co od niego wziąłem, ale najpierw musiałem odebrać swoje od Premier. Jasne? Nie zmusicie mnie, żebym się przyznał do czegoś, czego nie zrobiłem.
- Gdzie są pieniądze, Waclaw?
- Janek.
- Gdzie są pieniądze, Janek?

- To moje pieniądze.
 - Gdzie są?
 - Pieprzcie się. I tak pójdę do więzienia, a kiedy wyjdę, Premier dalej będzie zdzierał ze mnie kasę. Plus cholerne odsetki. Więc co za sens?
 - Sędzia popatrzy na sprawę przychylniej, jeśli je zwrócisz, zrozum Janek.
 - To moje pieniądze.
 - Gdzie są twoje pieniądze, Janek?
- Cisza.
- Janek?
 - W piwnicy. Pod bojlerem.

ZORGANIZOWALI SZYBKĄ NARADĘ W GABINECIE DE WITA, dowódca stał się teraz niemal członkiem zespołu, atak brygadiera połączył ich cienką nicią koleżeństwa.

Joubert czuł w ustach suchość i smród papierosów. W pokoju prześluchał porzucił swój papierosowy reżim - żeby uwolnić się od intensywnego głodu i bólu głowy, którym pulsowały mu skronie. Dotrzymał kroku Griesselowi, odpalał papierosa od papierosa i teraz też bardzo chciał zapalić, ale powstrzymywała go tabliczka w pokoju de Wita: „Dziękuję za niepalenie”.

Przeglądali akta, rozpatrując linijkę po linijce, kawałek po kawałku, badali każdy fragment układanki, która miała więcej luk niż pasujących do siebie elementów. Zaczęli od początku, budowali teorie, które potem jeden z nich burzył jednym pytaniem, przekładali elementy, znów je układali, rozwalali, aż w końcu uświadomili sobie, że w tym puzzlu brakuje środkowej części, a same boki i narożniki nie mają żadnego sensu.

Kwadrans po jedenastej postanowili poczekać, aż wróci Louw tropiący Ingrid Johannę Coetzee.

Może nowy dzień odśłoni nowe perspektywy.

Joubert wracał do domu, zmęczony na ciele i duszy, głodny i spragniony. Po głowie tłukły mu się wydarzenia minionego dnia.

Przed bramą stał zaparkowany samochód.

Zatrzymał się przed garażem, wysiadł i podszedł do samochodu. W świetle ulicznej latarni dojrzał, że to bmw.

Coś poruszyło się na jego werandzie.

Sięgnął po pistolet, instynktownie chwycił Z88, błyskawicznie napompowany adrenaliną. Zmęczenie prysło, umysł się oczyścił.

- Ty łajdaku.

Rozpoznał głos.

Stanowczym krokiem, nie zważając na pistolet, szła ku niemu Margaret Wallace.

- Ty łajdaku.

Wyszedł jej naprzeciw. Pogubił się. Co ona tu robi? Była nieuzbrojona. Sekundę później stała już przy nim i bębniła dłońmi w jego klatkę piersiową.

- Nie powiedziałeś mi. - Znów go uderzyła. Odsunął się, oniemiały, pistolet przeszkadzał mu osłonić się przed jej ciosami. Niezdarnie tłukła go dalej zaciśniętymi pięściami. - Nie powiedziałeś mi, ty łajdaku.

- O czym...? - zapytał, próbując chwycić jej dłonie. Dostrzegł jej wykrzywioną twarz, pozbawioną teraz godności, przepelnioną nienawiścią i bólem.

- Miałam prawo wiedzieć. Jak śmiałeś to przede mną ukryć? Jakim prawem?

Udało mu się unieruchomić jej prawą dłoń, po chwili lewą.

- O czym pani mówi?

- Dobrze wiesz o czym, łajdaku. - Walczyła, chcąc się wyrwać, ugryzła rękę trzymającą jej dłonie. Puścił je z krzykiem bólu, próbując znów nie oberwać.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

- Ale cały świat wie. Wszyscy wiedzą. Prasie powiedziałeś, ale mnie nie. Co z ciebie za człowiek? - Znów go uderzyła. Oberwał w wargę i poczuł w ustach smak ciepłej krwi.

- Proszę! - krzyknął i to ją powstrzymało. - Niech mi pani wyjaśni, o czym pani mówi.

- Wiedziałaś, że Jimmy był z inną kobietą - wyrzuciła z siebie i rozplakała się, trzymając przed sobą obronnie pięści. - Wiedziałaś. Ty. I ta twoja smutna historia o żonie. Pomyśleć, że ci współczułam, ty łajdaku. Pomyśleć, że poczułam litość. Nie zasługujesz na nią. Co z ciebie za człowiek? - Pięści opadły, bezradne i wyczerpane. Słowa ociekały bólem.

- Ja...Ja...

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Ja...
- Dlaczego powiedziałeś o tym prasie?
- Nie powiedziałem.
- Nie kłam, łajdaku. - Znów go zaatakowała. Wrzasnął na nią:
- Nie powiedziałem prasie. Musiał to, do cholery, zrobić ktoś inny.

Nie powiedziałem ci, bo... bo...

...Jezu! Bo wiedział, co to za uczucie, i zrobiło mu się żal, jej, w tym żółtym fartuszk, i jej smutku. Nie miała pojęcia, jak to jest być posłańcem Śmierci, przynoszącym same złe wieści...

- Bo nie chciałem sprawić ci bólu... większego bólu.
- Sprawić mi bólu? Nie chciałeś sprawić mi bólu? A teraz? Teraz to nie boli, ty dumny łajdaku? Wiesz, jak się czuję? Wiesz? - Stali na trawniku, było cicho, rosa błyszczała jak brylanty w świetle lamp. Jej głos niósł się po uliczce.

- Tak, wiem - odparł cicho.
- Jak śmieć - powiedziała w nowym przypływie gniewu.
- Wiem. - Cicho, cichutko.
- Bzdura, ty łajdaku. Nic nie wiesz! Skąd możesz wiedzieć?!

To nie długi dzień, wyczerpanie, nerwy jak postronki, zszarpane nadzieją, ostra reprimenda brygadiera, morderstwo i bolesna sesja z Hanną Nortier sprawiły, że nagle zrodziło się w nim pragnienie, aby wszystko wykrzyczeć, dać upust kipiącemu, warzonemu ponad dwa lata zajzajerowi, oczyścić duszę, przeciąć nabrzmiały wrzód, by wypłynęła ropa zebrana pod rozpaloną skórą. Niewiele myśląc, ciachnął skalpelem, targany gniewem i paniką, ulgą i strachem.

- Wyobraź sobie, że wiem! - krzyknął. - Wiem! - Podszedł do niej zgarbiony, z opuszczoną głową. - Wiem nie gorzej od ciebie, a nawet lepiej, dużo lepiej. Wiem doskonale. - Pochylił się nad nią groźnie. - Wiem. I dlatego chciałem ci tego oszczędzić. Pożegnałaś się? Tamtego ranka, gdy twój mąż wychodził z domu? Pożegnałaś się? Bo ja nie. Nawet się nie pożegnałem. Bo już jej nie było, obudziłem się, a ona wcześniej wyszła. Po prostu wyszła.

Słowa wróciły do niego, odbite echem od ścian domu, a potem słyszał już tylko swój szybki oddech, połykał i wypluwał powietrze, niemal się zachłystując; zobaczył przepaść, którą musiał teraz pokonać. Widział czającą się w niej lepką ciemność i się bał. Boże, musi przejść nad nią, jak linoskoczek, ale pod liną nie rozciąga się asekuracyjna siatka.

Ogarniał go coraz większy strach, z początku poczuł jego macki tylko w żołądku, potem jednak czuł ich zimno w całym ciele. Wrócił do przeszłości. Zamknął oczy. Trzęsły mu się ręce, ale wysunął niepewną stopę i wymacał rozciągającą się przed nim linę. Teraz już nie było odwrotu.

- Po prostu wyszła. - Mówił cicho, ale wiedział, że ona i tak dosłyszy ten strach.

Oddech.

- Czasem w środku nocy wyciągałem rękę, żeby dotknąć jej ramienia czy biodra. Były zawsze takie ciepłe. - Westchnął głęboko. - Świadomość, że jest tuż obok, była taka... taka... dobra i kojąca. Zasnęła z łatwością. Nie wiadomo kiedy. Pracowała w oddziale narkotyków. W Sanab. Zapytałem ją, co dla nich robi. Zaśmiała się i odparła, że jest tajną agentką. Ale co robi? Nie wolno jej powiedzieć. Nawet mnie. A potem zasnęła jak dziecko skrywające niegroźną tajemnicę. Może coś przegapiłem. Może powinienem być bardziej uważny. Gdybym ją przycisnął, wypytał, gdybym nie był taki zaabsorbowany sobą i własnym śledztwem...

Zaśmiał się z siebie kpiąco, a chyba raczej zaszlochał. To dodało mu odwagi, by uczynić następny krok na długiej, cienkiej, kołyszącej się nad przepaścią linie.

- Pomyślałem sobie, że gdybym ja rozgrywał dla Sanab narkotyczne gierki, też pewnie mógłbym sypiać. Tak wspaniale. W nocy, przy Larze. Bo ja rzucałem się i przewracałem... i czułem się taki ważny.

Margaret Wallace wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego ramieniu. Przez chwilę poczuł się bezpiecznie. Potem się odsunął. Wiedział, że sam musi dojść na drugi brzeg. Opanował emocje, żal, płacz.

- Tak się sobą napawałem. - Jakby to wyjaśniało, dlaczego nie zaślugał na jej pokrzepiającą dłoń. - To takie dziwne - wyszeptał niemal ze zdumieniem. - Nasze życie w rzeczywistości rozgrywa się w naszych głowach. Jesteśmy więźniami naszych umysłów. Choć oczy patrzą na zewnątrz, to życie toczy się tam, w tej puszczy z kości. Tak naprawdę nic nie wiemy. Żyjemy z ludźmi, dzień w dzień, i wydaje nam się, że coś o nich wiemy, bo widzimy. I sądzimy, że oni też wiedzą, bo widzą. Ale nic nie wiemy. Byłem taki zadowolony, w głowie, z mojego zadania, czułem się taki ważny. Taki czysty.

Skrzywił się. Zwisające wzdłuż ciała ręce trzęsły się, oczy miał zamknięte.

- Na tym polega problem, na nieumiejętności wyjścia poza własną czaszkę. Myślałem, że jestem taki czysty. Bo Silva był taki brudny. Myśleliśmy czarno-białymi schematami. Silva był mordercą, brudnym i czarnym jak grzech, a ja czystym, białym światłem sprawiedliwości. Zachęcali mnie: „Dorwij go. Przez co czułem się jeszcze bardziej czysty. Dorwij Silwę, za dziewczyny, dwie kobiety, które wyrzucił na wysypisko, niczym śmieci. Za tego gliniarza z dziurą w czole. Za narkotyki, za brak ludzkich odruchów, za skalaną, śmierdzącą duszę”.

Obejrzał się i zobaczył, że kawałek drogi po tej cienkiej linie ma już za sobą.

Zrobił następny krok, śmielszy.

- Podłuch jest nielegalny. Nie wolno nam go zakładać. Ale gdy człowiek czuje się taki czysty, zdaje mu się, że jest wszechmocny. Pożytyłem co trzeba od jednego detektywa z Vortrekker Road, pojechałem do Clifton i czekałem, aż będę bezpieczny. Był taki piękny, bezwietrzny, bezchmurny poranek. Okna mieszkania Silvy wychodziły na morze. Na balkonie stał teleskop. Wszystko w mieszkaniu było takie białe. I drogie. Przyznaję, że się bałem. Spieszyłem się. Zakładałem maleńkie mikrofony i nie mogłem powstrzymać się od porównań. Patrząc na rzeczy, które można mieć za pieniądze, myślałem o tym, jak sam mieszkam. Pluskwa w teleskopie, w barku, jedna obok łóżka, jedna w telefonie. I dwieście pięćdziesiąt randów z własnej kieszeni dla dozorczy budynku, żeby ukrył słuchawkę i rejestrator w elektrycznej skrzynce w piwnicy.

Starał się nie patrzeć pod nogi, bo czuł instynktownie, że lina się zakołysze, że stanie się jeszcze cieńsza i nie do przejścia. Kusilo go, żeby się cofnąć. Przyspieszył kroku, zagłuszając lęk słowami.

- Tego dnia Lara nie wróciła na noc. Zadzwońłem do Sanab. Powiedzieli, że pracuje. Co robi? „Dobrze wiesz, że nie możemy ci powiedzieć”. „To moja żona”. „Jest agentką, Joubert. Wiesz jak to działa”. Więc przespacerowałem się po domu, wdychając jej zapach, obejrzałem czasopisma w salonie i obok łóżka. I myślałem o swoich machlojkach, mikrofonach i magnetofonie, zastanawiałem się, czy ta maleńka taśma się kręci. Źle spałem; to były długa noc i długi poranek. Potem pojechałem do Clifton i zszedłem po schodach do ciemnej piwnicy.

Miał ochotę krzyczeć, bo lina pod nim kołysała się i drgała. Chciał spać. Dojrzał przepaść, teraz tuż pod sobą... i balansując ramionami,

roztrzęsiony złapał równowagę. Nie wiedział już, czy mówi i czy ktoś go słucha. Musiał tylko skończyć.

Otworzył po ciemku elektryczną szafkę, założył słuchawki i przewinał taśmę. Wcisnął przycisk odtwarzania. Oparł głowę o metalową krawędź szafki i słuchał zarejestrowanych dźwięków. Jego umysł próbował podkładać pod nie obrazy - był białym światłem sprawiedliwości. Silva był czarny. Usłyszał trzask zamykanych drzwi. „I jak ci się podoba, Silva?”

„Śliczna”.

„Czego posłuchamy?”

Drgnął gwałtownie, rąbnął głową w kant szafki. Boże, przecież to Lara. To przecież ona, nie?

„A czego chciałabyś posłuchać?”

„Czegoś rytmicznego”.

Szmer przekładanych płyt, rozdzierający uszy rock, niesłyszalna rozmowa. Mijały minuty, minuty i minuty. Ścierpły mu ramiona i szyja. Co tam się dzieje? Nic nie mógł dosłyszeć. Tylko beztrouski śmiech Lary w krótkiej przerwie między kolejnymi utworami. I „och, dziecino” Silvy, i śmiech Lary, muzyka. Przewinał taśmę, kawałek po kawałku, zwracając uwagę na słowa i muzykę, ciszę między cięciami. Dwadzieścia, trzydzieści minut później muzyka zmieniła się na cichszą, spokojniejszą. Cofnął taśmę, odszukał fragment, gdzie kończył się rock: nagle, martwa cisza, kroki. Podzwaniający o szkło lód. Westchnienie Silvy, potem wolniejsza muzyka, najpierw głośna, potem cichsza, cisza i skrzypnięcie, rozpoznał, co to, łóżko Silvy, duże białe łóżko; „Wspaniałe ciało, dziecinko, umiesz tańczyć, kochać się też umiesz?”, lód w szklance, dzyń, dzyń, „Nie pij za dużo, dziecinko, chcę zobaczyć te cy-cuszki, pokaż mi je całe, mała”.

„Popatrz na mnie”. Jego Lara, widział swoją Larę, poznawał swoją Larę. Tę chropawość jej głosu, ten płaczący się język. Chciał ją powstrzymać. Nie dla niego, Laro, nie dla niego. „Jezu, dziecinko, alez masz ciało, chłopczyk jest gorący, tak, tak, chodź tutaj...”

Śmiech Lary: „Mamy mnóstwo czasu”. Silva: „Teraz, dziecinko, chodź, mała”. Śmiech Lary. Cisza. Łóżko, skrzywienia, skrzywienia. „Ach, dobrze, weź go, tak, weź; och tak, jak dobrze, teraz, och, rety dziecinko, och, och, rety, Jezu, jesteś szalona, dziecino, och”. To wszystko należało do niego, to było jego, jego, jego krzyki, jego Lara, jego Lara. Chciał zerwać słuchawki, pobiec po schodach, zatrzymać to,

co się tam działo. Ale to działo się wczoraj wieczorem, nie teraz. Głosy na taśmie. „Och, och, och”. A on siedzi w celi, lodowatej celi. „Dosiądź mnie, tak ujeżdżaj mnie, tak, dziecinko, Jezu, och, ach, tak, dziecinko, jestem coraz bliżej, och, dochodzę, mała, pędź, och tak, och”. Coraz szybciej. Jego Lara, poznał jego Lare, poznał ją, poznał. Muzyka uci- chła. Słysząc było tylko oddechy - coraz wolniejsze, bardziej miarowe i ciche. Dźwięki, skrzywienie łóżka. Cisza. Skrzywienie.

„...idziesz sobie?”

„Śpij”.

„Wróć”.

„Za chwilę”.

„Co robisz?!” - krzyk niepokoju.

„Sprawdzam coś”.

Cisza.

„Zobaczmy”.

Co robisz... To moje”. Przerazona. Jego Lara.

„Co my tu mamy?”

Łóżko zaskrzypiało ostro. „To moje”. Jego Lara.

„To było za proste, dziecino. Wiedziałem, że to za proste”.

Głuche uderzenie pięści Silvy. Buch!

Och. To jego Lara. Cichy okrzyk. „Och”.

„Ty durna dziwko, chciałaś mnie zastrzelić, myślisz, suko, że jestem głupi, dla kogo pracujesz, myślałaś, że jestem aż tak głupi. Za łatwo przyszło, nigdy nie ufaj łatwemu pieprzeniu, mała, umrzesz, dziecino”.

„Zwariowałaś, Silva, zawsze to ze sobą noszę, wiesz, jaki jest świat, Silva, proszę”.

„Nigdy nie ufaj łatwemu pieprzeniu, mama mnie tego nauczyła, już jesteś martwa, dziecinko. Myślisz, że taki dureń ze mnie, za bardzo się pospieszyłaś, myślałaś, że jak wypiję, to zgłupieję. Kto cię przysłał?”

„Zwariowałaś, Silva, nie wiem dlaczego, och...”

„Zabiję cię do cholery, suko, kto cię przysłał, to właściwie nieważne, i tak wyślę cię na tamten świat, popatrz na mnie, dziecino, to było two- je ostatnie pieprzenie, popatrz na mnie...”

„Nie, Silva, proszę...”

„...Popatrz na mnie...”

„...Proszę, proszę, nie...”

Rozdarł go strzał, przeszył go, wypalił mu dziurę w ciele, krwi i duszy, powalił go, jego życie, strzaskał je; czołgał się wśród skorup, resztek, stukot kasety, żółte światelko zgasło, taśma zaczęła przewijać się do tyłu, wrz, do początku, rzucał się, dygotał, stał teraz na trawniku i trzął się z zimna, a Margaret Wallace otoczyła go ramionami, taśma zatrzymała się i zaczęła przewijać na nowo, żółte światelko, drzwi, kroki. „I jak ci się podoba. Śliczna. Czego posłuchamy?”; Margaret Wallace przytulała go coraz mocniej; chcąc powstrzymać spazmy, dygotała razem z nim, stali zalani łzami, szlochając, wśród krzewów w jego ogrodzie.

Rozdział 40

ZNALEŻLI JĄ NAD RZEKĄ, w tym samym miejscu, co poprzednie ofiary, poszli do jego mieszkania, wyciągnął pistolet i go zastrzelili.

Pili kawę - ciemną, mocną, słodką kawę - i ponad kuchennym stołem patrzył na Margaret Wallace.

- A ty? - zapytała.

- Nie wiem, biała plama. Gdzieś byłem, coś robiłem. Pamiętam, że ocknąłem się na plaży. Otaczało mnie dużo ludzi, gapili się na mnie, więc wstałem i zmyłem się, pojechałem do tamtego prywatnego detektywa, rzuciłem w niego sprzętem, a potem szedłem piechotą z samej Voortrekker do domu, a wtedy zjawili się oni i mi powiedzieli, a ja nie mogłem przyznać się, że wiem. To było okropne: nie mogłem się przyznać... Zostali ze mną na noc.

Kawa, papieros.

- Wtedy nie płakałem. Dopiero teraz. - Prawda tego stwierdzenia go uderzyła. - Pierwszy raz po niej płacząc.

Siedzieli w milczeniu do późnej nocy, aż skończyła się kawa i Margaret wstała.

- Dzieci...

Skinął głową i odprowadził ją do samochodu. Spojrzała na niego, chciała coś powiedzieć, ale nie znalazła słów. Włączyła silnik i światła, dotknęła jego dłoni i odjechała. Odprowadzał wzrokiem znikające w dali światła, stojąc na chodniku, pusty w środku. Wrzód został przecięty. Została krwawiąca rana, szkarłatna, czysta rana. Krew płynęła strumieniem, płynęła przez niego wartko. Popatrzył w górę, na gwiazdy. Wszedł do domu, wyłączył światła, poszedł po ciemku do pokoju,

zdjął koszulę, krawat, buty, skarpetki i spodnie; położył się na łóżku i myślał o Larze, aż wszystkie blokady w jego głowie się zwołnyły. Lara, Lara, Lara. Dopóki dzień nie zaczął przeziierać przez zasłony.

Wtedy wstał, napuścił pełną wannę gorącej wody, położył się w niej i czekał, aż wygoni go chłód. Niezwykle starannie umył każdy centymetr i zakamarek swojego potężnego ciała, zużywając mnóstwo płynu do kąpieli. Potem opłukał się i szorował ręcznikiem, dopóki skóra się nie zaczerwieniła. Włożył świeże ubranie - białą koszulę, szare spodnie, prążkowany krawat, granatową marynarkę. Poszedł do kuchni, wyjął szczotkę, wyglansował do połysku buty i je włożył. Otworzył drzwi, wsiadł do samochodu i włączył wycieraczki, by zgarnąć z szyb rosę. Pojechał do pracy zwykłą trasą.

W budynku powitała go Mavis. Uśmiechnął się lekko, wszedł schodami na górę do swojego pokoju i usiadł. Rzeczywistość zdawała mu się nierzeczywista, jakby trochę zamglona.

Pomasował skronie, przetarł oczy.

Mauzer.

Pochylił się, oparł łokcie na biurku. Wcisnął dłonie w swoje zmęczone oczy. Szukał skupienia, szukał koncentracji. Basie Louw. Kiedy w końcu się odezwie?

Nic więcej nie mógł zrobić. Tylko czekać. Nie, powinien coś zrobić. Musi coś zrobić.

Wallace, Wilson, Ferreira, MacDonald, Nienaber, Coetzee.

I Oberholzer.

Zadzwoń do jej rodziców, zapytaj o kościół.

Powolne, na wpół świadome ruchy.

- Halo?

- Pani Oberholzer, tu Joubert z wydziału morderstw i kradzieży z Prowincji Przylądkowej.

- Dzień dobry.

- Mam jeszcze kilka pytań, pani Oberholzer.

- W sprawie tych morderstw z mauzerem.

- Tak, pani Oberholzer.

- Rozpoznaliśmy nazwiska, następnego dnia.

Dopadło go poczucie winy. Powinien im powiedzieć.

- Pewnie dzwoni pan w sprawie tego morderstwa z wczoraj. Zabił tego księdza.

- Tak, pani Oberholzer.

- Przejrzałam jej listy. Nic tam nie ma.
- Nic o jego kościele?
- Nie. Ślepa uliczka.
- Dziękuję, pani Oberholzer.
- To był wypadek. Cała ta historia. Jesteśmy o tym przekonani.
- Na pewno, pani Oberholzer.
- Coś jeszcze?
- Dziękuję - powiedział, po czym przypomniał sobie jeszcze jedno niezadane pytanie, które zanotował sobie w głowie.

Zostaw to, to pewnie też ślepa uliczka. A jednak sumiennie zapytał, prawie mimochodem:

- Jeszcze tylko jedna rzecz. Gdzie pracowała, nim zatrudniła się w Petrogas?

- W Przyładkowej Szkole Handlowej. Prowadzili szkolenia biznesowe, nie wiem, czy jeszcze istnieją. Carrie powiedziała, że są podli, więc rzuciła tę robotę.

Przyładkowa Szkoła Handlowa. Czuł smak tej nazwy na języku, chciał ją gdzieś upchnąć, bo wiedział, że do czegoś pasuje, ale nie mógł znaleźć właściwego miejsca.

- Dziękuję, pani Oberholzer.

- Do widzenia. - Drętwe, jak cała rozmowa. Nie byli do niego przyjaźnie nastawieni, jak do niedowiarka, który nie podzielał ich wiary w tragiczny wypadek.

Przyładkowa Szkoła Handlowa.

Jego myśli rozbiegły się we wszystkie strony, usiłując skojarzyć z czymś tę nazwę. Wypowiedział ją znowu, tym razem na głos, poruszając przy tym barkami, bo mu zeszywniały. Poczul mętlik w głowie, zapalił papierosa, zapadł w fotelu, usiłując uporządkować myśli. Zaczynaj od początku. Myśl systematycznie. Wallace, Wilson, Ferreira, MacDonald, Nienaber, Coetzee. Nic nie znalazł. Zdawało mu się. Był zmęczony. Żadnego związku, to tylko twoja wyobraźnia.

Olśnienie - owszem, jest. Rzucił się po notes, zaczął kartkować. Nic, nic, nic.

Wstał, przeciągnął się, zgasił winstona i ruszył cichym korytarzem - pora wciąż była za wczesna dla kolegów, poszedł do baru po coś gorącego, słodkiego i nagle sobie przypomniał. Przystanął, wstrzymał oddech, bojąc się mieć nadzieję, zbyt wystraszony, by myśleć. Na ścianach

gabinetu Jamesa Wallace'a wisały dyplomy, ale - co za idiota - nie przyjrzał im się dokładnie. Obrócił się, popędził do pokoju i nim zdążył podnieść słuchawkę, przypomniał sobie, co powiedziała o swoim mężu Gail Ferreira: „Zawsze powtarzał, że chce pracować dla siebie. Tyle że w niczym się nie sprawdził. Poszedł raz na kurs nauczyć się, jak założyć własny biznes, ale nic z tego nie wynikło...”

Serce waliło mu w piersi, niemal wyskakując. W gabinecie Nienabera na ścianie: „Przyłądkowa Szkoła Handlowa: Niniejszym zaświadcza się, że O.S. Nienaber ukończył kurs zarządzania małym przedsiębiorstwem”.

Wyciągnął dłoń do słuchawki telefonu. W tej samej sekundzie telefon zadzwonił.

- Joubert - powiedział, prawie nie słuchając. Jego myśli wirowały.
- Mówi Margaret Wallace.

Co za zdumiewający zbieg okoliczności.

- Po co dzwonicz? - zapytał nietaktownie, podekscytowany.
- Powiedzieć, że strasznie cię przepraszam. - W jej głosie nadal słychać było rany zadane przez noc.

- Znalazłem coś - zmienił temat, bo nie chciał teraz rozmawiać o tamtym. - Twój mąż. Chodził na kurs? Kurs zarządzania w Przyładkowej Szkole Handlowej?

Chwila milczenia odmierzana uderzeniami serca.

- To było dawno temu - odparła i usłyszał w jej głosie, że jest bardzo zmęczona. - Sześć albo siedem lat temu. A może nawet osiem?

- Ale chodził.

- Tak.

- Potrzebuję dat. Adresu i nazwisk. Cokolwiek.

- Po co? Przecież to było wieki temu.

- Myślę, że to ich łączy. Że ten kurs prowadzi do tego, co się stało.

Pierwszy raz słyszała w jego głosie pośpiech, zaangażowanie.

- Poszukam i oddzwonię.

- Dziękuję - powiedział, ale odłożyła już słuchawkę.

Sprawdził numer w książce telefonicznej. Szkoła Handlowa Prowincji Przyładkowej, ulica Protea 195, Woodstock. Skrytka pocztowa 214962, Kapsztad. Wybrał numer. Odśluchał długiego ciągu sygnałów. Sprawdził godzinę. Dwadzieścia po siódmej. Za wcześniej, musi poczekać.

Zadzwoił do Gail Ferreiry, ale też nikt nie odbierał. Pewnie jest w drodze do pracy. Dlaczego zawsze wszystko tak się układa?

Nie ma kogo wysłać do domu Wilsona i na łódź MacDonalda, nikt nie odbiera telefonu. Wiedział, że wreszcie znalazł związek, ale nie wiedział, co z niego wynika; ma jednak rację, istnieje związek. Ma rację, panie i panowie. Mat Joubert nie jest głupi, tylko nieco wytarmozony przez burzę, trochę poszarpany - no dobrze, dobrze, bardzo poszarpany, ale wszystko da się naprawić. Szare komórki przetrwały nie naruszone, panie i panowie, i jeszcze dziś upora się tym śledztwem, a wieczorem zabierze Hannę Nortier na *Cyrulika sewilskiego*, a potem, panie i panowie, przystąpi do solidnej wewnętrznej przemiany. Bo już jest wolny - rana krwawi, ale jest czysta.

Miał ochotę na kawę i śniadanie: jajka na bekonie, kielbaski, smażone pomidory i grzanki z masłem. I na winstona - życie jednak nie jest takie złe. A potem wróci do diety i stanie się szczupły i wysportowany. Wstał, zmęczenie uciskało jego barki jak przyciasne ubranie. Ruszył po kawę, gdy był już na korytarzu, usłyszał dzwonek telefonu, więc zawrócił.

- To było w 1989 - powiedziała Margaret Wallace. - Trzy miesiące: sierpień, wrzesień i październik. Teraz sobie przypomniałam. Zapisał się na kursy wieczorowe, a na koniec całą grupą wyjechali gdzieś na kilka dni. Na ścianie wisi dyplom, znalazłam też program nauczania i broszurę. Mieszczą się przy ulicy Protea, w Woodstock. Facet, który podpisał się na zaświadczeniu, nazywa się Slabbert, WO. Slabbert, sekretarz. To było siedem albo osiem lat temu, kapitanie... Cóż z tego, na Boga, może wynikać?

- Dowiesz się jeszcze dzisiaj.

PIERWSZY DO FIRMY DOTARŁ PETERSEN. Joubert wysłał go do Hout Bay na łódź MacDonalda. Potem przyszedł O'Grady i też od razu otrzymał zadanie. Snyman się spóźnił.

- Przypominam sobie, że widziałem coś podobnego w szafie Drew Wilsona, kapitanie, dyplom, między innymi papierzyskami, pod albumami fotograficznymi, ale nie sądziłem, że to coś ważnego.

- Też bym nie sądził - mruknął Joubert. - Zdobądź mi ten dyplom.

De Wit nerwowo przemierzał pokój Jouberta, pocierając zamię. Vos pił herbatę, nagle spokojnie stwierdził:

- No to go dorwałeś, partnerze.

Zadzwonił telefon: O'Grady z domu Nienabera.

- Na świadectwie jest data z osiemdziesiątego dziewiątego, kapitanie. Mamy związek.

Czekali, spekulując i rozmawiając. Było w pół do dziewiątej. Zadzwonił do Gail Ferreiry na jej numer do pracy.

- Tak, to było w osiemdziesiątym dziewiątym, kapitanie, jakoś w drugiej połowie roku. I życia Ferdy'ego, wtedy stał się już zupełnie do niczego.

- Siedem lat - powiedział de Wit. - To kawał czasu.

- Rzeczywiście - zawtórował mu Joubert.

Znów zadzwonił telefon.

- Tu Basie Louw, kapitanie - jego głos brzmiał głucho, jak głos starca.

- Co się dzieje, Basie?

- Jezu, kapitanie, musiałem popłynąć łodzią, żeby się do nich dostać.

- I?

- Cierpię na chorobę morską, kapitanie. Dopadła mnie.

- Jest z tobą pani Coetzee, Basie?

- Tak, kapitanie, ale mówi, że nie zna tych osób. Nigdy nie słyszała...

- Basie, zapytaj ją, czy Coetzee robił kurs z zarządzania małymi przedsiębiorstwami w Szkole Handlowej Prowincji Przylądkowej i kiedy.

- Jaki kurs, kapitanie?

- Zapytaj ją po prostu, czy w osiemdziesiątym dziewiątym chodził na kurs do Szkoły Handlowej Prowincji Przylądkowej. - Wolno podał mu nazwę szkoły, wymawiając wyraźnie każde słowo. Usłyszał, że Louw przykrywa dłonią słuchawkę, i czekał na odpowiedź.

Louw odezwał się, zaskoczony:

- Tak, kapitanie. On... - Joubert usłyszał, że kobieta mu przerywa, ale nie zrozumiał słów. Słyszał tylko, jak Louw powtarza niecierpliwie: „Tak, tak, tak”. Po czym znów odezwał się do słuchawki: - Powiedziała, że właśnie w tamto Boże Narodzenie tak zainteresował się kościołem, kapitanie. Boże Narodzenie w osiemdziesiątym dziewiątym. Mówi, że wtedy zaczęły się wszystkie kłopoty.

- Wie coś o kursie? O ludziach, którzy z nim chodzili?

Znów niewyraźna rozmowa z kobietą.

- Nie, kapitanie, nic nie wie.
- Dzięki, Basie.
- To wszystko, kapitanie?
- Wszystko, Basie. Możesz...
- Czy ten kurs, kapitanie... to jakiś nowy trop?
- Wygląda na to, że wszyscy na nim byli, Basie.
- O kurka wodna.
- Możesz wracać, Basie. Promem.
- Kapitanie?
- Żartowałem, Basie.
- Cha, cha - zaśmiał się ponuro Louw.

Leon Petersen wrócił z Hout Bay.

- Nic tam nie ma. Żadnych dyplomów, nic.
- A jego ludzie?
- Mówią, że nie przypominają sobie niczego takiego.
- Nieważne. MacDonald i tak łączy się z resztą. Poprzez Nienabe-

ra.

- Co teraz?
- Teraz pojedziemy do Szkoły Handlowej Prowincji Przylądkowej.

Rozdział 41

W.O. SLABBERT, SEKRETARZ SZKOŁY, jej dyrektor i jedyny udziałowiec, niesłychanie podobny do buldoga, z całą masą podwójnych podbródków, szerokim, płaskim nosem, takim samym czołem i wielkimi, mięsistymi uszyskami, ostrzyżony był na jeża. Zdawał się ucieszony wizytą delegacji wydziału morderstw i kradzieży, w składzie Joubert, O'Grady, de Wit i Petersen.

- Mówcie mi Willy. Pewnie chcecie zapisać się na kurs. - Wziął pióro, gdy przedstawili się i usiedli. Pociągnął nosem, a oni odnieśli wrażenie, że jego koniuszek zatoczył lekką krzywą tuż nad prawym kącikiem ust.

- Nie - powiedział Joubert.

- Nie chcecie się zapisać? - Znów pociągnął nosem, z tym samym dziwnym ruchem jednego nozdrza.

- Panie Slabbert, badamy serię morderstw popełnionych w ostatnich dwóch tygodniach na Półwyspie.

- Ach tak. - Rozczarowanie.

- Poinformowano nas, że pracowała u pana panna Carina Oberholzer.

- Tak? - Niepewnie.

- Proszę nam o niej opowiedzieć.

- Nie żyje?

- Właśnie.

- Carina nie żyje - powtórzył, jakby nie mógł w to uwierzyć, i znów pociągnął nosem. Joubert miał ochotę poprosić, żeby go wydmuchał.

- Jak długo dla pana pracowała?
- Cztery, pięć lat. Kto... Jak umarła?
- Czym się zajmowała, panie Slabbert?
- Administracją. Zbierała podania i zapisy, rozsyłała papiery, pilnowała, żeby wykładowcy dostawali tematy wykładów. Nie zatrudniamy na stałe wykładowców, pracują na część etatu, wykonują też inną pracę.
- Prowadziła wyłącznie sprawy administracyjne?
- Była trzecią albo czwartą osobą, którą zatrudniłem. Jak łatwo sobie wyobrazić, byliśmy bardzo małą firmą. Carina pracowała to przy tym, to przy tamtym, trochę przy papierkach, trochę jako sekretarka, odbierała telefony, pisała na maszynie.
- A potem zrezygnowała?
- Tak, poszła do jakiegoś koncernu paliwowego.
- Dlaczego?
- Carinie zawsze najbardziej zależało na pieniądzach. Była z niej ładna osóбка i dobry pracownik, ale rozmawiała tylko o jednym; o pieniądzach. Mówiłem jej: „Trochę cierpliwości, Carrie”. Ale ona miała stałą odpowiedź, że życie kosztuje. Była urocza, rozmowna i często się śmiała. Musiałem zabrać ją z centralki telefonicznej, bo prowadziła niekończące się prywatne pogaduszki. - Pociągnięcie nosem.
- Pracowała dla pana w osiemdziesiątym dziewiątym?
- Tak, ja... Tak, zaczęła dwa lata wcześniej. Wielka szkoda; jej rodzice mają gospodarstwo na północnym zachodzie. Widziałem się z nimi raz czy dwa... To musiał być dla nich okropny cios.
- Czy nazwisko Wallace coś panu mówi?
- Nie, chyba nie.
- Drew Wilson?
- Nie.
- Ferdy Ferreira?
- Czy to nie ofiary?...
- Alexander MacDonald?
- Jeśli to wszystko ofiary mauzera, czemu nie napisali nic o małej Carinie?
- Te nazwiska nic panu nie mówią, panie Slabbert?
- Owszem, słyszałem je. O tym facecie od włosów też, jak on się nazywał?
- Nienaber.
- No właśnie, i o tym wczoraj, czcigodnym...

- Pastorze.
- Tak, pastorze. Ale... czyżby dziś rano doszło do kolejnego morderstwa? Zabił małą Carine?
- Nie, nie dziś. Skąd pan wie o morderstwie, panie Slabbert?
- Pociągnięcie nosem.
- Trudno nie wiedzieć. Prasa o tym trąbi.
- I nazwiska zna pan tylko z mediów?
- Tak.
- Zna pan Hester Clarke, panie Slabbert?
- Tak, znam. Nie mówcie mi, że ona...
- Hester Clarke z Fish Hoek? Projektantkę kartek bożonarodzeniowych?
- Nie wiem, czy projektowała kartki bożonarodzeniowe.
- Stara panna, pięćdziesiąt jeden lat?
- Nie, to nie nasza Hester, nasza była całkiem młodą osobką. Dziewczyną.
- Była?
- Tak, nie wiemy, co się z nią stało. Gdy próbowaliśmy ją odszukać, okazało się, że zniknęła. Zmieniła numer telefonu albo co. Nigdy już nie mieliśmy z nią kontaktu.
- Co was z nią łączyło?
- Prowadziła kursy z samorealizacji. Fajna babeczka, zaraz po uniwerku. Daliśmy ogłoszenie i prawie od razu się zgłosiła. Mądre dziewczę, pełne błyskotliwych pomysłów...
- Kursy u was?
- Tak, ruszyliśmy z kursami dla małych przedsiębiorstw - pociągnięcie nosem - wieczorowymi. Wtedy prowadziliśmy już kursy wieczorowe, ale tylko w Prowincji Przylądkowej: z kreatywności i dla małych przedsiębiorstw, pozostałe w formie korespondencyjnej. Uczyliśmy, jak założyć własną firmę, aspektów prawnych, sposobów działania i finansowania, księgowości, gospodarki towarowej... takie tam. Potem uznaliśmy, że przydałby się jakiś ostatni szlif, zanim wyślemy naszych uczniów w świat. Samorealizacja. Coś w stylu poradnika: *Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi*. - Znów pociągnął nosem, a Joubert miał coraz większą ochotę sprezentować mu chusteczkę.
- I w osiemdziesiątym dziewiątym to ona prowadziła szkolenia z samorealizacji?
- Tak.

- Na kursach wieczorowych?
- Nie, Hester wpadła na pomysł dwudniowych sesji wyjazdowych, w piątek i sobotę, do Berg River. Jest tam mała farma agroturystyczna, między Paarl a Franschhoek. To był jej pomysł; uznała, że wieczorem w ciągu tygodnia są zbyt zmęczeni. Że powinni się oderwać od codzienności, odświeżyć. Miała tyle planów. Nadal organizujemy te sesje na zakończenie kursu. Zwykle uczestniczą w nich grupki dziesięciu, dwunastu osób, tam zaliczają ostatnie zajęcia, a w sobotni wieczór wręczamy im dyplomy.
- Jak często są te wyjazdy?
- Och, tylko raz w roku. Taki kurs to trzy miesiące teorii w trybie wieczorowym, bo w dzień ludzie pracują. Nie możemy ich ściągać co wieczór, bo tego nie chcą.
- I to cała praca Hester Clarke? Dwa wieczory w roku?
- Nie, przygotowała też materiał na wykłady z kreatywności. Nadal z niego korzystamy. Wykłady wprowadzające do tego, czym jest „inwencja twórcza”. Sprawdziała też ćwiczenia i przygotowywała pytania egzaminacyjne.
- Tu, w firmie?
- Nie, nie stać mnie, żeby zatrudniać wykładowców. Pracowała w domu.
- Gdzie mieszkała?
- W Stellenbosch. Poza tym zaliczała też chyba jakieś wykłady na uniwersytecie.
- A potem zniknęła?
- Nie wiem, czy „zniknęła”. Ale to było bardzo dziwne. Gdy w następnym roku próbowaliśmy ją odnaleźć, jej telefon nie działał czy też odebrał ktoś inny... Już nie pamiętam. Wysyłaliśmy do niej listy i telegramy, ale na próżno. Musiałem szybko znaleźć zastępstwo. Pomyślałem, że pewnie wróci... może zrobiła sobie urlop albo coś takiego. Ale po jakimś czasie jednak poddaliśmy się.
- A kto teraz prowadzi kursy z samorealizacji?
- Zeb van den Berg. Długie lata służył w Marynarce Wojennej, a teraz dorabia sobie do emerytury. Ale mała Hester... wciąż korzystamy z jej materiałów.
- A Carina Oberholzer? Co ona miała z tym wspólnego?
- Wszystko organizowała, kwatery, sale wykładowe i nagrody. Jeździła na farmę w soboty.

Przetrawiali te informacje, aż w końcu Joubert zapytał:

- W którym roku zniknęła Hester Clarke, panie Slabbert?
- Niech pomyślę... - Pociągnięcie, nos znów zatoczył denerwujące kółko. - Niech pomyślę... Policzył na palcach. - Siedemdziesiąty ósmy, osiemdziesiąty ósmy, osiemdziesiąty dziewiąty... tak, w dziewięćdziesiątym, bo wtedy zatrudniliśmy osobę z Mutual, która na miesiąc przejęła jej obowiązki. Ale to się nie sprawdziło, za dużo chcieli pieniędzy.
- Więc ostatnie zajęcia z samorealizacji Hester Clarke poprowadziła w osiemdziesiątym dziewiątym?

- Na to wychodzi.

- Panie Slabbert, jesteśmy prawie pewni, że wszystkie ofiary mauzera spotkały się w osiemdziesiątym dziewiątym na pańskim kursie dla drobnych przedsiębiorców. Ma pan...

- Niemożliwe!
- Ma pan listę studentów tamtego roku?
- Byli studentami?
- Ma pan jeszcze tę listę?
- Wszyscy byli studentami?
- Panie Slabbert, lista?
- Tak, przechowujemy listy...
- Możemy ją zobaczyć?

Slabbert wziął się w garść.

- Oczywiście, oczywiście. Zaraz wam pokażę. - Otworzył jedną z szuflad swojego biurka i wyjął pęk kluczy.

- Będziecie musieli pojechać ze mną.
- Dokąd?
- Och, za dużo jest tych danych, żeby je tu przechowywać. Mam mały magazyn w Maitland.

Wyszli za nim z pokoju, minęli biurka personelu administracyjnego, przy których czternaście kobiet, czarnych i białych, walczyło ze stosami dokumentów.

- Powinny też być zdjęcia - powiedział Slabbert, gdy znaleźli się na dworze.
- Czego?
- Studentów, na świadectwach. Ale znalezienie tego nie będzie łatwe - dodał i pociągnął nosem.

Rozdział 42

MALY MAGAZYN W MAITLAND okazał się brudnym, przerdzewiałym budynkiem rozmiarów hangaru na boeinga, stojącym między złomowiskiem a składowiskiem palet. Slabbert z trudem otworzył olbrzymie zasuwane drewniane drzwi i zniknął w półmroku. Usłyszeli pstryknięcie włącznika, po czym zamigotały rtęciówki zawieszona pod wysokim sufitem hali.

O'Grady rzucił wiązaną przekleństw. Pozostali tylko się gapili. Od drzwi do końca magazynu, od lewej ściany do prawej, ciągnęły się wysokie na siedem metrów sterty brązowych kartonów, poustawianych porządnie na drewniano-metalowych regałach.

- Problem - powiedział Slabbert, dając im znak, żeby weszli - polega na tym, że na początku nie pomyśleliśmy, że tyle się tego może zbierać. A potem ludzie zaczęli prosić o możliwość poprawy, o wykazy ocen i odpisy świadectw, więc zdaliśmy sobie sprawę, że trzeba będzie to wszystko gdzieś przechowywać. Ale wtedy tyle się już nagromadziło tych papierzysk, że archiwizację zaczęliśmy od roku dziewięćdziesiątego drugiego

- A wcześniej? - zaniepokoił się Vos.

- Z tym jest pewien problem.

- Mianowicie? - spytał Joubert i serce w nim zamarło.

- Wcześniejsze lata nie są zarchiwizowane. Za mało rąk do pracy. To kosztuje. Poza tym rzadko dostajemy pytania od dawnych roczników.

- A gdzie są akta z osiemdziesiątego dziewiątego? - chciał wiedzieć Joubert.

- W tym rzędzie.

- A dokładniej?
- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

BART DE WIT POPROSIŁ PRZEZ RADIO O POMOC, tym razem tylko wydział morderstw i kradzieży, bo za wszelką cenę chciał uniknąć kontaktu z brygadierem. Pozostali zakasali rękawy i zaczęli zdejmować kartony. Wymyślili naprędce system przeszukiwań, do którego wdrożyli przybyłe posiłki.

Zdejmowali karton po kartonie, otwierali, podawali dalej, gdzie kolejny zespół wyjmował zawartość i kładł ją na podłogę. Joubert, Petersen, Vos, O'Grady, a później też i Griessel, gorączkowo kartkowali dokumenty, szukając nazwisk i dat.

- A kto to powklada z powrotem? - zapytał Slabbert i pociągnął z irytacją nosem.

- Pański personel administracyjny - odparł stanowczo de Wit.

- Czas to pieniądz - mruknął Slabbert i też wziął się do pracy, przeciągając przeszukane kartony w kąt.

Praca szła wolno, bo papiery popakowano bez ładu i składu - dokumentacja kursów naprawy komputerów leżała obok *Wprowadzenia do dziennikarstwa. Podstawy spawania* znajdowały się w tym samym kartonie co *Malowanie dla początkujących*.

De Wit zamówił lunch - kurczaka kentucky i coca-coleę; jedli, przeklinali, śmieli się i poważnie dyskutowali. Pracowali bez wytchnienia, rozprawiając się z kartonem po kartonie. W miarę jak popołudnie chyliło się ku wieczorowi, sterta pudeł powoli malała. Gdzieś po trzeciej byli na półmetku, nadal z pustymi rękami. Pozdejmowali krawaty, podkasali rękawy, koszule porozpinali, kabury z pistoletami ułożyli równym rzędkiem pod drzwiami. Ich ubrania, ciała i twarze pokrywała solidna warstwa kurzu. Od czasu do czasu zamieniali kilka słów, a czas nieubłaganie pędził.

Joubert i Griessel zrobili sobie przerwę, usiedli na dworze w słońcu, sżtywni od zmęczenia. Joubert czuł się wykończony.

- Zamierzam poprosić pułkownika o urlop - powiedział Griessel i zaciągnął się gunstonem. - Chcę wyjechać na dwa tygodnie z żoną i dziećmi, zobaczyć, czy uda nam się zacząć od nowa.

- Dobry pomysł, Benny.

- Może poproszę o przeniesienie. Na wieś. Zostanę szefem wsio-wego posterunku i jedyne, co będę miał do roboty, to zamknąć w

piątkową noc paru pijaczków i od czasu do czasu wyłapać sklepowych złodziejasków.

- No tak - odparł Joubert i zaczął się zastanawiać, jak on zacznie od nowa.

Potem wrócili do magazynu, usiedli na zimnym cemencie, poślinili palce i dalej zaczęli kartkować papierzyska - Joubert coraz bardziej gorączkowo, bo umówiony był na spotkanie i obawiał się, że nie zdąży. Zastanawiał się, czy nie jest za późno, żeby poprosić o wymianę bile-
tów na następny wieczór i czy Hanna Nortier będzie mogła z nim pójść. „Chciałabym gdzieś się wybrać. Wpadłam w rutynę”. W jaką rutynę może wpaść taka kobieta? - zapytywał siebie, podczas gdy jego palce kartkowały, kartkowały, kartkowały, a oczy skanowały pośpiesznie. Na podłogę przed nim rąbnęła kolejna sterta dokumentów.

Zaczęli sprzeczać się o kolację - pizza albo smażona ryba z frytkami, cokolwiek, byle nie kurczak. Utyskiwali na żony, które znów będą wściekle, że siedzą w robocie do nocy. Może niech Mavis przedzwoni i ich wytłumaczy? Dochodziła siódma.

I nagle Benny Griessel krzyknął triumfalnie:

- Ferreira Ferdy!

I zamachał nad głową papierami. Rzucili pracę, rozległy się oklaski.

- Wilson Drew Joseph. Są tu wszyscy.

Podeszli do niego. Griessel wyjmował paczkę po paczce - formularz zgłoszenia, prace domowe, arkusze egzaminacyjne, arkusze ocen, po-
kwitowania, sprawozdania. Wszystko spięte razem.

- MacDonald, Coetzee, Wallace, Nienaber.

- Zdjęcia są?

Griessel zaczął szukać zdjęć.

- Nie - odparł. - Z której półki wzięliście to pudło?

Przyczłapał zmordowany Slabbert, który próbował umieścić kartony z powrotem na regałach.

- Zdjęcia powinny być w jednej z tych paczek.

Podzielili się paczkami i przeglądali szybko zawartość.

- Mam! - zawołał Griessel, któremu los dziś najwyraźniej sprzyjał. Wstał, wyprostował się, wyciągnął właściwą zszywkę i rzucił resztę papierzysk na podłogę. Trzymał tylko zdjęcia. Wpatrywał się w lekko pożółkłe fotografie. Joubert podszedł do niego i zerknął mu przez ramię.

- Ależ Nienaber młodo wygląda, prawie jak Petersen - powiedział ze zdziwieniem Griessel.

Joubert wziął zdjęcie. Przez chwilę zdawało mu się, że zobaczył...

Czarno-biała fotografia. Stali półkolem, w marynarkach i pod krawatem, z dyplomami w ręku. Wilson miał zamknięte oczy, pewnie oślepił go blask flesza. MacDonald uśmiechał się szeroko, najwyższy z nich wszystkich, Coetzee był poważny. Ferdy Ferreira stał pochylony, nie patrzył w obiektyw. W pewnej odległości od niego stał Wallace, z założonymi z przodu rękami. Ale Mat Joubert w ogóle ich nie zauważał.

Wpatrywał się osłupiały w stojącą z przodu drobną, szczupłą kobietę, o głowę niższą od najniższego mężczyzny. Patrzył i nie docierało do niego, co widzi. Czas stanął w miejscu. Z powagą uniósł zdjęcie do światła, jakby nic nie rozumiał.

Nie uśmiechała się. Znał to nachmurzenie brwi, ten kształt głowy, ten nos, usta, podbródek, szczupłe ramiona. Siedem lat temu nosiła dłuższe włosy, spływały z jej ramion niemal do drobnych piersi. Sukienka, szara na czarno-białym zdjęciu, sięgała tuż za kolana. Do tego buty na płaskich obcasach. Poważna. Wyglądała tak poważnie...

- To właśnie mała Hester - usłyszał zza pleców słowa Slabberta. - Nasze maleństwo.

TO BYŁ STARY DOM NA OBSERVATORY, odrestaurowany i pomalowany na mocny, wyrazisty, ciemnobrązowy kolor. Z kratami z kutego żelaza w oknach, białymi i czystymi. Furtka do ogrodu otworzyła się bezszelestnie. Ruszył wzdłuż kwietnej rabatki betonową dróżką przez mały zadbany trawnik. Na drzwiach wisiała mosiężna kołatka, ale nie skorystał z niej, tylko zastukał cicho. W lewej dłoni trzymał zdjęcie.

- Ty ją znasz - stwierdził Griessel, dostrzegając błądliwość twarzy Jouberta.

Nagle wszyscy zaczęli się na niego gapić. Nie odpowiedział. Stał, wpatrując się w zdjęcie, chwilę z życia sprzed siedmiu lat, kompletnie oszołomiony, gdyż ten szokujący widok, jej wśród zmarłych, zbyt go przytłaczał.

- Znam - odparł w końcu, nie słysząc padających pytań: Skąd? Jak? Kiedy? Zdjęcie drżało lekko w jego dłoni. Życie zdało mu się nagle równie nierealne jak niejeden z jego snów, w których różne osoby

pojawiały się tam, gdzie zupełnie nie pasowały, nagle i tak dziwnie, że chciał się rozeźmiać i wykrzyknąć: Ależ ty, Macie Joubert, masz mętlik w głowie! Ale to nie był sen, to była rzeczywistość.

- Pojadę sam.

De Wit podszedł z nim do samochodu.

- Jestem panu winny przeprosiny, kapitanie. - Joubert milczał. - Będzie pan ostrożny?

Dosłyszał troskę w jego głosie i nagle zobaczył w innym świetle tego człowieka.

- Będę ostrożny. - Odpowiedział bardziej sobie niż jemu. Nie arogancko, tylko z łagodną stanowczością.

Usłyszał szybkie kroki na drewnianej podłodze domu, drzwi otworzyły się i stanęła w nich ona.

- Wcześniej przyszedłeś. - Jej różowe usta się uśmiechały. Pomalowane szminką, muśnięte. Pierwszy raz widział ją ze szminką na ustach. Włosy upięła w warkocz z tyłu głowy, odsłaniając szyję, białą i bezbronną, co podkreślała jeszcze wycięta u góry czarna sukienka.

Utrwalił jej obraz obiektywem swojej duszy, nim jej twarz się zmieniła, gdy dotarło do niej, że jest bez marynarki, bez krawata, z podwiniętymi rękawami i cały pokryty kurzem.

Bez słowa podał jej zdjęcie. Przestała się uśmiechać, twarz niczego nie wyrażała. Poszukała jego oczu, oczekując wyjaśnienia. Potem wzięła zdjęcie i spojrzała na nie, spochmurniała, zamknęła oczy, otworzyła je i utkwiała w fotografii. Rzuciła ją na lśniącą, wypolerowaną podłogę, po czym odwróciła się, jakby go tu nie było.

Ruszyła korytarzem. Widział przed sobą jej ramiona, piękne ramiona, o doskonałym rysunku kości i mięśni. Spoczywało na nich ciężkie brzemie. Szła wolno, z godnością, nie oglądając się na niego. Postąpił za nią, jeden, dwa, trzy kroki, po czym stanął w oświetlonym przejściu, czując w nozdrzach zapach jej perfum, lekki kobiecy zapach. Zniknęła w końcu korytarza.

Ciszę domu zakłócał tylko szmer jej ruchów. Po chwili wróciła, szła korytarzem, z bronią w rękach, prawą dłonią obejmowała magazynek, smukłymi palcami lewej podtrzymywała długą kolbę. Niosła ją jak ofiarę, duży rozmiar pistoletu kontrastował z kruchością jej ciała. Przystanęła w pewnej odległości od niego i zastygła. Krawędź magazynka przyciskała do jej brzucha czarny materiał sukienki. Opuściła głowę jak skazaniec. Oczy miała zamknięte.

Jego umysł niepowstrzymanie pracował nad złożeniem układanki w całość. Był to proces całkowicie mechaniczny, mimowolny i nieunikniony, nawet jeśli on chciałby inaczej. Ale zbyt był próżny. Stał tam, a zębatki jego umysłu obracały się, powoli się zazębiając. Sprawa dla prokuratora, Wysoki Sądzie - decydujący dowód, wreszcie, decydujący dowód, który kończy polowanie.

- Dlaczego?

Nawet nie drgnęła, tylko jej pierś unosiła się, poruszana płytkim oddechem.

Czekał, po czym podszedł do niej powoli, położył dłoń na jej ramieniu, poczuł chłód jej skóry. Zamknął palce dużej dłoni na jej obojczyku, przyciągnął ją bliżej i poprowadził do pokoju, w którym stały dwa przepastne fotele, obite kwiecistą tkaniną, niemal bezbarwną w półmroku. Dywan tłumił kroki. Wiszące na ścianach obrazy odbijały się na ich tle ciemnymi plamami. Posadził ją w głębokim fotelu z miękkimi poduszkami, oczy miała teraz otwarte. Usiadła prosto, trzymając oburącz na udach mauzer. Opadł przed nią na kolana.

- Hanno.

Spojrzała na niego z wysiłkiem.

Wyciągnął rękę, chcąc zabrać jej pistolet, ale jej chwyt był za silny, a jego serce za miękkie. Cofnął dłoń.

- Hanno.

Rozchyliła lekko wargi i oprzytomniała. Kąciki jej ust drgnęły leciutko, jakby chciała się uśmiechnąć. Popatrzyła na broń.

- Jakie to dziwne - powiedziała tak cicho, że niemal niedosłyszała. - Tak się go zawsze bałam, gdy dziadek wyjmował go ze skórzanego futerału. Wydawał mi się taki zły. Był taki brzydki. I ten zapach... Wystarczyło, że dziadek otworzył futerał, już go czułam. Pachniał śmiercią: zastała, uporczywa woń, chociaż dziadek go czyścił. Kiedy go wyjmował, nie słyszałam nawet, co do mnie mówił. Musiałam patrzeć na broń, dopóki nie skończył i nie wsunął jej z powrotem do futerału, dopiero wtedy mogłam spojrzeć na niego. Musiałam mieć pewność, że ją schował i zamknął.

Znów spojrzała na niego. Kąciki jej ust opadły, tworząc półksiężyc.

- Znalazłam go wśród rzeczy mojego ojca. Podzieliłam je na dwie kupki, po jednej stronie te, które chciałam zatrzymać, po drugiej te do oddania. Tych, które chciałam zatrzymać, było tak niewiele. Zdjęcia

jego i matki. Jego Biblia, kilka płyt. Zegarek. Najpierw położyłam futerał na tej drugiej stercie. Potem go przeniosłam. Później znów umieściłam na drugiej. W końcu rozpięłam klamry i poczułam ten zapach, przypomniałam sobie dziadka i jeszcze raz przełożyłam broń.

Jej oczy wędrowały po ciemnościach pokoju, a może innych, gdzieś w niej; nagle znowu popatrzyła na niego.

- Nigdy bym nie pomyślała, że będzie mi potrzebny. Prawie o nim zapomniałam. - Umilkła, uchwyt na broni zelżał i Joubert zaczął się zastanawiać, czy nie spróbować jej odebrać mauzera.

Jej świadomość znów odpłynęła gdzieś daleko. Wypowiedział jej imię, ale się nie poruszyła.

- Hanno.

Zamrugła powoli.

- Dlaczego?

Głęboko i pomału zaczerpnęła powietrza, jakby przed ostatnim, wielkim westchnieniem. I zaczęła mówić.

Rozdział 43

W SALI WYKŁADOWEJ ŚMIALI SIĘ, coraz głośniej i głośniej, bardziej żywiłowo. Na zewnątrz było cicho, noc doskonała. Po niebie na pełnych żaglach płynął jasny księżyc, gwiazdy skrzyły się po horyzont, jakby ktoś sypanął brokatem. Noc była bezchmurna, ciepła, kojąca. A ona stała na małej werandzie przed salą wykładową. Niedaleko szumiała rzeka, księżyc odbijał się w niej żółtym witrażem. Podniosła do ust lampkę, niemal już pustą. Choć wino było bardzo wytrawne, czuła w nim smak słońca. Piła maleńkimi łykami, gdyż pozwoliła sobie tylko na jedną lampkę. Może jeszcze pół, kiedy wróci do pokoju, w nagrodę za dobrą pracę. To nie była łatwa grupa. Różnice w osobowości, podejściu, inteligencji i umiejętnościach wymagają ode mnie więcej niż zwykle, pomyślała. Ale udało się. Każdy z nich dowiedział się czegoś o sobie, rozwinął się - niektórzy wprowadzili tylko odrobinę, musiała przyznać, ale przecież nie ona ukształtowała ich zdolność do rozwoju.

Może popracuje rok albo dwa lata, a potem zajmie się czymś ambitniejszym, ciekawszym. Kursy traktowała jak szczebel drabinki, chwilowy przystanek, ale nie miała wyrzutów sumienia. Slabbert dużo dostał za swoje pieniądze. Integralność i etykę pracy.

Tylko rok albo dwa lata.

Smakowała ostatnie krople wina na języku, pozwoliła im spłynąć powoli przelykiem, chciała już znaleźć się u siebie w pokoju. Tylko ją i Carine uprzywilejowano jednoosobowymi pokojami, pozostali mieszkali w dwuosobowych domkach. Nalegała na to, jej czas był zbyt cenny. W pokoju czekały na nią książka i muzyka. Wieczorem zamierzała posłuchać *Trubadura*, może pierwsze dwa akty. „Tyle śmierci? -

zapytali - już wtedy, w epoce Verdiego?" „Czyż życie to nie umiarnie?", odparł maestro. Uśmiechnęła się do księżycy, odwróciła, rozsunęła szklane drzwi i weszła do sali. Siedzieli wokół stołu, dyskutując z ożywieniem, przed każdym stała szklaneczka. Nienaber perorował, MacDonald, Ferreira i Coetzee słuchali. Wilson, jej najlepszy uczeń, jedyny, do którego miała słabość, trzymał się nieco na uboczu. Wallace i Carina Oberholzer siedzieli u szczytu stołu, zajęci rozmową.

Nikt poza nią chyba nie tknął białego wina. Bez trudu znalazła je między pełnymi i pustymi butelkami piwa, otwartą brandy i whisky, małymi butelkami z dodatkami do drinków i dużym wiaderkiem z lodem. Nalała sobie dokładnie pół lampki

- Wracam już do siebie do pokoju - oświadczyła, gdy stanęła przy stole i podnieśli na nią wzrok. Zaprotestowali. Zauważyła, że ich oczy powleka alkoholowa mgiełka.

- Idę z tobą - rzucił MacDonald.

Pozostali zarechotali.

- Za chuda - bąknął pod nosem Ferdy Ferreira, ale dosłyszała i poczuła okropne zażenowanie.

- Chudsze mięsko lepiej...

Nagle zaczęło jej się śpieszyć. Uśmiechnęła się blado, życzyła im przyjemnego wieczoru i dodała, że spotkają się i pożegnają przy śniadaniu.

Powiedzieli jej dobranoc.

- Ręce na kołderce - pod drzwiami dobiegł ją okrzyk Ferdy'ego Ferreiry i śmiech innych.

Kiedy znalazła się na dworze, pokręciła głową. Nie jest zły ani głupi, ten Ferdy, ale jego sposób bycia... Szła otoczona dźwiękami nocy - brzęczeniem owadów, szmerem rzeki, odległym szczekaniem psa, rykiem ciężarówky pnącej się drogą po wzgórzu. W miarę jak się oddalała, rozmowy i śmiechy cichły. Skupiła się na tym, co na nią czeka, wszystko dokładnie przygotowane późnym popołudniem, podczas krótkiej chwili, gdy kursanci przebierali się na ceremonię wręczenia świadectw. Podczas uroczystości wypowiadała kilka słów zachęty, wręczała dyplomy. MacDonald, odbierając swój, uparł się, by ją pocałować. Bili brawo, przerzucali się bezsensownymi uwagami. Potem zdjęcie: Carina Oberholzer ustawiła ich półkolem i pstryknęła jedno, drugie, trzecie.

Otworzyła drzwi do sypialni. Lampka przy łóżku była włączona. Wszystko tak, jak trzeba. Zamknęła drzwi, oparła się o nie i westchnęła z ulgą.

Nacisnęła przycisk radia i magnetofonu. Pokój wypełnił się muzyką. Zgięła kolano prawej nogi, uniosła kostkę na wysokość dłoni, zdjęła but. Potem drugi. Początek rytuału. Ustawiała buty obok siebie, symetrycznie, pod drzwiami jednoskrzydłowej szafy. Zaczynając od góry, rozpięła bluzkę i przeglądała się w długim lustrze po wewnętrznej stronie drzwi szafy. Nie miała teraz ochoty na rutynową samoocenę, na rozważanie znaczenia kolejności ruchów, gdy się rozbierała - nawet jeśli to była tylko gra, w którą z bladym, ironicznym i żalonym uśmiechem grała ze sobą niemal co wieczór. Powiesiła bluzkę na wieszaku, potem rozpięła guzik spódnicy i rozsunęła zamek błyskawiczny. Spódnica opadła płynnie. Jej ręce strzepnęły materiał, usuwając wymagowane niteczki. Zawiesiła spódnicę obok bluzki.

Bieliznę nosiła delikatną. Słuchając muzyki, rozpięła przednie zapięcie stanika, widząc w lustrze swoje małe piersi, biel skóry. Uśmiechnęła się mimowolnie i postanowiła darować sobie dziś przekomarzenie się ze sobą w kwestii ich wielkości i kształtu. Zbyt piękne były na to i muzyka, i jej nastrój, dobry, podniosły.

Wśliznęła głowę w miękki materiał nocnej koszuli. Poprawiła ją na swoich niemal chłopięcych biodrach, świadoma przyjemności, jaką sprawiała jej skórze gładkość materiału. Rzuciła ostatnie zadowolone spojrzenie na panujący w szafie porządek - jutro rano spakuje się w dwie minuty. Wyłączyła górne światło, ułożyła wyżej poduszki i wsunęła się pod koc. Wzięła ze stolika przy łóżku biografię - powieściami się nie interesowała - umościła się wygodnie i otworzyła książkę.

Pogrążyła się w lekturze.

Jej skupienie dwukrotnie zakłóciły dobiegające z imprezy hałasy. Za pierwszym razem był to wybuch donośnego śmiechu, który wzbili się nad słodką arię i kazał jej pokręcić głową. Ależ rozrabiają, pomyślała i ponownie skoncentrowała się na czytaniu.

Za drugim razem zaniepokoiła się bardziej. Usłyszała ich w przezwie między arią a recytatywem, wrzaski nie pozostawiały wątpliwości co do stanu ich upojenia. Rozpoznała głos MacDonalda, może też Coetzee. Dobiegły ją głośne przekleństwa. Szybko rozmyśliła się: nie, nie wyjdzie, żeby ich upomnieć - są dorośli. Śledziła oczami słowa na kartkach, lecz fakt, że aż tak się upili, posiał w niej na chwilę niejasny niepokój. Potem znów skupiła się na lekturze.

Ogarniająca ją senność, którą z początku potraktowała jak intruza, okazała się przyjacielem.

Poczekwała do końca arii, po czym nacisnęła przycisk, zatrzymując taśmę. Zaznaczyła stronę zakładką, położyła książkę na stoliku i sięgnęła do wyłącznika. Obróciła się, przewróciła na lewy bok, zwinęła w pościeli jak embrion i zamknęła oczy.

W jej sen powoli zaczęły przenikać odgłosy balangi. Śmiechy i mało zrozumiałe wrzaski zagłuszały nocne bzykanie owadów i szmer płynącej wody. Jeszcze hulają? Która to godzina? Przecież zaraz zacznie się irytować nadzorca kompleksu. Sen umknął pod naciskiem niepokoju.

Wstała rozdrażniona, podeszła do okna i rozsunęła wyblakłe kwieciste zasłony. Dojrzy stąd, co tam się wyprawia?

Na niebie wysoko stał jasny księżyc. Zalewał drzewa, krzewy i trawniki upiorną poświatą. Popatrzyła w stronę sali, w której wciąż paliły się światła, ale niczego nie mogła dojrzeć.

Coś poruszyło się na dworze, niedaleko, nad rzeką. Zaczęła się w to coś wpatrywać.

Jakieś duże ciemne zwierzę, kanciaste i dziwne. Wyteżyła wzrok. Ludzka postać. Dwie. Obściskują się. Odwróciła wzrok, cofnęła się lekko - nie wypada podglądać. Kolejny przyływ niepokoju. To była Carina. Zerknęła ponownie, oburzona. Carina i Wallace. Całowali się. Obejmował dłońmi krągłości jej pupy, ona objęła go za szyję. Z szeroko rozwartymi ustami penetrowali językami swoje gardła. Genitalia przy genitaliach, przyciągane wypitym alkoholem.

Muszą przestać. Ma obowiązek ich powstrzymać.

Zadarł jej spódnice, odciągnął gumkę majtek i chwycił dłońmi jej nagie pośladki. Ugniatał miękkie ciało, wepchnął między nie palec.

Zdjęła jedną rękę z jego szyi, przesunęła po torsie i brzuchu, wymacała walcowaty kształt napierającego na spodnie penisa, doświadczonym palcem i kciukiem odnalazła główkę, głaszcząc ją i skubiąc. Nagle wyszarpnął bluzkę ze spódnicy. Z jedną dłonią na jej plecach, drugą wsunął pod stanik. Podciągnął go do góry, poszukał sutka, ujął w dłoń piersi.

Odwróciła wzrok, głęboko zawstydzona. To jej wina. Ale jak zaczęta zaczęła przyglądać się znowu.

Dłoń Cariny odszukała zamek jego spodni i go rozpięła. Ich złączone ustami ciała lekko odchyliły się od siebie. Wsunęła dłoń do jego slipów, chwyciła członek i wydobyła na wierzch. Wallace wiedział, do czego ona zmierza, i pozwolił jej robić, co chciała. Opadła na kolana,

z językiem na czubku jego penisa, oblizywała go, pochłaniała całego, ssąc mocno, z okropnym siorbiącym dźwiękiem. Jej dłoń sunęła w górę i w dół. „Nie”, sapnął, chwytając jej głowę. Podniósł ją, otoczył ramieniem i poprowadził do jej domku. Wiodła ich żądza, wielkie, widoczne podniecenie. Carina zaśmiała się krótko.

A ona czuła wstręt, oburzenie i przerażenie. Przecież Wallace był żonaty. Miał dzieci. Carina Oberholzer o tym wiedziała. Zamknęła oczy, poczekała, aż znikną z pola widzenia. Otworzyła je, wpatrując się w mrok, już teraz martwy.

To ich nieopanowanie, niezdolność do zapanowania nad popędami, do lojalności, najbardziej nią wstrząsnęło. I to, że nie potrafiła odwrócić od nich wzroku.

Znów jakieś ruchy w ciemności.

Co ci ludzie wyprawiają?

Za parą cicho skradali się podglądacze, pijani, niezdarni, z tępyim spojrzeniem pierwotnych istot, odzwierciedlającym prymitywny stan, w który popadły ich mózgi.

MacDonald, Ferreira, Coetzee i Nienaber. Na końcu włókł się Wilson.

Zataczali się. Zrozumiała, że są pijani w sztok.

Zasunęła cicho i starannie zasłony, odgradzając się od upiornej poświaty księżyca. W ciemnościach odwróciła się od okna i zrozumiała, że jej spokój prysnął na dobre. Chciała się pozbyć tych obrazów. Będzie musiała popracować, by je z siebie wyrzucić, o śnie może chwilowo zapomnieć. Włączyła lampkę. Nacisnęła przycisk magnetofonu. Niech wiedzą, że nie dają jej spać. Może to ich przywoła do rozsądku.

Usiadła na łóżku.

Co oni wyprawiają? Zachowują się jak dzieci. Wstała, uchyliła lekko zasłonę drugiego okna.

Stali pod oknami domku Cariny, w kręgu padającego z wewnątrz światła, milczący, skupieni widzowie. Domyśliła się, na co tak się gapią, jeszcze nim zauważyła członek w dłoni Ferdy'ego Ferreiry. Zasunęła szczelnie zasłonę. Poczula narastające mdłości, więc zaczęła gwałtownie oddychać. Nie może teraz wymiotować. Trzeba było wcześniej wyjść do nich i położyć kres temu, co się tam działo. Usiadła na łóżku. Boże, ależ ludzie są prymitywni. Podkreśliła muzykę.

To przez alkohol. Trzeba go w przyszłości zabronić.

Wzięła książkę, oparła się o poduszki i spróbowała się skoncentrować. Niełatwo będzie zatrzeć te obrazy. Przeczytała pół zdania, wciąż nękana przez mdłości. Usłyszała kroki - wreszcie sobie idą, w końcu mają dość.

Drzwi rozwalil MacDonald, zobaczył ją leżącą w łóżku, z książką w ręce, z przerażoną twarzą.

- Chodź, Hester, popieprzmy się. - Pociągnął do środka Wilsona. Po chwili stał już nad nią; wyrwał jej książkę. Położył rękę na kocu. Krzyknęła w nagłym gniewie, nagłym strachu. Próbowała strząsnąć jego ręce, widziała po jego czerwonej twarzy, że jest pijany jak świnia, czuła cierpki smród oddechu. Przygniótł ją swoim cielskiem, skrepował jej ręce nad głową. Próbowała się wyszarpnąć, uwolnić. Drugą rękę wsunął pod jej koszulę, podciągnął ją w górę i obnażył piersi.

- O, jednak coś tu mamy, Hester.

Nie słyszała go, krzyczała. Chciała wydobyć się spod niego, strząsnąć z siebie to bydlę. Ale był za ciężki, nie mogła się ruszyć.

- No dalej, Hester! - wrzasnęła niecierpliwie. Próbowała go ugryźć, przekreśliła głowę, usiłując dosięgnąć zębami grubego nadgarstka. Rozerwał i ściągnął z niej majtki.

- Ale z ciebie pieprzona szczapa. - Zatopiła zęby w owłosionej skórze. Wyrwał i uderzył ją w głowę.

- Gryzie, pieprzona suka. Uderzył ją drugi raz.

- Nie! - krzyknął Wilson.

Wpadli pozostali.

- Ja też chcę! - zawył obnażony Ferreira.

- Jezu, Mac - wybełkotał Nienaber.

Znów uwięził jej dłonie. Z nosa ciekła jej wąska strużka krwi. Wyrwała się coraz słabiej, oślepiona świadomością tego, co ją czeka. Rozpiął spodnie, wcisnął kolano między jej nogi. Rzuciła się, kopała. Przygniótł ją swoim ciężarem.

- Rozsuń nogi, Hester.

- Mac! - protestował zataczający się Wilson.

- Odpieprz się - warknął MacDonald i obejrzał się przez ramię. - Poczekaj na swoją kolej. - Uśmiechnął się, biodrami rozsunał jej nogi, jego penis przez chwilę szukał dziurki, po czym wdarł się w nią z niehumanym impetem.

Poczuła, że jest rozrywana, z początku nawet nie ból, tylko rozszarpywane wnętrze. Ból przyszedł później. Prawie utraciła świadomość, siła całkiem ją opuściła. Poczul to, uznał za przyzwolenie, uwolnił jej ręce, uniósł się lekko i obejrzał.

- Też lubi się pieprzyć. Tak samo jak ta druga.

Świadomość wróciła jej na chwilę, po czym znów odpłynęła. W dole brzucha trawił ją ogień, potworny ogień, wypalający ciało cierpieniem.

Wyśliznął się z niej, zaklął, wszedł ponownie.

- Cha, cha.

- Przestań Mac.

- Zaraz. Orgazm.

- Ferdy... - MacDonald wstał i zrobił zapraszający gest. Coetzee, ze spodniami opuszczonymi do kolan, był szybszy.

Ukląkł przed nią, potarł ręką jej brzuch, wcisnął się w nią i momentalnie doszedł. Wstał zaskoczony. Ferreira odepchnął go, długimi pociągnięciami języka zaczął lizać jej piersi, znacząc śliną szlak na skórze. Polizał jej brzuch, sunął językiem niżej, ku włosom łonowym. Onaniżował się przy tym. Trysnął na nią żółtawy płyn.

- Ollie - rozkazał MacDonald.

Nienaber uśmiechnął się, kręcąc głową.

Drew. Gdzie Drew?

Wilson był na dworze, oparty o ścianę, wymiotował na trawnik.

- Co robicie? - Potykając się, nadeszli Wallace i Carina Oberholzer.

- Wyście się już pieprzyli. Widzieliśmy, jak się pieprzyliście. Teraz kolej na Drew. - MacDonald chwycił Wilsona za kark i zaciągnął do środka.

Wilsonowi wciąż chciało się wymiotować. Między nawrotami mdłości zdołał wyjąkać:

- Nie chcę, nie mogę.

MacDonald popychał go do pokoju, aż do samego łóżka. Zewsząd otaczał ją krwisty ogień, płynęła przez płomienie, lekka jak piórko, jakby w stanie nieważkości, zahartowana bólem.

- Jesteś ciotą, Drew. - MacDonald uderzył go w tył głowy.

Wilson się zachwiał.

- No dalej, pieprz ją. - Chwycił Wilsona za koszulę.

- Mac, nie! - krzyknął Wallace.

Carina Oberholzer stała w drzwiach i gapiła się na nich.

- Spieprzaj, Wallace. Parzyliście się jak psy. Szarpnięciem postawił Wilsona na nogi.

- No pieprz ją, pedale.

Wilson próbował się bronić, ale MacDonald ścisnął go za szyję.

Leżała przed nim, z otwartymi oczami, szeroko otwartymi - wpatrywała się w sufit.

Nie robi tego, nie da rady. Szarpał się ze spodniami, w końcu rozpiął pasek. Wszedł w nią niechętnie, starając się ukryć przed MacDonaldem, że nie nabrzmiał.

- No już, posuwaj ją, pieprzony pedale.

MacDonald stanął przy łóżku, MacDonald sokoli wzrok. Czerwona gęba pod czerwonymi włosami. Czerwony nos.

Wilson poruszał się, czując, że jego penis ślizga się w krwi.

- Chcę widzieć, jak dochodzisz.

Udawał, chcąc jakoś to przetrwać. MacDonald popchnął go od tyłu. Chwycił go i popychał do przodu, ciągnął do tyłu i tak w kółko. Wilson zwymiotował, nie mogąc dłużej się powstrzymać. Za chwilę drugi raz, na nią.

JOUBERT PODNIÓSŁ SIĘ Z KŁĘCZEK.

Mówiła jak automat, głosem wypranym z emocji, siedziała nieporuszona, zapatrzona gdzieś. Pragnął, by już skończyła.

- Następnego rana obudziły mnie ptaki i promienie słońca. Jak co dnia. Leżałam tam. Na początku tylko słyszałam. Ptaki. Nie czułam zapachu. Nic nie czułam. Leżałam tak i leżałam. Gdy tylko próbowałam się poruszyć, przypląwał ból. Potem obejrzałam ciało. Już nie moje. Obce. To nie były moje piersi ani mój brzuch, ani nogi. Nie chciało mi się go umyć, bo nie było moje. Moje ciało było czyste.

Usiadł w fotelu naprzeciw niej, bardzo zmęczony.

- Poszli sobie. Ranek wstał taki piękny, taki cichy. Tylko ptaki śpiewały.

Umilkła i poczuł głęboką wdzięczność.

Siedział, wpatrując się w nią. Zupełnie, jakby jej tu nie było, pomyślał.

Dlaczego już nie pragnął jej dotknąć?

Jeszcze nie skończyła.

Rozdział 44

WYMKNAŁ SIĘ Z BUDYNKU SĄDU NAJWYŻSZEGO bocznymi drzwiami, żeby uniknąć prasy. Po wrzawie, jaka towarzyszyła aresztowaniu, sprawa trafiła na dalsze strony gazet, a w końcu zniknęła zupełnie. Ale dziennikarze zanotowali sobie daty posiedzeń sądu i teraz znów urządzili nagonkę. Usłyszał głos za plecami.

- Kapitanie.

Przystanął na schodach, żeby mogła go dogonić.

- Jak się miewasz? - zapytał.

- To długa kuracja. A ty?

- W porządku.

Zauważył, że ładnie wygląda, różnokolorowe oczy pojaśniały. Nie miał ochoty wracać do biura.

- Napiałabyś się kawy?

- Chętnie.

Szli obok siebie chodnikiem, w szarym świetle sierpniowego dnia. Oboje woleli nie rozmawiać o cichej, spokojnej kobiecie na ławie oskarżonych, każde z innego powodu. Na placu Greenmarket znaleźli niewielką kawiarenkę; przytrzymał przed nią drzwi. Usiedli, zamówili kawę.

- Nie zamierzałam przyjść na rozprawę. Ale chciałam ją zobaczyć. Raz. W jakiś sposób dać jej do zrozumienia, że rozumiem.

Jaka to różnica? Według niego żadna. Słyszał pogłoski na temat raportu psychiatry. Dziś po południu otrzymają go sędziowie.

- Ale ona sprawa wrażenie takiej nieobecnej.

- Uhm - odparł.

- Schudleś.

Ucieszył się, że zauważyła.

- Naprawdę?

- Tak.

Kelner przyniósł kawę.

- Więc co porabiałeś?

- Pracowałem. - Szczera prawda. Po prostu pracowałem. Najpierw, żeby uciec. Od wszystkich, od siebie, od Anny Boshopp - zadzwoniła dwa razy, po czym dała sobie spokój - i od nowego psychologa. A potem w ramach swojej terapii, krok po kroku dochodząc do równowagi.

- I rzuciłem palenie.

- Wspaniale.

- Jak dzieci?

- Już lepiej. Ale jeszcze...

- Sprzedałem dom.

- Ja też. Mieszkamy teraz w Claremont. W Ashton Village. Całkiem tam przyjemnie.

- A ja w Table View.

- Nowy dom?

- Nie, to... - Szukał angielskiego słowa, znalazł. - Kamienica.

- Możesz mówić po afrykanersku, jeśli wolisz. Mój nie jest za dobry.

- Mnie się podoba. Cisza.

- Lubisz operę? - zapytał.